

BENIOFF DAVID

MIASTO ZŁODZIEI



Dla Amandy i Frankie

*i jeśli miasto padnie a ocaleje jeden
on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania
on będzie Miasto.*

ZBIGNIEW HERBERT

*Na koniec Schenkowi wydało się, że rozumie, roześmiał się więc
głośniej. Potem nagle zapytał poważnym tonem: - Myślisz, że Rosjanie
to homoseksualiści? - Przekonasz się pod koniec wojny - odparłem.*

CURZIO MALAPARTE

Mój dziadek, nożownik, zabił dwóch Niemców, zanim skończył osiemnaście lat. Nie pamiętam, by ktokolwiek mi o tym mówił - odnoszę wrażenie, że wiedziałem to zawsze, tak samo jak wiem, iż u siebie Jankesi grają w pasiastych strojach, a na wyjeździe - w szarych. A jednak nie przyszedłem na świat z tą wiedzą. Kto mi więc powiedział? Z pewnością nie ojciec, który nigdy nie zdradzał tajemnic, ani też matka, która unikała wszelkich tematów nieprzyjemnych, wszystkiego co krwawe, zrakowaciałe czy zdeformowane. Babka też nie; znała wprawdzie wszyściutkie baśnie ze starego kraju - przeważnie ponure, o dzieciach pożartych przez wilki czy też zdekapitowanych przez wiedźmy - ale nigdy, przynajmniej w mojej obecności, nie rozprawiała o wojnie. No a już bez najmniejszych wątpliwości nie sam dziadek. Uśmiechnięty kustosz mych najwcześniejszych wspomnień, cichy, czarnooki szczupły mężczyzna, trzymający mnie za rękę, gdyśmy przechodzili przez ulice i czytający swoją rosyjską gazetę na ławce w parku, kiedy ja płoszyłem gołębie i wtykałem w mrowiska ułamane gałęzie.

Dorastałem zaledwie dwie przecznice od dziadków i widywałem ich niemal codziennie. W swym szeregowym domu w Bay Ridge prowadzili własną, obsługującą głównie innych rosyjskich imigrantów, firemkę ubezpieczeniową. Babka nieustannie wisiała na telefonie, sprzedając polisy. Nikt nie potrafił się jej oprzeć: czasem czarowała, czasem straszyla klientów, a ci, w każdym przypadku, kupowali. Dziadek prowadził biuro i odwałal całą robotę papierkową. Jako malec siadywałem mu na kolanach i gapilem się na zaooblony i gładki kikut jego lewego palca wskazującego, którego dwa górne paliczki zostały odcięte tak równiutko, jakby dziadek bez nich się urodził, takie przynajmniej odnosiłem wrażenie. Jeśli było lato i akurat grali Jankesi, w radio, a później w kolorowym telewizorze, który na osiemdziesiąte urodziny sprezentował dziadkowi mój ojciec, leciała transmisja meczu. Dziadek nigdy nie wyzbył się rosyjskiego akcentu, nigdy nie zagłosował w wyborach, nigdy nie słuchał amerykańskiej muzyki, ale stał się zagorzałym kibicem Jankesów.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych korporacja ubezpieczeniowa złożyła dziadkom ofertę zakupu ich firmy. Ofertę według powszechnej opinii uczciwą, babka zatem zażądała sumy dwukrotnie wyższej. Doszło zapewne do ostrych targów, których można było uniknąć, gdyby tylko ludzie z korporacji zapytali mnie o radę: przekonałbym ich, że targowanie się z babką jest czystą stratą czasu. Koniec końców babka postawiła na swoim i dziadkowie, zgodnie z tradycją, sprzedali swoje dotychczasowe lokum, by przeprowadzić się na Florydę.

Kupili nad Zatoką Meksykańską niewielki dom, płaskodache arcydziełko wzniesione w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym przez architekta, który stałby się sławny, gdyby nie utonął w tym samym roku. Surowa i majestatyczna budowla z żelbetonu tkwiąca na samotnym urwisku nad zatoką raczej nie sprawia wrażenia domu, w którym jesień życia spędza para emerytów, dziadkowie wszakże nie przenieśli się na południe, żeby uschnąć w słońcu i umrzeć. Dziadek większość czasu spędza przy komputerze, grając w szachy ze starymi przyjaciółmi,

a babka, bezgranicznie znudzona bezczynnością już kilka tygodni po przeprowadzce, sama stworzyła sobie miejsce pracy w Sarasocie, gdzie w koledżu wykłada literaturę rosyjską opalonym studentom, niezmiennie stropionym (o czym przekonałem się podczas wizyty na uczelni) jej niewyparzonym językiem, miażdżącą ironią i zdolnością bezbłędnego cytowania z pamięci całej poezji Puszkina.

Każdego wieczoru dziadkowie jedzą kolację na tarasie swojego domu, spozierając nad poczerńiałym morzem w stronę Meksyku. Śpią przy otwartych oknach i akompaniamencie tłukących się o siatki ciem. W przeciwieństwie do innych emerytów z Florydy, których miałem okazję poznać, nie przejmują się przestępczością. Drzwi wejściowe nie są zwykle zaryglowane, nie mają też systemu alarmowego. W samochodzie nie zapinają pasów bezpieczeństwa, na słońcu nie smarują się olejkami. Uznali, że uśmiercić ich może tylko Bóg, w którego, tak się składa, nie wierzą.

Ja mieszkam w Los Angeles i pisuję scenariusze o zmutowanych superbohaterach. Dwa lata temu magazyn branżowy zamówił u mnie szkic autobiograficzny, a ja już w trakcie pracy nad nim uświadomiłem sobie, że prowadzę beznadziejnie monotonne życie. Nie, żebym się uskarżał. Choć nawet skrót mojego życiorysu byłby nieciekawą lekturą - szkoła, koledż, dorywcze zajęcia, uniwersytet, dorywcze prace, jeszcze trochę uniwersytetu, zmutowani superbohaterowie - miałem frajdę, odpajkując w nim kolejne pozycje. Ale kiedy borykałem się z artykułem, doszedłem do wniosku, że nie chcę pisać o swoim życiu, nawet za godziwe honorarium. Chcę natomiast napisać o Leningradzie.

Dziadkowie odebrali mnie z lotniska w Sarasocie; pochyliłem się, by ich ucałować, oni zaś uśmiechnęli się do mnie, jak zwykle trochę rozbawieni w obecności gigantycznego amerykańskiego wnuka, który ze swoimi stu osiemdziesięcioma pięcioma centymetrami wzrostu jest przy nich olbrzymem. Po drodze do domu zatrzymaliśmy się na lokalnym targu rybnym i kupiliśmy *pompano* - dziadek przyrządził ją na grillu, nie dodając

nic prócz masła, soli i świeżego soku z cytryny. Jak zawsze potrzebował zaledwie dziesięciu minut, by pozornie z największą łatwością upichcić danie bijące na głowę wszystko, co w ciągu minionego roku jadłem w LA. Babka nie gotuje; w naszej rodzinie znana jest z tego, że stanowczo odmawia przygotowania potraw bardziej skomplikowanych niż owsianka.

Po kolacji babka zapaliła papierosa, a dziadek napełnił trzy kieliszki domową nalewką z czarnej porzeczki. Wsłuchani w chór cykad i świerszczy, spoglądaliśmy na pociemniałą zatokę i od czasu do czasu zabijaliśmy obsiadające nas komary.

- Przywiozłem ze sobą magnetofon. Pomyślałem, że moglibyśmy pogadać o wojnie. - Wydawało mi się, że strącając popiół na trawę, babka wznosi wzrok ku niebu. - No co?

- Masz czterdzieści lat. Teraz chcesz się dowiedzieć?

- Mam trzydzieści cztery lata. - Spojrzałem na dziadka, a on się uśmiechnął. - Co jest grane? Byliście faszystami? Skrywacie swoją nazistowską przeszłość?

- Nie - odparł, wciąż uśmiechnięty. - Nie byliśmy faszystami.

- Serio myślałaś, że mam czterdziestkę na karku?

- Trzydzieści cztery, czterdzieści... - babka prychnęła w sobie tylko właściwy sposób, czemu towarzyszyło lekceważące machnięcie ręki, jakby odpędzała kwestię, którą uznała za niemądrą. - Co to ma za znaczenie? Ożeń się. Znajdź żonę.

- Gadasz jak wszystkie babcie z Florydy.

- Ha - odparła lekko urażona.

- Chcę po prostu wiedzieć, jak było. Co w tym takiego strasznego?

Skinęła głową w stronę dziadka, ale wciąż godziła we mnie rozżarzoną czubkiem papierosa.

- On chce wiedzieć, jak było.

- Kochanie - powiedział dziadek. Tylko tyle, nic więcej, niemniej jednak kiwnęła głową i rozduła papierosa na szklanym blacie stołu.

- Masz słusność - rzuciła pod moim adresem. - Jeśli chcesz pisać o wojnie, pisz.

Wstała, pocałowała mnie w czubek głowy, a dziadka w usta, zebrała naczynia i znikła z nimi w głębi domu. Przez kilka minut siedzieliśmy we dwóch bez słowa, wsłuchani w fale przyboju, a wreszcie dziadek, rad, że opróżniłem swój kieliszek, nalał drugą kolejkę.

- Masz dziewczynę?

- Mhm.

- Tę aktorkę? -Tak.

- Podoba mi się.

- Wiem, że ci się podoba.

- Mogłaby być Rosjanką - stwierdził. - Ma oczy... Jeśli chcesz rozmawiać o Leningradzie, porozmawiamy o Leningradzie.

- Nie chcę rozmawiać. Chcę, żebyś ty mówił.

- No więc OK, będę mówić. Jutro?

Dotrzymał słowa. Przez następny tydzień codziennie siadywaliśmy razem na betonowym tarasie i nagrywałem jego opowieści. Kilkugodzinna sesja z rana, przerwa na lunch, potem znów po południu - mój dziadek, człowiek, który z najwyższym trudem zdobywał się na wypowiedzenie więcej niż dwóch zdań pod rząd w towarzystwie kogoś innego niż swoja żona, zapępiał słowami minikasetę za minikasetą. Zbyt wieloma słowami jak na jedną książkę - prawda bywa bardziej niezwykła niż fikcja, ale też wymaga lepszego redaktora. Po raz pierwszy w życiu słyszałem, jak dziadek klnie i otwarcie mówi o seksie. Opowiadał o swoim dzieciństwie, wojnie i przyjeździe do Ameryki. Ale przeważnie rozprawiał o jednym tygodniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego, pierwszym tygodniu roku, tygodniu, kiedy spotkał moją babkę, zawarł najtrwalszą przyjaźń i zabił dwóch Niemców.

Gdy skończył, zacząłem dopytywać go o najrozmaitsze szczegóły - nazwiska, miejsca, pogodę w poszczególne dni. Znosił to przez jakiś czas, ale w końcu wychylił się i wcisnął w magnetofonie guziczek stopu.

- To było bardzo dawno temu - powiedział. - Nie pamiętam, co wtedy miałem na sobie. Nie pamiętam, czy wyrzało słońce.

- Chcę mieć tylko pewność, że wszystko jest jak należy.
- Nie będziesz jej miał.
- To twoja historia. Wolałbym w niej nie gmerać.
- Davidzie...
- Parę rzeczy wciąż nie ma dla mnie sensu.
- Davidzie - powiedział. - To ty jesteś pisarzem. Sam się dopatrz.

I

Nigdy nie byłeś tak głodny; nigdy nie byłeś tak przemarznięty. Kiedyśmy spali, jeśliśmy w ogóle spali, śniliśmy o ucztach beztróska spożytych siedem miesięcy wcześniej - tym chlebie z masłem, ruskich pierogach, kiełbasie - rzeczach zjedzonych nonszalancko, połkniętych bez delektowania się smakiem, o wielkich okruchach pieczywa pozostawionych na talerzach, grudkach tłuszczu. W czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego, przed nadejściem Niemców, uważaliśmy się za biedaków. Teraz, w zimie, czerwiec wydawał się rajem.

Nocami wichur zawodził tak donośnie i przeciągle, że człowiek wzdragał się, kiedy nagle cichł; zawiasy okiennic wypalanej kafejki na rogu przestawały skrzypieć na kilka złowieszczych sekund, jak gdyby zwierzęca drobnica kładła uszy po sobie, słysząc, że zbliża się drapieżnik. Same okiennice zostały zdjęte na opał już w listopadzie; podzieliły los każdego kawałka drewna w naszym mieście - wszystkie tablice, listwy z parkowych ławek, deski podłogowe ze zrujnowanych budynków rozszabrowano już dawno i spalono w piecykach. Znikły również gołębie, które połapano, by je następnie uwarzyć w wodzie ze stopionego

lodu Newy. Rzeź gołębi nikogo nie wzruszyła, to psy i koty stanowiły problem. W październiku poszła plotka, że ktoś upiekł domowego psiaka na kolację dla czterech osób; śmieliśmy się i z niedowierzaniem kręciliśmy głowami, zastanawiając się jednocześnie, czy dobrze posolony pies stanowi smakowite danie. Bo soli wciąż było pod dostatkiem, mieliśmy ją nawet wówczas, gdy zabrakło wszystkiego innego. W styczniu plotki stały się niepodważalnym faktem. Nikt prócz najlepiej ustawionych nie mógł sobie pozwolić na żywienie ulubieńca, więc ulubieńcy żywili nas.

Istnieją dwie teorie na temat „grubi kontra chudzi”. Według pierwszej ci, którzy byli opaśli w momencie wybuchu wojny, mieli większe szanse przetrwania, tydzień bez jedzenia bowiem nie przekształcił pulchnego osobnika w szkielet. Zdaniem innych chudzi, z natury przyzwyczajeni do skąpych posiłków, łatwiej znosili szok głodowy. Z czysto egoistycznych powodów należałem do tego drugiego obozu, jako że chuderlawym mikrusem byłem od urodzenia. A do tego wielkonosym, czarnowłosym i pryszczatym... Spójrzmy prawdzie w oczy - nie wyglądałem jak księżę z bajki, o jakim śni każda dziewczyna. Wojna jednak przydała mi atrakcyjności. Inni kurczyli się w miarę zmniejszania racji kartkowych i niebawem nawet faceci, którzy przed inwazją przypominali siłaczy cyrkowych, wyglądali jak wieszaki na palta, a ja nie miałem mięśni na zbyciu. Niczym drobne ssaki ścierwojady przemykające wśród dinozaurów, zostałem ukształtowany tak, by przetrwać w niedostatku.

W sylwestra siedziałem na dachu Kirowa, bloku, w którym mieszkałem od piątego roku życia (beziemiennym do trzydziestego czwartego, kiedy to Kirowa zastrzelono, a następnie połowę miasta nazwano na jego cześć), obserwując grube szare balony przeciwlotnicze, rojące się pod chmurami w oczekiwaniu na bombowce. O tej porze roku słońce pozostaje na niebie przez zaledwie sześć godzin, gnając od horyzontu po horyzont, jakby je ktoś wystraszył. Każdej nocy we czwórkę odsiadaliśmy na dachu trzygodzinną wachtę: okutani we wszystkie koszule, swetry i palta, jakie zdołaliśmy znaleźć, wyposażeni w worki z pia-

skiem, bosaki i łopaty, obserwowaliśmy niebo. Byliśmy strażakami. Niemcy uznali, że bezpośredni atak na miasto przypłaca zbyt wielkimi stratami, więc zamiast tego okrążyli Leningrad, zamierzając zagłodzić nas, wytepić bombami i ogniem.

Przed wybuchem wojny w Kirowie mieszkało tysiąc sto osób, teraz, w sylwestra, ich liczba nie przekraczała czterech setek. Większość małych dzieci ewakuowano przed wrześniem, zanim jeszcze Niemcy domknęli okrążenie. Matka i młodsza siostra, Tasza, udały się do Wiaźmy, by zamieszkać u mego wujka. W przeddzień ich wyjazdu pokłóciłem się z matką po raz pierwszy w życiu, czy raczej po raz pierwszy w życiu stanowczo się jej sprzeciwiłem. Chciała oczywiście, żebym z nimi jechał - byle dalej od najeźdźców, w głąb kraju, tam gdzie bombowce nas nie odnajdą. Aleja nie zamierzałem opuszczać Pitra. Jestem mężczyzną, będę bronić swojego miasta, zostanę Aleksandrem Newskim dwudziestego stulecia. No, może nie ośmieszyłem się aż tak bardzo i użyłem raczej rozsądnych argumentów: jeśli wszyscy zdrowi i sprawni umkną, Leningrad wpadnie w łapy faszystów, a bez Leningradu, bez Miasta Proletariatu produkującego czołgi i karabiny dla Armii Czerwonej, jakież szanse miała cała Rosja? Matka jednak uznała moje argumenty za głupie. Miałem zaledwie siedemnaście lat, nie spawałem pancerzy w zakładach i jeszcze prawie przez rok nie mogłem iść do wojska. Nie miałem znaczenia dla obronności Leningradu, byłem ledwie dodatkową gębą do wyżywienia. Wyniośle zignorowałem te zniewagi.

- Jestem strażakiem - oświadczyłem zgodnie z prawdą; magistrat zlecił utworzenie dziesięciu tysięcy oddziałów strażackich, a ja zostałem dumnym dowódcą Kirowskiej Brygady Piątego Piętra.

Moja matka nie przekroczyła jeszcze czterdziestki, ale zdążyła już osiwieć. Siedziała naprzeciwko mnie przy kuchennym stole, trzymając moją dłoń w swoich. Była malutką kobietą, mierzyła ledwie półtora metra wzrostu, ale bałem się jej od dziecka.

- Jesteś durniem - powiedziała. Brzmi to obraźliwie, ale zawsze nazywała mnie „swoim durniem” i na tym etapie trak-

towałem rzecz jako określenie pieszczotliwe. - Miasto było tu przed tobą i będzie również, kiedy cię zabraknie. Jesteś potrzebny mnie i Taszy.

Miała słuszność - syn lepszy niż ja pojechałby z nimi, lepszy brat. Tasia uwielbiała mnie, skakała mi w objęcia, gdy wracałem ze szkoły, odczytywała kretyńskie wierszyki na cześć męczenników rewolucji, które pisywała w ramach pracy domowej, mazała w swoim notesiku karykatury mego wielkonosego profilu. Ogólnie rzecz biorąc, miałem ochotę ją udusić, nie miałem natomiast najmniejszej ochoty wędrować w jej i matki towarzystwie przez nasz rozległy kraj. Byłem siedemnastolatkiem bąbelkującym wiarą w swe heroiczne przeznaczenie. Z tysięcy plakatów porozklejanych na miejskich murach krzyczała deklaracja Mołotowa z jego radiowego przemówienia w pierwszym dniu wojny: **NASZA SPRAWA JEST SŁUSZNA! WRÓG ZOSTANIE POKONANY! ZATRIUMFUJEMY!** Wierzyłem w sprawę; nie umknę przed nieprzyjacielem; nie dam się wykolegować z udziału w triumfie.

Matka i Tasia wyjechały nazajutrz. Pierwszą część drogi odbyły autobusem, później, kiedy udawało się je zatrzymać, wojskowymi ciężarówkami, a wreszcie pieszo, deptając niezliczone wiorsty polnych dróg popękanymi podeszwami swoich butów. Potrzebowały trzech tygodni, żeby dotrzeć na miejsce, dotarły jednak i były w końcu bezpieczne. Matka przysłała mi list z opisem podróży, opisem strachu i znużenia. Może chciała obudzić we mnie poczucie winy, trwałem jednak w przekonaniu, że ich wyjazd był najlepszym rozwiązaniem. Zbliżał się wielki bój, na froncie nie było dla nich miejsca. Siódmego października Niemcy zdobyli Wiaźmę i listy od matki przestały przychodzić.

Chciałbym wyznać, że za nimi tęskniłem - rzeczywiście bywały wieczory, gdy czułem się samotny, z pewnością brakowało mi kucharzenia matki - ale prawda jest taka, że o samodzielności fantazjowałem od najmłodszych lat. Bohaterami moich najulubieńszych bajek byli przemyślni osieroceni chłopcy, co wędrując przez ciemne bory, sprytnie wykaraskiwali się z wszelkich niebezpieczeństw, wystawiali do wiatru nieprzyja-

ciół i gdzieś na szlaku zdobywali fortunę. Nie twierdzę, że byłem szczęśliwy - głodni rzadko bywają - ale wierzyłem, że wreszcie moje życie ma sens. Jeśli upadnie Leningrad, upadnie Rosja; jeśli upadnie Rosja, faszyzm podbije świat. Wszyscyśmy w to wierzyli. Ja nadal wierzę.

Byłem zatem zbyt młody, żeby iść do wojska, dostatecznie jednak dorosły, żeby za dnia kopać rowy przeciwczołgowe, a nocami pełnić straż na dachu. Członkami mojej brygady byli koledzy z piętra: Wiera Osipowna, utalentowana wiolonczelistka, i rudowłosi bliźniacy Antokolscy, których jedynym znanym talentem była umiejętność pierdzenia unisono. We wcześniejszych dniach wojny paliliśmy na dachu papierosy, pozując na żołnierzy - odważnych, krzepkich, o kwadratowych szczękach, którzy przepatrują niebo w poszukiwaniu nieprzyjaciela. Ale pod koniec grudnia w Leningradzie nie było już papierosów, a przynajmniej papierosów z tytoniem. Niektórzy zdesperowani palacze robili skręty z pokruszonych opadłych liści, utrzymując, że właściwie dobrane gwarantują niegorszy dymek - były one znane pod nazwą „jesienne lekkie” - ale w Kiro wie, odległym czort wie jak bardzo od najbliższego stojącego drzewa, to rozwiązanie nie wchodziło w grę. W wolnych chwilach polowaliśmy na szczury, które zapewne uznały zniknięcie miejskich kotów za odpowiedź niebios na ich zanoszone od prawieków modły i doznały rozczarowania dopiero wówczas, gdy stwierdziły, że wraz z kotami zniknęły wszelkie odpadki.

Po miesiącach nalotów umieliśmy zidentyfikować rozmaite niemieckie maszyny po odgłosach pracy ich silników. Tej nocy, jak przez wiele ostatnich tygodni, były to junkersy 88; jakiś czas temu zastąpiono nimi heinkle i dornieri, które nasze myśliwce nauczyły się strącać. Jakkolwiek żałośnie nasze miasto prezentowało się za dnia, nocami oblężenie przydawało mu osobliwej urody. Przy księżycu widzieliśmy z dachu Kirowa calutki Leningrad: iglicę wieży Admiralicji, ochlapaną maskującą szarą farbą, zamotany w sieci ochronne fort Piotra i Pawła, kopuły Świętego Izaaka i cerkwi Zbawiciela na Krwi. Flota Bałtycka, niczym gromada olbrzymich szarych wartowników,

kotwiczyła na Newie, ostrzeliwując ze swoich dział faszystowskie stanowiska artyleryjskie.

Ale najpiękniejsze były walki powietrzne: junkersy i su-choje, niewidoczne z ziemi, chyba że pochwycone potężnym światłem szperaczy, krążyły wokół siebie nad miastem... Su-choje miały na spodzie poszycia wymalowane wielkie czerwone gwiazdy, żeby przez przypadek nie zestrzeliła ich nasza artyleria przeciwlotnicza. No i raz na kilka nocy widzieliśmy bój tak wyraźnie, jakby przed oczyma wyświetlano nam film. Cięższe, wolniejsze bombowce niemieckie ostro kładły się na skrzydła, żeby umożliwić swym cekaemistom ostrzał mknących jak pociski rosyjskich myśliwców. Ilekroć junkers, niczym strącony z niebios płonący anioł, pikował ku ziemi, ze wszystkich dachów niósł się triumfalny i wyzywający ryk, a strażacy i artylerzyści wymachiwali zaciśniętymi dłońmi, oddając cześć zwycięskiemu pilotowi.

Mieliśmy ze sobą na dachu mały radiodbiornik i w sylwestra słuchaliśmy, jak w Moskwie kuranty soboru Spasskiego grają Międzynarodówkę. Wiera znalazła gdzieś połówkę cebuli; przekroiła ją na cztery części i położyła na talerzu wysmarowanym olejem słonecznikowym - kiedy już zniknęła cebula, chlebem wytarliśmy go do ostatniej kropelki. Kartkowy chleb wcale nie smakował jak chleb. W ogóle nie smakował jak jedzenie. Odkąd Niemcy zbombardowali Badajewskie spichrze zbożowe, leningradzkie piekarnie postawiły na wynalazczość i zaczęły dodawać do ciasta wszystko, co można było dodać, nie ryzykując masowego zatrucia konsumentów. Miasto głodowało, nikt nigdy nie był syty, a jednak wszyscy klęli w żywy kamień chleb, jego trociniasty smak i skłonność do twardnienia na zimnie. Niejeden połamał sobie zęby na naszym kartkowym chlebie. Jeszcze dzisiaj, choć zapomniałem nawet twarze ludzi, których niegdyś kochałem, pamiętam ten smak.

Pół cebuli i podzielony na cztery części studwudziestopięciogramowy glonek chleba - to był zupełnie przyzwoity posiłek. Okutani kocami, leżeliśmy na wznak, gapiliśmy się na unoszone wiatrem, przytrzymywane długimi linami balony przeciwlot-

nicze i słuchaliśmy przez radio metronomu. Kiedy bowiem nie było muzyki ani wiadomości, stacja radiowa nadawała dźwięk metronomu, to niekończące się tik-tik-tik, które informowało nas, że miasto wciąż nie zostało zdobyte, że faszyci wciąż sterczą przed jego bramami. Radiowy metronom był bijącym sercem Pitra, którego Niemcy nigdy nie uciszyli.

To Wiera wypatrzyła człowieka spadającego z nieba. Krzyknęła, wyciągnęła rękę, a my zerwaliśmy się na nogi, żeby lepiej widzieć. Jeden ze szperaczy oświetlił spadochroniarza, który opadał na miasto, mając nad głową swój biały jedwabny tulipan.

- Szkop - stwierdził Oleg Antokolski i miał rację: szary mundur Luftwaffe nie pozostawiał co do tego wątpliwości.

Skąd się wziął? Nie słyszeliśmy odgłosów walki powietrznej ani też poszczekiwania zenitówek. Od niemal godziny nie słyszeliśmy żadnego przelatującego bombowca.

- Może się zaczęło - zasugerowała Wiera.

Od tygodni krążyły pogłoski, że Niemcy przygotowują wielki desant z powietrza, ostateczny napad, który wyszarpienie żaloszny cierz Leningradu z zadka posuwającej się naprzód armii. W każdej chwili spodziewaliśmy się w górze widoku tysięcy opadających na miasto faszystów, śnieżycy przesłaniających niebo białych spadochronów, jednak kolejne snopy światła szatkowały ciemność, a my nie wypatrzyliśmy już żadnych nieprzyjaciół. Był tylko ten jeden, zresztą martwy, jeśli sądzić po bezwładności wiszącego w uprząży ciała.

Podążaliśmy za nim spojrzeniem, gdy skamieniały w świetle szperacza spływał coraz niżej, tak nisko wreszcie, że dostrzegliśmy, iż na jednej nodze nie ma czarnego buta.

- Zbliża się do nas - powiedziałem. Istotnie, wiatr popychał go w stronę ulicy Woinowej.

Bliźniacy popatrzyli po sobie.

- Luger - rzekł Oleg.

- Luftwaffe nie nosi lugerów - zaproponował Grisza. Starszy od brata o pięć minut, był autorytetem w dziedzinie faszystowskiego uzbrojenia. - Walther PPK.

Wiera posłała mu uśmiech.

- Niemiecka czekolada - dodała.

Porzucając nasz sprzęt przeciwpożarowy, pognaliśmy w stronę drzwi do klatki schodowej, potem w dół mrocznym szybem. Zachowaliśmy się jak głupcy, rzecz jasna. Jedno potknięcie na betonowych schodach, niezamortyzowane poduszką mięśni czy tłuszczu, mogło oznaczać złamaną kość, a złamana kość oznaczała śmierć. Tym jednak nie zawracaliśmy sobie głowy. Byliśmy bardzo młodzi, a na ulicę Woinową spadał martwy Niemiec, przynosząc podarki z Vaterlandu.

Biegiem przecięliśmy podwórko, przeleźliśmy przez zamkniętą bramę. Nie świeciła żadna latarnia, całe miasto tonęło w ciemności - częściowo po to, by utrudnić zadanie bombowcom, częściowo dlatego, że większość energii elektrycznej szła do fabryk broni - ale przy księżycu widzieliśmy niezgorzej. Sześć godzin po godzinie milicyjnej ulica była pusta jak wymiół. Żadnych samochodów, ani wojskowych, ani dygnitarskich; wszystkie auta prywatne zarekwirowano w pierwszych miesiącach wojny. Paski papieru zwiększające, według przekazywanych przez radio instrukcji, odporność szkła na pękanie, przecinały wystawy sklepowe. Może to prawda, choć przechodziłem w Leningradzie obok wielu wystaw, gdzie nie pozostało nic oprócz owych dyndających pasków.

Już na ulicy popatrzyliśmy w górę, ale nie dostrzeżliśmy obiektu naszych poszukiwań.

- Gdzie się mógł podziać?

- Myślisz, że wylądował na dachu?

Szperacze wędrowały po niebie, ale zamontowane bez wyjątku na wysokich gmachach, nie mogły oświetlić ulicy Woinowej. Wiera pociągnęła za kołnierz mojej szuby, ogromnej marynarskiej szuby odziedziczonej po ojcu i wciąż na mnie za dużej, cieplejszej jednak niż którakolwiek inna sztuka mojej odzieży.

Odwróciłem się i zobaczyłem go, tego naszego Niemca, który zahaczając czarnym oficerskim butem o oblodzony chodnik, z wciąż napęczniałym od wiatru spadochronem nad sobą, gnał

szparko w stronę bramy Kirowa; broda opadła mu na piersi, w ciemnych włosach skrzyły się kryształki lodu, a twarz wydawała się w blasku księżyca zupełnie bezkrwista. Staliśmy nieruchomo i patrzyliśmy, jak podpływa coraz bliżej. Widzieliśmy tej zimy rzeczy, jakie powinny być oszczędzone ludzkim oczom, sądziliśmy, że nic już nas nie zaskoczy, ale myliliśmy się i nawet gdyby w tej chwili Niemiec wy dobył swojego walthera i zaczął strzelać, żadne z nas nie zdołałoby oderwać stóp od ziemi. Martwy mężczyzna pozostał jednak martwy, wiatr dał w końcu za wygraną, spadochron zwiotczał, Niemiec opadł na chodnik, by pociągnięty jeszcze kilka metrów dalej, znieruchomieć z twarzą do ziemi w ostatecznym poniżeniu.

Otoczyliśmy go wianuszkami. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną i gdybyśmy zobaczyli go w cywilu na ulicach Pitra, natychmiast rozpoznalibyśmy w nim szpiega - miał ciało kogoś, kto codziennie je mięso.

Grisza przyklęknął i wyjął z kabury pistolet Niemca.

- Walther PPK. Jak mówiłem.

Przewróciliśmy mężczyznę na wznak. Jego blada twarz była pokancerowana o asfalt, ale zadrapania miały taką samą barwę jak nienaruszona skóra. Umarłym nie robią się siniaki. Nie umiałem zawyrokować, czy umierał z przerażeniem, godnością czy też spokojem. Na jego twarzy nie zachowały się ślady życia bądź osobowości - wyglądał jak umarłak, który urodził się martwy.

Oleg ściągnął mu z rąk czarne skórzane rękawiczki, podczas gdy Wiera zajęła się szalikami i goglami. Ja z kolei znalazłem pochwę przytroczoną powyżej kostki i wyciągnąłem z niej pięknie wyważony nóż ze srebrnym jelcem i nieczytelnym w blasku księżyca napisem na jednostronnym piętnastocentymetrowym ostrzu. Na powrót włożyłem nóż do pochwy i przymocowałem go nad swoją kostką, czując po raz pierwszy od miesięcy, że mój los wojownika zaczyna się spełniać. Oleg znalazł portfel martwego Niemca i uśmiechnięty od ucha do ucha przeliczył deutsche marki. Wiera schowała do kieszeni chronometr: był dwa razy większy od zwykłego zegarka - Niemiec miał go na

rękawie swojej kurtki lotniczej. Grisza znalazł jeszcze składaną lornetkę w skórzanym futerale i płaszczyk pierśiówkę: odkręcił ją, powąchał, a następnie podał mnie,

- Koniak?

Upiłem łyczek i skinąłem głową.

- Koniak.

- A kiedy niby to próbowałeś koniaku? - zainteresowała się Wiera.

- Żebyś wiedziała, że próbowałem.

- Kiedy?

- Niech no zobaczę - powiedział Oleg.

Pierśiówka przechodziła z rąk do rąk; przykucnięci wokół martwego pilota kosztowaliśmy napitku, który mógł być koniakiem, brandy czy też armaniakiem. Żadne z nas nie dostrzegłoby różnicy. Tak czy siak, rozgrzewał nam brzuchy.

Wiera wpatrywała się w twarz Niemca. Bez współczucia czy strachu - tylko z zaciekawieniem i wzgardą: najeźdźca przybył, by zrzucić bomby na nasze miasto, a zamiast tego zrzucił siebie. Nie zestrzeliliśmy go, niemniej jednak rozpierało nas uczucie triumfu. Żaden inny mieszkaniec Kirowa nie natknął się na zwłoki nieprzyjaciela, zaraz będziemy na ustach całego bloku.

- Jak waszym zdaniem umarł? - zapytała.

Nie dostrzegliśmy żadnych ran postrzałowych, żadnych osmaleń, w ogóle najmniejszego znaku przemocy. Żywi wprawdzie nie miewają aż tak białej skóry, ale przecież nic jej nie przebiło.

- Zamarzył na śmierć - oświadczyłem z przekonaniem, bo wiedziałem, że mam słuszość i żadnego sposobu, żeby jej dowieść. Pilot wyskoczył wiele setek metrów nad nocnym Leningradem. Tu, na poziomie gruntu, panowała temperatura zbyt niska na ubranie, które nosił, tam na górze, poza swą ciepłą kabiną, nie miał najmniejszych szans.

Grisza uniósł flaszkę w toaście.

- Zdrowie mrozu!

Pierśiówka znów zaczęła wędrować, ale do mnie już nie dotarła.

Powinniśmy byli usłyszeć warkot silnika z odległości dwóch przecznic, po godzinie milicyjnej w Leningradzie panowała taka cisza jak na powierzchni Księżyca, ale my piliśmy gorzałkę Niemca i wznosiliśmy toasty. Dopiero kiedy gazik skręcił w Woinową, zagrzechotał ciężkimi kołami, dźgnął nas światłem reflektorów, uświadomiliśmy sobie niebezpieczeństwo. Karą za pogwałcenie godziny milicyjnej była natychmiastowa egzekucja. Karą za opuszczenie drużyny strażackiej była natychmiastowa egzekucja. Karą za szaber była natychmiastowa egzekucja. Sądy nie działały; funkcjonariusze milicji pełnili służbę na linii frontu; do połowy zaledwie zapełnione więzienia pustoszały coraz bardziej. Komu opłacało się żywić wrogów państwa? Jeśli złamałeś prawo i zostałeś złapany - ginąłeś.

Nikt nie zawracał sobie głowy prawnymi subtelnościami.

Czmychnęliśmy zatem. Nikt nie znał Kirowa tak dobrze jak my. Kiedy tylko pokonamy bramę na podwórko i zanurkujemy w ciemności rozległego bloku, mogą nas sobie szukać nawet przez trzy miesiące, a i tak nie znajdą. Za naszymi plecami żołnierze wrzeszczeli, żebyśmy się zatrzymali, ale puszczailiśmy te krzyki mimo uszu, głosy nas nie ruszały; co innego kule, ale jak dotąd nikt nie strzelał. Grisza, najbardziej, by tak rzec, wysportowany spośród nas, dotarł do bramy pierwszy, skoczył na kraty, podciągnął się... Oleg dobiegł tuż za nim, ja za Olegiem. Nasze ciała były słabe, mięśnie mieliśmy w zaniku z powodu niedostatku protein, ale strach sprawiał, że pięliśmy się na bramę szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

W pobliżu górnej krawędzi obejrzałem się i zobaczyłem, że Wiera poślizgnęła się na spłachetku lodu. Zastygła na czworakach i wlepiła we mnie zaokrąglone ze strachu oczy, a za nią, w odległości jakichś sześciu metrów, z hamującego przy zwłokach pilota gazika wyskakowali żołnierze z karabinami w dłoniach. Wciąż miałem dość czasu, żeby przesadzić przez bramę i zniknąć w otchłaniach Kirowa.

Rad bym powiedzieć, że myśl o porzuceniu Wiery nawet nie przyszła mi do głowy, że bez wahania ruszyłem na ratunek będącej w opałach przyjaciółce. Prawda jednak wygląda tak, że

w tym momencie jej nienawidziłem. Za to, że okazała się niezgrabiaszką w najmniej odpowiedniej chwili, że wlepia we mnie te spanikowane piwne oczy, że z jej wyboru to ja mam okazać się zbawcą, chociaż jedynym chłopakiem, którego kiedykolwiek pocałowała, był Grisza. Miałem jednak świadomość, ona zresztą też, że nie potrafiłbym żyć ze wspomnieniem jej błagalnego spojrzenia, tak więc, wciąż przepelniony uczuciem nienawiści, zeskoczyłem na ziemię, postawiłem Wierę na nogi i pociągnąłem ku bramie. Byłem słaby, ale Wiera nie ważyła więcej niż czterdzieści kilo. Podsadzając ją na bramę, słyszałem za plecami krzyki żołnierzy, stukot butów na chodniku i szcęk repetowanych karabinów.

Wiera przeszła przez bramę, a ja, ignorując żołnierzy, wspinałem się jej śladem. Gdybym się zatrzymał, otoczyliby mnie, oświadczyli, że jestem wrażym elementem, zmusili do ukłęknięcia i zabili strzałem w potylicę. Stanowiłem w tym momencie łatwy cel, jednak albo byli pijani, albo - będąc w istocie grupką takich samych miastowych chłopaków jak ja - nigdy dotąd nie mieli okazji pociągnąć za spust; a może chybiali z premedytacją, bo wiedzieli, że jestem patriotą i obrońcą miasta, a z Kirowa wymknąłem się tylko dlatego, że martwy szkop spadł na moją ulicę z wysokości trzech kilometrów, a który rosyjski siedemnastolatek nie podjąłby największego ryzyka, żeby zerknąć na martwego faszystę?

Dotykałem już podbródkiem górnej krawędzi bramy, gdy poczułem dłonie zaciskające się na moich kostkach. Silne dłonie, dłonie żołnierzy, którzy fasują dwa posiłki dziennie. Przede mną Wiera, nie obejrzawszy się ani razu, wbiegała do bloku. Trzymałem się krat ze wszystkich sił, ale żołnierze ściągnęli mnie, rzucili na chodnik i otoczyli wianuszkami, szturchając mnie w policzki lufami swoich tokariewów.

Mieli najwyżej po dziewiętnaście lat, wszyscy sprawiali wrażenie skłonnych do zachlapania chodnika moim mózgiem.

- Zaraz się bidak zesra.

- Urządziliście sobie przyjtko, synu? Znaleźliście jakiego sznapsa?

- Nada się dla pułkownika. Może jechać ze szkopem.

Dwaj pochylili się, wzięli mnie pod pachy, szarpnięciem postawili na nogi, podprowadzili do pracującego na wolnych obrotach gazika i wepchnęli na tylne siedzenie. Dwaj pozostali podnieśli Niemca za ręce i nogi, a następnie wrzucili obok mnie.

- Nie daj mu zmarznąć - powiedział jeden, a pozostali parsknęli śmiechem, jakby usłyszeli najlepszy dowcip w życiu, i zatrzasnęli drzwi.

Uznałem, że ciągle żyję, bo chcą mnie stracić publicznie, aby przestrzec innych szabrowników. Kilka minut temu wydawało mi się, że mam ogromną przewagę nad martwym pilotem. Teraz, gdyśmy pędzili ciemną ulicą, wymijając leje po bombach i kupy gruzu, blizna jego białych ust zdawała się przecinać zamarznąłą twarz złośliwym uśmiechem. Obaj jechaliśmy na tym samym wózku.

II

Jeśli twoje dzieciństwo i młodość upłynęły w Pitrze, dorastałeś w strachu przed Kriestami, tym posępnym nadnewskim gmaszyskiem z czerwonej cegły, odczłowieczoną, przygniatającą przechowalnią zbłąkanych dusz. W czasach pokoju tłoczyło się tam sześć tysięcy skazańców, wątpię, czy w styczniu pozostał ich tysiąc. Setki odsiadujących wyroki za drobne przestępstwa wcielono do Armii Czerwonej, wepchnięto do miasorubki niemieckiego Blitzkriegu. Setki innych umarły z głodu w swoich celach. Codziennie strażnicy wywlekali z Kriestów obciążone skórą szkielety, rzucali je na sanie i układali w ośmiu warstwach.

Kiedy byłem mały, najbardziej przerażała mnie więzienna cisza. Człowiek przechodził obok, spodziewając się, że usłyszy wrzaski twardzieli albo zgiełk mordobicia, ale zza murów nie dochodził żaden dźwięk, jak gdyby zamknięci za nimi - przeważnie oczekujący procesu, wyjazdu do gułagu albo kuli w łeb - poodgryzali sobie języki w proteście przeciw swojemu losowi. To miejsce było antyfortecą zaprojektowaną po to, by wrogów zatrzymać w środku, i każdy leningradzki chłopak setki razy słyszał zdanie: „Postępuj tak dalej, a wylądujesz w Kriestach”.

Widziałem swoją celę tylko przez sekundę, kiedy strażnicy wepchnęli mnie do środka, a światło ich lamp zatańczyło po szorstkich murach: miała dwa metry na cztery i były w niej cztery prycze, wszystkie puste. Odetchnąłem z ulgą, nie miałem ochoty dzielić ciemności z nieznanym o wytatuowanych kostkach dłoni, ale po jakimś czasie - minutach? godzinach? - czarna cisza stała się bytem materialnym, który przeniknąwszy do płuc, mógłby człowieka utopić.

Mrok i samotność z reguły nie są mi straszne. Światło elektryczne ostatnimi czasy widywało się w Pitrze niewiele częściej niż kiełbasę na stole, a od wyjazdu matki i Taszy mieszkalem w Kirowie sam. Długie noce były ciemne i ciche, zawsze jednak dobiegały skądś jakieś hałasy. Z niemieckich linii waliły moździerze; bulwarem gnała ciężarówka wojskowa; staruszka umierająca piętro wyżej pojękiwała w łóżku. W gruncie rzeczy okropne dźwięki, ale jednak dźwięki, coś, co informowało człowieka, że wciąż jest na tym świecie. Cella w Kriestach była pierwszym prawdziwie cichym miejscem, w jakim się znalazłem. Nie słyszałem nic a nic; nic nie widziałem. Zamknięto mnie w poczekalni śmierci.

Przed aresztowaniem miałem się za człowieka nieźle zahartowanego przez oblężenie, ale teraz wyszło na jaw, że w styczniu wcale nie jestem odważniejszy, niż byłem w czerwcu: wbrew powszechnej opinii doświadczanie zgrozy wcale nie przysparza człowiekowi odwagi, może tylko ktoś, kto boi się cały czas, z większą łatwością ukrywa swój strach.

Usiłowałem wygrzebać z pamięci jakąś piosenkę, którą mógłbym zaśpiewać, jakiś wiersz do wyrecytowania, ale słowa uparcie trwały w otchłaniach mej głowy jak zbrylona sól w słoiku. Leżałem na jednej z górnych pryczy, mając nadzieję, że jeśli w otchłaniach Kriestów trwa gdzieś jeden jedyny zgęstek ciepła, porzuci swoją kryjówkę i mnie odnajdzie. Ranek nie obiecywał nic prócz kulki w łeb, a jednak ze wszystkich sił pragnąłem, by nadszedł. Kiedy wrzucali mnie do celi, wydawało mi się, że pod sufitem dostrzegam plasterek zakratowanego okienka, ale teraz już o tym nie pamiętałem. Dla zabicia czasu

próbowałem policzyć do tysiąca, za każdym razem jednak traciłem rachubę w okolicach czterystu, słysząc wyimaginowane szczury, które okazywały się moimi własnymi palcami poszarpującymi dziurawy materac.

Ta noc nigdy nie miała się skończyć. Niemcy zestrzelili jebane słońce, mogli to zrobić, czemu nie, mieli najlepszych naukowców na świecie, a oni wykombinowali jakiś sposób. Nauczyli się zatrzymywać czas. Byłem ślepy i głuchy. O tym, że jeszcze żyję, przypominało mi tylko zimno i pragnienie. Czułem się tak samotny, że zacząłem marzyć o wizycie strażników - żeby tylko usłyszeć ich kroki, poczuć smród gorzały w ich oddechach.

Iluż wielkich Rosjan zaliczyło długotrwałe odsiadki. Tej nocy przekonałem się, że nigdy nie będę wielkim Rosjaninem. Starczyło kilka godzin samotnego pobytu w celi - bez jakichkolwiek tortur, jeśli nie liczyć ciemności, ciszy i przejmującego zimna - i byłem prawie ugotowany. Nieujarzmione duchy, które potrafiły przetrwać wiele syberyjskich zim pod rząd, miały coś, co mnie nie zostało dane: bezgraniczną wiarę w jakieś doniosłe przeznaczenie - obietnicę królestwa Bożego, sprawiedliwości czy choćby odległą nadzieję zemsty. A może tak je stłamszono, że przemieniły się w zwierzęta chodzące na zadnich łapach, gotowe pożreć każdy ochłap, jaki ciśnie im ich pan, pracować i spać na jego rozkaz, śniąc tylko o nieuchronnym końcu?

Wreszcie coś usłyszałem, kroki - stąpienia kilku par ciężkich buciorów. W zamku obrócił się klucz. Usiadłem na pryczy i walnąłem czerepem w sufit tak mocno, że przygryzłem sobie wargę.

Dwaj strażnicy - jeden z nich trzymał lampę naftową, która dawała najpiękniejsze światło, jakie widziałem w życiu, piękniejsze niż wszystkie wschody słońca razem wzięte - przyprowadzili nowego więźnia, młodego żołnierza. Rozejrzał się po celi wzrokiem człowieka oceniającego mieszkanie, które zamierza wynająć. Był wyprostowany jak struna i wysoki, znacznie wyższy niż strażnicy, i chociaż to oni mieli pistolety w kaburach, a nie on, odnosiłem wrażenie, że lada chwila wyda im jakiś rozkaz.

W jednej dłoni trzymał swą barankową czapkę, a w drugiej
- skórzane rękawiczki.

Spojrzał na mnie akurat w chwili, kiedy wychodzili strażnicy, zatrzasnąwszy za sobą drzwi i zabierając światło. Jego twarz natychmiast wryła mi się w pamięć, była bowiem ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem przed powrotem ciemności: wysokie kozackie kości policzkowe, lekki grymas rozbawienia na ustach, płowe włosy i oczy tak błękitne, że posiusiałyby się na ich widok każda aryjska dziewczyna.

Siedziałem na pryczy, on stał na kamiennej posadzce

- z idealnej ciszy wnioskowałem, że żaden z nas nie zmienił pozycji - i mimo ciemności wciąż patrzyliśmy na siebie.

- Jesteś Żydem? - zapytał. - Co?

- Żydem. Wyglądasz na Żyda.

- A ty na faszystę.

- Wiem. Nawet *ich spreche ein bisschen Deutsch*. Chciałem na ochotnika zostać szpiegiem, ale nikt nie wziął mnie serio. No więc, jesteś Żydem?

- A co cię to obchodzi?

- Nie ma się czego wstydzić. Ja tam nie mam problemu z Żydami. Emanuel Lasker jest na drugim miejscu wśród moich ulubionych szachistów. Ledwie szczebelek niżej niż Capablanca... Capablanca to Mozart, geniusz w czystej postaci; czy można kochać szachy, nie kochając Capablanki? Ale Lasker, cóż, w końcówkach nie ma od niego lepszych. Masz jakieś żarcie?

-Nie.

- Wyciągnij rękę.

Wyglądało mi to na pułapkę, numer, jaki dzieciaki wykręcają przygłupom. Przywali mi w dłoń albo pozwoli jej wisieć w powietrzu, dopóki nie pojmę, że dałem się wpuścić w maliny. Nie ignoruje się jednak propozycji nawet najmniej prawdopodobnego poczęstunku, wysunąłem więc rękę w ciemności i czekałem. Chwilę później na mej dłoni wylądował jakiś tłusty i zimny plaster. Nie wiem, jak blondyn odnalazł moją rękę, odnalazł jednak, i to bezbłędnie.

- Kielbasa - wyjaśnił, a po chwili oddał: - Bez obaw, nie ze świniny.
- Jem świninę. - Powąchałem kielbasę i odgryzłem kawałek. Z mięsem tyle miała wspólnego, ile kartkowy chleb z prawdziwym, ale zawierała tłuszcz, a tłuszcz był życiem. Przeżuwałem plasterki najdłużej jak mogłem, pragnąc, by ta chwila trwała i trwała.
- Strasznie głośno żujesz - dobiegła mnie z ciemności przygana. Usłyszałem skrzypnięcie sprężyn, gdy usiadł na jednej z dolnych pryczy. - No i wypadałoby podziękować.
- Dziękuję.
- Nie ma za co. Jak się nazywasz?
- Lew.
- Lew i co dalej?
- Co cię to obchodzi?
- Obchodzą mnie dobre maniery - odparł. - Gdybym na ten przykład ja się przedstawiał, rzekłbym: „Dobry wieczór, jestem Nikołaj Aleksandrowicz Własow, dla przyjaciół Kola”.
- Chcesz się po prostu dowiedzieć, czy mam żydowskie nazwisko.
- A masz?
- Tak.
- Ach. - Westchnął z satysfakcją, rad, że instynkt go nie zawiódł. - Dzięki. Nie wiem, dlaczego tak się boisz do tego przyznać. Nie odpowiedziałem, jeśli on tego nie wiedział, jakiegokolwiek wyjaśnienia były pozbawione sensu.
- Jak tu trafiłeś? - spytał.
- Zwinęli mnie, jak na Woinowej obrabiałem niemieckiego trupa. Zaniepokoił się.
- Niemcy są już na Woinowej? Więc się zaczęło?
- Nic się nie zaczęło. Był pilotem bombowca. Wyskoczył.
- Dostały go chłopaki z przeciwlotniczej?
- Mróz go dostał. A ciebie dlaczego zamknęli?

- To jakiś kompletny idiotyzm. Uważają mnie za dezertera.
- Więc czemu nie zostałeś rozstrzelany?
- A dlaczego ty nie zostałeś rozstrzelany?
- Nie mam pojęcia - przyznałem. - Bąknęli coś, że nadam się dla pułkownika.

- Żaden ze mnie dezerterski. Jestem studentem. Pracuję nad swoją pracą magisterską.

- Czyżby? Twoją pracą magisterską? - Wyglądało mi to na najbardziej idiotyczną wymówkę w dziejach dezercji.

- Interpretacja *Psa podwórkowego* Uszakowa w świetle współczesnej analizy socjologicznej. - Czekał na moją reakcję, nie miałem jednak nic do powiedzenia. - Znasz tę książkę?

- Uszakowa? Nie.

- Jakiego dna sięgnęła dzisiejsza edukacja szkolna! Powinni was zmuszać do wkuwania na pamięć całych fragmentów. *Gadał jak zdziwaczały stary belfer, ale wystarczyło mi jedno spojrzenie, by odgadnąć, że jest dwudziestolatkiem.* No i ten początek: *W ubojni, gdzie pocałowaliśmy się pierwszy raz, powietrze wciąż cuchnęło owczą krwią.* Niektórzy wyrażają opinię, że to najwybitniejsza rosyjska powieść w dziejach, a ty nigdy o niej nie słyszałeś.

Westchnął teatralnie. Chwilę później usłyszałem coś na kształt cichutkiego skrobienia, jakby szczur ostrzył pazurki o powłokę materaca.

- Co to? - zapytałem. - Hę?

- Nie słyszysz tego dźwięku?

- Piszę w swoim dzienniku.

Z otwartymi oczyma widziałem dokładnie tyle samo, ile z zamkniętymi, a ten pisze sobie w dzienniku. Teraz stało się dla mnie jasne, że źródłem skrobienia był ołówek biegnący po papierze. Kilka minut później usłyszałem, jak zamyka dziennik i wsuwa go do kieszeni.

- Potrafię pisać w ciemnościach - oświadczył, akcentując zdanie lekkim beknięciem. - Jeden z moich wielu talentów.

- Notatki o *Psie podwórkowym*?

- Właśnie. Czyż to nie osobliwe? Rozdział szósty: Radczenko spędza miesiąc w Kriestach, ponieważ jego niegdysiejszy najlepszy przyjaciel... No, ale nie chcę wszystkiego zdradzać. Muszę jednak powiedzieć, że gdy mnie tu przywieźli, dostrzegłem w tym palec opatrności. Byłem we wszystkich innych miejscach, które odwiedził Radczenko - w każdej restauracji, barze, teatrze, na każdym cmentarzu - a przynajmniej tych, które się uchowały, ale nigdy tutaj, w środku. Wymagający krytyk mógłby podnieść kwestię, że nie zrozumie się Radczenki, nie spędziwszy samemu przynajmniej jednej nocy w Kriestach.

- Miałeś fart.

- Mhm.

- Myślisz, że rozstrzelają nas z rana?

- Wątpię. Nie przechowują nas przez noc tylko po to, żeby rozwalić rano - odrzekł beztroskim tonem kogoś, kto omawia wydarzenie sportowe, nie zaś sytuację, z której istnieją tylko fatalne wyjścia. Po chwili spowaźniał. - Nie wysrałem się od ośmiu dni - wyznał. - Nie mówię: „dobrze wysrałem”, bo minęły miesiące, odkąd sprodukowałem ostatnią uczciwą kupę, ale wysrałem w ogóle.

Milczeliśmy jakiś czas, ważąc jego słowa.

- Jak sądzisz, ile można wytrzymać bez srania?

Sam chętnie poznałbym odpowiedź na to interesujące pytanie, w tej chwili jednak nie miałem jej dla swego współtowarzysza. Usłyszałem, że kładzie się i ziewa rozkosznie, tak rozluźniony i rad z siebie, jakby osuwał się w puchowe piernaty, a nie na obszczy materac. Gdy cisza trwała może minutę, uznałem, że zasnął.

- Te ściany muszą mieć metr grubości - powiedział w końcu. - Prawdopodobnie w całym Pitrze nie ma bezpieczniejszego miejsca na nocleg.

I po tym naprawdę zasnął, zastępując słowa chrapaniem tak błyskawicznie, że z początku posądziłem go o udawanie.

Zawsze zazdrościłem ludziom zasypiającym z łatwością. Ich umysł musi być czystszy. Pokoik czaszki wysprzątny,

wszystkie potworki pozamykane w kufrze stojącym w nogach łóżka. Ja urodziłem się jako „insomniak” i takim umrę, trwoniąc po drodze tysiące godzin na pragnienie, by osunąć się w nieświadomość, by jakiś gumowy młotek stuknął mnie w głowę i nie czyniąc krzywdy, pozwolił pospać do rana. Tej nocy jednak byłem bez szans. Gapiłem się w ciemność, aż ta zaczęła szarzeć, sufit nad moją głową zaczął materializować się z niebytu, a przez maleńkie zakratowane okienko, które istniało, koniec końców jęło się przesączać światło ze wschodu. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że wciąż mam niemiecki nóż przytroczony do łydki.

III

Godzinę po świtaniu dwaj nowi strażnicy otworzyli drzwi celi, spędzili nas z łóżek i zatrzasnęli nam kajdanki na przegubach dłoni. Moje pytania zignorowali, ale sprawiali wrażenie rozbawionych, kiedy Kola poprosił ich o filiżankę herbaty i omlet. Dowcipy widać stanowiły w Kriestach rzadkość, bo chociaż żarcik Koli nie był dobry, strażnicy szczyrzyli zęby, poganiając nas korytarzem. Skądś dobiegł jęk, przeciągły, właściwie niekończący się, jak syrena bardzo odległego statku.

Nie wiedziałem, czy prowadzą nas na szafot, czy do sali przesłuchań. Noc minęła bezsennie; prócz łyżka z niemieckiej piersiówki nie miałem w ustach żadnego płynu, odkąd zeszliśmy z dachu Kirowa; w miejscu gdzie moja czaszka zderzyła się z sufitem, wyskoczył guz rozmiaru piąstki - to był fatalny poranek, jeden z najgorszych, jakie mi się przytrafiły, ale pragnąłem żyć. Pragnąłem żyć i zdawałem sobie sprawę, że egzekucji nie stawię czoła z godnością. Upadnę na kolana przed katem czy plutonem egzekucyjnym, będę powoływać się na swoją młodość, nieprzeliczone godziny wacht strażackich na dachu mojego bloku, te wszystkie barykady, które pomagałem wznosić i rowy

przeciwczołgowe, które wykopałem. Cóż właściwie stało się złego? Wypiliśmy koniak martwego Niemca - i za to chcecie mnie wykończyć? Chcecie okręcić wokół mej chudej szyi szorstką linę konopną i na zawsze uspić mój mózg tylko dlatego, że podwędziłem nóż? Nie róbcie tego, towarzysze. Zapewne nie ma we mnie wielkości, ale też nie jestem z tych najgorszych.

Strażnicy poprowadzili nas w dół kamiennymi schodami, których stopnie zostały wyszlifowane na gładko przez tysiące podeszew; za kratą zamykającą schody u podnóża siedział starzec z szyją podwójnie owiniętą grubym szarym szalikiem. Uśmiechnął się, obnażając bezzębne dziąsła, i otworzył bramę. Chwilę później przez ciężkie drewniane drzwi wyszliśmy z Kriestów w słońce - cali i zdrowi.

Kola, nieporuszony tym błogosławionym wyrokiem losu, zgarnął skutymi dłońmi nieco śniegu, i zaczął lizać. Zuchwałość tego manewru, jak również myśl o zimnej wodzie zwilżającej mój język, wzbudziła we mnie uczucie zazdrości, ale nie chciałem robić niczego, co mogłoby wkurzyć strażników. Uważałem, że wychodzimy z Kriestów żywi za sprawą jakiegoś osobliwego nieporozumienia, spodziewałem się zatem, że jeśli zrobię coś niewłaściwego, natychmiast zostaniemy na powrót wepchnięci do środka.

Strażnicy podprowadzili nas do czekającego gazika; jego wielki silnik pomrukiwał, rury wydechowe rzygały smolistymi spalinami, dwaj żołnierze siedzący na przedniej kanapie przyglądali się nam bez zainteresowania spod nasuniętych na oczy czapek.

Kola, nie czekając na rozkaz, wskoczył na tylne siedzenie.

- Panowie, do opery.

Strażnicy, potwierdzając tym samym, że lata służby w Kriestach obniżyły ich standardy humoru, znów parsknęli śmiechem, żołnierze natomiast - nie. Jeden z nich odwrócił głowę i oszacował Kole spojrzeniem.

- Jeszcze jedno słowo, a złamię ci pierdoloną łapę. Gdyby to ode mnie zależało, już byś miał kulę we łbie. Jebany dezterter. Ty... - zwrócił się do mnie - włącz.

Kola otwierał już usta i czułem, że lada chwila rozpęta się przemoc; żołnierz nie wyglądał mi na faceta rzucającego czcze pogroźki, Kola zaś najwyraźniej nie umiał tych pogroźek przyjmować do wiadomości.

- Nie jestem dezertorem - powiedział. Mimo skutych dłoni zdołał podciągnąć lewy rękaw swojego szynela, lewy rękaw wojskowego swetra, a wreszcie lewe rękawy dwóch koszul, a następnie podsunąć żołnierzowi pod nos lewe przedramię. - Chcesz mi złamać rękę, no to łam, ale nie jestem żadnym dezertorem.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał - Kola wbijał wzrok w żołnierza, żołnierz w Kola, my zaś, wszyscy pozostali, przypatrywaliśmy się tym zmaganiom charakterów, ciekawi, kto wyjdzie z nich zwycięsko. W końcu żołnierz skapitulował: odwrócił głowę od Koli i warknął pod moim adresem:

- Do wozu, mały piździelcu.

Strażnicy uśmiechnęli się szeroko, radzi, że z rana przytrafiła się im szczypta rozrywki. Nie mieli pewnie zaplanowanych na dziś żadnych tortur, żadnego wyrywania zębów czy paznokci z palców wrzeszczącego delikwenta, tak więc musieli zadowolić się widokiem małego piździelca spieszącego się obok Koli.

Nie bacząc na wyślizgane lodowe tafle, żołnierz prowadził bardzo szybko. Gnaliśmy brzegiem zamrożonej Newy. Podniosłem kołnierz, aby osłonić twarz przed wiatrem, który wściekle wdzierał się pod brezentową plandekę, Koli jednak chłód zdawał się nie ruszać. W milczeniu spozierał w stronę świątyni Jana Chrzciciela na drugim brzegu rzeki.

Skręciliśmy na most Kamiennoostrowski: jego arkady były oszronione, a latarnie brodate od sopli. Już na wyspie Kamiennej zwolniliśmy troszkę, omijając lej po bombie zięjący na samym środku ulicy, zaraz potem wpadliśmy na długi podjazd oilankowany kikutami lip i zaparkowaliśmy przed wspaniałą drewnianą rezydencją z portykiem o białych kolumnach. Kola przyjrzał się budynkowi.

- To siedziba Dołgorukich - powiedział, gdyśmy wysiadali z samochodu. - Przypuszczam, że żaden z was nie słyszał o Dołgorukich.

- Banda arystokratów, którym poukręcało się łby - odparł jeden z żołnierzy, ruchem lufy nakazując nam iść w stronę drzwi wejściowych.

- Niektórym - zgodził się Kola. - Ale przedtem przynajmniej jeden przespał się z carycą.

W świetle dziennym Kola wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z propagandowego plakatu, jakich tysiące pstrzyły mury miasta; rysy jego twarzy były zaiste mołojecckie - mocno zarysowany podbródek, prosty nos, blond włosy niesfornie opadające na czoło. No, cholernie przystojny dezenter.

Eskortowani przez żołnierzy weszliśmy na ganek, gdzie wypiętrzone na półtora metra worki z piaskiem tworzyły gniazdo cekaemu. Siedzieli tam dwaj żołnierze, pałac na spółkę jednego papierosa. Kola pociągnął nosem i tęsknie popatrzył na skręta.

- Prawdziwa machorka - zdążył stwierdzić, zanim żołnierze otworzyli drzwi wejściowe i wepchnęli nas do środka.

Nigdy przedtem nie byłem w takim budynku, o pałacach czytywałem tylko w powieściach: balach na dekoracyjnych parkietach, lokajach nalewających zupę ze srebrnych waz. O jakimś surowym seniorze rodu, który w swym pełnym ksiąg gabinecie przykazuje pochlipującej córce, aby trzymała się z daleka od młodzieńca niskiego pochodzenia. O ile jednak stara rezydencja Dołgorukich z zewnątrz wciąż prezentowała się imponująco, o tyle jej wnętrzami zawładnęła rewolucja. Marmurową posadzkę przecinały tysiące błotnistych śladów, których zmywaniem nikt nie fatygował się od miesięcy. Zasmolone tapety odłaziły całymi płatami od drewnianego podłoża. Nie uchowały się żadne oryginalne meble, żadne obrazy olejne ani też chińskie wazy, które zapewne stały w ordynku wzdłuż ścian na tekowych półkach.

Dziesiątki umundurowanych mężczyzn krążyły pomiędzy pokojami bądź też wbiegały albo zbiegały po spiralnych schodach, flankujących hol z obu stron, pozbawionych zarówno balustrad, jak i tralek, które zapewne wiele tygodni temu wyrwano na opał. Mundury mężczyzn nie były krasnoarmiejskie. Kola pochwycił moje spojrzenie.

- NKWD - powiedział. - Może wzięli nas za szpiegów.

Kola nie musiał mi mówić, że są z NKWD. Od małości znałem ich mundury, niebiesko-brązowe spiczaste czapki, tokariewy w kaburach. Nauczyłem się patrzeć ze zgrozą na ich packardy, Czarne Kruki, pomrukujące przed bramą Kirowa w oczekiwaniu na jakiegoś nieszczęśnika. Kiedy mieszkałem w Kirowie, NKWD zabrało stamtąd co najmniej piętnaście osób. Czasem aresztowani wracali po kilku tygodniach; ogoleni na pałę, o twarzach bladych i martwych, uciekali przed moim spojrzeniem, kiedy ciężko kuszytkali do swych mieszkań. Ci przetrząceni ludzie musieli wiedzieć, do jak nielicznego grona szczęściarzy należą, a przecież nie było po nich widać radości z ocalenia. Wiedzieli, jaki los spotkał mojego ojca, i dlatego nie chcieli patrzeć mi w oczy.

Żołnierze popędzali nas przed sobą, aż znaleźliśmy się na przeszklonej werandzie w głębi budynku, skąd przez wielkie okna roztaczał się doskonały widok na Newę i posępne, masywne bloki mieszkalne Wyborga na jej przeciwległym brzegu. Na środku pokoju, przy prostym drewnianym biurku, siedział samotnie starszy mężczyzna. Policzkiem przyciskał do barku słuchawkę telefoniczną, co pozwalało mu notować coś piórem na kartce papieru i prowadzić jednocześnie rozmowę.

Zerknął na nas mimochodem, gdyśmy zatrzymali się tuż za drzwiami. Ze swym grubym karkiem i zakrzywionym, rozplaszczonym nosem wyglądał na boksera. Jego głęboko osadzone oczy okalały cienie, czoło przecinały zmarszczki, a czaszkę pokrywały siwe *włosy ostrzyżone* na zapalną. Mógł mieć z pięćdziesiąt lat, ale trudno się było oprzeć wrażeniu, że gdyby wstał zza biurka, rozniósłby nas wszystkich w proch i pył, nawet nie zagniatając swojego munduru. Nie wiedziałem dokładnie, co oznaczają trzy metalowe gwiazdki lśniące na kołnierзовych patkach jego bluzy, miał ich jednak o trzy więcej niż ktokolwiek inny w całym budynku.

Kiedy odsunął od siebie papiery, ujrzałem, że nie notował, jak sądziłem, lecz po prostu kreślił ikсы, pokrywając całą kartkę monotonnym deseniem. Z jakiegoś powodu przejęło mnie to

większym lękiem niż jego mundur czy twarz zakapiora. Facet rysujący psy albo cycki był kimś, kogo chyba potrafiłbym zrozumieć. Ale gość kreślący same ikсы?

Patrzył na nas, to znaczy na Kolę i mnie, a ja wiedziałem, że nas osądza, potępia za zbrodnie i skazuje na śmierć, słuchając jednocześnie głosu wędrującego po linii telefonicznej.

- Dobra - powiedział wreszcie. - Ma być zrobione do południa. Żadnych wyjątków.

Odłożył słuchawkę na widełki i uśmiechnął się do nas, a uśmiech ów był czymś równie nieprzystającym do jego twarzy, jak on sam i jego proste drewniane biurko nie przystawali do wspaniałej sali w starym szlacheckim gnieździe. Pułkownik

- doszedłem bowiem do wniosku, że to właśnie pułkownik, o którym zeszłej nocy wspominali żołnierze - miał piękny uśmiech i zaskakująco białe zęby; wystarczyło mgnienie oka, by groźba na jego brutalnej twarzy oddała pole życzliwości.

- Dezerter i szabrownik! Podejdźcie, podejdźcie bliżej, ach, po co te kajdanki. Nie sądzę, żeby ci chłopcy sprawili nam jakieś kłopoty. - Skinął na żołnierzy, a ci z ociąganiem wyjęli kluczyki i nas rozkuli.

- Nie jestem dezerterem - powiedział Kola.

- Nie? Odmaszerować - rozkazał żołnierzom, nie zaszczycając ich spojrzeniem. Usłuchali natychmiast, pozostawiając nas samych. Pułkownik podniósł się zza biurka i ruszył w naszą stronę. Kabura z pistoletem poklepywała go przy tym w biodro. Kola wyprężył się jak struna, przyjmując w obliczu inspekcji oficerskiej postawę zasadniczą, a ja, ponieważ nie przyszło mi do głowy nic lepszego, poszedłem za jego przykładem. Pułkownik zbliżył się do nas tak bardzo, że jego pokancerowana twarz niemal dotykała oblicza Koli.

- Nie jesteś dezerterem, a jednak twoje dowództwo zameldowało, że zniknąłeś, a ty sam zostałeś zatrzymany czterdzieści kilometrów od miejsca, gdzie powinieneś się być znajdować.

- Cóż, jest bardzo proste wytłumaczenie...

- Teraz ty - ciągnął pułkownik, zwracając się do mnie.

- Szkopski spadochroniarz spada na twój kwartał, a ty nie po-

wiadamiasz władz. Postanawiasz wzbogacić się kosztem miasta. Czy na to również masz proste wytłumaczenie?

Potrzebowałem wody. Czuję taką suchość w ustach, jakby okryły się one łuskami niczym jaszczurka, a poza tym na obrzeżach mojego pola widzenia zaczęły przepływać świetliste iskierki.

- A zatem?

- Jest mi przykro - wydusiłem.

- Jest ci przykro? - patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a potem parsknął śmiechem. - Ach, jest ci przykro, no więc wszystko w porządku, doskonale. To się liczy, że jest ci przykro. Posłuchaj, chłopcze, czy wiesz, ilu ludzi straciłem? Nie: kazałem stracić, lecz straciłem osobiście z tego tokariewa? - Płasnął się po kaburze. - Chcesz zgadywać? Nie? To dobrze, bo sam nie wiem. Zgubiłem rachunek. A należę do ludzi, którzy lubią wiedzieć. Zwykle nie tracę spraw z pola widzenia. Wiem dokładnie, ile kobiet przerznąłem, a było ich sporo, daję słowo. Jesteś przystojnym chłopakiem - powiedział do Koli - ale uwierz, nie dościgniesz mnie pod tym względem, choćbyś w co /resztą wątpię, dożył setki.

Spojrzałem na Kolę, spodziewając się, że znowu palnie jakąś głupotę, tym samym podpisując na nas wyrok śmierci, ale tym razem wyjątkowo nie miał nic do powiedzenia.

- „Jest mi przykro” to mówisz nauczycielowi, kiedy złamiesz kawałek kredy - ciągnął pułkownik. - „Jest mi przykro” nie działa w przypadku szabrowników i dezertów.

- Myśleliśmy, że może ma przy sobie coś do jedzenia.

- Miał?

- Tylko trochę koniaku. Albo brandy... czy może sznapsa.

- Rozstrzelujemy codziennie tuzin delikwentów za fałszowanie kartek żywnościowych. Wiesz, co nam mówią, zanim wpakujemy im kulkę w łeb? Że byli godni. Oczywiście, że byli głodni! Wszyscy są głodni. Ale to nie powstrzymuje nas od rozwalania złodziei.

- Nie okradałem Rosjan...

- Kradłeś własność państwa. Zabrałeś coś truposzowi?

Wahałem się tak długo, jak długo pozwalała mi na to śmiałość.

- Nóż.

- Ach. Uczciwy złodziejaszek.

Klęknąłem, odczepiłem pochwę od łydki i podałem ją pułkownikowi. Z niedowierzaniem wlepił w nią wzrok.

- Miałeś to przy sobie przez całą noc? Nikt cię nie zrewidował? - Przeciągle westchnął, mieląc w ustach przekleństwo.

- Nic dziwnego, że przegrywamy wojnę. - Dobył noża i przestudiował napis na klindze. - KREW I HONOR. Ha! Niech Bóg zerznie w dupę tych skurwysynów. Wiesz, jak się tym posługiwać?

-Czym?

- Nożem. Cięcie - wyjaśnił, płatając powietrze stalowym ostrzem - jest skuteczniejsze niż dźganie. Trudniejsze do zablokowania. Mierz w gardło, a jeśli nic ci z tego nie wyjdzie, w oczy albo brzuch. Udo też jest dobre, są tam grube żyły. - Wykładowi cały czas towarzyszył entuzjastyczny pokaz. -**1** nigdy się nie zatrzymuj - dodał, błyskając mi stałą prawie przed oczami

- nie odpuszczaj; utrzymuj nóż w nieustannym ruchu, spychaj przeciwnika do defensywy.

Na koniec wsunął nóż do pochwy i rzucił w moją stronę.

- Zatrzymaj go. Będzie ci potrzebny.

Zagapiłem się na Kolę, który wzruszył tylko ramionami. Zbyt osobliwe było to wszystko, żeby cokolwiek zrozumieć, nie miało więc sensu gimnastykowanie umysłu w próbie ustalenia, na czym właściwie stoimy. Opadłem na jedno kolano i ponownie przymocowałem nóż nad kostką.

Pułkownik podszedł do okien i zapatrzył się na wczorajszy śnieg przepędzany przez wiatr po lodowej skorupie Newy.

- Twój ojciec był poetą.

- Tak - odparłem, stojąc na baczność i wbijając wzrok w potylicę pułkownika. Od czterech lat nikt z mojej rodziny nie wspominał o ojcu. A przynajmniej aż tak dosłownie. Ani jednej wzmianki

- Dobrze pisał. To, co się stało, było... niefortunne.

Cóż mogłem na to rzec? Spuściłem oczy, ale wiedziałem, że Kola zerkna na mnie z ukosa, usiłując wykombinować, który to nieszczęsny poeta mnie spłodził.

- Żaden z was dzisiaj nie jadł - stwierdził pułkownik z pewnością człowieka, który wie bez zadawania pytań. - Czarna herbata i kanapki, co na to powiecie? Może nawet trochę zupy rybnej gdzieś się znajdzie. Boria!

Do pokoju wpadł adiutant z ołówkiem zatkniętym za ucho.

- Przynieś tym chłopcom coś na ząb.

Boria przytaknął i zniknął równie szybko, jak się pojawił. Zupa rybna. Ostatni raz jadłem uchę latem, stała się więc w mej wyobraźni bytem równie egzotycznym jak naga Tahitanka.

- Podejdźcie tutaj - powiedział pułkownik. Otworzył jedne z przeszklonych drzwi i wyszedł na mroźny świat. Żwirową ścieżką podążyliśmy z Kolą za nim przez oszroniony ogród na sam brzeg rzeki.

Po Newie jeździła na łyżwach dziewczyna w futerku. Każdej normalnej zimy, zwłaszcza pod koniec tygodnia, widziało się setki łyżwiarek, ale to nie była normalna zima. Wprawdzie lód już dawno osiągnął bezpieczną grubość, któż jednak w dzisiejszych czasach miał siłę na kreślenie na nim ósemek? Stojąc z Kolą na zmrożonym błocie brzegu, patrzyliśmy na dziewczynę w taki sposób, w jaki człowiek gapi się na małpę mknącą po ulicy na monocyklu. Była jakoś nienaturalnie śliczna: miała rozczesane pośrodku i upięte w luźny kok ciemne włosy, z jej smaganych wiatrem zarumienionych policzków tryskało zdrowiem. Potrzebowałem kilku sekund, żeby nazwać to, co w jej wyglądzie wydawało mi się niezwykle - nawet ze sporej odległości człowiek dostrzegał, że była dobrze odżywiona. Poruszała się z nonszalanckim wdziękiem sportsmenki, jej piruety były ciasne i szybkie, a oddech zawsze równy. Zapewne miała fantastyczne uda, długie, blade i mocne - pomyślałem, czując, że wacek mi sztywnieje pierwszy raz od ładnych kilku dni.

- Wychodzi za mąż w przyszły piątek - wyjaśnił pułkownik. - Za kompletnego, rzekłbym, młota, ale poza tym w po-

rządu. Jest towarzyszem piastującym wysoką funkcję, da radę ją utrzymać.

- To wasza córka? - zapytał Kola.

Białe zęby pułkownika rozpołowiły szerokim uśmiechem jego fizjonomię zabijaki.

- Nie uważasz, że jest do mnie podobna? Nie, nie, w tej mierze dopisało jej szczęście. Urodę ma po matce, ale charakterek po ojcu i z takim posagiem podbije świat.

Dopiero wtedy się zorientowałem, że zęby pułkownika są sztuczne, przynajmniej cała górna szczęka. I nagle, ale z całkowitą pewnością, pojąłem, iż tego człowieka torturowano. Zamknięto podczas tej czy innej czystki, nazywając trockistą, sympatykiem białych albo faszystów, wyrwano mu zęby i bito tak, że krew poszła mu z oczu, że szczał krwią i srał krwią, bito dopóty, dopóki z Bóg wie jakiej moskiewskiej centrali nie przyszedł rozkaz: zrehabilitowaliśmy tego towarzysza, wypuście go, znów jest jednym z nas.

Potrafiłem to sobie wyobrazić, bo wyobrażałem sobie często, ilekroć rozmyślałem o ostatnich dniach ojca. Miał nieszczęście być Żydem i umiarkowanie znanym poetą, w swoim czasie zaprzyjaźnionym z Majakowskim i Mandelsztamem, lecz zarazem zaciekle skłóconym z Obranowiczem i jemu podobnymi; to oni właśnie, których uważał za usta aparatu rzygające potokiem pseudorewolucyjnej poezji, przyczepili mu etykietkę agitatora i pasożyta, ponieważ pisywał o leningradzkim półświatku, choć oficjalnie nie istniał żaden leningradzki półświatek. Co więcej, miał czelność zatytułować swój tomik *Piter*, a ta nazwa miasta, używana zresztą przez wszystkich jego rdzennych mieszkańców, została wyrugowana ze wszystkich radzieckich tekstów. Przypominała bowiem Sankt Petersburg i arogancję dawnego satrapy, który wzniesiony przez siebie gród nazwał na cześć swojego patrona.

Pewnego letniego popołudnia w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym zabrano mojego ojca z redakcji magazynu literackiego, w którym pracował. I nigdy nie wypuszczono. Nie było telefonu z moskiewskiej centrali, rehabilitacja nie

wchodziła w grę. Oficer mógł mieć w przyszłości potencjalną wartość dla państwa, dekadentcki poeta nie miał żadnej. Może umarł w Kriestach, może na Syberii lub też gdzieś pomiędzy - tegośmy się nigdy nie dowiedzieli. Jeśli został pogrzebany, to w bezimiennym grobie, jeśli go skremowano - nie dostaliśmy urny.

Przez długi czas złościłem się na ojca, że wypisywał takie niebezpieczne słowa; uznawałem za głupotę, iż przedłożył książkę nad przetrwanie, możliwość wymierzania mi blach w potylicę, kiedy zaczynałem dłubać w nosie. Później jednak doszedłem do wniosku, że wcale nie miał zamiaru z premedytacją obrażać Partii, w taki sposób jak Mandelsztam, który w akcie obłąkańczej zuchwałości pisał, że grube paluchy Stalina przypominają ślimaki nagie, a jego wąsy - parę karaluchów. Dopóki nie ukazały się oficjalne recenzje, mój ojciec nie zdawał sobie sprawy, że *Piter* jest niebezpieczny. Sądził, iż pisze książkę dla góra pięciuset czytelników i może nawet miał rację, ale wystarczył donos choćby jednego z owych pięciuset, by jego los został przypieczętowany.

Pułkownik jednak przetrwał i teraz, patrząc na niego, zastanawiałem się, czy dostrzega coś niezwykłego w fakcie, że zdołał wrócić na brzeg, choć tkwił w paszczęce rekina, i że on, który czekał na litość innych, w tym momencie sam jest jej szafarzem. Nie sprawiał wrażenia dręczonego jakimikolwiek dylematami; obserwował łyżwiarskie wyczyny córki i klaskał w dłonie o zdeformowanych kłykciach, kiedy kręciła piruety.

- Tak więc wesele jest w piątek. W samym środku tego wszystkiego...
- podjął pułkownik, zamaszystym gestem sugerując, że ma na myśli Leningrad, panujący w nim głód i w ogóle wojnę - ...życzy sobie prawdziwego wesela, godnego wesela. I bardzo dobrze, bo życie musi toczyć się dalej, a choć walczymy z barbarzyńcami, mamy święty obowiązek pozostać ludźmi, Rosjanami. Będziemy zatem mieć muzykę, tańce i... tort

Popatrzył kolejno na każdego z nas, jakby słowo tort było brzemienne wiekopomną treścią, którą w jego przekonaniu koniecznie powinniśmy pojąć.

- Tego wymaga tradycja, powiada moja żona, potrzebujemy tortu. Wesele bez tortu to bardzo zły omen. Cóż, całe życie zwalczałem te muzyczne przesady, którymi popi ogłupiali i straszili lud, ale moja żona... życzy sobie tortu. Dobra, dobra, rób sobie ten tort. Od miesiący chomikowała cukier, miód, mąkę i całą resztę.

Torby cukru, pomyślałem, słoiki miodu, mąka, która z pewnością jest prawdziwą mąką, nie zaś spleśniałą bryją wydobytą ze storpedowanej barki. Na zapasach pułkownikowej zapewne połowa mieszkańców Kirowa przeżyłaby ze dwa tygodnie.

- Ma więc wszystko, czego potrzebuje, z wyjątkiem jajek. - Oblicze pułkownika przybrało groźny wyraz. - A jajka - powiedział - ciężko znaleźć.

Przez kilka sekund staliśmy w milczeniu, obserwując ewolucje córki pułkownika.

- Marynarka może je mieć - zasugerował Kola.

- Nie ma.

- Mają konserwy wołowe. Z jednym matrosem wymieniłem talię kart na puszkę wołowiny.

- Nie mają żadnych jajek.

Nie uważam się za durnia, ale potrzebowałem bardzo dużo czasu, żeby odgadnąć intencje pułkownika, a jeszcze dłużej trwało, zanim zebrałem się na odwagę i zadałem pytanie:

- Chcecie, byśmy znaleźli jajka?

- Tuzin - odparł. - Potrzebuje wprawdzie tylko dziesięciu, ale uznałem, że któreś może się stłuc, albo jedno czy drugie okaże się zbukiem i będzie kłopot. - Dostrzegł, że jesteśmy zbici z pantałyku, przywołał więc na twarz swój cudowny uśmiech i z taką mocą zacisnął dłonie na naszych barkach, że wyprostowałem się jeszcze bardziej. - Moi ludzie utrzymują, że w Leningradzie nie ma żadnych jajek, ja jednak żywię przekonanie, iż w Leningradzie jest wszystko, nawet w chwili obecnej, i trzeba tylko odpowiednich facetów, by to znaleźli. Na przykład dwójki złodziei.

- Nie jesteśmy złodziejami - obruszył się Kola, patrząc pułkownikowi prosto w oczy. Miałem ochotę mu przywalić. Po

sprawiedliwości powinniśmy już nie żyć i w postaci zeszywnia-łych od mrozu trupów wraz z resztą dzisiejszego urobku enkawudzistów spoczywać na saniach. A jednak dostaliśmy odroczenie. Zwrócono nam życie w zamian za wykonanie prostego zadania, osobliwego może, lecz jednak dość prostego. I teraz zamierzał to wszystko zniweczyć - prosił się o kulkę, co było fatalne samo w sobie, ale prosił również o kulkę dla mnie, co było znacznie gorsze.

- Nie jesteście złodziejami? Porzuciłeś swój oddział... nie, nie, zamknij pysk, nic nie mów. Porzuciłeś swój oddział i w tym momencie utraciłeś wszelkie prawa przysługujące żołnierzowi Armii Czerwonej: prawo do noszenia broni, tego szynela, tych butów. Jesteś więc złodziejem. A ty, Kinolu, obrabowałeś zwłoki. Niemieckie zwłoki, więc osobiście mnie to nie rusza, niemniej jednak szaber jest kradzieżą. Nie mydlmy sobie oczu. Obaj jesteście złodziejami. Kiepskimi złodziejami, fakt, niekompetentnymi, bez dwóch zdań, ale przynajmniej dopisało wam szczęście. Dobrzy złodzieje nie pozwoliliby się złapać.

Odwrócił się i ruszył w stronę domu. Kola i ja ociągaliśmy się przez moment, spoglądając na córkę pułkownika, której futro z lisów pobłyskiwało w słońcu. Zapewne ona również nas spostrzegła, ale nie potwierdziła tego żadnym gestem, nie spojrzała na nas ani razu. Z jej punktu widzenia byliśmy dwójką przydupasów ojca, a więc indywidualami niewartymi najmniejszego zainteresowania. Patrzyliśmy na nią tak długo, jak się dało, gromadząc w pamięci ikonografię dla przyszłych masturbacji, lecz w końcu, przywołani warknięciem pułkownika, pospieszyliśmy za nim.

- Macie przy sobie kartki żywnościowe? - zapytał pułkownik. Zrelaksowany krótkim intermedium nad Newą, maszerował wyciągniętym krokiem, gotów do podjęcia swych wyczerpujących obowiązków. - Oddajcie.

Swoją trzymałem w kieszeni, przypiętą agrafką do podszewki. Odpinając ją, zobaczyłem, że Kola swoją wyjmując ze złożonej skarpety. Pułkownik zabrał obydwie.

- Jeśli dostarczycie mi jajka przed czwartkowym wieczorem, dostaniecie je z powrotem. Jeśli nie dostarczycie, cóż, przez cały styczeń będziecie wchrzaniać śnieg, a i w lutym nie liczcie na nowe. Zakładając oczywiście, że wcześniej nie dopadnie was i nie rozwali jeden z moich ludzi, którzy są w te klocki naprawdę dobrzy.

- I tylko szukanie jajek wychodzi im kiepsko - zauważył Kola.

Pułkownik się uśmiechnął.

- Podobasz mi się, chłopcze. Długo wprawdzie nie pożyjesz, ale mi się podobasz.

Gdyśmy na powrót znaleźli się w pokoju, pułkownik usiadł za biurkiem i wbił wzrok w czarny telefon. Potem uniósł brwi, coś sobie przypominając, wysunął szufladę, wyjął z niej złożony arkusz i podał Koli.

- To nocna przepustka wystawiona na was obydwu. Jeśli ktoś zacznie sprawiać wam kłopoty, pokażcie ją i natychmiast zostaniecie puszczeni wolno. I jeszcze to...

Wyjął z portfela cztery sturublówki i podał Koli - ten zerknął na pieniądze i dokument, a następnie wsunął je do kieszeni.

- W czerwcu kupiłbym za to tysiąc jajek - stwierdził pułkownik.

- **1** w czerwcu tego roku znowu kupicie - zapewnił go Kola. - Szkopy nie utrzymają się tak długo.

- Mając takich żołnierzy jak ty, niebawem będziemy płacić za jajka deutsche markami - odrzekł pułkownik.

Kola już otwierał usta, żeby wygłosić tyradę w swojej obronie, ale pułkownik pokręcił głową w geście ostrzeżenia.

- Rozumiecie, że to jest dar? Wy dostarczycie mi jajka przed czwartkiem, a ja zwrócę wam życie. Pojmujecie wyjątkowość tego daru?

- Jaki dzień mamy dzisiaj?

- Sobotę. Zdezerterowałeś w piątek. Kiedy jutro wzejdzie słońce, będzie niedziela. Nie pogubisz się od tego punktu? Tak? To dobrze.

Wrócił Boria z czterema kromkami chleba na niebieskim talerzu. Kromki były wysmarowane jakimś tłuszczem, może smalcem, czymś połyskliwym i smakowitym. Drugi ordynans, podążający tuż za pierwszym, wniósł dwa kubki parującej herbaty. Czekałem na trzeciego, z miskami uchy, ale się nie pojawił.

- Jedźcie szybko, chłopcy - poradził pułkownik. - Macie przed sobą mnóstwo łażenia.

IV

- Kinol. To mi się podoba. Kim był twój ojciec, Kinolu?

- Nie słyszałeś o nim.

- Słyszałem, jeśli go publikowano.

- Daj sobie spokój.

- Humorzasty z ciebie typek, co?

Znów pokonywaliśmy most Kamiennoostrowski, tym razem pieszo. Na środku Kola przystanął, oparł dłonie o balustradę i obejrzał się na dwór Dołgorukich. Córka pułkownika już nie kręciła figur na lodzie, Kola jednak czekał przez jakiś czas, najwyraźniej licząc na bis.

- Uśmiechnęła się do mnie - oznajmił.

- Gadaj zdrów. Nawet na nas nie spojrzała.

- Może jesteś zazdrosny, przyjacielu, niemniej jednak zdecydowanie posłała mi uśmiech. Chyba widziałem ją już wcześniej, na uniwerku. Jestem szeroko znany.

- Jako dezterter?

Kola odwrócił się od balustrady i spiorunował mnie wzrokiem.

- Przywalę ci w ryja, jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie dezterterem.

- A ja wsadzę ci nóż w oko, jeśli tego spróbujesz.

Kola rozważył to w myślach i wrócił do podziwiania rzeki.

- Załatwiłbym cię, zanimbyś zdołał wyciągnąć nóż. Jak trzeba, jestem cholernie szybki.

Kusiło mnie, by wyciągnąć nóż, ot, aby dowieść mu, że się myli, ale złość mu już najwyraźniej minęła, a ja chciałem kontynuować marsz.

Pozostawiwszy most za sobą, skierowaliśmy się Piesoczną na południe, po prawej stronie mając rzekę, a po lewej - zardzewiałe tory linii fińskiej. Od września nie jeździły żadne pociągi, bo okrążając miasto, Niemcy odcięli jednocześnie wszystkie linie kolejowe - fińską, moskiewską, witebską, warszawską i bałtycką. Z resztą Rosji łączyły teraz Leningrad tylko szlaki powietrzne, niewielu jednak samolotom udawało się przechytrzyć patrole Luftwaffe.

- Moglibyśmy, rzecz jasna, dać nogę. Chociaż bez kartek... no. - Zamyślił się na moment. - Chłopcami z NKWD za bardzo się nie przejmuję. Mówi się w wojsku, że nie potrafiliby znaleźć cipki w burdelu. Ale życie bez kartek... ciężka sprawa.

- Musimy znaleźć te jajka - odparłem. Szliśmy w słońcu i wciągaliśmy w płuca powietrze, bo taka była wola pułkownika; jeśli zapłatę za ułaskawienie stanowił tuzin jajek, znajdziemy tuzin pierdolonych jajek. Tu nie było pola do negocjacji i manewrów.

- Znalezienie jajek to najlepsza opcja, zgoda. Ale mimo to mam prawo rozważać inne rozwiązania. Może w mieście nie ma żadnych jajek. I co wtedy? Wciąż masz w Pitrze rodzinę?

-Nie.

- Ja też nie. To jakiś plus, bo musimy się martwić tylko o własną skórę.

Na murach wypatroszonych przez pożary składów wisiały plakaty z pytaniem: **CZY WSTĄPIŁEŚ JUŻ DO OCHOTNICZYCH SŁUŻB LUDOWYCH?** W tej okolicy, pozbawionej jakichkolwiek bloków mieszkalnych, ulice były kompletnie wyludnione i tylko my maszerowaliśmy pod bezbarwnym niebem, niczym dwaj ostatni obrońcy miasta, gotowi do ostatka odpiierać faszę-

stów: jeden skradzionym nożem, drugi rzekomo szybkimi pięściami.

- Największe szanse stwarza Bazar - stwierdził Kola. - Byłem tam kilka miesięcy temu. Wciąż mieli masło i ser, może nawet trochę kawioru.

- No więc jakim cudem ludzie pułkownika nie zdołali znaleźć jajek?

- Na czarnym rynku? Gdzie połowa towaru pochodzi z kradzieży, gdzie ludzie handlują kartkami żywnościowymi i łamią wszelkie zakazy, jakie tylko można złamać? Facet w mundurze nic tam nie kupi, a tym bardziej enkawudzista, nawet w cywilu.

Jego argumenty brzmiały rozsądnie. Gdyśmy szli na południe w stronę Bazaru, Kola pogwizdywał jakąś fałszywie brzmiącą melodyjkę, zapewne własnej kompozycji. Świat zaczynał mi się jawić w jaśniejszych barwach. Chwilowo egzekucja nam nie groziła, od wielu tygodni nie miałem w brzuchu takiej ilości strawy, a mocna herbata dodatkowo pobudziła mnie do życia. Moje nogi sprawiały wrażenie dostatecznie krzepkich, by zanieść mnie wszędzie, gdzie będzie trzeba. Ktoś, gdzieś ma tuzin jajek i my te jajka w końcu znajdziemy. Te rozważania przeplatały się w mej głowie z bardzo wyrazistymi wizjami pułkowni-kówny, w których nago jeździ na łyżwach po Newie, a jej blada pupa połyskuje w słońcu.

Kola plasnął mnie w kark i oblesnie wyszczerzył zęby, jak gdyby bez trudu wejrzał w głąb mej przezroczystej czaszki.

- Niekiepska z niej była sztuka, co? Chętnie byś do niej za-startował, nie?

Milczałem, Kola jednak miał najwyraźniej mnóstwo praktyki w sztuce prowadzenia rozmów z samym sobą.

- Sekretem wiodącym do zdobycia kobiety jest wyrachowane lekceważenie.

- Co?

- Uszakow. To cytat z *Psa podwórkowego*. Zaraz, przecież ty nigdy nie czytałeś *Psa podwórkowego*. - Kola ciężkim westchnieniem skwitował mą bezgraniczną ignorancję. - Twój

ojciec był literatem, a wychował sobie analfabetę. Trochę to smutne.

- Może byś tak odchrzanił się od mojego ojca?

- Otóż bohater powieści, Radczenko, jest legendarnym don-żuanem i ludzie z całej Moskwy nachodzą go, by dał im lekcję sztuki uwodzenia. Radczenko w ogóle nie wstaje z łóżka, wyleguje się całymi dniami, pijąc herbatę, i...

- Jak Obłomow.

- W żadnym razie! Dlaczego wszyscy od razu mówią: „Jak Obłomow”?

- Bo to tak właśnie wygląda.

Kola przystanął i spojrział na mnie z góry. Był o głowę wyższy i dwa razy szerszy w barach niż ja, więc piętrzył się nade mną i groził mi wzrokiem.

- Każdy uniwersytecki dupek dobrze wie, że jako pisarz Gonczarow nie dorastał Uszakowowi do pięt. *Obłomow* to bzdet, umoralniająca lekcja dla burżuazji, czytadefko dla dzieci przestrzegające je przed lenistwem. A Radczenko... ba, Radczenko to jedna z prawdziwie wielkich postaci naszej literatury. On, Ra-skolnikow, Bezuchow i, no nie wiem, może jeszcze Cziczikow.

- Plujesz na mnie.

- No bo zasługujesz, żeby cię opluć. Niewzruszenie maszerowałem na południe i Kola, choć

wciąż poirytowany, rychło złapał moje tempo. Złączył nas wyrok losu, to nie podlegało dyskusji. Do czwartku byliśmy na siebie skazani. Za przyprószoną śniegiem lodową skorupą Newy złoty anioł wciąż siedział na złocistej iglicy katedry Piotra i Pawła, chociaż ludzie gadali, że dowództwo Wehrmachtu obiecało Żelazny Krzyż artylerzyście, który go zwali. Kola ruchem podbródka pokazał Piotrogradzki Brzeg.

- Stacjonowałem w fortecy, kiedy zbombardowali zoo.

- Słyszałem, że pawiany biegały po mieście, a tygrys syberyjski...

- Bajeczki - uciał. - Nie wydostały się żadne zwierzęta.

- Może jednak kilka się wydostało. Skąd możesz wiedzieć?

- Ani jedno. Jeśli potrzebujesz bajeczki na dobranoc - nie ma sprawy, ale to wymysł. - Splunął na ulicę. - Szkopy wszystko zrównały z ziemią. Słonica Betty... przepadałem za nią i jako dzieciak odwiedzałem przy każdej okazji. Uwielbiałem patrzeć, jak zasysa wodę do trąby i robi sobie prysznic... Była pełna wdzięku. Przy jej rozmiarze to trudne do wyobrażenia, ale naprawdę była.

- Umarła?

- A co ci właśnie powiedziałem? Wszystkie zginęły. W przypadku Betty trwało to wiele godzin. Jęczała tak, że... Pełniłem wtedy służbę wartowniczą i ze wszystkich sił pragnąłem tylko pobiec do niej i dobić strzałem w serce. Żeby to się już skończyło. Obyś nigdy w życiu nie słyszał, jak umiera słoń.

Do Bazaru droga była daleka, może sześć kilometrów: przez most Litiejny, obok Ogrodu Letniego, gdzie dęby i wiązy padły pod ciosami siekier, mimo kafelkowej fasady i ce-bulastych kopuł cerkwi Zbawiciela na Krwi, wzniesionej w miejscu, gdzie Hryniewiecki zamienił w czerwoną miazgę siebie i cara. Im dalej zapuszczaliśmy się na południe, tym ludniejsze stawały się ulice; przechodnie, okutani w co się dało, pochylali w obronie przed wiatrem głowy o ściągniętych, znużonych i za sprawą niedoboru żelaza trupio bladych twarzach. Wszystkie sklepy na Newskim Prospekcie były pozamykane od miesięcy. Najpierw spotkaliśmy dwie kobiety po pięćdziesiątce; szły prawie przyklejone do siebie, nie odrywając wzroku od trotuaru - wypatrywały oblodzonych, wyślizganych miejsc, które mogły się okazać śmiertelną pułapką. Mężczyzna z imponującym sumiastym wąsem niósł białe wiaderko pełne czarnych gwoździ. Najwyżej dwunastoletni chłopiec ciągnął na sznurku sanki z owiniętym w koc drobnym ciałem, którego bezkrwiste boscie stopy szorowały po ubitym śniegu. Ulica szczyrzyła smocze kły: żelbetowe bloki poukładane rzędami, aby spowolnić posuwanie się nieprzyjacielskich czołgów. Wielki napis na ścianie budynku ostrzegał: **UWAGA! TA STRONA ULICY JEST NAJNIEBEZPIECZNIEJSZA PODCZAS BOMBARDOWANIA.**

Przed wojną Newski był sercem miasta, arterią zaplanowana tak, by dorównała wielkim promenadom Londynu i Paryża, miejscem, gdzie na chodnikach stały budki z cukrową watą i czekoladą, gdzie u Jelisiejewów wiekowi subiekci w fartuchach odkrawali na ladach płaty wędzonego jesiotra, a donośniejszy niż cały okoliczny zgiełek zegar ratuszowy informował przechodniów, o ile są spóźnieni tam, gdzie śpieszą. Z rykiem klaksonów przemykały czarne packardy przewożące dygnitarzy partyjnych z jednej narady na drugą. Nawet jeśli człowiek nie miał pieniędzy na zakupy i żadnego istotnego powodu, by się tu znaleźć, Newski był zawsze wart przechadzki. W czerwcu słońce zachodziło dopiero około północy i mało kto chciał trwonić światło dzienne. Można się było pogapić na najładniejsze dziewczyny w Pitrze, kiedy przez szyby wystawowe eleganckich sklepów podziwiałały nowe fasony sukienek i dokładnie analizowały krój, aby podobne uszyć w domu, jeśli tylko zdołają wyprowadzić z fabryki wystarczająco dużo materiału. Nawet jeśli człowiek nigdy nie zagadał do tych dziewczyn, nawet jeśli zawsze przypatrywał się im z dystansu...

- Jesteś prawiczkim, co? - spytał Kola, wstrzeliwując się w me rozmyślenia z tak niesamowitą precyzją, że aż się wzdrygnąłem.

- Ja? - odpowiedziałem idiotycznym pytaniem. - O czym ty gadasz?

- Mówię o fakcie, że nigdy nie kochałeś się z dziewczyną. Czasem wiadomo z miejsca, że kłamstwo nie ma sensu, że gra dobiegła końca, zanim się zaczęła.

- A co cię to obchodzi?

- Posłuchaj, Lwie, a może tak spróbowalibyśmy się zaprzyjaźnić? Co o tym sądzisz? Będziemy ze sobą, dopóki nie znajdziemy tych jajek, nie zaszkodzi więc, jeśli zaczniemy się dogadywać, prawda? Wydajesz mi się ciekawym chłopakiem, trochę antypatycznym i na żydowską modłę humorzastym, ale mi się podobasz. A gdybyś przez cały czas nie był tak kurewsko zjeżony, pewnie tego czy owego mógłbyś się ode mnie nauczyć.

- O dziewczynach?
 - O dziewczynach, tak. O literaturze. O szachach.
 - Ile ty masz lat, dziewiętnaście? No to jakim cudem możesz być ekspertem od wszystkiego?
 - Mam dwadzieścia lat i nie jestem ekspertem od wszystkiego. Tylko od dziewczyn, literatury i szachów.
 - Czyli wszystkiego.
 - Mhm. I jeszcze tańca. Jestem doskonałym tancerzem.
 - O co moglibyśmy zagrać w szachy?
- Kola zerknął na mnie, uśmiechnął się i przeciągle wypuścił powietrze, które pod postacią obłoczka uniosło się nad jego głowę.
- Wezmę ten twój niemiecki nóż. - A co ja wezmę?
 - Nic nie weźmiesz, bo nie wygrasz.
 - Założmy jednak, że wygram.
 - Mam jeszcze ze sto gramów tej kielbasy...
 - Sto gramów kielbasy za nóż niemieckiego lotnika? Przypuszczam, że wątpię.
 - Mam też zdjęcia.
 - Jakie zdjęcia?
 - Zdjęcia dziewczyn. Francuzek. Nauczyłybyś się z nich rzeczy, które powinieneś znać.

Zdjęcia francuskich dziewczyn wydały mi się fantem, o który warto było zagrać. Możliwością utraty noża się nie przejmowałem. W Pitrze żyło mnóstwo ludzi, którzy mogli pokonać mnie w szachy, ale znałem ich wszystkich z nazwiska. Jeszcze w czasie studiów mój ojciec został mistrzem miasta; w czwartki i soboty zabierał mnie za sobą do Klubu Szachowego Spartak w Pałacu Pionierów. Kiedy miałem sześć lat, klubowy trener uznał mnie za talent. Przez kilka kolejnych lat należałem do czołówki młodych szachistów, zdobywając wyróżnienia i medale na turniejach organizowanych w całym obwodzie leningradzkim. Ojca wbijało to w dumę, choć jako prawdziwy przedstawiciel bohemy z nonszalancją traktował wszelkie zawody i nigdy nie pozwalał mi eksponować trofeów w naszym mieszkaniu.

Jako czternastolatek porzuciłem klub, uznałem bowiem, że chociaż jestem dobrym graczem, nie jest mi pisana wielkość. Moi przyjaciele ze Spartaka, których w młodszych latach biłem, jak chciałem, pozostawili mnie daleko za sobą, wkraczając na poziomy dla mnie niedostępne, bez względu na to, ile rozegrałbym partii, ile książek przeczytał czy też nad iloma końcówkami głowił się w łóżku przed snem. Przypominałem znakomicie wyszkolonego pianistę, który wprawdzie bezbłędnie trafia w klawisze, ale nie potrafi komponować własnej muzyki. Szachista prawdziwie błyskotliwy rozumie grę w sposób nie do końca dla samego siebie definiowalny: analizuje szachownicę i wie, jak wzmocnić swoją pozycję, jeszcze zanim jego umysł zracjonalizuje ruch pionków. Nie miałem tego instynktu. Gdy porzuciłem klub, ojciec doznał rozczarowania, ale się tym nie zamartwiałem. Od chwili gdy nie musiałem się już przejmować miejscem w rankingu leningradzkich szachistów, gra zaczęła mi sprawiać prawdziwą przyjemność.

Kola przystanął przed restauracją Kwisisana i zajrzał do środka przez wielką szybę poprzecinaną krzyżami z papierowej taśmy. Lokal był pusty, pozbawiony stolików i krzeseł; zostało tylko linoleum na podłodze i wisząca na ścianie tablica z wypisanym kredą sierpniowym menu.

- Raz przyprowadziłem tu dziewczynę. Najlepsze kotleciki jagnięce w mieście.

- A potem zabrałeś ją do siebie i poszłście do łóżka? - zapytałem z gryzącą ironią, która natychmiast ustąpiła miejsca obawie, że tak właśnie miały się sprawy.

- Nie - odrzekł Kola. Przejrzał się w szybie i wsunął pod swoją czarną uszankę jakiś niesforny kosmyk jasnych włosów. - Kochaliśmy się przed kolacją. Po kolacji wpadliśmy na kieliszeczek do Europy. Wściekła się na mnie, ale jej przyjaciółka bardziej przypadła mi do gustu.

- No więc dlaczego nie zaprosiłeś na kolację tej drugiej? Kola uśmiechnął się z wyższością, niczym pobłażliwy zwierzchnik do prostaczka podwładnego.

- Wyrachowane lekceważenie. Naprawdę trzeba cię podszkolić.

Wciąż maszerowaliśmy Newskim. Była dopiero trzynasta, ale zimowe słońce mocno chyliło się już ku zachodowi i rzucaliśmy przed sobą coraz dłuższe cienie.

- Zaczniemy pomalutku - powiedział. - Od faktów podstawowych. Czy jest dziewczyna, która ci się podoba?

- Nie ma żadnej szczególnej.

- A kto powiedział, że musi być szczególna? Jesteś prawiczkim, nie potrzebujesz Tamary Karsawiny, tylko ciepłych ud i bijącego serca.

- Jest taka dziewczyna z mojego bloku, Wiera. Ale jej podoba się ktoś inny.

- Dobra. Krok pierwszy: nie przejmujemy się kimś innym. Przejmujemy się Wierą. Co ma w sobie wyjątkowego? Czemu ci się podoba?

- Nie wiem. Mieszka w moim bloku.

- To już coś. A poza tym?

- Gra na wiolonczeli.

- Piękny instrument. Jakiego koloru ma oczy?

- Nie wiem.

- Więc ci się nie podoba. Nie wiesz, jakie ma oczy, więc ci się nie podoba.

- Podoba mi się, aleją interesuje tylko Grisza Antokolski, czyli to wszystko nie ma sensu.

- Dobra - rzekł Kola, bezgranicznie cierpliwy wobec tępego ucznia. - Sądziś, że ci się podoba, ponieważ ty nie podobasz się jej. To całkowicie zrozumiałe, ale powtarzam: wcale ci się nie podoba. Zapomnijmy o Wierze.

Rzecz nie wydawała się trudna. Przez ostatnie trzy lata usiłowałem sobie wyobrazić, jak wygląda nago, ale działało się tak tylko dlatego, że mieszkała dwa piętra pode mną, a poza tym raz, na basenie w ośrodku młodzieżowym, ujrzałem sutki Wiery, kiedy zsunęły się ramiączka jej kostiumu kąpielowego. Gdyby nie idiotyczny upadek Wiery przed bramą Kirowa, nie przemierzałbym teraz ulic Pitra w towarzystwie szajbniętego dezertera, szukając jajek. Ani się nie obejrzała, kiedy chwyтали mnie żołnierze. Przypuszczalnie obląpiała się z Griszą w któ-

rymś z ciemnych korytarzy bloku, kiedy ja tkwiłem w Kriestach.

- Córka pułkownika jest ładna. Naprawdę mi się podoba. Kola popatrzył na mnie z rozbawieniem.

- Tak, córka pułkownika jest ładna. Doceniam twój optymizm. Ale nie dla psa kielbasa.

- Dla ciebie też nie.

- W tej kwestii możesz się mylić. Dostrzegłem to spojrzenie, które mi posłała.

Minęliśmy grupę chłopaków, którzy - wyposażeni w składane drabiny i wiadra białej farby - zamalowywali tablice z nazwami ulic i numery domów. Kola przystanął i zagapił się na nich.

- Hej, ty tam! - zawołał do najbliższego chłopca, który miał na sobie tyle warstw ubrania, że można go było wziąć za grubasa, gdyby nie jego ściągnięta twarz i po starczemu zapadnięte czarne błyszczące oczy. Niewielu takich gówniarzy zostało w mieście, większość dzieci ewakuowano we wrześniu. Pozostały z reguły te najbiedniejsze, częstokroć osierocone przez wojnę i pozbawione krewnych na wschodzie. - Co wy u diabła wyprawiacie? - zapytał Kola, a potem, oszołomiony takim chuligaństwem, zwrócił się do mnie: - Małe sukinsyny dewastują Prospekt. Hej! Chłopcze!

- Możesz mi obciągnąć, parowo - odparł czarnooki chłopiec, zamalowując numer na drzwiach warsztatu zegarmistrzowskiego.

Takie dictum nawet Kolę zbiło z pantałyku. Podszedł do chłopaka, chwycił go za ramiona i odwrócił do siebie.

- Mówisz do żołnierza Armii Czerwonej, synku...

- Kola... - zacząłem.

- Myślisz, że to czas na błazenady? Myślisz, że możesz sobie ganiać z bandą swoich cygańskich kumpli i...

- Lepiej zabierz te łapy - rzekł chłopiec.

- Jeszcze mi grozisz? Od czterech miesięcy strzelam do Niemców, a ty mi grozisz?

- Kola - powtórzyłem, tym razem znacznie głośniej. - Oni wypełniają rozkazy. Chodzi o zdezorientowanie szkopów, jeśli wedrą się do miasta.

Kola przeniósł spojrzenie z czarnookiego chłopca na zamalowane numery, a potem na mnie.

- Skąd wiesz?

- Bo robiłem to dwa dni temu.

Kola puścił niedorostka, ten jeszcze przez chwilę piorunował go wzrokiem i dopiero potem wrócił do pracy.

- Cholernie sprytne - stwierdził Kola i podjęliśmy wędrówkę w stronę Bazaru.

V

Jeśli człowiek chciał coś kupić, sprzedać lub wymienić, szedł na Bazar. Przed wojną te uliczne kramy uważano za Newski Prospekt dla ubogich, jednak wraz z rozpoczęciem blokady, gdy jeden po drugim pozamykano wszystkie eleganckie sklepy, gdy zaryglowano drzwi restauracji, a chłodnie sklepów mięsnych opróżniono do ostatka, Bazar rozkwitł. Żony generałów wymieniały swe naszyjniki z bursztynu na torby mąki pszennej, partyjniacy targowali się z chłopami, którzy przekradali się do miasta z okolicznych kołchozów, ile kartofli należy się za komplet zabytkowych sztuców. Jeśli negocjacje trwały zbyt długo, wieśniacy spławiali mieszczuchów lekceważącym gestem dłoni i odwracali się do nich plecami. „No to jedzcie sobie te wasze srebra”, mówili, wzruszając ramionami. Niemal zawsze dostawali swoją cenę.

Wędrowaliśmy od kramu do kramu, oglądając stosy skórzanych butów, często wciąż poplamionych krwią poprzednich właścicieli. Karabiny i pistolety Tokariewa były tanie, chodziły po kilka rubli albo dwieście gramów chleba. Lugery i granaty ceniono wyżej, ale można je było kupić, jeżeli człowiek trafił do

właściwej osoby. Na jednym kramie sprzedawano po sto rubli sztuka szklanki z ziemią - było to tak zwane Badajewskie Błoto, pozyskane spod zbombardowanych magazynów z żywnością i nasycone stopionym cukrem.

Kola przystanął przy straganie, gdzie wychudzony przygarbiony facet z przepaską na oku i niezapaloną fajką w zębach handlował pozbawionymi etykiet butelkami z przezroczystym płynem.

- Co tam macie? - zapytał Kola.

- Wódkę.

- Wódkę? Z czego?

- Z drewna.

- To nie jest wódka, przyjacielu. To alkohol drzewny.

- Bierzesz czy nie?

- Człowiek od tego ślepie - powiedział do kramarza.

Jednooki pokręcił głową; znużony ignorancją klienta, zamierzał jednak podjąć minimalny wysiłek, żeby upchnąć swój towar.

- Trzeba przecedzić przez len - odparł. - Siedem warstw. Wtedy będzie zupełnie bezpieczna.

- Prawdziwa ambrozja - stwierdził Kola. - Powinna się nazywać Siedmiowarstwowy Grzech. Dobra nazwa dla gorzały.

- Bierzesz?

- Wezmę butelkę, jeśli najpierw napijecie się ze mną.

- Dla mnie za wczesna pora. Kola wzruszył ramionami.

- Zobaczą, jak upijecie łyczek, kupię flaszkę. W innym razie, cóż, wojna zrobiła ze mnie cynika.

- Dwieście rubli butelka.

- Sto. Napijmy się.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał. Nawet na mnie nie spojrzął.

Jednooki odłożył na stół wygasłą fajkę, znalazł szklankę do herbaty i zaczął się rozglądać po kramie za jakąś szmatą.

- Proszę - powiedział Kola, podając białą chusteczkę do nosa. - Jest czysta. Względnie.

Jednooki złożył chusteczkę trzykrotnie, udrapował ją na krawędzi szklanki i jął powolutku nalewać trunk. Nawet tu na dworze, przy silnym wietrze, samogon cuchnął jak trucizna, jak środek używany do szorowania fabrycznych podłóg. Wreszcie handlarz odłożył chusteczkę, pokrytą teraz plamkami osadu przypominającego mydliny, uniósł szklankę do ust, a pociągnawszy kilka małych łyčzków - odstawił na stół. Wyraz twarzy nie zmienił mu się przy tym ani na moment.

Kola uważnie zbadał poziom płynu w szklance, potem zaś, usatysfakcjonowany, że go istotnie ubyło, podniósł naczynie w geście toastu i powiedział:

- Za Mateczkę Rosję!

Wypił jednym haustem, z rozmachem odstawił szklankę na stół, otarł usta grzbietem dłoni i zaczął się dusić. Złapał mnie za ramię, szukając oparcia, miał zaokrąglone i załzawione oczy.

- Zamordowałeś mnie - wykrztusił wreszcie, oskarżycielsko godząc palcem w jednookiego.

- Nie mówiłem, żebyś pił szybko - odrzekł beznamiętnie handlarz i na powrót umieścił fajkę w zębach. - Sto rubli.

- Lew... Lew, jesteś tu? - Twarz Koli była zwrócona w moją stronę, ale jego rozbiegane oczy nie patrzyły nigdzie w szczególności.

- Cholernie zabawne.

Kola uśmiechnął się od ucha do ucha i stanął prosto.

- Żyda nie omamisz, powinienem był wiedzieć. No dobra, zapłać mu.

-Co?

- Zasuwał - powiedział, machając ręką w kierunku czekającego handlarza. - Wypląć panu jego pieniądze.

- Nie mam żadnych pieniędzy.

- Nie próbuj mnie ocyganić, chłopcze! - ryknął Kola. Ułapił mnie za kołnierz szuby i jął potrząsać z taką mocą, że dosłownie czułem, jak grzechoczą mi kości. - Jestem żołnierzem Armii Czerwonej i nie zniosę żadnego kantowania!

Puścił mnie znienacka, wepchnął dłonie do moich kieszeni, wygrzebał jakieś strzępy papieru, bandaża, kawałki drutu.

Nic takiego w każdym razie, co choćby odlegle przypominałoby pieniądze. Westchnął i spojrzał na jednookiego.

- Najwyraźniej nie mam forsy. Obawiam się, że będę musiał anulować transakcję.

- Myślisz, że skoro jesteś żołnierzem - odparł jednooki, uchylając połę palta, by pokazać nam rękojeść swojej finki - to cię nie pochlastam?

- Już mam w brzuchu szklanę trucizny. Ale spróbuj. Kola uśmiechnął się i czekał na reakcję. Perspektywa bójki

w najmniejszym stopniu nie zmieniła wyrazu jego niebieskich oczu, w których nie dało się dostrzec ani strachu, ani gniewu, ani podniecenia - ani w ogóle niczego. To, jak się później przekonałem, było jego wielkim darem: niebezpieczeństwo go uspokajało. Ludzie wokół niego reagowali na zagrożenie w zwykły sposób: stoicyzmem, histerią, udawaną nonszalancją albo też jakąś kombinacją tych trzech póz, on jednak, jak sądzę, nigdy do końca nie wierzył w realność owego zagrożenia. Wszystko co miało związek z wojną - niemieckie barbarzyństwo, propaganda partyjna, pajęczyna stębnujących niebo pocisków zapalających - było dotyczącą wyłącznie innych ludzi groteskową, zdumiewająco uszczegółowioną historią, w którą przypadkiem się zaplątał i w której ugrzązł.

- Spieprzajcie albo potnę wam gęby - powiedział z dłonią na rękojeści finki jednooki, żując ustnik niezapalanej fajki.

Kola zasalutował mu i podszedł do następnego kramu tak rozluźniony i beztroski, jakby całe zajście upłynęło w wersalskiej atmosferze. Z sercem tłukącym się w klatce piersiowej podążyłem za nim.

- Poszukajmy tych jajek - powiedziałem. - Co w tobie siedzi, że musisz prowokować ludzi?

- Potrzebowałem lufy, strzeliłem lufę i wróciłem do świata żywych. - Głęboko zaczerpnął powietrza i z wolna wpuścił je przez wydęte wargi, obserwując, jak zamienia się w parę. - Obaj powinniśmy byli zginać minionej nocy. Rozumiesz to? Pojmujesz, jacy z nas szczęściarze? No więc ciesz się tym, człowieku.

Stałem przy kramie, gdzie stara wieśniaczka w chuście na głowie sprzedawała puce bladoszarego mięsa. Wyglądało na względnie świeże, połyskiwało tłuszczem, ale woleliśmy z Kolą nie wiedzieć, z jakiego zwierzęcia pochodzi.

- Macie jajka? - zapytałem staruchę.

- Jajka? - Wychyliła się do przodu, aby lepiej słyszeć. - Żadnych od września.

- Potrzebujemy tuzina - wtrącił Kola. - Dobrze zapłacimy.

- Nawet za milion rubli - odparła - nie dostaniecie w Pi-trze ani jednego.

- A gdzie dostaniemy?

Wzruszyła ramionami; zmarszczki na jej twarzy były tak głębokie, że wydawały się rzeźbione. - Ja mam mięso, jest po trzysta rubli za dwa kawałki. Jajek nie mam.

Wędrowaliśmy od straganu do straganu, wypyując o jajka, nikt jednak od września nie widział ich na oczy. Usłyszeliśmy kilka teorii, gdzie ewentualnie można je znaleźć: generalicja sprowadza je samolotami z Moskwy; okoliczni wieśniacy za jajka, masło i świeże mleko kupują u Niemców swoje życie; jakiś starzec mieszkający w pobliżu Bramy Narwskiej trzyma drób w kurniku na dachu domu. Ta ostatnia pogłoska trąciła absurdem, ale chłopak, który ją nam przekazał, upierał się, że jest prawdziwa.

- Zarzniez kurę, starczy ci może na tydzień. Zostawisz przy życiu, no, jedno jajko dziennie plus kartkowy przydział i jakoś dociągniesz do lata.

- Drób trzeba karmić - zauważył Kola. - A kto ma dzisiaj karmę dla drobiu?

Chłopak, którego czarne kędzierzawe włosy wysypywały się spod marynarskiej czapki jeszcze z carskich czasów, pokręcił głową, jak gdyby usłyszał wyjątkowo głupie pytanie.

- Kura zeżre wszystko. Starczy jej łyżka trocin dziennie. Chłopak handlował czymś, co nazywano bibliotecznymi cukierkami: zrywało się okładki książek, zeskrobywało klej introligatorski, topiono go i uformowany w wałeczki, zwijało w papier.

Smakowało toto jak wosk, ale klej zawierał proteiny, proteiny zaś utrzymywały człowieka przy życiu, nic więc dziwnego, że książki znikają w mieście równie szybko jak gołębie.

- A widziałeś te kury? - zapytał Kola.

- Mój brat widział. Stary sypia w kurniku ze strzelbą. Wszyscy w bloku mają chrapkę na te kury.

Kola spojrział na mnie, a ja pokręciłem głową. Wszyscyśmy słyszeli po dziesięć podobnych bajeczek dziennie, opowieści o tajemnych chłodniach nabitych półtuszkami, spiżarniach pełnych puszek z kawiozem i kiełbas cielecych. Za każdym razem widział te skarby czyjś brat czy kuzyn. Ludziska dawali wiarę wszelkim fantazjom, ponieważ korespondowały z powszechnym przekonaniem, że gdy całe miasto głoduje, ktoś gdzieś obżera się do syta. Było ono rzecz jasna słuszne - może córka pułkownika nie wcinała gęsiny na kolację, ale z pewnością jadła kolacje.

- Stary nie może bez przerwy siedzieć w kurniku - zaznaczyłem. - Musi odbierać przydziały. Musi przynosić sobie wodę i chodzić do sracza. Ktoś by zgrandził te kury już sto lat temu.

- Szczy z dachu. Co z dużą potrzebą, nie wiem, ale może tym właśnie karmi kury.

Kola pokiwał głową, pełen uznania dla przemyślności starego w kwestii utrzymania przy życiu swojego inwentarza, ja jednak byłem pewien, że małolat zmyśla na bieżąco.

- Kiedy ostatnio srałeś? - niespodziewanie spytał mnie Kola.

- Nie pamiętam. Tydzień temu?

- Ja dziewięć dni. Liczyłem. Dziewięć dni! Kiedy rzecz się wreszcie sfinalizuje, urządzę wielkie przyjęcie i zaproszę najładniejsze dziewczyny z uniwerka.

- Zaproś córkę pułkownika.

- Bez dwóch zdań. Mój srajbal będzie znacznie lepszy niż to jej weselisko.

- Zatwardza ten nowy chleb kartkowy - wtrącił kędzierzawy chłopak.

- Mój ojciec mówił, że to przez celulozę, którą do niego ładują.

- Gdzie znajdziemy tego starucha z kurami?

- Dokładnego adresu nie znam. Jak będziecie szli do Bramy Narwskiej od prospektu Staczek, miniecie jego dom. Na ścianie jest wielki afisz ze Żdanowem.

- Afisze ze Żdanowem są na połowie domów w Pitrze - stwierdziłem z lekka już poirytowany. - Mamy przejść następne trzy kilometry w poszukiwaniu kur, które nie istnieją?

- Mały nie kłamie - powiedział Kola, klepiąc chłopaka po plecach. - Bo gdyby łął, wrócilibyśmy tu i połamali mu palce. Wie, że jesteśmy z NKWD.

- Nie jesteście z NKWD - odparł chłopak.

Kola wyciągnął z kieszeni płaszcza list pułkownika i plasnął nim chłopaka w policzek.

- To rozkaz od pułkownika NKWD uprawniający nas do poszukiwania jajek. No i co powiesz?

- A macie jeszcze jeden od Stalina uprawniający was do podtarcia zadka?

- Najpierw musiałby mnie uprawnić do odesrania się wreszcie.

Nie doczekałem końca rozmowy. Jeśli Kola zamierzał szwendać się po mieście w poszukiwaniu mitycznych kur, to jego broszka, ale nadciągał wieczór i chciałem wracać do domu. Nie spałem od trzydziestu sześciu godzin. Zawróciłem więc na pięcie i ruszyłem w stronę Kirowa, usiłując przypomnieć sobie, ile chleba skitrałem pod ruchomym kafelkiem w kuchni. Może Wiera coś dla mnie ma. Po tym jak nie obejrzawszy się za siebie, czmychnęła, gdy ją ocaliłem, była mi coś winna. Z drugiej strony dotarło do mnie nagle, że ona i pozostali mają mnie z pewnością za martwego. Ciekawe, zastanawiałem się, jak zareagowała... Czy zapłakana poszukała pocieszenia w ramionach Griszy, czy też odepchnęła go gniewnie, bo nie wyciągnął pomocnej ręki i uciekł, a ja zatrzymałem się i uratowałem ją przed niechybną egzekucją. „Wiem, wiem”, powiedziałaby w takiej sytuacji Grisza. „Jestem tchórzem, przebacz mi”, a ona by mu wybaczyła, bo wybaczała mu wszystko, a Grisza otarłby jej łzy i powiedział, że nigdy nie zapomną o mnie i moim poświęceniu. Ale zapo-

mnieliby jak amen w pacierzu i za rok nie potrafiliby sobie nawet przypomnieć rysów mojej twarzy.

- O, jesteś. Ty szukasz jajek?

Zniewolony przez swe żalosne fantazje, potrzebowałem chwili, by zorientować się, że pytanie adresowane jest do mnie. Odwróciłem się i zobaczyłem, że z założonymi na piersi rękoma, kołysząc się na piętach w przód i w tył, gapi się na mnie brodaty olbrzym. Był największym mężczyzną, jakiego widziałem w życiu, znacznie wyższym i szerszym w klatce piersiowej niż Kola; jego gołe dłonie były tak ogromne, że zapewne roztrzaskałyby mi czerep jak skorupkę orzecha. Gęsta czarna broda sprawiała wrażenie natłuszczonej. Zastanawiałem się, ile stawy potrzebuje codziennie taki wielkolud i jakim cudem jego gigantyczny szkielet nie załamie się pod brzemieniem tego całego mięcha.

- Macie jajka? - zapytałem, mrugając oczyma.

- A co ty masz dla mnie?

- Pieniądze. Mamy pieniądze. Poczekajcie, zawołam kolegę.

Ruszyłem biegiem przez Bazar. Po raz pierwszy odkąd się spotkaliśmy, poczułem radość na widok jasnowłosej głowy Koli. Wciąż gadał z kędzierzawym chłopakiem, zapewne dzieląc się z nim swymi marzeniami o fantastycznej kupie.

- Cześć, góra z górą! - wrzasnął na mój widok. - Myślałem, że dałeś nog\$.

- Jest facet, który twierdzi, że ma jajka.

- Wspaniale. - Kola odwrócił się do chłopca. - Synu, miło było cię poznać.

Gdyśmy kroczyli żwawo obok straganów, zamykanych już na noc, Kola podał mi biblioteczny cukierek zawinięty w papier.

- Trzymaj, przyjacielu. Pouczujemy dzisiaj.

- Dostałeś od młodego?

- Dostałem? Nie, kupiłem. -Za ile?

- Dwie sztuki stówka.

- Stówka?! - spiorunowałem wzrokiem Kole, który właśnie rozwinął swój cukierek, ugryzł i wykrzywił twarz z obrzydzeniem. - Więc zostało nam trzysta?

- Rachujesz jak liczydło.

- Forsa była na jajka.

- Jak mamy szukać jajek bez czegoś, co da nam siłę, żeby szukać?

Brodacz z wciąż skrzyżowanymi na piersi ramionami czekał na obrzeżach Bazaru. Gdyśmy podeszli bliżej, otaksował Kole spojrzeniem w taki sposób, jak bokser ocenia przeciwnika.

- Tylko was dwóch? - zapytał.

- A ilu potrzebowalibyście do szczęścia? - odpowiedział pytaniem Kola, uśmiechając się do wielkoluda. - Podobno sprzedajecie jajka.

- Sprzedaję wszystko. Co dla mnie macie?

- Pieniądze - odparłem zupełnie pewien, żeśmy już to przerabiali.

-Ile?

- Dość - rzekł Kola. - Potrzebujemy tuzina jajek. Brodacz gwizdnął.

- Szczęściarze z was. Mam akurat tyle.

- No widzisz? - powiedział Kola, ściskając mój bark. - Nie było tak trudno.

- Chodźcie za mną - polecił olbrzym i przeszedł na drugą stronę ulicy.

- Gdzie idziemy? - zainteresowałem się, ruszając za nim.

- Towar trzymam w domu. Tu nie jest za bezpiecznie. Co kilka dni żołnierze urządzają nalot, biorą, co chcą, a jak ktoś próbuje protestować - posyłają mu kulkę.

- No cóż, żołnierze bronią miasta - powiedział Kola. - Na głodnego nie mogliby walczyć.

Olbrzym zerknął na szynel Koli i jego regulaminowe buty.

- A czemu ty nie bronisz miasta?

- Wykonuję zadanie z rozkazu pewnego pułkownika. Nie powinno cię to obchodzić.

- Ten pułkownik wysłał ciebie i chłopka z zadaniem znalezienia jajek, co? - Olbrzym uśmiechnął się do nas szeroko. W otchłaniach czarnej brody jego zęby lśniły jak pozbawione kropek kości do gry. Oczywiście nie uwierzył Koli, bo któż by uwierzył?

Szliśmy wzdłuż zamrożonego kanału Fontanki, gdzie na lodzie poniewierało się mnóstwo zwłok; jedne poprzykrywano prowizorycznymi całunami przytrzymywanymi przez kamienie, inne obdarto z ubrań i te kierowały w mroczniejące niebo swe białe twarze. Z wolna budził się nocny wiatr i patrzyłem, jak jego podmuchy smagają twarz martwej kobiety jej własnymi długimi włosami blond. Stanowiły kiedyś przedmiot jej dumy, zapewne myła je dwa razy w tygodniu i czesała przez dwadzieścia minut przed pójściem do łóżka. Teraz w akcie wdzięczności broniły właścicielki, usiłując skryć jej rozkład przed oczyma obcych.

Wielkolud doprowadził nas do czteropiętrowego bloku z cegły, którego wszystkie okna pozabijano arkuszami sklejki. Ogromny, zakrywający dwie kondygnacje plakat przedstawiał młoda matkę wynoszącą z płonącego domu martwe dziecko. **ŚMIERĆ DZIECIOBÓJCOM!** głosił napis. Wyłowiwszy klucz z kieszeni palta, olbrzym otworzył drzwi frontowe i przytrzymał je, by nas wpuścić. Złapałem Kole za rękaw, zanim zdążył wejść.

- A może byście znieśli jajka na dół? - zaproponowałem brodaczowi.

- Ciągle żyję tylko dlatego, że wiem, jak prowadzić swój interes. Czyli nie robić interesów na ulicy.

Poczułem mrowienie w kroczu, a moje strwożone jądra mocniej przytuliły się do ciała. Ale urodziłem się i chowałem w Pitrze, nie byłem durniem, odpowiedziałem więc głosem, któremu wysiłkiem woli narzuciłem spokojny ton:

- A ja nie robię interesów w mieszkaniach nieznanomych facetów.

- Panowie, panowie - wtrącił Kola, uśmiechając się od ucha do ucha. - Doprawdy, po cóż ta cała podejrzliwość? Tuzin jajek. Proszę podać cenę.

- Tysiąc.

- Tysiąc rubli? Za tuzin jajek? - parsknąłem śmiechem.

- Chyba nie mówimy tu o jajkach Fabergego?

Czarnobrody olbrzym, wciąż przytrzymując drzwi, spiorunował mnie wzrokiem. Przestałem się śmiać.

- Sprzedają szklanki z błotem po sto rubli - odrzekł. - Co jest lepsze: jajko czy błoto?

- Posłuchaj - powiedział Kola - możesz tu stać cały dzień, targując się z moim żydowskim kolegą, albo też możemy pogadać jak uczciwi ludzie. Mamy trzy setki. I ani grosza więcej. No jak, stoi?

Olbrzym wciąż się we mnie wpatrywał. Widziałem, że od samego początku nie przypadłem mu do gustu, a teraz, gdy dowiedział się w dodatku, że jestem Żydem, było dla mnie oczywiste, że miałby chętkę obedrzeć mnie ze skóry. Wyciągnął do Koli masywne łapsko, żądając pieniędzy.

- Ach, nie, w tej akurat kwestii muszę podzielić stanowisko mojego towarzysza - odparł Kola, kręcąc głową. - Najpierw jajka, potem forsa.

- Nie przyniosę ich tutaj. Wszyscy głodują i wszyscy mają broń.

- Okropnie jesteś strachliwy jak na tak wielkiego faceta

- zakpił Kola.

Olbrzym zmierzył Kolę wzrokiem wyrażającym coś na kształt zaciekawienia, jak gdyby nie wierzył własnym uszom, że go znieważono.

- Leży tam na brzuchu jeden gość - powiedział, ruchem podbródka pokazując Fontankę. - Nie załatwił go głód ani mróz. Cegła roztrzaskała mu czaszkę. Chcesz zapytać, skąd wiem?

- Łapię, o co ci chodzi - odrzekł pojednawczo Kola, wbijając spojrzenie w mroczną sień. - Cóż, z dwojga złego cegła załatwia to szybciej.

Poklepał mnie po ramieniu i wszedł do środka.

Zdrowy rozsądek nakazywał mi uciekać. Ten człowiek wabił nas w pułapkę. Praktycznie przyznał się przed chwilą, że jest mordercą, a Kola wypaplał jak kretyn, ile mam przy sobie

forsy. Nie było jej wiele, ale trzysta rubli plus dwie kartki - olbrzym musiał sądzić, że i na nie może liczyć - spokojnie starczyło w tych czasach, żeby człowieka uśmiercono.

Ale jaki mieliśmy wybór? Wlec się do Bramy Narwskiej w poszukiwaniu jakiegoś legendarnego starca i jego kurnika? Wchodząc do budynku, ryzykowaliśmy życie, ale jeśli nie znajdziemy jajek, będziemy martwi tak czy owak.

Ruszyłem za Kolą. Drzwi wejściowe zamknęły się za nami. Panował mrok, nie paliła się żadna żarówka i tylko przez szczeliny w sklejce wsączały się smużki dziennego światła. Usłyszałem za sobą szybki krok wielkoluda, przypadłem więc na kolano, gotów wyciągnąć nóż, ale minął mnie i pokonując po dwa stopnie naraz, zaczął wchodzić po schodach. Popatrzyliśmy z Kolą po sobie. Gdy Czarnobrody znikł nam z oczu, wyciągnąłem niemiecki nóż i wsunąłem go do kieszeni szuby. Kola uniósł brwi, może z uznaniem, a może z kpiną. Powoli, stopień po stopniu, wchodziliśmy na górę, a mimo to sapaliśmy ciężko, gdyśmy w końcu dotarli na pierwsze piętro.

- Skąd bierzesz jajka? - zawołał Kola do olbrzyma, który wyprzedzał nas o pół piętra. Wspinał się bez najmniejszego wysiłku. On i córka pułkownika byli najsprawniejszymi ludźmi, jakich widziałem w Pitrze od wielu miesięcy. Znów zadałem sobie pytanie, skąd w nim tyle energii.

- Znam jednego kołchoźnika z okolic Mgi.

- Sądziłem, że Niemcy zdobyli Mgę.

- Bo zdobyli. Ale oni również lubią jajka. Zjawiają się codziennie i biorą wszystko, co znajdą, ale mój znajomek zawsze coś tam potrafi zadołować. Nie za wiele, boby się połapali.

Olbrzym zatrzymał się na trzecim piętrze i załomotał w drzwi.

- Kto tam?

- To ja - odrzekł. - Z paroma klientami. Usłyszeliśmy odsuwany rygiel i drzwi się otworzyły. Stała

w nich kobieta w męskiej futrzanej czapie i zakrwawionym fartuchu rzeźniczym; ucierała nos grzbietem dłoni w rękawicze i mrugała oczyma.

- Zastanawiam się - powiedział Kola - co robisz, żeby jajka nie zamarzły. Bo niestety, mrożone się nam nie przydadzą.

Kobieta gapiła się na Kolę, jakby przemawiał po japońsku.

- Trzymamy je przy samowarze - odparł wielkolud. - Właźcie i miejmy to z głowy.

Gestem zaprosił nas do środka. Kobieta odsunęła się na bok i Kola beztrąsko wszedł, rozglądając się dokoła z takim uśmiechem, jakby właśnie dziewczyna zaprosiła go do swojego mieszkania. Ja ociągałem się dopóty, dopóki olbrzym nie położył mi dłoni na ramieniu. Nie popchnął mnie właściwie, ale efekt był taki, jakby popchnął.

Mieszkanko oświetlały lampki stearynowe i nasze cienie przepelzły po ścianach, wystrzępionych dywanikach na podłodze, samowarze w rogu i białym prześcieradle zawieszonym w przeciwległym końcu pokoju, jak wnioskowałem, oddzielającym część sypialną. Kiedy olbrzym zamknął drzwi, prześcieradło zafalowało jak sukienka na wietrze, zanim zaś opadło z powrotem, zdążyłem dostrzec, co skrywa - nie łóżko czy jakikolwiek inny mebel, lecz kawały białego mięsa zwieszające się na łańcuchach z rury centralnego ogrzewania. Przed tym, co z niego kapowało, chroniły podłogę rozłożone poniżej kawałki linoleum. Przez jakieś pół sekundy sądziłem, że to świnina, może mój mózg usiłował przekonać oczy, że widzą coś innego, niż widzą: oskórowane udo, które mogło należeć tylko do kobiety, klatkę piersiową dziecka, odciętą rękę o dłoni pozbawionej serdecznego palca.

Nóż znalazł się w mej dłoni, zanim uświadomiłem sobie, że po niego sięgam, poczułem za sobą ruch, wykręciłem się na pięcie i z krzykiem, który zamiast jakichkolwiek słów wyrwał się z mego ściśniętego gardła, chlasnąłem olbrzymia. Czy raczej usiłowałem chlasnąć; wyszarpnąwszy spod płaszcza łokciową gazrurkę, odskoczył ze zwinnością, o jaką nie podejrzewałbym mężczyzny jego postury.

Jego żona wyjęła tasak z kieszeni fartucha. Też była szybka, ale Kola okazał się znacznie szybszy: wykręcił błyskawiczny pi-

met na pięcie swojej wysuniętej do tyłu nogi i prawym sierpem posłał kobietę na podłogę.

- Uciekaj - powiedział.

Uciekłem. Drzwi wbrew temu, czego się spodziewałem, nie były zaryglowane; gazrurka olbrzyma, wbrew temu czego oczekiwałem, nie roztrzaskała mej czaszki; wypadłem na klatkę, niemal jednym susem pokonałem cały bieg schodów. Słyszałem z góry wściekły zwierzęcy ryk i tupot podkutych buciorów olbrzyma szarżującego przez pokój. Z dłonią na balustradzie, bez tchu, zatrzymałem się na półpiętrze niezdolny uciekać dalej, ale też niezdolny wrócić do mieszkania ludożercy. Usłyszałem okropny trzask metalu uderzającego w czaszkę, a może sklejkę.

Dopuszczałem się zdrady wobec Koli, pozostawiłem go samego i bezbronnego, kiedy miałem dobry nóż. Próbowałem siłą woli skłonić me stopy, by wykonały jakikolwiek ruch, by niosły mnie na powrót w ogień walki, ale trząłem się jak osika i trzął się nóż w mej dłoni. Kolejne wrzaski, następne łupnięcia gaz-rurki. W co? Z sufitu posypały się kawałki tynku. Sterczałem na schodach przekonany, że już po Koli, i że nie potrafię biec dość szybko, żeby ująć olbrzymowi - jego żona poćwiartuje mnie kilkoma zręcznymi uderzeniami swojego ciężkiego tasaka i rychło zawisnę w kawałkach na rurze, a ostatnie krople mej krwi ściekną na linoleum.

Wrzaski powtarzały się, ściany drżały, Kola jeszcze nie zginął. Z nożem trzymanym oburącz uniosłem nogę i postawiłem ją na stopniu. Wkradnę się do mieszkania i korzystając z faktu, że cała uwaga kanibala skupia się na Koli, wbiję mu nóż w plecy... ale klinga wydała mi się w tej chwili marniutka, o wiele za mała do zabijania olbrzymów. Najwyżej przebije skórę i wytoczy nieco krwi Czarnobrodego, który odwróci się, złapie mnie za twarz i wyciśnie oczy z mej czaszki.

Zrobiłem jeszcze jeden krok w górę i wtedy z mieszkania wypadł Kola, ślizgając się na piętach, omal nie minął schodów, zawrócił, dosłownie sfrunął na dół, chwycił mnie za kołnierz i pociągnął za sobą.

- Uciekaj, głupku! Uciekaj!

Uciekliśmy więc, a ilekroć gubiłem krok albo potykałem się na śliskim stopniu, podtrzymywała mnie niezawodna dłoń Koli. Dobiegały nas ryki, słyszałem jak monstrualne cielsko galopuje za nami po schodach, ale nie oglądałem się i nigdy w życiu nie biegłem szybciej. Lecz w samym centrum tego koszmaru, wśród wrzasków, kroków, zgrzytu naszych obcasów na drewnianych schodach, docierało do mnie coś jeszcze, coś bardzo osobliwego. Śmiech Koli.

Wypadliśmy przez drzwi frontowe na ciemną ulicę, nad którą wędrowały już po niebie światła szperaczy. Chodniki były puste, wokół nikogo, kto mógłby nam pomóc. Wyskoczyliśmy na środek ulicy, biegiem pokonaliśmy trzy przecznice, oglądając się co chwila, żeby sprawdzić, czy olbrzym wciąż nas ściga. Nie dostrzegliśmy go, ale ani na moment nie zwolniliśmy kroku. W końcu zobaczyliśmy nadjeżdżający samochód wojskowy i gorączkowo wymachując ramionami, zagrodziliśmy mu drogę; gdy kierowca gwałtownie wcisnął hamulec, wóz wpadł w lekki poślizg na oblodzonej nawierzchni.

- Z drogi, zasrane popaprańce! - wrzasnął kierowca.

- Towarzysze żołnierze - ze spokojem i zwykłą u niego wariacką pewnością siebie powiedział Kola - w tamtym budynku są kanibale. Właśnieśmy im uciekli.

- W każdym budynku są kanibale - odrzekł kierowca. - Witamy w Leningradzie. Teraz z drogi.

Z głębi wozu inny głos rzucił: „Chwileczkę” i na ulicę wyszedł oficer. Ze swym starannie przystrzyżonym siwym wąsem i cienką szyją wyglądał bardziej na profesora matematyki niż wojaka. Badawczo przyjrzał się umundurowaniu Koli, a potem spojrzał mu w oczy.

- Dlaczego nie jesteście w swoim pułku? - zapytał.

Kola wyjął list pułkownika i podał go oficerowi, którego wyraz twarzy, jak spostrzegłem, natychmiast się zmienił. Skinął głową w stronę Koli i gestem zaprosił nas do samochodu.

- Pokażcie.

Pięć minut później znów wkroczyliśmy z Kolą do mieszkania ludożerców, tym razem eskortowani przez czterech żołnierzy,

mierzących ze swych tokariewów we wszystkie kąty pokoju. Nawet otoczony przez uzbrojonych mężczyzn niemal dusiłem się ze strachu. Na widok klatki piersiowej dyndającej na łańcuchu, oskórowanego uda i ramienia zapragnąłem zamknąć oczy i już nigdy ich nie otworzyć. Żołnierze, twardzi przecież, nawykli do znoszenia z pola bitwy zmasakrowanych ciał towarzyszy, nawet oni odwrócili się tyłem od łańcuchów i ich brzemienia.

Olbrzym i jego żona zniknęli. Zostawili wszystko - płonące kaganki, ciepłą herbatę w samowarze - ale sami czmychnęli w noc. Oficer, kręcąc głową, rozejrzał się po pokoju. W miejscu uderzeń gazrurki ziały w ścianach dziury, niczym rozpaczliwie rozdziawione usta.

- Wstawimy ich nazwiska na listę poszukiwanych, anulujemy kartki i tak dalej, ale mogą wpaść tylko przez jakiś idiotyczny przypadek. W tej chwili jakbyśmy nie mieli żadnej milicji.

- Gdzie taki się ukryje? - zapytał Kola. - To największy skurwysyn w całym Pitrze.

- Więc miej nadzieję, że zobaczysz go wcześniej niż on ciebie - stwierdził jeden z żołnierzy, sunąc palcem po zębatej krawędzi dziury w ścianie.

VI

- Naprawdę nieźle jej dołożyłeś - powiedziałem do Koli, gdy wędrując na północ, mijaliśmy wieżę zegarową Dworca Witebskiego, najokazalszej w Leningradzie stacji kolejowej i to nawet teraz, gdy żaden pociąg nie odszedł od czterech miesięcy, a witrażowe okna były pozabijane deskami.

- Cios jak się patrzy, prawda? Nigdy dotąd nie uderzyłem kobiety, ale chyba postąpiłem słusznie.

W taki właśnie sposób postanowiliśmy ze sobą rozmawiać, niewymuszenie i lekko, ot, jak dwaj młodzi ludzie komentujący mecz bokserski. To był jedyny sensowny sposób. Nie można było dopuścić, aby do rozmowy wsącżyło się zbyt wiele prawdy, usta nie mogły potwierdzić tego, co zobaczyły oczy. Jeśli człowiek choćby na centymetr uchylał drzwi, na zewnątrz wydostawał się smród i wrzask. Więc ich nie otwierał. Koncentrował uwagę na bieżących problemach dnia, poszukiwaniu żywności i opału, pozostawiając całą resztę na koniec wojny.

Syreny ogłaszające godzinę milicyjną jeszcze nie zawyły, ale do tej chwili nie pozostawało wiele czasu. Postanowiliśmy spędzić noc w Kirowie, gdzie miałem dość uzbieranych kawał-

ków drewna na uczciwy ogień i garnek wody z rzeki na herbatę, droga nie była specjalnie długa, lecz od momentu gdy opuściła mnie panika, czułem się jak starzec i nogi miałem obolałe od biegu. Fantastyczne śniadanie u pułkownika przyniosło niepożądany skutek uboczny: rozepchało mi żołądek i sprawiło, że głód powrócił szybciej. Głód przemieszany z mdłościami, bo nie umiałem wyrzucić z głowy obrazu dziecięcej klatki piersiowej. Pogryzając zamrożony cukierek biblioteczny, odnosiłem wrażenie, że smakuje jak wysuszona skóra i tylko wielkim wysiłkiem woli zmuszałem się do przelknięcia.

Kola, którego nogi nie były w lepszym stanie niż moje, kusz-tykał obok mnie, ale wydawał się w blasku księżyca beztroski jak zawsze, wolny od brzemienia jakichkolwiek nieprzyjemnych myśli. Może miał spokojny umysł, bo zareagował odważnie, mocno i stanowczo, podczas gdy ja sterczałem na ciemnej klatce schodowej, czekając na ratunek.

- Posłuchaj, czuję, że... Chcę powiedzieć, że mi przykro. Uciekłem i jest mi przykro. Uratowałeś mi życie.

- Kazałem ci uciekać.

- Tak, ale... powinienem był wrócić. Miałem nóż.

- Miałeś nóż, jasne. - Kola prychnął śmiechem. - Wiele byś nim zwojował. Szkoda, że się nie widziałeś, kiedy próbowałeś go dziabnąć. Dawid i Goliat. Już się szykował, żeby pożreć cię żywcem.

- Zostawiłem cię tam samego. Byłem pewien, że cię zabiją- Cóż, oni też byli. Ale jak ci mówiłem, mam szybkie pięści.

- Fukając jak bokser, zamarkował kilka ciosów.

- Nie jestem tchórzem. Wiem, że wtedy wyszedłem na tchórza, ale nim nie jestem.

- Posłuchaj mnie, Lwie - powiedział, otaczając ramieniem moje barki i w ten sposób zmuszając do wydłużenia kroku. - Nie chciałeś iść do tego mieszkania"? To ja byłem tym burakiem, który się uparł. No więc nie jesteś mi winien żadnych przeprosin. I wcale nie uważam cię za tchórza. Każdy z odrobiną oleju w głowie dałby stamtąd nogę.

- Ale ty nie dałeś.

- *Quod erat demonstrandum* - odrzekł dumny ze swej podręcznikowej łaciny.

Poczułem się w całej tej sprawie nieco lepiej. Kola kazał mi uciekać. Olbrzym mógłby mi zrobić dziurę w czaszce z taką łatwością, z jaką dziecko wtyka palec w placek wiśniowy. Może nie zachowałem się heroicznie, ale też nie dopuściłem się zdrady stanu.

- To naprawdę był fantastyczny cios.

- Sądzę, że przez jakiś czas nie zżuje żadnego dzieciaka. Uśmiech, którym Kola spuentował to stwierdzenie, nie

trwał długo. Jego słowa znów przywołały widok bladego mięsa i zwilgotniałego od skapujących kropel linoleum. Mieszkaliśmy w mieście, gdzie po ulicach włóczyły się czarownice, a Baba Jaga z siostrami porywała dzieci, by je porąbać na kawałki.

Przeciągle i rozpaczliwie zawyła samotna syrena, a chwilę później pozostałe powtórzyły echem jej wołanie.

- Szkopy już są - powiedział Kola i zmuszając nasze znużone ciała do jeszcze większego wysiłku, przyspieszyliśmy kroku. Z południa, niczym dudnienie odległych kotłów, usłyszeliśmy spadające pociski: to Niemcy rozpoczynali nocny ostrzał wielkich Zakładów Kirowskich, gdzie powstawała połowa radzieckich czołgów i ciężkich dział. Większość mężczyzn pracujących w fabryce trafiła na front, ale tokarnie i prasy przejęły kobiety i Zakłady ani na moment nie wypadły z rytmu, węgiel jak zawsze płonął w ich piecach, dym jak zwykle walił z czerwonych ceglanych kominów, ani jeden dział nie został zamknięty - nawet wtedy, gdy przez dach wpadały bomby i z linii montażowych znoszono martwe dziewczyny, wciąż ściskające narzędzia w zimnych dłoniach.

Spiesznie minęliśmy piękne stare gmachy prospektu Witebskiego, gdzie z białych kamiennych fasad w uśmiechu szczyrzyły do nas zęby wyrzeźbione na frontonach jeszcze za carskich czasów satyry o baranich nogach. W piwnicach wszystkich tych domów urządzono schrony przeciwlotnicze, w których teraz, przy migocących światełkach kaganków, tłoczyły się dziesiątki

i setki obywateli, oczekując na odwołanie alarmu. Pociski spadały w tej chwili na tyle blisko, żeśmy słyszeli, jak ze skowytom przecinają powietrze. Wiatr zawodził coraz głośniejsze w powybijanych oknach, jak gdyby Bóg dogadał się z Niemcami, żeby zdmuchnąć nasze miasto z powierzchni ziemi.

- Na froncie człowiek uczy się nieźle oceniać, gdzie spadnie pocisk - powiedział Kola, głęboko wsunawszy dłonie w kieszenie szynela: wiatr, który przed chwilą był naszym sprzymierzeńcem, teraz wiał nam prosto w twarz. - Nasłuchujesz i wiesz: ten uderzy sto metrów w lewo, a ten wpadnie do rzeki.

- Ja w jednej sekundzie potrafię rozpoznać, czy nadlatuje heinkel czy junkers.

- Wielkie mecyje. Junkers ryczy jak lew, a heinkel bzyka jak komar.

- No to heinkel czy dornier. Byłem komendantem brygady strażackiej na...

Kola uciszył mnie, raptownie podnosząc rękę. Zatrzymał się, zatrzymałem się więc i ja.

- Słyszałeś?

Nastawiłem ucha. Nie słyszałem nic oprócz wiatru, który nabrawszy sił nad Zatoką Fińską, hulał po ulicach i zdawał się wiać z wszystkich stron jednocześnie. Zrazu pomyślałem, że Kola usłyszał nadlatujący pocisk, spojrzałem więc w niebo, jakbym mógł wypatrzyć zmierzającą ku nam śmierć i co więcej, zrobić przed nią unik, gdybym już wypatrzył. Wiatr uspokoił się wreszcie i tylko posapywał z cicha, niczym dzieciak pod koniec ataku hysterii. Pociski wybuchały gdzieś na południu, sądząc po odgłosach - kilka kilometrów od nas, ale i tak za każdym razem chodnik drżał pod naszymi stopami. Kola jednak nie nasłuchiwał wiatru ani moździerzy. Ktoś w starej kamienicy grał na pianinie. Nie dostrzegłem żadnego światła, promyka z lampy czy kaganka. Inni mieszkańcy, z wyjątkiem zbyt osłabionych z głodu i zbyt starych, skryli się w schronie, pozostawiając w ciemnościach tego zbląkanego geniusza, zuchwałego i precyzyjnego, który popisywał się grzmiącymi podwójnymi fortissimami przechodzącymi w kruchutkie pianissima, jak gdy

by toczył dyskurs sam ze sobą, to wchodząc w skórę brutalnego męża, to pokornej żony.

Muzyka była istotną częścią mojego dzieciństwa, i ta z radia, i ta w salach koncertowych, rodzice wielbili ją wręcz fanatycznie. Stanowiliśmy rodzinę zupełnie pozbawioną talentu do grania, ale szalenie dumną ze swego daru słuchania. Po usłyszeniu kilku zaledwie nut umiałem rozpoznać każdą z dwudziestu siedmiu etiud Chopina; znałem całego Mahlera - od *Lieder eines fahrenden Gesellen* po nieukończoną Dziesiątą. Muzyki jednak, która teraz dobiegała z ciemności, nie słyszałem nigdy dotąd i nie usłyszałem nigdy potem. Szyby, odległość i nieustanny wiatr przytłumiały nuty, ale ich potęgą przebijała się przez wszystko. To była muzyka na wojenny czas.

Staliśmy na chodniku, pod spowitą pajęczynami szronu bezsilną latarnią, pod księżycem przysłoniętym cienką muślinową woalką. Chmur, i z dudniącymi gdzieś na południu wiel-kokalibrowymi działami w tle, wysłuchaliśmy utworu do ostatniej nuty. Kiedy się skończył, odniosłem wrażenie, że coś jest nie tak: gra była zbyt wirtuozerska, aby skwitowała ją tylko cisza, muzyk zbyt wielki, aby obszedł się bez aplauzu. Przez długą chwilę milcząc, wpatrywaliśmy się w ciemne okna, a wreszcie, uznawszy w myślach, że teraz nie będzie to już wyrażało braku szacunku, podjęliśmy marsz.

- Szczęście, że nikt nie porąbał mu instrumentu na opał - zauważył Kola.

- To nie jest ktoś, komu rąbie się fortepian. Kimkolwiek jest. Może to był sam Szostakowicz. Chyba mieszka gdzieś w tej okolicy.

Kola spiorunował mnie wzrokiem i splunął na trotuar.

- Ewakuowali Szostakowicza trzy miesiące temu.

- To nieprawda. Jest na wszystkich afiszach, w strażackim hełmie na głowie.

- Taa, wielki bohater, tyle tylko że siedzi w Kujbyszewie, pogwizdując pod nosem wszystkie utwory Mahlera, które splagiował.

- Szostakowicz nie plagiował Mahlera.

- A ja myślałem, że staniesz po stronie Mahlera - rzekł Kola, z rozbawieniem wyginając usta, co zdradzało, jak zdążyłem się przekonać, zamiar powiedzenia czegoś irytującego. - Nie przedkładasz zatem Żyda nad goja?

- Nie stoją po przeciwnych stronach. Mahler napisał wspaniałą muzykę, Szostakowicz pisze wspaniałą muzykę...

- Wspaniałą? Ten facet to wyrobnik i złodziej.

- Idiota z ciebie. Znasz się na muzyce jak kura na pieprzu.

- Wiem, że we wrześniu Szostakowicz prawił przez radio o wielkim patriotycznym obowiązku zwalczania faszystów, a trzy tygodnie później znalazł się w Kujbyszewie i wcinał owsiankę.

- To nie jego wina. Nie chcieli, by zginął, więc go skłonili do wyjazdu. Pomyśl tylko, jak by to było fatalne dla morale...

- Ach, oczywiście, cóż by to była za tragedia - zareplikował Kola swym profesorskim tonem, którego używał, wspinając się na wyżyny sarkazmu. - Nie możemy pozwolić zginąć naszym wielkim. Gdybym jednak ja był u władzy, postępowałbym odwrotnie. Wypchnął sławy na front. Szostakowicz dostaje kulkę w łeb? Wyobraź sobie to oburzenie w całym społeczeństwie! Na całym świecie! **WYBITNY KOMPOZYTOR ZAMORDOWANY PRZEZ FASZYSTÓW**. Anna Achmatowa... też była w radio. Pamiętasz? Mówiła kobietom z Leningradu, żeby były dzielne, żeby nauczyły się strzelać z karabinów. I gdzie teraz jest? Strzela do Niemców? Hm, nie, raczej nie. W zakładach, szlifując łuski? Nie, jest w pierdzielonym Taszkencie i wyciska z siebie kolejne kupy tej narcystycznej poezji, która przyniosła jej sławę.

- Moja matka i siostra też wyjechały, co nie znaczy, że są zdrajczyniami.

- Twoja matka i siostra nie pouczały nas przez radio, żebyśmy byli dzielni. Posłuchaj, nie oczekuję, żeby poeci i kompozytorzy okazali się bohaterami, ale po prostu nie znoszę hipokryzji.

Potarł nos grzbietem dłoni i obejrzał się na południe, gdzie eksplozje pocisków armatnich wciąż rozświetlały niebo.

- A w ogóle to gdzie jest ten twój cholerny blok? Skręciliśmy właśnie w Woinową, uniosłem więc rękę, żeby

pokazać Kirowa. I chociaż pokazywałem pustkę, przez dłuższą chwilę nawet nie pomyślałem, żeby opuścić dłoń. Tam gdzie stał Kirów, piętrzyło się teraz usypisko gruzu, strome wzgórze porzaskanych betonowych bloków, udrapowane piargami z tynku, skręconych prętów zbrojeniowych i połyskującego w blasku księżyca potłuczonego szkła.

Gdybym był sam, stałbym tu godzinami, w otępieniu gapiąc się na ruiny. Kirów był moim życiem. Kirów to Wiera, Oleg i Gri-sza. To Luba Nikołaj ewna, stara panna z trzeciego piętra, która wróżyła z dłoni, cerowała sukienki wszystkim mieszkańcom bloku i która zobaczywszy raz, jak pewnego letniego wieczoru czytam na klatce powieść H.G. Wellsa, dała mi nazajutrz tekturowe pudło pełne książek Roberta Louisa Stevensona, Rudyarda Kiplin-ga i Charlesa Dickensa. To Anton Daniłycz, cieć, który mieszkał w suterenie i darł się na nas, ilekroć rzucaliśmy kamieniami na podwórku, charkaliśmy z dachu albo lepili obleśne bałwany i bałwanice z marchewkowymi kutasami i gumkami do wycierania zamiast sutków. To Zawodiłow, ponoć urka, który nie miał dwóch palców u lewej dłoni i zawsze gwizdał na dziewczyny, nawet te szpetne, a nawet na te szpetne gwizdał głośniejsze, żeby poprawić im samopoczucie... Zawodiłow, który urządzał balangi trwające do świtu, który puszczał najnowsze płyty jazzowe - Warłamowa i jego Gorącej Siódemki, Eddiego Roznera... towarzyszycho w porzpinanych koszulach i bluzkach w tanecznych podrygach wytaczało się na klatkę, doprowadzając do szału statecznych obywateli, ale za to budząc dreszczyk zazdrości w nas, małolatach, którzyśmy dochodzili do wniosku, że jeśli w ogóle trzeba dorosnąć, to wyrośniemy na kogoś w rodzaju Zawodiłowa.

To było stare szpetne gmaszysko nieustannie cuchnące li-zolem, ale mój dom, dom, który jak sądziłem, nigdy się nie zawali. Wszedłem w gruzu, zacząłem odrzucać na boki bryły betonu. Kola chwycił mnie za ramię.

- Lew... chodź ze mną. Znam miejsce, gdzie możemy się przespać.

Wyrwałem się mu i znów zacząłem dłońmi odgarniać gruz. I znów złapał mnie za ramię, tym razem znacznie mocniej, tak mocno, że nie mogłem się wyrwać.

- Tam już nie ma żywych.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Posłuchaj - powiedział cicho, pokazując mi małe czerwone paliki powtykane w usypisko w różnych miejscach. - Już tu kopano. Dom musiał runąć zeszłej nocy.

- Byłem tu zeszłej nocy.

- Zeszłej nocy byłeś w Kriestach. Chodź. Chodź ze mną.

- Nie wszyscy giną. Czytałem o tym. Czasem ludziom udaje się przetrwać kilka dni.

Kola powiódł wzrokiem po gruzowisku. Wiatr niecił miniaturowe tornada z cementowego pyłu.

- Jeśli ktokolwiek tam żyje, nie zdołasz go wydostać gołymi dłońmi. A jeśli będziesz próbować przez całą noc, nie doczekasz ranka. Chodź. Mam niedaleko znajomych. Musimy odpocząć pod dachem.

Pokręciłem głową. Jakże miałbym porzucić swój dom?

- Lew... nie chcę, żebyś teraz rozmyślał. Chcę po prostu, żebyś ze mną poszedł. Rozumiesz? Poszedł ze mną.

Zholował mnie z usypiska, a ja byłem zbyt zmęczony, żeby stawić opór, zbyt zmęczony, żeby wykrzesać z siebie rozpacz, gniew czy uczucie buntu. Chciałem, żeby było mi ciepło. Chciałem jeść. Gdyśmy odchodzili od ruin Kirowa, nie słyszałem własnych kroków. Zamieniłem się w upiora. W całym mieście nie było nikogo, kto znałby moje pełne nazwisko. Nie rozczulałem się nad sobą i tylko z jakimś przytępionym zdziwieniem konstatowałem, że chyba wciąż żyję, para idąca mi z ust wciąż jest widoczna w świetle księżyca i że wciąż maszeruje obok mnie ten potomek Kozaków, to zerkając na mnie, żeby się upewnić, czy jeszcze idę, to unosząc wzrok w górę, żeby sprawdzić, czy nie nadlatują bombowce.

VII

- Wejdźcie - powiedziała - Wejdźcie, obaj jesteście zmarznięci na kość.

Nie ulegało wątpliwości, że znajoma Koli była przed obłędem piękna: jej popielatoblond włosy sięgały połowy pleców, usta pozostały pełne, a ilekroć się uśmiechała, na lewym policzku pojawiał się dołek w kształcie półksiężyca. Nie miała, rzecz osobliwa, korespondującego dołka w drugim policzku, ja zaś przyłapałem się na tym, że czekam, aż uśmiechnie się ponownie, aby zobaczyć jeszcze raz ten samotny dołeczek.

Kiedy otworzyła drzwi, Kola ucałował ją z dubeltówki i dziewczyna oblała się rumieńcem, co na moment przywróciło jej zdrowy wygląd.

- Słyszałam, że zginąłeś!

- Jeszcze nie - odparł Kola. - To mój przyjaciel Lew. Nie chce mi podać swego nazwiska ani otcziestwa, ale może zdradzi je tobie. Nos mi mówi, że jesteś w jego typie. Lew, przedstawiam Sonię Iwanownę, jedną z moich dawniejszych zdobyczy i nadal drogą przyjaciółkę.

- Ha! Nie był to długotrwały podbój, prawda? Napoleon w Moskwie? Kola wyszczerzył do mnie zęby. Wciąż obejmował Sonię i tulił ją do siebie. Zakutała się w trzy albo cztery swetry i męskie palto, ale widziałem jasno, że pod całą tą odzieżą pozostało jej niewiele.

- To było klasyczne uwiedzenie. Poznałem ją na wykładzie z historii sztuki. Opowiedziałem o wszelkich perwersjach mistrzów - od chłopaczków Michała Anioła po stopy Malewicza... słyszałeś tę historię? Rankiem szkicował stopy swojej gosposi, a wieczorem, patrząc na rysunki, trzepał kapucyna.

- Bujda na resorach, nikt na świecie nie słyszał czegoś takiego.

- No więc kiedy nasłuchiwała się o tych wszystkich chutliwych malarzach, zwilgotniała i wtedy wystarczyło jeszcze tylko parę wódeczek. Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem.

Przysunęła się do mnie i położywszy dłoń na rękawie mej szuby, powiedziała scenicznym szeptem:

- Do pełnego zwycięstwa potrzebował może minuty.

Nie byłem przyzwyczajony do kobiet otwarcie mówiących o seksie. Chłopakom przy tym temacie nigdy nie zamykały się usta, chociaż żaden nie sprawiał wrażenia wielkiego autorytetu, dziewczyny jednak prowadziły swe rozważania wyłącznie w zamkniętym kręgu. Zastanawiałem się, czy Grisza przeleciał już Wierę i dopiero po chwili dotarło do mnie, że oboje są martwi i spoczywają w grobowcu z pokruszonego betonu.

Widząc żaloszny wyraz mej twarzy, Sonia uznała zapewne, że wprowadziła mnie w zakłopotanie swoją bezpośredniością, uśmiechnęła się więc ciepło, i ponownie zademonstrowała samotny półksiężycowaty dołeczek.

- Nie przejmuj się, kiciuś. Nie jesteśmy nawet w części tak wyzwolonymi ludźmi, za jakich próbujemy uchodzić. - Zwróciła się do Koli. - Słodki jest. Gdzieś go znalazł?

- Mieszkał w Kirowie, przy Woinowej.

- W Kirowie? Tym bloku, co runął zeszłej nocy? Tak mi przykro, mój mały.

Otoczyła mnie ramionami, a ja odniosłem wrażenie, że wziął mnie w objęcia strach na wróble. Nie czułem żadnego ciała pod wielowarstwową łupiną pachnącej dymem odzieży. A jednak troska okazywana przez kobietę była czymś bardzo przyjemnym. Nawet jeśli wynikała tylko z uprzejmości, była przyjemna.

- Chodź - powiedziała, ujmując moją dłoń w skórzanej rękawicy w swoją dłoń w skórzanej rękawicy. - Tu jest teraz twój dom. Na tę noc, na ten tydzień. Jutro pomożesz mi przynieść wodę z Newy.

- Jutro mamy robotę - zareplikował Kola, ale zignorowała go i popchnęła nas w stronę stołowego. Wokół rozpalonej kozy siedziała tam półkolem grupka sześciu osób o wyglądzie studentów. Mężczyźni nosili wystudiowane baczki i wąsy, a krótko ostrzyżone kobiety miały w uszach cygańskie kolczyki. Kulili się kolektywnie pod kilkoma grubymi pledami, pochleptywali herbatę z kubków i chociaż podnieśli na nas wzrok, nie powitali ani słowem. Rozumiałem ich niezadowolenie. Nieznajomi powodowali irytację w najlepszym razie, fatalne skutki zaś - w najgorszym: nawet jeśli nie mieli złych intencji, zawsze domagali się jedzenia.

Sonia dokonała wzajemnych prezentacji i chociaż wymieniła nazwiska wszystkich siedzących przy ogniu, nikt nie otworzył nawet ust, dopóki Kola nie przełamał lodów, wyjmując swój cukierek biblioteczny i puszczając go w obieg. Trudno się było delektować tą mordoklejką, która jednak stanowiła rodzaj pokarmu i przyspieszała krążenie krwi, tak więc niebawem rozmowa rozpoczęła się na nowo.

Znajomi Soni nie okazali się studentami uniwersytetu, lecz chirurgami i pielęgniarzkami, którzy właśnie skończyli dwudziestoczterogodzinny dyżur, podczas którego bez pomocy środków znieczulających i elektryczności - a nawet nie mając dość wrzątku, żeby wysterylizować skalpele - amputowali ręce i nogi, wydobywali kule z potrzaskanych kości i w ogóle robili wszystko, by jakoś połatać zmasakrowanych żołnierzy.

- Lew mieszkał w Kirowie - powiedziała Sonia, współczująco przechylając głowę w moją stronę. - Tym bloku przy Woinowej, który został trafiony zeszłej nocy.

- Byłeś w środku, kiedy spadła bomba?

Pokręciłem głową. Zerknąłem na Kolę; nie zwracając na nas uwagi, ogryzkiem ołówka robił zapiski w swoim dzienniku. Z powrotem przeniosłem wzrok na medyków czekających mej odpowiedzi. To nieznajomi. Po co obarczać ich prawdą?

- Siedziałem u przyjaciół.

- Kilka osób się wydostało - powiedział jeden z chirurgów, Timofiej, wyglądający na malarza gość w okularach bez oprawek. - Słyszałem, jak ktoś wspominał o tym szpitalu.

- Naprawdę? Ile?

- Nie wiem. Nie słuchałem zbyt uważnie. Wybacz, ale po prostu... każdej nocy walą się jakieś domy.

Pogłoski o ocalałych podniosły mnie na duchu. Schron przeciwlotniczy w piwnicy wydawał się solidny, ludzie, którzy dotarli do niego na czas, mogli przeżyć. Wiera i bliźniaki zawsze gnali z rodzinami do piwnic na pierwszy głos syreny. Zawodiłow, ten bandzior, to inna sprawa - ani razu nie widziałem go w schronie. Przesypiał alarmy tak samo, jak wszystkie poranki: z zimnym kompresem na czole i nagą dziewczyną u boku. A przynajmniej tak to sobie wyobrażałem. Nie, na pewno nie zdążył do schronu, choć z drugiej strony, często spędzał noce poza Kirowem, pilnując swoich bandyckich interesów albo pijąc w mieszkaniu jakiegoś innego urki.

Sonia naląła słabej herbaty do dwóch szklanek, a potem podała je mnie i Koli. Zdjąłem rękawiczki po raz pierwszy od śniadania w gabinecie pułkownika. Ciepła szklanka w mych dłoniach sprawiała wrażenie żywej istoty, małego zwierzaka z duszą i bijącym sercem. Rozkoszując się parą muskającą moją twarz, dopiero po chwili się zorientowałem, że Sonia zadała mi jakieś pytanie.

- Przepraszam?

- Pytałam, czy twoja rodzina była w domu.

- Nie, matka z siostrą wyjechały we wrzeźniu.

- To dobrze. Moi tak samo. Młodszy bracia są w Moskwie.

- Ale Niemcy też już dotarli pod Moskwę - powiedział Paweł, młody człowiek o twarzy łasicy, który gapił się na rozpa-

loną kożę i nikomu nie patrzył w oczy. - Zdobędą ją w kilka tygodni.
- Niech sobie zdobywają - odparł Timofiej. - Zabawimy się z nimi w Roztopczyna, spalimy wszystko i zrobimy mały odwrót. Gdzie się skryją? Co będą jeść? Niech rozprawi się z nimi nasza zima.

- Zabawimy się w Roztopczyna... ech. - Sonia wykrzywiła twarz, jakby w nozdrze uderzył ją smród. - Robisz z niego bohatera.

- Bo był bohaterem. Nie powinnaś się uczyć historii od Tołstoja.

- Tak, tak, zacny hrabia Roztopczyn, przyjaciel ludu.

- Nie mieszaj w to polityki. Chodzi o strategię, nie walkę klas.

- Nie mieszać w to polityki? A co tu mieszać? Myślisz, że polityka nie ma związku ze sztuką wojenną?

Kola przerwał spór, zabierając głos. Wbijał wzrok w swoją trzymaną oburącz szklanę herbaty.

- Niemcy nie zdobędą Moskwy.

- A to wedle opinii jakiego eksperta? - zapytał Paweł.

- Wedle mojej opinii. Na początku grudnia szkopy były

0 trzydzieści kilometrów od miasta. Teraz są o sto. Wehrmacht nie cofał się nigdy dotąd. Nie ma pojęcia, jak to się robi. Jedyne, do czego szkoli się niemieckiego żołnierza, jedyne, co studiuje w swych podręcznikach taktycznych, to atak. Atak, atak

1 jeszcze raz atak. Teraz są w odwrocie i będą się cofać dopóty, dopóki jak neptki nie padną w Berlinie.

Przez bardzo długą chwilę nikt nie odezwał się ani słowem. Kobiety wpatrywały się w Kolę, a ich osadzone w wymizerowanych twarzach oczy jakby nieco pojaśniały. Chyba wszystkie się zakochały w moim kompanie.

- Wybacz, że pytam, towarzyszu - powiedział Paweł, kładąc ironiczny nacisk na słowo „towarzyszu” - ale skoro jesteś w wojsku taką szyczą, wtajemniczoną w najrozmaitsze niuanse strategiczne, to dlaczego siedzisz teraz w naszym skromnym gronie?

- Nie mogę dyskutować o swoich zadaniach - odparł Kola nieporuszony obraźliwym tonem chirurga. Upił łyżeczek herbaty i przez chwilę zatrzymał w ustach ciepły płyn. Czując na sobie wzrok Soni, posłał jej uśmiech.

Panowało milczenie. Nikt się nie poruszył, ale linie napięć uległy przemieszczeniu: na scenie, w blasku reflektorów, znaleźli się Kola i Sonia, my zaś, pozostali, przyjęliśmy na siebie role milczących widzów, którzy mają nadzieję, że zobaczą trochę golizny. Gra wstępna już się rozpoczęła, chociaż siedzieli z dala od siebie, okutani wieloma warstwami odzieży. Miałem nadzieję, że pewnego dnia jakaś dziewczyna będzie wpatrywać się we mnie w taki sposób, rozsądek jednak podszeptował mi, że to nigdy nie nastąpi. Chudy, wąski w barkach, z czujnymi i lęklivymi ślepkami gryzonia... cóż, nie byłem jednym z tych, którzy budzą w kobietach pożądanie. Najgorszy był mój nos, ten znienawidzony nos, tukanodzioby adresat tysięcznych zniewag. Już dostatecznie kiepsko było być Żydem w Rosji, a jeszcze dodatkowo Żydem o kinolu wprost z antysemitycznej karykatury - cóż, miało to dewastujący wpływ na samoocenę. Na ogół odczuwałem dumę, że jestem Żydem, nie chciałem jednak wyglądać na Żyda. Marzyłem o aryjskim wyglądzie: włosach blond, niebieskich oczach, potężnej klatce, wyrazistym podbródku. Chciałem być podobny do Koli.

Kola puścił oko do Soni i dopił herbatę. Z westchnieniem popatrzył na fusy w swojej szklance.

- Wiecie, że nie srałem od dziewięciu dni? - zapytał.

Tej nocy spaliśmy w stołowym - wszyscy z wyjątkiem Koli i Soni, którzy podnieśli się jak na niewidzialny sygnał i zniknęli w sypialni. Leżeliśmy wspólnie poprzykrywani kocami, jedno obok drugiego, tak że chociaż w nocy koza wygasła, nie trząsałem się z zimna zbyt mocno. Chłód w istocie przeszkadzał mi mniej niż zduszone pojękiwania Soni. Wyrażała nimi niewiarygodną rozkosz i szczęście, gdy Kola pracowicie wypierdalał z niej całą nędzę sześciu minionych miesięcy, wypierdalał głód, chłód, bomby, Niemców. Sonia była śliczna i dobra, ale z odrazą wsłuchiwałem się w odgłosy jej rozkoszy, bo to ja chciałem

być facetem, który swoim kutasem wyrywa ładną dziewczynę z cęgów obłączenia. A tymczasem leżałem na podłodze w cudzym mieszkaniu, obok jakiegoś nieznajomego typu, który podrygiwał we śnie i cuchnął jak gotowana kapusta.

Nie wyobrażałem sobie nawet, że seks może trwać tak długo - w ogóle kto ma dziś siłę na podobne wyczyny? - ale jak mi się przynajmniej zdawało, trwał przez pół nocy: Sonia pojękiwała, a Kola mówił coś ściszym głosem, jednak mimo cienkości ścian nie zrozumiałem ani słowa. Mówił spokojnie, jakby odczytywał jej artykuł z gazety. Zastanawiałem się, o czym u diabła gada. Co się mówi dziewczynie podczas dymania? Ta wiedza wydawała mi się ważna. Może cytował tego pisarza, którym się bez przerwy zachwyca. Może, choć to mało prawdopodobne, opowiadał jej o walce z kanibalem i jego żoną? Leżałem, nasłuchując, wiatr obruszał okna we framugach, ostatnie węgielki z trzaskiem dogorywały w kozie. Nic tak nie potęguje w człowieku poczucia osamotnienia jak dźwięki wydawane przez uprawiających miłość innych ludzi.

VIII

Nazajutrz, stojąc przed budynkiem odległym o dwie przecznice od Bramy Narwskiej, patrzyliśmy na olbrzymi plakat ze Żdanowem.

- To musi być tutaj - stwierdził Kola, przytupując dla rozgrzania się; choć trudno w to uwierzyć, było jeszcze zimniej niż poprzedniego dnia. Po bezchmurnym niebie wędrowała tylko jedna ażurowa chmurka, swoim wyglądem przywodząc na myśl szkielet ryby. Podeszliśmy do drzwi wejściowych, zamkniętych, jak łatwo było przewidzieć, na klucz. Kola załomotał w nie, ale nikt się nie pojawił. Staliśmy jak idioci, zabijaliśmy ręce i najgłębiej jak można, wciskaliśmy brody w zwoje szalików.

- No i co teraz zrobimy?

- W końcu ktoś będzie wchodził albo wychodził. Co cię dzisiaj ugryzło? Chyba jesteś nie w sosie.

- Nic mnie nie ugryzło - odparłem, choć sam usłyszałem nutę irytacji w tonie swojego głosu. - Potrzebowaliśmy godziny, żeby się tu dowlec, odczekamy następną, żeby wejść do środka i w dodatku przekonać się, że nie ma żadnego kurnika z drobiem.

- Nie, nie, nie, na wątrobie leży ci coś innego. Rozmyślasz o Kirowie?
- Oczywiście, że myślę o Kirowie - odwarknąłem zły, że pyta, bo przecież wcale nie rozmyślałem o Kirowie.

- Do jesieni mieliśmy takiego porucznika o nazwisku Bielak. Wojskowy z krwi i kości, nosił mundur od najmłodszych lat, walczył jeszcze z Białymi i tak dalej. No więc któregoś wieczoru zobaczył, jak pewien młokos, niejaki Lewin, zapłakuje się nad listem, który przed chwilą dostał. To było w okopach opodal Zielonogórska, niedługo przedtem, jak Finowie odbili miasto. Lewin ryczał tak strasznie, że nie mógł wydusić ani słowa. Kogoś zabili mu Niemcy, nie pamiętam - matka, ojciec czy może cała rodzina. Nie wiem. W każdym razie Bielak wyjął mu list z rąk, złożył bardzo starannie, potem wsunął do kieszeni jego płaszczka i powiedział: „Dobra, wyrzuć to z siebie. Ale potem nie chcę już widzieć żadnych twoich łez aż do dnia, kiedy Hitler zawiśnie na stryczku”.

Uciekając spojrzeniem w dal, Kola ważył w myślach słowa porucznika. Miał je pewnie za brzemiennie treścią. Mnie wydały się jednym z tak znienawidzonych przez ojca koturnowych gotowców, recytacją wydumaną przez partyjnego dziennikarzynę na potrzeby którejś z rzędu triumfalistycznej czytanki z cyklu „Frontowi bohaterowie”, ciągniętego bez końca przez „Komsomolską Prawdę”.

- I co, przestał płakać?

- No, wtedy przestał. Tylko trochę pociągał nosem. Ale w nocy zaczął na nowo. Nie w tym jednak rzecz.

- A w czym?

- Nie masz czasu na rozpacz. Faszyci chcą naszej śmierci. Płaczymy sobie do woli, ale czy pomoże nam to w walce?

- Kto tu płacze? Bo ja nie.

Kola mnie nie słuchał. Usiłował wydłubać paznokciem coś, co mu utkwiało pomiędzy przednimi zębami.

- Kilka dni później Bielak wszedł na minę. Paskudna sprawa te miny przeciwpiechotne. Robią z ludzkim ciałem takie rzeczy, że...

Urwał, kontemplując w myślach zmasakrowane zwłoki dawnego dowódcy, a ja poczułem się głupio, że sformułowałem pod adresem porucznika obraźliwą ocenę. Może jego słowa brzmiały jak slogan, ale przecież usiłował pomóc młodemu żołnierzowi, oderwać jakoś jego uwagę od rodzinnej tragedii, a takie intencje liczą się bardziej niż dar dobierania oryginalnych sformułowań.

Kola ponownie załomotał w drzwi bloku. Odczekał chwilę, westchnął i podniósł wzrok na przemierzającą niebiosą samotną chmurkę.

- Chciałbym z rok czy dwa pomieszkać w Argentynie. Nigdy nie widziałem oceanu. A ty?

- Też nie.

- Skwaszonyś jak ogórek, mój Izraelito. Powiedz dlaczego.

- Idź dogodzić świni.

- Ach! Tu leży pies pogrzebany! - Pchnął mnie lekko, odskoczył na ugiętych nogach, skrył się za podwójną gardą i udawał, że ze mną sparuje.

Przysiadłem na schodku. Nawet ten niewielki ruch sprawił, że przed oczyma przeleciał mi rój iskierek. Z rana wypiliśmy u Soni jeszcze po jednej herbacie, ale do jedzenia nie było nic, a ja postanowiłem przyoszczędzić resztkę bibliotecznego cukierka. Podniosłem wzrok na Kolę, który teraz przyglądał mi się z niejaką troską.

- Co tam gadałeś zeszłej nocy? - zapytałem. - Znaczy, kiedy, no wiesz, kiedy z nią byłeś.

Kola zmrużył oczy, stropiony moim pytaniem.

- Z kim? Z Sonią! Co wtedy mówiłem?

- Paplałeś coś przez cały czas.

- Kiedyśmy się kochali?

Samo nazwanie rzeczy po imieniu wprawiało w zakłopotanie. Skinąłem głową, a Kola zmarszczył czoło.

- Nie pamiętam, żebym coś mówił.

- Mówiłeś bez chwili przerwy!

- Chyba to, co zwykle. - Nagły uśmiech rozjaśnił mu twarz. Przycupnął obok mnie na progu. - Ależ to jasne, ktoś,

kto nigdy nie odwiedził takiego czy innego kraju, nie ma pojęcia o panujących w nim obyczajach. Chciałbyś wiedzieć, co należy mówić.

- Ot, zadałem pytanie jak każde inne.

- Ale dręczy cię ciekawość. Dlaczego dręczy? Bo jesteś kapkę zdenerwowany. Chcesz postąpić właściwie, kiedy wreszcie przytrafi ci się okazja. Mądrze z twojej strony. Mówię serio! I nie krzyw znowu pyska. Pokażcie mi drugiego, który tak źle przyjmuje komplementy! Teraz posłuchaj: kobiety nie lubią milkliwych kochanków. Dają ci coś niezwykle cennego i chcą wiedzieć, że doceniasz ich dar. Kiwnij głową, żebym wiedział, że słuchasz.

- Słucham.

- Każda kobieta ma kochanka z koszmaru i kochanka z marzeń. Kochanek z koszmaru wali się na nią, przygniata bandziochem, wtyka w nią swój instrumencik i dźga tak długo, aż dobiegnie do mety. Zaciska powieki, milczy jak zaklęty; zasadniczo onanizuje się po prostu w cipce bieduli. Natomiast kochanek wymarzony...

Usłyszeliśmy „szu, szu” płóz na ubitym śniegu, a gdyśmy się odwrócili, zobaczyliśmy dwie dziewczyny ciągnące na sankach wiadro lodu z rzeki. Kierowały się prosto na nas, wstałem więc i otrzepałem szubę, odczuwając ulgę, że wykład Koli został przerwany. Kola również wstał.

- Witam panie. Potrzebujecie może pomocy przy wnoszeniu tego lodu?

Dziewczyny wymieniły spojrzenia. Były mniej więcej w moim wieku, a takie same u obu szerokie twarze i pokryte meszkiem zarostu górne wargi wskazywały, że są siostrami albo bliskimi kuzynkami. Były okazującymi nieufność wszystkim nieznanym nieodrodnymi córkami Pitra, ale z drugiej strony myśl o włożeniu na górę z czterema wiadrami lodu...

- Kogo przyszłście odwiedzić? - zapytała jedna z nich, artykułując słowa z pedantyczną poprawnością bibliotekarki.

- Chcielibyśmy zamienić kilka słów z pewnym obywatelem na temat jego kur - odparł Kola, przedkładając uczciwość nad

wykręty. Spodziewałem się, że dziewczyny parskną śmiechem, ale zachowały powagę.

- Zastrzeli was, jeśli tam pójdziecie - ostrzegła druga dziewczyna. - Nikomu nie pozwala się zbliżyć do swoich kur.

Wymieniliśmy z Kola spojrzenia. Kola oblizał wargi, na powrót odwrócił się do dziewczyn i posłał im najbardziej uwodzicielski ze swych uśmiechów...

- Pozwólcie, że pomożemy wam z tymi wiadrami. Później będziemy się przejmować starym.

Na czwartym piętrze, gdy wszystkie warstwy mej odzieży były przepecone na wylot, a rachityczne nożyny dygotały z wysiłku, zacząłem żałować, że wybraliśmy akurat taki sposób wejścia do budynku. Przecież musiały istnieć łatwiejsze. Na każdym podeście robiliśmy długie przerwy: usiłowałem przy ich okazji złapać oddech, a zdjawszy rękawice, gimnastykowałem dłonie i badałem głębokie wgniecenia spowodowane przez rączki wiader. Kola wypytywał dziewczyny o lektury i sprawdzał, czy znają na pamięć początkowe strofy *Eugeniusza Oniegina*. Mnie wydały się bezbarwne, trochę intelektualnie ospałe, pozbawione łobuzerskiej iskierki w oku i błyskotliwości w słowach, ale Koli nie nudziło niczyje towarzystwo. Gwarzył z nimi, jak gdyby były najrozkoszniejszymi istotami, jakie kiedykolwiek zaszczyliły swą obecnością bal, patrzył w oczy to jednej, to drugiej, nie pozwalał, by cisza zapadła choć na moment. Na czwartym piętrze nie uległo kwestii, że obie są nim oczarowane i - jak wyczuwałem - próbują wykombinować, która z nich ma większe szanse.

Znów wezbrała we mnie fala zawiści, to poczucie krzywdy zmieszane ze złością i wzdargą wobec samego siebie. Dlaczego przypadł im do gustu? Taki chełpliwy gaduła?! I dlaczego zazdroszczę mu ich uwagi? W końcu nic mnie nie obchodziły, żadna nie pociągała mnie w najmniejszym stopniu. Facet wczoraj uratował mi życie, a dziś klnę go w żywy kamień, bo w jego towarzystwie dziewczyny wpadają w osobliwe zakłopotanie, oblewają się krwistymi rumieńcami, wbijają wzrok w podłogę i międlą w palcach guziki swych palt.

Ale Sonia mi się podobała. Sonia z jej półksiężycowatym dołeczkiem, z jej ciepłem, Sonia, która otworzyła przede mną swój dom, zaproponowała mi gościnę, gdybym jej potrzebował. Sonia, którą zabije jeszcze jeden tydzień głodówki... aż nazbyt łatwo było dostrzec kontury jej czaszki pod niemal przezroczystą skórą. Może dlatego tak bardzo przypadła mi do gustu, że poznałem ją zaledwie pół godziny po zobaczeniu ruin Kirowa. Może jej widok nie pozwolił mi nieodwracalnie utonąć w rozmyślaniach o wszystkich moich sąsiadach uwięzionych pod usypiskiem betonowych złomów.

Nawet kiedy te obrazy wślizgiwały się do mego umysłu, brakło im zadziórów, by się w nim zakotwiczyć - przepływały bezboleśnie, a ja łapałem się na tym, że znowu myślę o córce pułkownika albo samym pułkowniku, o ścigającym nas olbrzymie czy też kobiecie z Bazaru kupczącej Badajewskim Błotem. Kirów wracał do mnie, jeżeli w ogóle wracał, jedynie jako budynek, plac zabaw mojego dzieciństwa: jego długie korytarze jakby stworzono do zabawy w berka, jego klatki schodowe z witrażowymi oknami pokrytymi tak grubą warstwą kurzu, że łatwo było czubkiem palca narysować na nich swój autoportret, jego podwórko, gdzie po pierwszej większej śnieżycy gromadziła się cała dzieciarnia z bloku, by stoczyć bitwę na śnieżki - trzy niższe kondygnacje przeciwko trzem wyższym.

Moi przyjaciele i sąsiedzi - Wiera, Oleg, Grisza, Luba Nikołajewna, Zawodiłow - odrealnili się w mej pamięci tak szybko, jakby śmierć wymazała wszystko, co robili za życia. Może zawsze wiedziałem, że znikną pewnego dnia i dlatego zachowałem wobec nich dystans; śmiałem się z ich żartów, słuchałem, jakie mają plany, ale nigdy do końca nie wierzyłem, że naprawdę istnieją. Taki opanowałem mechanizm obronny. Kiedy enkawudziści zabrali mojego ojca, byłem głupim dzieciakiem niezdolnym pojąć, jakim cudem człowiek - człowiek niepokorny i błyskotliwy - może za pstryknięcie z palców niewidocznego biurokraty przestać istnieć niczym papierosowy dym wydmuchiwany na syberyjskiej wieży strażniczej przez znudzonego wartownika, który błędząc spojrzeniem po zaśnieżonych la-

sach, nie ma świadomości, że rozciągnięty w górze przepastny błękit tylko czeka, żeby połknąć dym, jego samego i wszystko, co rośnie na dole.

Kola postawił wiadro przed drzwiami mieszkania dziewczyn, pożegnał się z nimi i gestem polecił mi zrobić to samo.

- Uważajcie na siebie - poradziła jedna z dziewczyn, ta odważniejsza, jak uznałem. - Ma osiemdziesiąt lat, ale strzeli do was bez wahania.

- Walczyłem na pierwszej linii ze szkopami - odparł Kola, dodatkowo uspokajając dziewczynę uśmiechem i puszczeniem oka. - Dam sobie radę i ze zbzikowanym dziaduniem.

- Gdybyście schodząc na dół, mieli ochotę coś zjeść, to gotujemy akurat zupę - dodała druga dziewczyna. Ta śmielsza posłała jej jadowite spojrzenie, a ja, nie będąc w gruncie rzeczy ciekaw odpowiedzi, zadałem sobie pytanie, czy wkurzyła ją propozycja poczęstunku czy zalotny gest.

Pokonaliśmy z Kolą ostatni bieg schodów wiodących na dach.

- Plan jest prosty - oświadczył Kola. - Mówię ja. Mam podejście do starych.

Pchnięciem otworzyłem drzwi, wiatr smagał nasze twarze drobinami lodu i miejskich brudów. Pochyliliśmy głowy i ciężko ruszyliśmy przed siebie, jak dwaj beduini zmagający się z burzą piaskową. Przed sobą mieliśmy miraż czy też coś, co mogło być tylko mirażem - szopę zbitą z desek i papy, puszczelnianą kłębkami szmat i starymi gazetami. Byłem miastowym chłopakiem z krwi i kości, nigdy nie widziałem prawdziwej wsi, a nawet krowy, a jednak natychmiast uznałem konstrukcję za kurnik. Kola popatrzył na mnie. Obu nam od wiatru łzawiły oczy, ale uśmiechaliśmy się od ucha do ucha jak wariaci.

Z jednej strony kurnika były drzwi z niezalozonym wtej chwili haczykiem. Kola delikatnie zapukał. Nikt nie odpowiedział.

- Jest tam kto? Nie strzelajcie do nas! Ha, ha, ha! Po prostu chcieliśmy wam złożyć wizytę... Halo? Dobra, otworzę drzwi. Jeśli to zły pomysł, jeśli myślicie o strzelaniu, powiedzcie to od razu.

Kola odsunął się w bok od ościeżnicy, kiwnął na mnie, żebym postąpił tak samo, a potem pchnął drzwi czubkiem buta. Daremnie czekaliśmy na wrzask, przekleństwo czy strzał. Kiedy uznaliśmy, że nic nam nie grozi, zajrzeliśmy do szopy. Panujący w niej półmrok rozświetlał tylko kaganek wiszący na haczyku wbitym w ścianę. Podłoga pokryta starą słomą cuchnęła ptasimi odchodami. Wzdłuż jednej ze ścian stały rzędem pojedyncze puste kojce. W głębi kurnika, oparty plecami o ścianę, siedział z podciągniętymi pod brodę kolanami chłopiec w damskim futrze z królików. Wyglądał groteskowo, ale nie sprawiał wrażenia przemarzniętego.

Również oparty plecami o ścianę, tyle że obok kojców, siedział na słomie martwy mężczyzna z rozrzuconymi sztywnymi kończynami; przywodził na myśl zapomnianą marionetkę. Miał długą białą brodę dziewiętnastowiecznego starowiera i skórę jak stopiony wosk. Na jego kolanach wciąż spoczywała antyczna śrutówka. Sądząc po wyglądzie, nie żył od wielu dni.

Patrzyliśmy z Kola na ten ponury obraz, czując się jak intruzi, którzy wtargnęli w światek czyjegoś nieszczęścia. Przynajmniej ja się tak czułem. Byłem znacznie podatniejszy na uczucie wstydu niż Kola, który teraz wszedł do kurnika, przyklęknął obok chłopca i ścisnął go za kolana.

- Dobrze się czujesz, żołnierzyku? Chcesz może wody? Chłopak nawet na niego nie spojrzał. Jego osadzone w wymizerowanej twarzy niebieskie oczy wydawały się ogromne. Odłamałem kawałek bibliotecznego cukierka, wszedłem do kurnika i wyciągnąłem rękę. Oczy chłopca powoli powędrowały się w moją stronę. Zanim wróciły do poprzedniego położenia, zarejestrowały, miałem wrażenie, moją obecność i pożywienie w dłoni. Mały był jedną nogą na tamtym świecie.

- To twój dziadek? - zapytał Kola. - Powinniśmy znieść go na dół. Nie służy ci, że sam tu z nim siedzisz.

Chłopiec otworzył usta i zrobił to chyba z ogromnym wysiłkiem. Miał tak zaskorupiałe wargi, jakby je ze sobą sklejono.

- On nie chce zostawić ptaków.

Kola powiódł spojrzeniem po pustych kojcach.

- Chyba w tej chwili już może. Chodź, piętro niżej są sympatyczne dziewczyny, dadzą ci zupy i wody do picia.

- Nie jestem głodny - odparł chłopiec i utwierdziłem się w przekonaniu, że już po nim.

- A jednak chodź - powiedziałem. - Tu jest za zimno. Ogrzejemy cię i napoimy...

- Muszę pilnować ptaków.

- Ptaki zniknęły - rzekł Kola.

- Nie wszystkie.

Powątpiewałem, czy chłopiec dożyje jutra, ale nie chciałem, żeby umierał w samotności, mając za jedyne towarzystwo puste kojce i brodatego trupa. Zwłoki widziało się w Pitrze na każdym kroku - wypiętrzone w stosy na placu za kostnicą miejską, kremowane w dołach przy cmentarzu Piskariewskim, porozrzucane na lodzie jeziora Ładoga, gdzie mogły się do woli dziobać mewy, jeśli w ogóle uchowały się jeszcze jakieś mewy. Ale trudno mi było wyobrazić sobie miejsce bardziej samotnej śmierci niż ta szopa.

- Posłuchaj - powiedział Kola, potrząsając jednym z pustych kojców.

- Dom jest pusty. Dobry był z ciebie strażnik, strzegłeś ptaków, ale już ich nie ma. Chodź z nami.

Wyciągnął rękę, ale chłopiec ją zignorował.

- Rusłan by was zastrzelił.

- Rusłan? - Kola zerknął na ciało starego. - Groźny był z niego dziad, co? To się widzi. Rad jestem, że ty z tych łagodniejszych.

- Mówił, że cały dom ma chrapkę na nasze ptaki.

- Miał rację.

- Mówił, że jeśli nie będziemy czujni, zakradną się, poderzną nam gardła, ukradną ptaki i zrobią z nich rosół. Pełniliśmy straż na zmianę.

Mówił beznamiętnym głosem, ani przez moment nie podnosząc na nas swych zmętniałych i niezogniskowanych oczu. Dopiero teraz zorientowałem się, że dygocze, że szczękają mu zęby, kiedy przestaje mówić. Po jego policzkach i szyi rozpełzły się jasnobrażowe plamy: ostatni akt samoobrony konającego organizmu.

- Mówił, że utrzymają nas przy życiu do końca oblężenia. Że dwa jajka dziennie i racje zupełnie nam wystarczą. Ale nie potrafiliśmy zapewnić ptakom dość ciepła.

- Musisz zapomnieć o tych cholernych kurach. Chodź, daj rękę.

Chłopiec wciąż go ignorował i w końcu Kola przywołał mnie na pomoc. Wtedy dostrzegłem coś dziwnego: ruch w miejscu, gdzie nic nie powinno się ruszać, drżenie pod króliczym futrem, jak gdyby wielkie serce waliło tam z taką mocą, że mogło unosić grubą odzież.

- Co tam masz? - zapytałem.

Chłopiec uspokajającym gestem pogładził futro i po raz pierwszy spojrzął mi w oczy. Może był osłabiony i odległy od mety zaledwie o milimetry, ale jednak dostrzegłem w nim hart i upór, odziedziczone po starym.

- Rusłan by was zastrzelił.

- Tak, tak, jużesmy to słyszeli. Uratowałeś jednego ptaka, prawda? Ostatniego. - Kola zerknął na mnie. - Ile jajek może dziennie znieść kura?

- Skąd do cholery mam wiedzieć?

- Posłuchaj, chłopcze, dam ci za to ptaszysko trzysta rubli.

- Proponowano nam po tysiącu. Zawsze odmawiał. Kury przez zimę utrzymają nas przy życiu, mówił. A co możemy zrobić z rublami?

- Na przykład kupić coś do jedzenia. Ten ptak zdechnie jak pozostałe, jeśli będziesz go tu trzymał.

Chłopiec pokręcił głową. Rozmowa męczyła go i powieki opadły mu niżej.

- Dobra, co powiesz na to? Daj - powiedział Kola, wyrwał mi z ręki cukierek biblioteczny, dołożył do niego swój ostatni plaster kiełbasy, trzysta rubli i położył to wszystko na podółku chłopca.

- To wszystko, co mamy. Teraz posłuchaj. Umrzesz dziś w nocy, jeśli się stąd nie ruszysz. Musisz coś zjeść i musisz zebrać się z tego dachu. Zaprowadzimy cię do tych dziewczyn na czwartym...

- Nie lubię ich.

- Nie musisz się z nimi żenić. Damy im te pieniądze, a one nakarmią cię zupą i pozwolą zostać kilka dni, żebyś mógł dojść do siebie.

Chłopcu starczyło siły jedynie na ledwo dostrzegalny ruch głową, ale jego sens był oczywisty: chłopak nigdzie się nie wybierał.

- Zostajesz tu, żeby pilnować kury? Czym u diabła zamierzasz ją karmić?

- Zostaję dla Rusłana.

- Trzeba z żywymi naprzód iść... więc pójdiesz z nami. Chłopiec zaczął rozpinać futro. Krył się pod nim niczym przyssany do cyca niemowlak, oszołomiony ptak o zmierzwionych powyskubywanych piórach brązowej barwy. Żałośniej sze-go nie widziałem w życiu, w ulicznej bójce spuściłby mu manto zdrowy wróbel.

Chłopiec wyciągnął kurę w stronę Koli, który wlepił w nią wzrok, nie mając pojęcia, co zrobić czy powiedzieć.

- Bierz - szepnął chłopak.

Kola popatrzył na mnie, a potem znowu na chłopca. Był zbity z pantałyku jak nigdy dotąd w mojej obecności.

- Nie potrafiłem utrzymać ich przy życiu - powiedział chłopiec. - w październiku mieliśmy szesnaście. Oto co z nich zostało.

Kola wziął kurę z rąk chłopca; trzymał ją z dala od twarzy w obawie, że może drapnąć go po oczach zakrzywionymi pazurkami. Ale nie miała w sobie woli walki - bezwładnie zwisając z dłoni Koli, drżała z zimna i patrzyła tępo.

- Musi mieć ciepło - rzekł chłopiec.

Kola rozpiął szynel i wsunął ptaka pod połę, gdzie mógł się zagnieździć w grubej odzieży i znaleźć nieco powietrza do oddychania.

- A teraz idźcie.

- Chodź z nami - spróbowałem raz jeszcze, chociaż wiedziałem, że to próba daremna. - Nie powinieneś zostawać tu sam.

- Nie jestem sam. Odejdźcie.

Spojrzałem na Kołę, a ten skinął głową. Ruszyliśmy w stronę zwichrowanych drzwi. Po drodze obejrzałem się przez ramię na chłopca, który siedział w milczeniu, okutany swym damskim futrem.

- Jak masz na imię?

- Wadim.

- Dziękujemy, Wadim.

Skinął głową. Jego oczy zdecydowanie były zbyt wielkie i zbyt błękitne jak na pobladłą wymizerowaną twarz.

Zostawiliśmy go w kurniku samego z martwym starcem, pustymi kojcami, dogasającym kagankiem, trzystoma rublami i niechcianym jedzeniem na podołku.

IX

Sonia uzbierała koszyk drzazg z roztrzaskanych belek stropowych zniszczonej podczas bombardowania szkoły pielęgniarskiej na Wyspie Wasiliewskiej i teraz siedzieliśmy wokół rozpalonej kozy; popijaliśmy słabą herbatę i spoglądaliśmy na anemiczną kurę. Ze starej puszkę po cukierkach skonstruowaliśmy jej prowizoryczny kojec, wysłany podartą gazetą: ptak przycupnął na niej z łebkiem wciśniętym w pierś, kompletnie ignorując garsteczkę prosa wysypaną przez nas na kawałki wstępniaka, w którym Moskwa błagała nas, byśmy wytrwali. Pierdolona Moskwa. W Pitrze panowało powszechne przekonanie, że jeśli w ogóle miało dojść do jakiegoś oblężenia, to w gruncie rzeczy lepiej, iż trafiło na nas, bo my przetrwamy wszystko, podczas gdy utuczone jak wieprzki gryzpióry ze stolicy poddadzą się najbliższemu Oberleutnantowi, jeśli nie dostaną swojego cotygodniowego przydziału jesiotra. „Są tak samo do dupy, jak Francuzi”, mawiał Oleg, choć zdawał sobie sprawę, że w porównaniu posuwa się za daleko.

Kola nazwał kurę Luboczką, choć wzrok, którym odwzajemniała nasze spojrzenia, nie wyrażał sympatii, lecz raczej tępotę i podejrzliwość.

- Nie musi zostać wydymana, zanim złoży jajka? - zapytałem.

- Chyba nie - odparła Sonia, odrywając z wargi strzępek suchego naskórka. - Moim zdaniem kogut wprowadzie zapładnia jajka, ale kura znosi je z własnej inicjatywy. Mój wujek jest kierownikiem drobiarskiego sowchozu w Mdze.

- Więc się znasz na kurach? Pokręciła głową.

- Nigdy tam nie byłam.

Byliśmy bez wyjątku dziećmi miasta. Nigdy w życiu nie dołem krowy, nie rozrzucałem gnoju i nie balotowałem siana. W Kirowie często robiliśmy sobie jajca z kołchoźników, ich koszmarnych fryzur i piegowatych karków. Teraz to oni mieli ubaw, kiedy bowiem pokrzepiali się świeżo ubitym królikiem czy dzikiem, my usiłowaliśmy przeżyć na zapleśniałym chlebie kartkowym.

- Nie zdąży złożyć dwunastu jajek do czwartku - stwierdziłem. - Nawet nie dociągnie do czwartku.

Kola, siedząc z szeroko rozrzuconymi nogami na kuchennym taborecie, gryzmolił w notesie ciągle malejącym ogryzkiem ołówka.

- Nie spisujmy jej tak od razu na straty - odparł, nie odrywając się od pisania. - To leningradzka kura, twardsza, niż można by sądzić po wyglądzie. Niemcy myśleli, że będą gwiazdkę świętować w Astorii, nieprawdaż?

Faszyści wydrukowali sobie tysiące zaproszeń na wielki bal zwycięstwa, który Hitler zamierzał urządzić w hotelu Astoria, kiedy już zdobędzie coś, co w przemówieniu do swych wymachujących pochodniami szturmowców określił mianem „kolebki bolszewizmu, miasta złodziei i larw”. Nasi żołnierze znaleźli trochę takich zaproszeń przy zwłokach poległych oficerów Wehrmachtu. Przedrukowano je w gazetach i zrobiono masę reprodukcji, które porozklejano po całym mieście. Wszyscy wzięci do kupy propagandziści politbiura nie wymyśliliby lepszego numeru. Nienawidziliśmy faszystów za głupotę równie mocno, jak za wszystkie inne cechy, które ich charakteryzowa-

ły - jeśli będziemy musieli uciec, nie zostawimy żadnych hoteli, w których szkopy będą raczyć się sznapsem i sypiać w luksusowych apartamentach. Jeśli będziemy musieli ulec, miasto upadnie razem z nami.

- Może jest nieśmiała - zasugerowała Sonia. - Może nie chce się nieść na oczach ludzi.

- A może po prostu jest spragniona.

- Mhm, celna uwaga. Przynieśmy jej wody.

Nikt się nie ruszył z miejsca. Bez wyjątku głodni i zmęczeni, mieliśmy nadzieję, że obowiązek napojenia kury weźmie na siebie ktoś inny. Na dworze zaczynało szarzeć, słyszeliśmy monotonne pomrukiwanie rozgrzewających się szperaczy, czemu towarzyszyło stopniowe jaśnienie masywnych włókien żarowych. Samotny suchoj krążył nad miastem, dodając nam otuchy statecznym pomrukiem śmigieł.

- Szpetna jest jak rozdeptana kupa, prawda?

- Gdzie tam, uważam, że rozkoszna - zaoponowała Sonia.

- Przypomina mi babcię.

- A jak by nią tak potrząsnąć? Może wtedy wypadnie jajko.

- Potrzebuje wody.

- Tak, trzeba jej dać wody.

Minęła następna godzina. W końcu Sonia pozapalała kaganki, włączyła radio, nalała z dzbanka trochę wody na spodek i wstawiła go do pudła Luboczki. Luboczka spojrzała na Sonię spode łba i nie podjęła wysiłku upicia choćby łyżką.

Sonia wróciła na miejsce i westchnęła. Po chwili, odzyskawszy nieco energii, odwróciła się do niciaka ustawionego obok jej krzesła, wzięła dziurawa skarpetę, igłę, nitkę, a w końcu grzybek do cerowania, który wepchnęła do skarpetki, żeby ją napiąć. Śledziłem ruchy jej chudych palców. Była śliczną dziewczyną, ale jej dłonie - blade, obciążone tylko skórą

- przywodziły na myśl ręce kostuchy. Umiała jednak cerować: połyskując w świetle kaganków, igła nurkowała i wylatywała w górę tak miarowo i szybko, że wywierało to na mnie efekt nieomal usypiający.

- Wiecie, kto jest naprawdę wredną kurewką? - ni z gruszki, ni z pietruszki zapytał Kola. - Natasza Rostowa.

W pierwszej chwili nie bardzo kojarzyłem, o kim mówi. Sonia zmarszczyła czoło, ale nie przerwała cerowania.

- Ta z *Wojny i pokoju*?

- Nie znoszę tej dziwki. Wszyscy się w niej zakochują

- wszyscy, nawet bracia - choć jest kompletnie bezbarwną kretynką.

- Może właśnie dlatego - zauważyła Sonia.

Na poły śpiąc, uśmiechnąłem się pod nosem. Jak, pomimo wszystkich jego irytujących cech, można było nie lubić faceta, który potrafi odczuwać namiętną niechęć do postaci literackiej?

Zwinne kościste dłonie Soni uporały się z dziurami w skarpecie. Kola bębnił palcami po udzie, gniewnie marszcząc brwi na myśl o Nataszy Rostowej i niesprawiedliwości tego wszystkiego. Luboczka drżała mimo ciepła panującego w pokoju i usiłowała skryć w piórach na piersi cały łeppek, jakby uroiła sobie, że jest żółwiem.

Przez radio przemawiał dramaturg Gierasimow: „Śmierć tchórzom! - grzmiał. - Śmierć siewcom paniki! Śmierć plotkarzom! Pod sąd łajdaków! Dyscyplina! Odwaga! Stanowczość! I zapamiętajcie sobie: Leningrad nie boi się śmierci. To śmierć boi się Leningradu”.

Prychnąłem i Kola podniósł na mnie wzrok.

- Coś nie tak? Nie przepadasz za starym Gierasimowem?

- Za kim tu przepadać?

- Tak czy owak to patriota. Jest tu, w Pitrze, a nie na jakiejś bezpiecznej mecie z Achmatową i jej podobnymi.

- Podzielał opinię Lwa - powiedziała Sonia i dołożyła do piecyka garść drzazg. Żar zamigotał na jej płowych włosach, a małe uszy przez moment stały się purpurowe i przezroczyście.

- To komiwojażer partyjnej ideologii, ot i wszystko.

- Gorzej - dodałem, czując, że do mojego głosu wkradają się gniewne nuty. - Nazywa siebie pisarzem, ale nienawidzi pisarzy - czyta innych tylko po to, by wytropić w ich utworach

niecenzuralne treści. Kiedy uzna, że je znalazł, składa donos w litbiurze, przystępuje do bezwzględniego ataku w prasie i w radiu. I po ptakach. Ktoś, z jakiegoś komitetu, stwierdza: „No, Gierasimow utrzymuje, że obywatel taki a taki stanowi zagrożenie, a ponieważ Gierasimow to nasz człowiek, więc ten obywatel zapewne stanowi...”

Urwałem raptownie. Miałem wrażenie, że ściany mieszkania powtarzają echem moje zabarwione goryczą słowa, ale pewnie tylko sobie roiłem, zakłopotany, że ujawniłem zbyt wiele i zbyt wcześnie. Sonia i Kola wpatrywali się we mnie uporczywie - ona z troską, on zaś z czymś na kształt podziwu, jak gdyby nagle odkrył, że ktoś, kogo miał za głuchoniemego, potrafi mówić.

- Twoim ojcem był Awram Beniow.

Milczałem, ale też Kola nie zadał mi pytania. Skinął głową ze stanowczością człowieka, dla którego wszystko stało się nagle jasne.

- Powinienem był dodać dwa do dwóch znacznie szybciej. Nie wiem, dlaczego postanowiłeś ukrywać coś takiego. Był poetą, poetą z prawdziwego zdarzenia, jakich wielu nie mamy. Powinieneś być z niego dumny.

- Nie musisz mi o tym przypominać - odwarknąłem. - Jeśli zadajesz dziesiątki kretyńskich pytań, a ja nie chcę na nie odpowiadać, to wyłącznie moja sprawa. Nie gadam z nieznanymi o swojej rodzinie. Ale nigdy, przenigdy nie pouczaj mnie, żebym był dumny ze swojego ojca.

- Dobra, dobra - powiedział Kola, podnosząc ręce - w porządku, przepraszam. Nie chciałem, żeby tak to wypadło. Po prostu odnosiłem wrażenie, że nie jesteśmy już dla siebie zupełnie obcymi ludźmi.

- Czuję się jak kretynka - wyznała Sonia. - Wybacz, Lew... ale nigdy nie słyszałem o twoim ojcu. Był poetą?

-1 to wielkim - stwierdził Kola.

- Umiarkowanie przyzwoitym, jak sam utrzymywał. Powtarzał, że w jego pokoleniu jest Majakowski i cała reszta, a on lokuje się gdzieś w środku tej całej reszty.

- Nie, nie, nie słuchaj go. Był świetnym pisarzem. Naprawdę, Lew, nie mówię tego przez kurtuazję. *Stary poeta, niegdyś sławny, jakim widziano go w kawiarni.* Cudowny wiersz.

Wiersz, który zamieszczano we wszystkich antologiach, przynajmniej tych publikowanych przed tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. Odkąd zabrano ojca, czytałem go dziesiątki razy, ale po raz pierwszy od lat usłyszałem jego tytuł z cudzych ust.

-1 został... został... - W tym miejscu Sonia wykonała podbródkiem taki ruch, jakim pokazuje się „tam!”. Mógł oznaczać różne rzeczy: zesłany do gułagu, zabity strzałem w potylicę, uciszony na rozkaz Komitetu Centralnego. Szczegóły nigdy nie były znane. - Czy został wyeliminowany? - zapytała, a ja skinąłem głową.

- Nauczyłem się tego wiersza na pamięć - powiedział Kola, ale zrobił mi uprzejmość i nie przystąpił do recytowania.

Otworzyły się drzwi wejściowe i wszedł Timofiej, jeden z lekarzy, których poznałem minionego wieczoru, zbliżył się do piecyka, zaczął grzać ręce i wtedy dostrzegł Luboczkę siedzącą w swym kojcu; przykucnął i opierając dłonie na kolanach, uważnie obejrzał ptaka.

- Skąd to macie?

- Kola i Lew dostali ją od pewnego chłopaka.

Timofiej wstał i uśmiechnął się do nas szeroko, a potem wyjął z kieszeni płaszcz dwa duże cebule.

- Wykombinowałem je w szpitalu. Nie miałem w planie się dzielić, ale wygląda na to, że dziś wieczorem jest szansa na fantastyczny rosółek.

- Luboczka nie jest na ubój - odparł Kola. - Ma nam znieść jajka.

- Jajka? - Timofiej popatrzył na nas, przeniósł wzrok na Luboczkę, a potem ponownie na nas. Najwyraźniej sądził, że żartujemy.

- Wszyscy stawiają na Luboczce krzyżyk - ciągnął Kola - a ja twierdzę, że ma potencjał. Znasz się trochę na kurach? Sądzisz, że do czwartku zdąży znieść tuzin jajek?

- O czym ty gadasz, do jasnej cholery?

Chirurg wydawał się coraz bardziej poirytowany i Kola, obrażony jego tonem, spiorunował go wzrokiem.

- Nie rozumiesz po rosyjsku? Nam zależy na tych jajkach. :

W powietrzu wisiała przemoc, która mogła mieć fatalne skutki dla Armii Czerwonej: potrzebowaliśmy lekarzy, a tego Kola rozgniółłby o ścianę jednym prostym. W końcu jednak Timofiej parsknął śmiechem i potrząsając głową, zachęcał, byśmy doń dołączyli.

- Śmieć się do woli - powiedziałem - ale kury nie tkniesz.

- To nie kura, kretynie. To kogut.

Kola zawahał się, niepewny, czy chirurg żartuje sobie z nas, czy też stosuje chytry wybieg, aby Luboczka trafiła do zupy. Wychyliłem się z krzesła i uważnie popatrzyłem na ptaka. Nie wiem, dlaczego sądziłem, że to coś da. Bo czego mógłbym wypatrywać - maleńkich jąderek?

- Więc mówisz, że nie możemy na nią liczyć w kwestii znoszenia jajek?

Chirurg odpowiedział tak powoli, jakby dyskutował z imbecylami.

- Na niego. I szanse wyglądają kiepsko.

X

Tego wieczoru zupa smakowała czerwcem, smakowała tak, jak obiady zapamiętane sprzed oblężenia. Pewien lotnik, wielbiciel Soni, obdarował ją niezepsutym kartoflem. Kola oświadczył wyniośle, że nie chce zjadać prezentów od innego kochanka, ale jego protesty, na co zresztą liczył, zostały zignorowane, i rosół z Luboczki był cudownie gęsty od cebuli, kartofla i solidnej porcji soli. Szczęśliwym dla nas zrządzeniem losu drugi z chirurgów spędzał noc gdzie indziej. Sonia przehandlowała sąsiadowi skrzydełko i kubek rosółu za butelkę całkiem strawnej wódki; Niemcy przelobowali na miasto zaledwie kilka leniwych pocisków, jak gdyby chcieli nam przypomnieć, że ciągle są, ale tego konkretnego wieczoru mają na głowie ważniejsze sprawy; o północy byliśmy wszyscy nażarci i pijani. Kola i Sonia pieprzyli się w sypialni, a ja i Timofiej graliśmy przy blasku bijącym z piecyka w szachy błyskawiczne.

W połowie drugiej partii zrobiłem ruch laufrem; Timofiej zagapił się na szachownicę, beknął i stwierdził:

- O! Dobry jesteś.

- Dopiero teraz na to wpadłeś? Dałem ci mata w szesnastu ruchach.

- Myślałem, że to przez napitek... Jestem udupiony, co?
- Jeszcze żyjesz, ale to już niedługo potrwa. Przewracając swojego króla, beknął ponownie, wyraźnie rad ze swojego bekania i stanowiącego jego przyczynę pokarmu w brzuchu.

- Nie, to nie ma żadnego sensu. Co tam. Nie odróżniasz wprawdzie kury od koguta, ale umiesz grać w szachy.

- Kiedyś byłem lepszy. - Postawiłem jego króla i wykonałem za Timofieja ruch, próbując sprawdzić, jak bardzo zdołam przeciągnąć końcówkę

- Byłeś lepszy? Jako niemowlak? Ile ty masz właściwie lat, czternaście?

- Siedemnaście.

- Golisz się już? -Tak.

Timofiej popatrzył na mnie sceptycznie.

- Zgolilem wąsy... w zimie odrastają wolniej.

W sąsiednim pokoju Sonia przestała posapywać i wybuchła śmiechem, co natychmiast pobudziło moją wyobraźnię: oczyma duszy ujrzałem jej odrzuconą do tyłu głowę, odsłoniętą szyję, stwardniałe sutki małych piersi.

- Nie wiem, skąd biorą tyle energii - stwierdził Timofiej, rozciągając się na złożonych kocach. - Gdybym co wieczór dostawał rosół, nie potrzebowałbym kobiety do końca życia.

Zamknął oczy i po chwili zapadł w sen, co sprawiło, że znów byłem skazany na samotne podsłuchiwanie kochanków.

Kola obudził mnie przed świtem; podał mi szklanę herbaty i uważnie spojrzał na szachownicę. Timofiej spał na wznak, z szeroko otwartymi ustami i rękoma wyciągniętymi nad głową, jakby w geście kapitulacji.

- Kto grał czarnymi? -Ja.

- Załatwiłbyś go w sześciu.

- Załatwiłbym go w pięciu, a gdyby popełnił błąd, to nawet w trzech.

Kola zmarszczył czoło i tak długo wpatrywał się w szachy, aż rozgryzł sytuację.

- Umiesz grać.

- Wciąż się chcesz zakładać? Co to było? Gołe obrazki francuskich dziewczyn?

Kola uśmiechnął się, trąc oczy dłońmi, żeby usunąć resztki snu.

- Powiniennem zrobić ci przysługę i obdarować cię nimi. Podszkoliłbyś się w anatomii. Wstawaj i nakładaj buty.

- Gdzie idziemy?

- Do Mgi.

Może i Kola był dezertorem, ale przemawiał z takim naturalnym autorytetem, że moje buty były na poły zasznurowane, zanim przyszło mi do głowy, aby zakwestionować jego polecenie. Ubrany już w szynel i skórzane rękawiczki, dwukrotnie okręcił szalik wokół szyi, a potem w lusterku wiszącym nad samowarem uważnie obejrzał swoje zęby.

- Do Mgi jest z pięćdziesiąt kilometrów.

- Dzień solidnego marszu. Zjedliśmy wczoraj posiłek jak się patrzy, damy sobie radę.

Powoli docierało do mnie całe szaleństwo jego zamysłu.

- To przecież już za niemieckimi liniami. Dlaczego idziemy akurat do Mgi?

- Jest poniedziałek, Lew. Potrzebujemy jajek do czwartku, a w Pitrze nie znajdziemy ani jednego. Wujek Soni kieruje tym drobiarskim sowchozem, prawda? Pójdę o zakład, że Niemcy go nie skasowali. Też lubią jajka.

- I na tym właśnie polega nasz plan? Przespacerujemy się pięćdziesiąt kilometrów aż za pozycje niemieckie, dotrzemy do sowchozu, który może nie został puszczony z dymem, drapnie-my tuzin jajek i wrócimy do domu?

- Cóż, mówiąc takim tonem jak twój, można wykpić dosłownie wszystko.

- Tonem... Zadałem ci pytanie! Czy to nasz plan? Sonia nigdy tam nie była. Jak trafimy na miejsce?

- Sowchoz jest w Mdze! Myślisz, że trudno znaleźć cokolwiek w takiej dziurze?

- Nie mam nawet pojęcia, jak znaleźć pieprzoną Mgę!

- Ach - rozpromienił się Kola, nakładając swoją barankową uszankę. - To łatwizna. Jest przy linii moskiewskiej. Będziemy szli wzdłuż torów.

Timofiej mruknął przez sen i przewrócił się na bok. Przekonałem się, że lekarze i żołnierze potrafią spać nawet wśród największego zgiełku, o ile nie zwiastuje on zagrożenia dla życia; sądząc po rysującym się na twarzy Timofieja wyrazie spokoju i zadowolenia, moja kłótnia z Kola mogła być cichutką kołysanką. Patrzyłem na chirurga i nienawidziłem go, nienawidziłem za to, że wygodnie śpi sobie w ciepłku na wełnianych pledach, że nie zadręcza go żaden potomek Kozaków i żaden pułkownik NKWD nie wysyła diabłu w zęby z misją dostarczenia składników tortu weselnego.

Odwróciłem się do Koli, który przeglądając się w lusterku, szukał najbardziej zawadiackiego ułożenia swej czapki uszanki. Jeszcze bardziej nienawidziłem tego beztroskiego, chełpliwego ćwoka, tak pogodnego i świeżego o szóstej rano, jakby właśnie wrócił z dwutygodniowych wczasów nad Morzem Czarnym. Roilem sobie, że wciąż śmierdzi seksem, chociaż po prawdzie o tej porze dnia i w mieszkaniu tak wyziębionym nie byłem w stanie wyczuć żadnego zapachu.

- Uważasz to za szaleństwo - podjął Kola - ale każdy z tych przaśnych kanciarzy, co po dwieście rubli sprzedają na Bazarze kartofle, przydźwigał je spoza miasta. Ludzie codziennie przekradają się przez front, dlaczego więc nam miałyby się nie udać?

- Pijany jesteś czy co?

- Po ćwiarteczce? Wykluczone.

- Musi być jakieś miejsce mniej odległe niż Mga.

- Słucham.

Okutany już dość starannie, by stawić czoło zimnu, połyskując czterodniowym zarostem blond, czekał na moją alternatywę swego kretyńskiego planu, ale w miarę upływu sekund uświadamiałem sobie, że jej nie mam.

Obdarzył mnie uśmiechem godnym plakatu werbunkowego marynarki wojennej.

- Cała ta historia to pierdolony żart, zgoda. Ale zupełnie dobry żart.
- Tak, fantastyczny. A najzabawniejsze w nim jest to, że zginiemy w drodze, córka pułkownika nie dostanie swojego tortu i nikt nigdy się nie dowie, po kiego grzyba poniosło nas do Mgi.
- Uspokój się, mój pesymistyczny mały Izraelito. Nie pozwolę, by źli ludzie cię dopadli...
- Wal się.
- ...ale musimy już ruszać. Jeśli oczywiście chcemy dotrzeć na miejsce jeszcze za dnia.

Mogłem go zignorować i wrócić do snu. Koza wystygła wprawdzie przez noc, ale pod kilkoma kocami wciąż było względnie ciepło. Spanie miało większy sens niż przebijanie się wśród tysięcy szkopów do Mgi w poszukiwaniu jajek. Wszystko miało większy sens. A jednak, mimo wszelkich zastrzeżeń, od początku wiedziałem, że pójdę. Kola miał rację: w Leningradzie nie mogliśmy liczyć na żadne jajka. Ale to nie był jedyny powód. Kola - chwalipięta wprawdzie, besserwisser i kozacki żydożerca - roztaczał pewność siebie tak nieskazitelną i całkowitą, że nie widziałem w niej już arogancji, lecz stygmat człowieka pogodzonego z heroicznym przeznaczeniem. Nie tak wyobrażałem sobie swoje przygody, ale rzeczywistość pod kołyski ignorowała moje życzenia, dając mi ciało mola książkowego i taką porcję lekkości w sercu, że kiedy rozpętała się przemoc, potrafiłem tylko sterczeć na schodach. Może nadejdzie czas, gdy moje ramiona i nogi spotężnią od mięśni, a strach wycieknie z serca jak brudna woda z wanny... Obym mógł uwierzyć, że nadejdzie. Ale nie wierzyłem. Niosłem na sobie klątwę pesymizmu właściwego zarówno Rosjanom, jak i Żydom, dwóm najbardziej ponurym plemionom świata, jeśli jednak nie była pisana mi wielkość, to może przynajmniej miałem dar dostrzegania jej w innych, nawet tych najbardziej irytujących.

Wstałem, złapałem z podłogi bekieszę, wsunąłem się w nią i ruszyłem w stronę wyjścia za Kolą, który z grobową galanterią przytrzymał mi drzwi.

- Zaczekaj - powiedział, zanim zdążyłem przestąpić próg. - Ruszamy w podróż, powinniśmy najpierw przysiąc.

- Nie wiedziałem, że jesteś przesądny.

- Lubię dawne obyczaje.

W przedpokoju nie było żadnych krzeseł, usiedliśmy więc na podłodze koło otwartych drzwi. W mieszkaniu panowała cisza. Timofiej pochrapywał w swoim gniazdku obok kozy, okna drżały we framugach, niekończąca się recytacja metronomu w radio informowała, że Leningrad wciąż się trzyma. Na zewnątrz ktoś szybkimi, profesjonalnymi uderzeniami młotka przybijał plakaty do zaślepionych okien, zamiast jednak wyobrazić sobie faceta przybijającego plakaty, ujrzałem oczyma duszy stolarza robiącego trumnę z sosnowych desek. Była to wizja wyrazista i uszczegółowiona: dostrzegłem odciski na dłoniach trumniarza, pojedyncze czarne włoski sterczące pomiędzy jego brwiami, trociny przyklepione do spoconych przedramion.

Wzięłem głęboki oddech i popatrzyłem na Kolę. Odwzajemnił spojrzenie.

- Nic się nie przejmuj, przyjacielu. Nie pozwolę ci zginąć. Miałem siedemnaście lat, byłem głupi, więc mu uwierzyłem.

XI

Pociągi nie chodziły linią moskiewską zaledwie od kilku miesięcy, ale szyny zaczynały już rdzewieć. Większość podkładów wyrwano z ziemi i porąbano na opał, chociaż zaimpregnowane kreozotem były niebezpieczne w użytkowaniu. Kola, niczym gimnastyk na równoważni, stapał z rozrzuconymi na boki ramionami po jednej szynie, a ja wędrowałem środkiem. Nie zamierzałem dać się wciągnąć w rywalizację - po części dlatego, że byłem na Kole zły, a po części dlatego, że miałem pewność przegranej.

Tory przebiegały obok bloków z czerwonej cegły, dwupiętrowych domów towarowych, obok zajezdni tramwajowej i opuszczonych fabryk wytwarzających w dawniejszych czasach produkty bądź nieużyteczne podczas wojny, bądź też takie, na które nikt nie mógł sobie teraz pozwolić. Brygada młodych kobiet w kombinezonach i paltach trudziła się pod nadzorem oficera z jednostki inżynieryjnej przekształcaniem poczty w stanowisko obronne. Wyburzono róg krzepkiego starego domu, aby urządzić gniazdo cekaemu.

- Tamta ma rewelacyjne ciało - stwierdził Kola, pokazując kobietę w niebieskiej chustce, zajętą ściąganiem worków

napełnionych piaskiem z pracującej na wolnych obrotach ciężarówki.

- Skąd wiesz?

Od niewiasty dzieliło nas pięćdziesiąt metrów; pod wywatowaną kurtką nosiła kilka warstw odzieży.

- Widzę. Ma sylwetkę tancerki. -Ach.

- Opuść sobie „achy”. Znam baletnice, uwierz. Wezmę cię któregoś dnia do Teatru Maryjskiego, zaprowadzę za kulisy. Poprzestańmy chwilowo na tym, że cieszę się tam niejaką reputacją.

- Bez przerwy dziamgasz o swojej reputacji.

- Niewiele rzeczy uszczęśliwia mnie na tym świecie bardziej niż uda baletnicy. Galina Ulanowa...

- Och, przestań.

- Co? Jest skarbem narodowym. Jej nogi powinny zostać wykute w brązie.

- Nigdy nie spałeś z Galiną Ulanową.

Posłał mi wieloznaczny uśmiezek człowieka, który wie, ale nie od razu musi wszystko powiedzieć.

- Postępuję okrutnie - przyznał. - Opowiadanie ci o sprawach tej natury... to czysty sadyzm. Jakbym ze ślepcem rozmawiał o Velazquezie. Zmieńmy temat.

- Nie chcesz przez następnych trzydzieści dziewięć kilometrów gadać o baletnicach, z którymi się nie przespałeś?

- Trzech chłopaków wybrało się do zagrody kraść kury - zaczął głosem, który rezerwował na opowiadanie dowcipów. Osobliwie w takich razach akcentował słowa, chociaż nie potrafiłem określić, jaki to mógłby być akcent i dlaczego zdaniem Koli czyni anegdoty zabawniejszymi.

- Muzyk ich słyszy, wybiega z domu, a chłopaki wskakują do trzech worków na kartofle, żeby się przed nim ukryć.

- Długi będzie ten wic?

- Gospodarz wymierza kopniaka w pierwszy worek, a chłopak schowany w środku mówi: „miauu”, udając, że jest kotem.

- Och, a więc udawał, że jest kotem?

- Właśnie to powiedziałem. - Kola zmierzył mnie wzrokiem, próbując ustalić, czy szukam awantury.

- Przecież wiem, że udawał kota. Kiedy już powiedział „miauu”, stało się dla mnie oczywiste, że udawał kota.

- Znów jesteś zgryźliwy, bo spałem z Sonią? Zakochałeś się w niej? Nie było ci fajnie z tym, jak mu tam? No z tym chirurgiem? Tak słodko żeście się do siebie tulili przy piecyku.

- I co to za akcent, na który się silisz? Niby ukraiński?

- Jaki znowu akcent?

- Ilekroć opowiadasz dowcip, używasz jakiegoś kretyńskiego akcentu.

- Posłuchaj, Lowa, lwiątko ty moje, naprawdę mi przykro. Wiem, jak ci było trudno, kiedy przez całą noc wsłuchiwałeś się w jej rozkosz, międląc w dłoni swojego fajfusika...

- Lepiej dokończ ten durny kawał.

- ...ale masz moje słowo: jeszcze przed osiemnastką... kiedy wypadają twoje urodziny?

- Zamknij twarz.

- Znajdę ci dziewczynę. Wyrachowane lekceważenie, pamiętaj!

Przez cały ten czas maszerował po szynie, ani przez moment nie tracąc równowagi, bez patrzenia w dół. A ja i tak musiałem dobrze wyciągać nogi, żeby dotrzymać mu kroku.

- Na czym skończyłem? Aha, gospodarz kopie worek, „miau” i tak dalej. Kopie drugi worek, a chłopiec w środku mówi: „hau!”, udając, że jest...

Kola wymierzył we mnie palec, zachęcając, bym dokończył zdanie.

- Krową.

- Psem. Kiedy kopie trzeci worek, schowany w nim chłopak odpowiada: „kartofle!”.

Szliśmy dalej.

- Cóż - stwierdził Kola wreszcie. - Niektórych to bawi. Na peryferiach miasta bloki mieszkalne nie włożyły już na

głowę jeden drugiemu. Ceglano-betonowe bryły rozdzielały teraz wstęgi zamarzniętych grzędawisk albo zaśnieżone place

pod nowe domy, które nie zdążyły już powstać, ponieważ wojna wstrzymała wszelkie prace budowlane. Im bardziej oddalaliśmy się od centrum Leningradu, tym mniej spotykaliśmy jego mieszkańców. Grzechocząc, mijały nas wojskowe ciężarówki z łańcuchami na kołach, a żołnierze, jadący na ich pakach w stronę frontu, gapili się na nas bez zainteresowania.

- Wiesz, skąd się wzięła nazwa „Mga”? - zapytał Kola.

- Czyjeś inicjały?

- Marii Georgijewny Apraksiny. Jedna z postaci *Psa podwórkowego* jest jej literackim odpowiednikiem. Dziedziczka długiej linii feldmarszałków, malwersantów i carskich włazi-dupów. Jest przekonana, że mąż usiłuje ją zamordować, aby poślubić jej siostrę.

- A naprawdę chce?

- Nie, nie od razu. Jest kompletną paranoiczką. Papla bez chwili przerwy o swych podejrzeniach, aż małżonek naprawdę zaczyna durzyć się w siostrze i uświadamia sobie, że życie bez żony byłoby znacznie piękniejsze. Udaje się do Radczenki po radę, ale nie ma pojęcia, że Radczenko rżnie jego szwagierkę od lat.

- Co jeszcze napisał? -Hę?

- Uszakow - odparłem. - Jakie jeszcze napisał książki?

- *Psa podwórkowego*, nic więcej. To słynna powieść. Choć kiedy wyszła, zrobiła klapę. Była tylko jedna, absolutnie miażdżąca recenzja. Krytyk określił książkę mianem wulgarnej i odrażającej. Nikt jej nie czytał. Uszakow pracował nad nią jedenaście lat. Jedenaście lat, możesz to sobie wyobrazić? I książka znika, jakby ją wyrzucono do oceanu. Ale Uszakow nie daje za wygraną, zaczyna nową powieść; przyjaciele, którzy mieli okazję poznać fragmenty, twierdzą, że to arcydzieło. Tyle tylko że Uszakow popada w dewocję, spędza coraz więcej czasu ze świętym starcem, który przekonuje go, iż literatura jest dziełem szatana. Którejś nocy więc, pewien, że niechybnie trafi do piekła, Uszakow wpada w panikę i ciska manuskrypt do ognia. Puf, nie ma.

Historia wydała mi się dziwnie znajoma.

- Dokładnie to samo przydarzyło się Gogolowi.

- Cóż, nie, nie tak znowu dokładnie, szczegóły ogromnie się różnią. Zgadzam się jednak, że paralela jest interesująca.

Tory uciekały od szosy w kępie brzoźowych samosiewek, zbyt jeszcze wątych na opał. Twarzami do ziemi leżało w śniegu pięć białych trupów, cała rodzina zimowych umarłaków: martwy ojciec wciąż ścisnął dłoń martwej żony, nieopodal spoczywały ciała trojga martwych dzieci. Dwie leżące obok wysłużone walizki były otwarte i zawierały jedynie jakieś połamane ramki po zdjęciach.

Wszyscy członkowie rodziny zostali obdarci z odzieży, a poza tym pozbawieni pośladków, z których delikatnego mięsiwa najłatwiej było robić pasztety i kielbasy. Nie potrafiłem określić, czy widzimy ofiary eksplodującego pocisku czy noża, niemieckich artylerzystów czy rosyjskich kanibali. Zresztą nie chciałem tego wiedzieć. Nie żyli od dawna, co najmniej od tygodnia, ich zwłoki powoli zaczynały wtapiać się w pejzaż.

Zmierzaliśmy z Kola na wschód, wzdłuż torów do Wołogdy. Tego przedpołudnia Kola nie opowiadał już żadnych dowcipów.

Tuż przed dwunastą dotarliśmy do skraju leningradzkich linii obronnych: zasieków z drutu kolczastego, okopów trzymetrowej głębokości, smoczyc kłóć, gniazd cekaemów, baterii ze-nitówek i skrytych pod białą siatką maskującą czołgów KW-i. Napotkani wcześniej żołnierze ignorowali nas, tak daleko jednak nie mogliśmy zapuścić się prywatnie, a moja obecność wykluczała możliwość, że ktokolwiek weźmie nas za patrol wojskowy. Nic więc dziwnego, że gdy maszerując po torach, mijaliśmy grupę młodych szeregowców ściągających pod nadzorem sierżanta siatkę z ciężarówki ZiS, obróciły się na nas wszystkie oczy.

Sierżant ruszył w naszą stronę: nie mierzył do nas z karabinu, ściśle rzecz biorąc, ale też nie trzymał go z zupełną nonszalancją. Miał sylwetkę zawodowego żołnierza, a poza tym wydatne kości policzkowe i wąskie oczy Tatara.

- Macie dokumenty?

- Mamy - odparł Kola, sięgając do kieszeni. - Mamy doskonałe dokumenty.

Podał sierżantowi list pułkownika i skinął głową w stronę ciężarówki.

- To ten nowy model katuszy?

Plandeka została już ściągnięta na ziemię i widać było czekające na rakiety, skierowane w niebo równoległe prowadnice. Wedle informacji podawanych przez radio, Niemcy lękali się katusz bardziej niż jakiegokolwiek innej radzieckiej broni; a z powodu niskiego żałobnego wycia rakiet, nazywali je organami Stalina.

Sierżant przelotnie zerknął na wyrzutnię, ale zaraz zwrócił wzrok na Kolę.

- Nie powinno cię to obchodzić. Z której jesteś armii?

- Z pięćdziesiątej czwartej.

- Pięćdziesiątej czwartej? Powinieneś więc być w Kiriszi.

- Tak - zgodził się Kola i z tajemniczym uśmiechem skinął głową w stronę listu. - Ale rozkazy to rozkazy.

Sierżant rozłożył i przeczytał list. Przyglądaliśmy się z Kolą, jak szeregowcy instalują płetwiaste rakiety na prowadnicach katuszy.

- Dajcie im dzisiaj popalić! - krzyknął Kola. Żołnierze popatrzyli na nas w milczeniu. Sprawiali wrażenie ludzi, którzy nie spali od wielu dni, musieli koncentrować się z całych sił, żeby nie upuścić rakiet na ziemię, nie zamierzali więc trwonić energii na wymianę myśli z tym wariatem.

Nienawykły, by go ignorowano, Kola zaczął śpiewać. Dysponował mocnym pewnym barytonem.

Rozkwitały grusze i jabłonie, i zaszemrał wśród listowia deszcz. Przez dwie noce obracałem Sonię i Katuszę wyobracam też!

Sierżant skończył lekturę i złożył list. Był wyraźnie pod wrażeniem. Patrzył na Kolę z autentycznym szacunkiem, kiwając głową w rytm starej piosenki.

- To lubię - stwierdził z uznaniem - W czasie Wojny Zimowej słyszałem tę pieśń w wykonaniu samej Rusłanowej. Zresztą

pomogłem jej zejść z estrady, chyba wypła o jednego za dużo. Wiesz, co mi powiedziała? „Dzięki, sierzancie, wyglądacie mi na faceta, który potrafi posługiwać się rękoma”. No i co o tym myślisz? Figlara z tej Rusłanowej. Ale piosenka piękna.

Listem trzepnął Kolę w pierś i uśmiechnął się do nas szeroko.

- Wybaczcie, że was zatrzymałem, chłopcy. Ale wiecie, jak to jest. Ponoć w Leningradzie działa już trzystu sabotażystów i przybywa ich z każdym dniem. Chyba łapię, co robicie dla pułkownika...

Puścił do Koli oko.

- Znam to na wylot, organizacja partyzantki, te rzeczy. My, liniowcy, dowalimy im z przodu, wy dokopiecie z tyłu i już latem będziemy odesrywać się w Reichstagu.

Kola przeczytał list pułkownika tego samego dnia, kiedyśmy go dostali, nie było tam żadnej wzmianki o partyzantach, tylko polecenie, by nie czyniono nam żadnych utrudnień w realizacji misji prowadzonej pod osobistym nadzorem pułkownika, ale w gazetach roilo się od opowieści o prostych kołchoźnikach, którzy w kompetentnych dłoniach speców z NKWD przemieniali się w zabójczo skutecznych partyzantów.

- Przygrywajcie im do tańca - powiedział Kola, świadomie bądź przypadkowo, tego nie byłem pewien, małpując ton sierżanta - a my dopilnujemy, żeby nie dotarł do nich z Vaterlan-du ani kawałek strudla.

- W tym rzecz, w tym rzecz! Sabotaż linii zaopatrzenia to główna sprawa. Niech pozdychają z głodu w lesie jak Francuzi w tysiąc osiemset dwunastym.

- Ale żadnej Elby dla Hitlera.

Miałem stuprocentową pewność, że sierżant nie wie, czym jest Elba, jego determinacja jednak, by Hitler jej nie dostał, wydawała się żelazna.

- Bagnetem w jaja, owszem, ale żadnej Elby!

- Powinniśmy ruszać - powiedział Kola. - Musimy przed nocą dotrzeć do Mgi.

Sierżant gwizdnął przez zęby.

- To daleka droga. Trzymajcie się zalesionego terenu, słyszysz? Szkopy kontrolują drogi, ale dla Rosjanina bezdroża niestraszne, prawda? Ha! Macie dość chleba? Nie? Możemy wam trochę odpalić. Iwan!

Kręcący się obok ciężarówki skrofuliczny szeregowiec przyjął postawę zasadniczą.

- Poszukaj dla tych chłopców jakiegoś chleba. Udają się na tyły nieprzyjaciela.

XII

Poza granicami Leningradu wciąż rosły drzewa, wrony nadal mamrotały na gałęziach brzoź, pomiędzy świerkami przebiegały wiewiórki. Tłuste i wyzbyte podejrzliwości padłyby łatwym łupem człowieka uzbrojonego w pistolet. Miały szczęście, że żyły w okupowanej Rosji.

Maszerowaliśmy przez lasy i polany skąpane w zimnym blasku słońca, ale nie traciliśmy z oczu torów ciągnących się po naszej lewej stronie. Stwardniały śnieg zasłany igłami stanowił dobre podłoże. Byliśmy na terenach zajętych przez Niemców, ale nie widzieliśmy ani samych Niemców, ani jakichkolwiek śladów wojny. Czułem się osobliwie szczęśliwy. Piter był moim domem, lecz dom ten zamienił się w cmentarz, miasto duchów i ludożerców. W tej chwili doświadczałem fizycznej zmiany, jakbym po miesiącach spędzonych na dnie szybu w kopalni węgla zaczął nagle wdychać czysty tlen. Zawężenia w mych trzewiach rozprężyły się, wata z uszu znikła, do nóg napłynęła krzepa, jakiej nie odczuwałem od miesięcy.

Miałem wrażenie, że z Kolą dzieje się to samo. Mrużył oczy, oślepiany odbitym od śniegu blaskiem słońca, z zadowoleniem

pięciolatka wydymał wargi, wyrzucając z siebie wielkie obłoki pary.

Pod grubym pniem starej brzozy dostrzegłem jakiś zielony papierek i pochyliłem się, by go podnieść. Był to zupełnie z pozoru zwyczajny dziesięciorublowy banknot, z którego spoglądały na nas surowo osadzone pod wielkim łysym czerepem oczy Lenina - tyle tylko że prawdziwe dziesięciorublówki miały kolor szary, a nie zielony.

- Fałszywka? - zapytałem.

Kola skinął głową i przyjrzał się banknotowi, jednocześnie pokazując palcem niebo.

- Szkopy zrzucają całe beczki tego szajsu. Im więcej podróbek w obiegu tym mniej warte są oryginały.

- Ale ten nawet nie jest właściwego koloru.

Kola przewrócił banknot na drugą stronę i przeczytał tekst wydrukowany na rewersie: *Ceny produktów żywnościowych i wszelkich dóbr codziennego użytku niebywale wzrosły, wskutek czego w Związku Radzieckim rozkfiłł czarny rynek.* - Nawiasem mówiąc, napisali z błędem, *rozkfiłł*. - *Na tyłachjunkcjo-nariusze partyjni do spółki z Żydami prowadzą swoje mrocne kombinacje, podczas kiedy wy, na froncie, poświęćacie życie dla tych kryminalista.* - Tych kryminalista, to naprawdę urocze. Okupują połowę kraju i nie potrafią znaleźć jednego, który gada w naszym narzeczu? - *Niebawem pójdziecie po rozum do głowy, zachowajcie więc ten dziesięciorublowy banknot. Zagwarantuje wam po wojnie bezpieczny powrót do wolna Rosjanin.*

Szczerząc zęby, Kola podniósł na mnie wzrok. - Prowadzicie jakieś mrocne kombinacje, Lwie Abramowiczu?

- Nie prowadzę, a szkoda.

- Sądzą, że przekabacą nas w ten sposób? Czy nic nie rozumieją? To myśmy wynaleźli propagandę! Poza tym przyjęli kiepską taktykę: irytują ludzi, których próbują urobić. Młody człowiek myśli, że znalazł dychę, nie posiada się z radości, że jak dobrze pójdzie, kupi sobie za nią dodatkowy plasterek kielbasy, ale nic z tych rzeczy, bo to nie forsa, tylko rojący się od błędów bon kapitulacyjny.

Palcem przycisnął banknot do drzewa i podpalił swoją zapalniczką.
- Puszczasz z dymem swoją szansę, by po wojnie powrócić do wolna Rosjanin - powiedziałem.

Kola patrzył z uśmiechem, jak papierek czernieje i zwija się w ogniu.
- Ruszajmy. Czeka nas długa droga.

Po kolejnej godzinie przebijania się przez śniegi Kola szturchnął mnie palcami w ramię.

- Czy Żydzi wierzą w życie pozagrobowe?

Jeszcze poprzedniego dnia byłbym się wkurzył, ale dziś pytanie wydało mi się zabawne, idealnie wpisujące się w styl Koli, zadane z autentyczną ciekawością i zupełnie nie à propos.

- To zależy od Żyda. Mój ojciec na przykład był ateistą.

- A matka?

- Matka nie była Żydówką.

- Ach, koleś półkrwi. Nic w sumie zdrożnego. Ja zawsze podejrzewałem, że gdzieś w górnym biegu genealogicznej rzeki załapałem się na trochę krwi cygańskiej.

Spojrzałem na jego oczy błękitne niczym ślipia łajki, na kosmyki jasnych włosów wymykające się spod czapki.

- Nie masz w żyłach żadnej cygańskiej krwi.

- Co, chodzi ci o oczy? Niebieskookich Cyganów jest na świecie jak mrówek, drogi przyjacielu. W każdym razie Nowy Testament bardzo jasno odnosi się do tych kwestii. Podążasz śladem Jezusa - idziesz do nieba; nie podążasz - lądujesz w piekle... Ale Stary Testament... Nie pamiętam nawet, czy w Starym Testamencie jest jakieś piekło.

- Sheol. -Co?

- Podziemny świat nosi nazwę Sheol. Jeden z wierszy mojego ojca ma tytuł *Kraty Sheolu*.

Dziwnie było rozmawiać otwarcie o ojcu i jego twórczości, już same słowa używane podczas takiej rozmowy wydawały się niebezpieczne; były jak przyznanie się do zbrodni, które mogło dojść do uszu władz. Nawet tu, gdzie w tej chwili nie sięgały ich łapska, bałem się wpadki, bałem się kapusiów przyczajonych

w gęstwie modrzewi. Gdyby obok była matka, uciszyłaby mnie jednym spojrzeniem. A jednak rozmowa o ojcu sprawiała mi przyjemność. Byłem po prostu szczęśliwy, że omawia się jego wiersze w czasie terazniejszym, chociaż o samym poecie trzeba już rozmawiać w przeszłym.

- I co się dzieje w tym Sheolu? Człowiek ponosi karę za grzechy?

- Nie sądzę. Trafiają tam wszyscy, obojętnie: dobrzy za życia czy źli. W Sheolu panuje ciemność i chłód, a z nas pozostają tylko cienie.

- I tak w zasadzie być powinno. - Zagarnął garść czystego śniegu, odgryzł trochę, pozwolił mu topnieć w ustach. - Kilka tygodni temu widziałem żołnierza bez powiek. Był dowódcą czołgu, jego maszyna nawaliła gdzieś u diabła na kuliczkach, no więc kiedy go w końcu znaleźli, z całej załogi żył tylko on, chociaż doznał koszmarne rozległych odmrożeń. Stracił mnóstwo palców u stóp i dłoni, kawałek nosa, no a poza tym powieki. Zobaczyłem go w lazarecie, kiedy spał, pomyślałem, że nie żyje. Miał szeroko otwarte oczy... chociaż nie wiem, czy można powiedzieć „otwarte”, skoro żadnym cudem nie zdołałby ich zamknąć. Jak nie zwariować, kiedy nie ma się powiek? Jak przeżyć resztę swoich dni, nie mogąc ani na moment zamknąć oczu? Ja wolałbym oślepnąć.

Dotąd ani razu nie widziałem przygnębionego Koli, raptowna zmiana jego nastroju wprawiła mnie w niepokój. Obaj usłyszeliśmy skowyt w tym samym momencie: jak na komendę odwróciliśmy głowy ku pogmatwanemu szpalerowi brzoź.

- To pies?

Kola skinął głową.

- Na to wygląda.

Kilka sekund później znów usłyszeliśmy skowyt, samotny i przez to zatrważająco ludzki. Aby dotrzeć do Mgi przed wieczorem, nie powinniśmy ani na moment zbaczać z kursu na wschód, Kola jednak ruszył w stronę wyjącego psa, a ja podążyłem za nim bez protestów.

Śnieg był teraz głębszy i niebawem przedzieraliśmy się przez zaspę sięgające nam powyżej kolan. Energia, która rozpierała

mnie jeszcze dziesięć minut temu, zaczęła ze mnie wyciekać jak zupa z dziurawego garnka. Znów byłem znużony, znów każdy krok przemieniał się w miniaturową bitwę, którą toczyłem z własną słabością. Kola zwolnił, bym mógł za nim nadążyć. Nawet jeśli go drażniłem, nie pokazywał tego po sobie.

Brnąłem z pochyloną głową, uważając, gdzie stąpam

- skręcona kostka równałaby się bowiem wyrokowi śmierci
- dostrzegłem zatem ślady wcześniej niż Kola. Złapałem go za rękaw i zatrzymałem. Byliśmy na skraju ogromnej polany. Blask słońca odbijany przez całe hektary białego śniegu raził tak mocno, że musiałem dłonią przesłonić oczy; potrzebowałem chwili, by zorientować się, że śnieżną połąć przeorały ślady gąsienic tak liczne, jakby przewaliła się tędy cała brygada pancerna. Nie znałem się na czołgach nawet w połowie tak dobrze, jak na samolotach, nie potrafiłbym odróżnić odcisków gąsienic niemieckiego sturmtigera od tych pozostawionych przez naszego T-34, ale wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że nie przejeżdżały tędy rosyjskie czołgi. Bo gdybyśmy mieli w okolicznych lasach aż tyle sił pancernych, blokada zostałaby bez trudu przerwana.

Tu i tam dostrzegłem na śniegu szare albo brązowe kopczyki, które zrazu uznałem za porzucone płaszcze, kiedy wszakże w jednym rozróżniłem kontur ogona, w innym zaś - odrzuconej w bok łapy, zorientowałem się, że to martwe psy, koło tuzina martwych psów. Znów usłyszeliśmy skowyt i w końcu zobaczyliśmy, kto go wydaje: z polany, posługując się wyłącznie dwiema przednimi łapami, usiłował się zwlec czarno-biały owczarek. Za rannym zwierzęciem, niczym czerwone maźnięcie ogromnego pędzla, ciągnął się stumetrowy krwawy ślad.

- Chodź - powiedział Kola i zanim zdążyłem go powstrzymać, wyszedł spomiędzy drzew. Czołgi zniknęły, ale były tu jeszcze niedawno, wiatr nie zdążył zamazać ostrych śladów ich gąsienic. Kola nie przejmował się jednak bliskością wielkich sił niemieckich, zmierzając w stronę rannego owczarka, docierał już do środka polany, a ja jak zwykle wychodziłem ze skóry, żeby za nim nadążyć.

- Nie zbliżaj się do nich za bardzo - ostrzegł Kola z niezrozumiałych dla mnie powodów. Bał się zarazy czy tego, że ranny pies mógłby mnie ukąsić?

Kiedyśmy jeszcze bliżej podeszli do owczarka, zauważyłem, że dźwiga na karku przymocowane do skórzanej uprzęży drewniane pudełko ze sterzącym z niego drążkiem. Rozejrzałem się wkoło i zobaczyłem, że wszystkie psy mają na sobie podobne konstrukcje.

Owczarek ani na nas spojrział. Z determinacją parł w stronę drzew na drugim krańcu polany, wśród których miał nadzieję znaleźć bezpieczną kryjówkę, ulgę, a może tylko spokojne miejsce zgonu. Z dwóch ran postrzałowych w pobliżu biodra kapłała krew, trzecia kula musiała trafić w brzuch, bo ciągnęło się pod nim coś wilgotnego i splątanego. Pies ciężko sapał, długi różowy jęzor zwieszał się z boku pyska, spod wywiniętych czarnych warg wyzierały żółtawe kły.

- To biegające miny - wyjaśnił Kola. - Przyzwyczajają je do znajdowania pokarmu pod czołgami, potem głodzą i wypuszczają z ładunkami na grzbietach, kiedy nadciągają niemieckie jednostki pancerne. Bum!

Tyle że „bum” nie zrobił żaden z psów. Niemcy najwyraźniej znali ten patent, czołgowi strzelcy byli uprzedzeni i skuteczni. Na polanie leżały martwe psy, daremnie jednak było szukać wraku czołgu, przewróconego do góry kołami pojazdu opancerzonego czy śladów jakiegokolwiek wybuchu. Kolejna ze sprytnych rosyjskich sztuczek, która jak tyle innych rosyjskich sztuczek spaliła na panewce. Wyobraziłem sobie, jak wygłodniałe psy, niecąc łapami fontanny śniegu, z radością i nadzieją w ślepiach gnają ku tankom po swój pierwszy posiłek od wielu, wielu dni.

- Daj mi swój nóż - powiedział Kola.

- Bądź ostrożny.

- Dawaj.

Wyjąłem z pochwy niemiecki sztylet i podałem go Koli. Owczarek wciąż usiłował wlec swe wypatroszone ciało w stronę lasu, ale jego przednie łapy słabły coraz bardziej. W końcu

na widok zbliżającego się Koli dal za wygraną i legł w zabarwionym na czerwono śniegu, mierząc swojego towarzysza znużonym spojrzeniem. Drewniany drążek sterczał z pudła na jego grzbiecie niczym przechylony maszt żaglówki. Lichutki masz-cik, nie grubszy niż palec.

- Dobry pies, dobry - mrucał Kola, przyklękając obok owczarka i lewą dłonią mocno ujmując go za kark - Dobry pies.

Potem jednym szybkim ruchem poderżnął mu gardło. Pies zadygotał, trysnęła krew, parująca w zimnym powietrzu. Kola delikatnie opuścił łeb owczarka na ziemię; pies dygotał jeszcze przez kilka sekund i poruszał łapami niczym śpiący szczeniak, a potem znieruchomiał.

Obaj milczeliśmy przez chwilę, okazując w ten sposób szacunek martwemu zwierzęciu, a wreszcie Kola oczyścił w śniegu i oddał mi nóż.

- Właśnie przeputaliśmy czterdzieści minut. Trzeba przyspieszyć kroku.

XIII

Maszerowaliśmy przyspieszonym krokiem przez brzozowy las, wciąż trzymając się prawej strony torów kolejowych, a słońce gwałtownie staczało się z nieba. Od polany martwych psów Kola nie odezwał się ani słowem. Domyślałem się, że niepokoi go czas: błędnie ocenił tempo, jakie mogliśmy rozwinąć w zaśnieżonym terenie, poza tym zaś niezaplanowane intermedium ostatecznie zniweczyło nasze szanse dotarcia do Mgi przed wieczorem. W tym momencie mróz stwarzał znacznie większe niebezpieczeństwo niż Niemcy, temperatura już zaczynała raptownie spadać. Bez jakiegoś schronienia byliśmy skazani na śmierć.

Od rozstania z tatarskim sierżantem nie widzieliśmy żywego ducha, opuszczone stacje kolejowe w Kolonii Janino i Dubrowce obeszlśmy bezpiecznym łukiem. Ale nawet z odległości dwustu metrów dostrzegłem przed dworcem w Dubrowce powalony posąg Lenina i maźnięty czarną farbą na betonowym murze napis: **STALIN ISTTOTI RUSSLAND ISTTOTI SIE SIND TOTI**

O trzeciej po południu słońce nurknęło za wzgórze ciągnące się wzdłuż zachodniego horyzontu, a posępne szare chmury

na niebie rozbłysły pomarańczowym ogniem. Usłyszałem jękliwe zawodzenie silników samolotowych, podniosłem głowę i dostrzegłem cztery zmierzające w stronę Leningradu mes-serschmitty, które leciały tak wysoko nad nami, że wydawały się równie małe i nieszkodliwe jak muszki owocówki. Zastanawiałem się, czy zdołają obrócić w ruinę jakieś domy, czy może zostaną zestrzelone, a jeśli tak, to przez kogo: naszych żołnierzy z ziemi czy lotników z powietrza? Swoje rozważania postrzegałem jako cudownie abstrakcyjne, dotyczące wojny prowadzonej przez innych. Gdziekolwiek zostaną zrzucone bomby, z pewnością nie spadną na mój łeb. Kiedy uświadomiłem sobie, jaką refleksję sformułował właśnie mój umysł, niemal zarumieniłem się ze wstydu. Jakież potwornie samolubny gnojek ze mnie wylazł.

Mijaliśmy Bierzowkę, której nazwę usłyszałem po raz pierwszy we wrześniu, kiedy starły się w niej Armia Czerwona i Wehrmacht. Wedle relacji prasowych nasi chłopcy walczyli z wielkim męstwem i błyskotliwością taktyczną, przechytrzając dowódców niemieckich i doprowadzając do desperacji samego Hitlera, który śledził rozwój wydarzeń na polu bitwy ze swego berlińskiego centrum dowodzenia. Leningradczycy jednak umieli czytać artykuły prasowe. Siły rosyjskie były zawsze „opanowane i pełne determinacji”, Niemcy natomiast niezmiennie „oszołomieni wściekłością naszego oporu”; te określenia stanowiły powracający leitmotiv. Informacje kluczowe pojawiały się pod koniec artykułu, dyskretnie upchnięte gdzieś w ostatnim akapicie. Jeżeli zatem nasi ludzie „wycofali się na z góry upatrzone pozycje, by zachować potencjał bojowy” - dostaliśmy zdrowego łupnia, jeśli natomiast „z radością oddali życie, by powstrzymać najeźdźców” - zostaliśmy zmasakrowani.

W Bierzowce miała miejsce rzeź. Zapamiętałem z artykułu, że wioska służyła z cerkwi wzniesionej na osobiste polecenie Piotra I, i mostu, na którym Puszkina wyzwał Dantesę na pojedynek. Po jednym i drugim nie było śladu. Po Bierzowce nie było śladu. Ze śniegu sterczało zaledwie kilka osmalonych

odziomków ścian; gdyby nie one, trudno byłoby się domyślić, że kiedykolwiek mieszkali tu ludzie.

- Głupcy - powiedział Kola, gdyśmy obchodzili pogorzeliśko. Podniosłem na niego wzrok, nie wiedząc, kogo ma na myśli.

- Niemcy - wyjaśnił - mają się za cholernie zorganizowanych i przemyślnych, za twórców największej maszyny wojennej, jaka kiedykolwiek istniała. Ale spójrz na historię, jesteś czytany chłopakiem. Najwięksi zdobywcy zawsze dawali swoim nieprzyjaciołom alternatywę, mogłeś walczyć z Dżyngis-chanem i dostać szabłą po gardle albo też poddać się mu i zacząć płacić podatki. Wybór nie jest trudny. A w przypadku Niemców? Możesz z nimi walczyć i dostać w czapę. Albo możesz się im poddać i dostać w czapę. Mogliby jedną połowę kraju poszczuć na drugą, ale brak im po temu subtelności. Nie rozumieją rosyjskiej duszy, potrafią tylko palić.

Rozważania Koli trzymały się kupy jako konstrukcja intelektualna, trudno mi jednak było oprzeć się wrażeniu, iż Niemcy nie są wcale zainteresowani subtelnymi metodami podboju. Nie chcieli nikogo przekabacać, a przynajmniej nie chcieli pozyskiwać względów ras, ze swojego punktu widzenia, ostatnich. Rosjanie byli skundlonym narodem, spłodzonym zbiorowym wysiłkiem hord wikingów i Hunów, pokolenie za pokoleniem gwałconym przez Awarów, Chazarów, Kipczaków, Pieczengów, Mongołów i Szwedów, zachwaszczanym przez Cyganów, Żydów i wszędobylskich Turków. Byliśmy potomstwem tysiąca przegranych bitew, napiętnowanym po wieki stygmatem klęski. Nie zasługiwaliśmy na to, by nadal istnieć. Niemcy przyswoili darwinowską lekcję, że adaptacja jest warunkiem przetrwania gatunku i przystosowali się do brutalnej rzeczywistości, a my, wielorasowe moczymordy z ruskich stepów - nie. Byliśmy spisani na straty i Niemcy odgrywali tylko rolę, jaką sobie wyznaczyli w procesie ludzkiej ewolucji.

Te refleksje zachowałem jednak dla siebie i powiedziałem tylko:

- Ale Francuzom przedstawili alternatywę.

- Wszyscy Francuzi z jajami zginęli, wracając do kraju spod Moskwy w tyśiąc osiemset dwunastym. Myślisz, że żartuję? Posłuchaj, sto trzydzieści lat temu mieli najlepszą armię na świecie. Teraz przemienili się w kurwę Europy czekającą tylko, aż zerżnie ją pierwszy lepszy, który przyjdzie ze sterczącym kindybalem. Jestem w błędzie? Co się im przytrafiło? Borodino, Lipsk, Waterloo. Pomyśl o tym. Odwaga została wyniesiona na kopiach z ich rysopisu genetycznego. Ten ich mały geniusz Napoleon wykastrował cały kraj.

- Zaczyna ciemnieć. Popatrzył w niebo i skinął głową.

- Jeśli nie będzie innego wyjścia, wykopimy ziemiankę i jakoś dotrwamy do rana.

Jeszcze bardziej przyspieszył kroku, a ja wiedziałem, że nie wytrzymam tego tempa wiele dłużej. Wczorajszy rosół był tylko smakowitym wspomnieniem, podarowany przez sierżanta chleb pochłonęliśmy jeszcze przed południem. Każdy krok stanowił teraz dla mnie taki wysiłek, jakby do butów nalano mi ołowiu.

Chłód panował w tej chwili taki, że czułem go w zębach, bo liche plomby, którymi wypełniono ubytki, kurczyły się w miarę spadania temperatury. Nie miałem czucia w czubkach palców, chociaż dłonie w rękawicach wsunąłem głęboko do kieszeni bekieszy. Nie czułem też koniuszka nosa. Jakież zabawne figle płata czasem los, pomyślałem: przez wszystkie lata dorostania marzyłem o mniejszym nosie i oto, jeśli spędzę w lesie jeszcze kilka godzin, nie będę go mieć w ogóle.

- Wykopimy ziemiankę? A czym? Zabrałeś ze sobą szpadel?

- Wciąż masz parę rąk, prawda? I nóż.

- Musimy się schować w jakimś zamkniętym pomieszczeniu.

Kola z ostentacyjną uwagą powiódł wzrokiem po mroczniejącym lesie, jakby gdzieś wśród wysokich sosen mogły się kryć drzwi.

- Nie widzę żadnych zamkniętych pomieszczeń - stwierdził. - Jesteś teraz żołnierzem, którego wzięłem pod swoją komendę, a żołnierz śpi tam, gdzie akurat zamknie oczy.

- To pięknie, ale musimy się gdzieś schować.

Położył mi dłoń na piersi i przez sekundę pomyślałem, że wkurzył go mój brak gotowości do stawienia w plenerze czoła okropieństwu zimowej nocy. Ale nie karmił mnie, tylko nakazywał ciszę. Ruchem podbródka pokazał odległą o kilkaset metrów drogę biegnącą wzdłuż torów kolejowych. Mimo gęstniejącego mroku dostrzegłem na niej rosyjskiego żołnierza, stojącego tyłem do nas z karabinem na ramieniu.

- Partyzant? - zapytałem szeptem.

- Nie, regularny.

- Może odbiliśmy Bierzowkę. Kontratak?

- Może.

Stąpając najostrożniej, jak się dało, podkradliśmy się bliżej wartownika. Nie znaleźliśmy hasła, a uzbrojony żołnierz z pewnością nie będzie czekać, aż udowodnimy mu, że naprawdę jesteśmy Rosjanami.

- Towarzyszu! - wrzasnął Kola, gdyśmy podeszli na pięćdziesiąt metrów. Podniósł ręce do góry, a ja postąpiłem tak samo. - Nie strzelaj! Wypełniamy rozkaz specjalny!

Wartownik ani drgnął. W ciągu ostatnich kilku miesięcy ogłuchło wielu żołnierzy, eksplodujące pociski zniszczyły tysiące bębenków. Popatrzyliśmy z Kolą po sobie i podeszliśmy jeszcze bliżej. Żołnierz stał po kolana w śniegu. Był stanowczo zbyt nieruchomy. Na takim mrozie żaden żywy człowiek nie potrafi zachowywać się jak posąg. Przekonany, że leziemy w zasadzkę, zatrzymałem się i powiodłem spojrzeniem dokoła. Tylko gałęzie brzoź poruszały się na wietrze.

Pokonaliśmy resztę dystansu dzielącego nas od żołnierza. Za życia był zeń kawał chłopca; miał byczy łeb i nadgarstki jak toporzyska. Ale nie żył od ładnych kilku dni, zbielała skóra opinała w tej chwili czaszkę tak ciasno, że pojawienie się pierwszych pęknięć było kwestią godzin. W policzku, tuż poniżej lewego oka, kołnierzyk z zakrzepłej krwi chronił przed mrozem otwór wlotowy po kuli. Z szyi żołnierza zwisała na drucie drewniana tabliczka z czarnym napisem: **PROLETARIER ALLER LÄNDER, VEREINIGT EUCH!** Nie musiałem znać niemieckiego, żeby zrozumieć

to zdanie, którym wszystkich rosyjskich chłopaków i wszystkie rosyjskie dziewczyny zanudzano na śmierć podczas niezliczonych wykładów na temat materializmu dialektycznego: Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Bacząc, by oszroniony drut nie zadrapał twarzy martwego żołnierza, zdjęłem mu z szyi tabliczkę i cisnąłem w śnieg. Kola zsunął mu z ramienia karabin - był to mosinnagant z zakrzywionym rygłem - kilka razy spróbował zarepetować, a potem zniechęcony pokręcił głową i upuścił broń na ziemię. Oprócz karabinu poległy miał broń krótką, tokariewa połączonego z kaburą linką przywiązaną do uszka na kolbie. Żołnierz był oficerem, jego pistolet nie tyle służył walce z Niemcami, ile dyscyplinowaniu podwładnych, kiedy słabł w nich bojowy duch.

Kola wyjął tokariewa, rozsupłał uwiąz i zerknął na kolbę, by przekonać się, że magazynek został wyjęty. Przy pasie oficera też nie było żadnej amunicji, Kola jednak rozpiął szynel i rychło znalazł to, czego szukał: wojłokową ładownicę ze skórzanym paskiem i stalową kłamrą.

- Czasem na noc chowa się je pod płaszcze - wyjaśnił, otwierając ładownicę i wyjmując z niej trzy pistoletowe magazynki. - Kłamry za bardzo błyszczą, odbija się w nich blask księżyca.

Wsunął magazynek w kolbę, sprawdził działanie zamka, i uzyskawszy pewność, że broń funkcjonuje bez zarzutu, wraz z pozostałymi dwoma magazynkami schował ją do kieszeni.

Próbowaliśmy wyrwać umarlaka ze śniegu, ale przymarzył do ziemi i był nie do poruszenia jak solidnie ukorzenione drzewo. Zmierzch wysysał z lasu wszystkie barwy, praktycznie zapadła już noc, nie mieliśmy czasu, żeby zajmować się dłużej zwłokami.

Znów ruszyliśmy na wschód; spieszenie i tym razem tuż obok torów. Mieliśmy nadzieję, że jeśli trafią się w okolicy jacyś Niemcy, będą poruszać się w pojazdach i usłyszymy ich ze sporej odległości... Wrony przestały krakać, ucichł również wiatr: jedynym źródłem dźwięków, były nasze buty pogrążające się w śniegu, i rytmiczne, niewiele głośniejsze niż daleki werbel,

eksplozje spadających na Piter pocisków mózdzierzowych. Usiłowałem zatopić twarz w szaliku i kołnierzu szuby, ogrzać policzki ciepłem oddechu, Kola naciągnął swoją uszankę na same oczy i zabijał ręce.

Kilka kilometrów na wschód od Bierzowki wkroczyliśmy na teren rozległego gospodarstwa rolnego: falujące zaśnieżone pola poprzecinane niskimi kamiennymi murkami, pomiędzy którymi poniewierały się bele siana rozmiaru eskimoskich lodowych chat. Daleko w głębi dostrzegliśmy stary kamienny dwór chroniony przed wichrami z północy kępą pięćdziesięciometrowych modrzewi. Z wnętrza domu na śnieg wysączał się przez szprosowe okna ciepły i maślany blask buzujących w środku płomieni. Z komina, ledwie dostrzegalny na granatowym tle nieba, walił w górę czarny pióropusz dymu. Był to najbardziej pociągający dom na świecie - wyobrażałem sobie, że jest wiejską rezydencją jakiegoś generała cieszącego się względami imperatora, że panuje w nim przedświąteczna atmosfera, półki w spiżarniach uginają się pod ciężarem mięs i ciast.

Zerknąłem na Kola brnącego obok mnie przez śniegi. Pokręcił głową, ale nie spuszczał spojrzenia z budynku. Czuł zapewne to samo co ja.

- Kiepski pomysł - powiedział.

- Lepiej, żebyśmy zamarli na śmierć, wędrując do Mgi?

- Kogo spodziewasz się w środku? Dystyngowanego ziemianina, który przy kominku głaszcze psa? Myślisz, żeśmy trafili do jebanej książki Turgieniewa? Wszystkie domy w okolicy zostały puszczone z dymem, a ten stoi. Co się stało? Komu dopisało szczęście? W środku są Niemcy, przypuszczalnie oficerowie. Przypuścimy atak z jednym pistoletem i jednym nożem?

- Jeśli będziemy iść dalej, umrzemy. Jeśli wejdziemy do domu i trafimy na Niemców, zginiemy. Ale jeśli Niemców tam nie ma...

- Przyjmijmy zatem, że są tam Rosjanie - odrzekł Kola. - To jednak oznacza, że Niemcy pozwolili im zostać, co oznacza z kolei, że kolaborują z Niemcami, ergo: są naszymi wrogami.

- To już nie można drapnąć u nieprzyjaciół czegoś na ząb? Załapać się u nich na nocleg?

- Posłuchaj, Lew, wiem, że jesteś zmęczony. Wiem, że jesteś zmarznięty. Ale zaufaj mi... zaufaj żołnierzowi... że nic z tego nie wyjdzie.

- Nie idę dalej. Wolę zaryzykować tutaj.

- W następnym mieście też może się nam coś trafić...

- A skąd wiesz, że w ogóle jest jakieś następne miasto? To ostatnie okazało się pogorzeliem. Ile jeszcze mamy do Mgi? Piętnaście kilometrów? Może ty dasz radę je pokonać. Ja na pewno nie.

Kola westchnął; tarł twarz grzbietem dłoni, usiłując przywrócić cyrkulację krwi w skórze.

- Przyznaję, że nie dotrzemy dziś do Mgi. Ten temat jest nieaktualny. Wiedziałem zresztą od dobrych kilku godzin.

- I nie miałeś ochoty podzielić się ze mną tą wiedzą? Ile nam jeszcze zostało?

- Dużo. Złe nowiny są takie, że moim zdaniem idziemy w niewłaściwym kierunku.

- Co masz na myśli?

Kola wciąż gapił się na dom i musiałem mu wymierzyć kuksańca, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. - Co masz na myśli, mówiąc, że idziemy w niewłaściwym kierunku?

- Już wiele godzin temu powinniśmy byli przeprowić się przez Newę. No i nie wydaje mi się, żeby po drodze do Mgi była Bierzowka.

- Nie wydaje ci się? Dlaczego nic nie mówiłeś?

- Nie chciałem, żebyś spanikował.

Było zbyt ciemno, abym mógł dostrzec wyraz jego durnej kozackiej gęby.

- Powiedziałeś, że Mga leży na linii moskiewskiej.

- Bo leży.

- Powiedziałeś, że wystarczy iść wzdłuż torów na Moskwę, a zaprowadzą nas do Mgi.

- Powiedziałem.

- No więc gdzie jesteśmy, do kurwy nędzy?

- W Bierzowce.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza. Jakże chciałbym w tej chwili mieć potężne kulaki, żeby rozgnieść mu czerep na miazgą*

- Masz jakieś dobre nowiny?

- Słucham?

- Mówiłeś, że zła nowina to twoja pewność, iż zmierzamy w niewłaściwym kierunku.

- Nie ma żadnych dobrych nowin. Dobre nie pojawiają się tylko dlatego, że istnieją złe.

Cóż mogłem powiedzieć na takie dictum? Ruszyłem w kierunku dworu. Księżyc wzeszedł nad wierzchołkami drzew, oblodzony śnieg potrzaskiwał pod moimi butami, a jeśli jakiś niemiecki snajper celował mi w głowę, życzyłem mu dobrego oka. Byłem głodny, ale wiedziałem, jak radzić sobie z głodem, my wszyscy z Pitra byliśmy w tej dziedzinie ekspertami. Panował przeraźliwy mróz, ale i do zimna byłem przyzwyczajony. Ale zawodziły mnie nogi. Słabe już przed wojną, kiepsko predysponowane do biegów, skoków i innych wyczynów, jakich oczekuje się zwykle od nóg, zostały przez miesiące blokady zredukowane do kalibru dwóch nędznych patyczków. Nawet gdybyśmy nie popyrtali kierunków, żadnym cudem nie dotarłbym dzisiaj do Mgi. W tej chwili nie byłbym w stanie wykrzesać z siebie sił nawet na pięciominutową przechadzkę.

Byłem w połowie dystansu do budynku, kiedy dopędził mnie Kola. Wyjął tokariewa i trzymał go w dłoni.

- Jeśli już mamy to zrobić - powiedział - przynajmniej nie postępujmy głupio.

Zaprowadził mnie na tył domu i kazał poczekać na ogrodowej werandzie, gdzie pod okapem piętrzył się stos suchutkie-go drewna kominkowego. W tym momencie nawet trzykilowa puszka kawioru z białugi nie wydałaby mi się dobrem bardziej luksusowym niż te poukładane w krzyżujących się warstwach polana, które sięgały znacznie powyżej mojej głowy.

Kola podkraść się do oszronionego okna, a kiedy zapuszczał żurawia do środka, na czarnym futrze jego czapki zapeł-

gały ogniste refleksy. Ze środka dobiegała muzyka, zapewne z płyty gramofonowej. Jazzujące pianino, chyba coś amerykańskiego.

- Kto tam jest? - zapytałem szeptem. Kola uniósł dłoń i nakazał mi ciszę. Sprawiał wrażenie zahipnotyzowanego tym, co widzi, natychmiast więc puściłem wodze wyobraźni: czyżbyśmy i tu, w krainie śniegów, natknęli się na kanibali biesiadujących wśród zmasakrowanych szczątków dawnych mieszkańców domu?

Kola jednak już wcześniej miał do czynienia z kanibalami, poza tym widział mnóstwo trupów. To musiało być coś nowego, niespodziewanego, po trzydziestu sekundach zatem zlekceważyłem polecenie Koli i dołączyłem doń przy oknie, uważając, by przy okazji nie stracić sopli zwieszających się z parapetu. Skulony, zerknąłem ponad dolnym ramiakiem.

Przy jazzowej muzyce z płyty tańczyły dwie dziewczyny w koszulach nocnych. Były śliczne i młode, nie starsze niż ja, blondynka prowadziła brunetkę. Bardzo blada, obsypana piegami na policzkach i szyi, miała brwi i rzęsy tak jasne, że znikwały, kiedy patrzyło się na nie z profilu. Ciemnowłosa dziewczyna była znacznie niższa i miała niezgrabne ruchy: w synkopowanej muzyce nie umiała odnaleźć rytmu. Jej zęby sprawiały wrażenie zbyt dużych w proporcji do ust, pulchne ramiona nie przechodziły płynnie w dłonie, lecz po niemowlęcemu łączyły się z nimi niczym serdelek z serdelkiem. W czasach pokoju mogłaby prze spacerować się Newskim Prospektem zupełnie niezauważona, teraz jednak pucłowata dziewczyna stanowiła zjawisko wręcz niebywale egzotyczne. Musiał ją kochać i żywić ktoś bardzo, bardzo znaczący.

Tak oszołomił mnie widok tańczących dziewczyn, że w pierwszej chwili nie zorientowałem się, iż jest ich w pokoju więcej: dwie inne leżały na czarnym futrze niedźwiedzim przy kominku. Obie na brzuchach, ze wspartymi na dłoniach podbródkami i poważnymi minami, przypatrywały się płasającym koleżankom. Jedna, o czarnych, niemal zrosniętych brwiach, wyglądająca na Czeczenkę, miała jaskrawoczerwone uszmin-

kowane usta i turban z wilgotnego ręcznika na głowie, jakby przed chwilą umyła włosy, a druga - długą smukłą szyję balet-nicy, idealnie prosty nos i kasztanowe włosy ściągnięte do tyłu w dwła cienkie warkoczyki.

Wnętrze dworu przywodziło na myśl domek myśliwski: na ścianach obszernej izby dostrzegłem łby niedźwiedzia, dzika i koziorożca o niechlujnej brodzie, z jednej strony kominka - wypchanego wilka, a z drugiej - rysia. Miały otwarte paszcze, połyskujące kły, ich nafaszerowane trocinami cielska zdawały prężyć się do skoku. W kinkietach płonęły świece.

Przyczajeni za oknem, przypatrywaliśmy się tańczącym dziewczynom. Kiedy melodia dobiegła końca, brunetka o czeczeńskim wyglądzie podniosła się przed kominka, żeby zmienić płytę.

- Puść jeszcze raz tę samą - poprosiła piegowata blondynka. Szyby tłumily jej głos, a jednak wszystko słyszeliśmy dość wyraźnie.

- Znowu? - jęknęła jej puciołowata partnerka. - Błagam, daj coś, co już znam. Może Eddiego Roznera.

Kątem oka zerknąłem na Kolę. Spodziewałem się na jego twarzy szerokiego uśmiechu, ekstatycznego zachwytu tą surrealistyczną wizją, która przytrafiła się nam w samym sercu zaśnieżonego wygwizdowa, ale wyglądał poważnie, a nawet ponuro, zaciskał usta i miał gniewny wzrok.

- Chodź - powiedział. Kiedyśmy wracali na front domu, rozległa się muzyka z następnej płyty, również jazzowej: trębacz wiódł swą kapełę do radosnej szarży.

- Wchodzimy? Chyba mają coś do jedzenia. Mam wrażenie, że dostrzegłem...

- Jestem pewien, że mają całą kupę zarcia.

Zakołatał do drzwi wejściowych. Muzyka urwała się gwałtownie, a kilka sekund później do okna obok drzwi podeszła blondynka. Przez długą chwilę wpatrywała się w nas, nieruchoma i milcząca.

- Jesteśmy Rosjanami - powiedział Kola. - Otwórz drzwi.

Pokręciła głową.

- Nie powinno was tu być.

- Wiem - odparł Kola, podnosząc pistolet na tyle wysoko, by dziewczyna mogła go zobaczyć. - Ale jesteśmy, więc do jasnej ciasnej otwieraj drzwi.

Blondynka obejrzała się przez ramię, wyszeptała coś do osoby, której nie widzieliśmy ze swojej perspektywy, wysłuchała odpowiedzi, znów odwróciła się ku nam, wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

Wchodząc do domu, miałem uczucie, że pogrążam się w trzewiach wieloryba. Od miesiący nie byłem w równie ciepłym miejscu. Kiedyśmy w ślad za blondynką weszli do wielkiej sali, trzy pozostałe dziewczyny stały stropione w szeregu, międląc w palcach rąbki swoich koszul. Pulchna brunetka o serdelkowa-tych ramionach najwyraźniej szykowała się do płaczu, o czym dowodnie świadczyła drżąca dolna warga.

- Jest tu ktoś poza wami? - zapytał Kola. Blondynka pokręciła głową.

- Kiedy przyjadą? Dziewczyny wymieniły spojrzenia.

- Kto? - zapytała ta o wyglądzie Czeczenki.

- Nie pogrywajcie ze mną, miłe panie. Jestem oficerem Armii Czerwonej w misji specjalnej i...

- Czy on również jest oficerem? - spytała blondynka, zerkając w moją stronę. Właściwie się nie uśmiechała, ale dostrzegłem w jej oczach rozbawienie.

- Nie, szeregowym.

- Szeregowym? Doprawdy? Ile masz lat, kitek?

Teraz patrzyły na mnie wszystkie dziewczyny i czułem, jak pod ciężarem tych spojrzeń do twarzy napływa mi krew.

- Dziewiętnaście - odparłem, prostując się jak struna.

- Dwadzieścia kończę w kwietniu.

- Tss, trochę za mikry jesteś jak na dziewiętnastolatka

- stwierdziła Czeczenka.

- Dałabym ci góra piętnaście - uznała blondynka.

Kola zarepetował pistolet - towarzyszący temu dźwięk zabrzmiał brutalnie w cichym pokoju. Uznałem gest towarzysza

za przesadnie dramatyczny, ale Kola miał wielką słabość do dramatycznych gestów. Wciąż trzymając broń w opuszczonej ręce, przeciągle popatrzył w oczy wszystkim dziewczynom po kolei.

- Za*nami długa droga - powiedział. - Mój druh jest zmęczony. Ja jestem zmęczony. Dlatego pytam po raz ostatni: kiedy przyjadą?

- Zwykle zjawiają się około północy - odparła puciołowata brunetka. Pozostałe dziewczyny wpatrywały się w nią uważnie, ale nie powiedziały ani słowa. - Jak już skończą ostrzał.

- Tak to więc wygląda? Kiedy już się znudzą obracaniem Pitra w perzynę, przyjeżdżają tu, żebyście zrobiły im dobrze?

Pod pewnymi względami jestem nieuleczalnym kretynem. Nie mówię tego powodowany fałszywą pokorą czy skromnością, przeciwnie, mam się za osobnika o ponadprzeciętnej inteligencji, inteligencji wszakże nie należy postrzegać jako pojedynczego wskaźnika w rodzaju na przykład szybkościomierza, lecz jako cały zestaw najrozmaitszych wskaźników, tacho-, odo-, alti- i Bóg-wie-jakich-jeszcze metrów. Ojciec, czym zresztą chełpił się przed przyjaciółmi, nauczył mnie czytać, kiedy miałem cztery lata, ale na pewno zamartwiał się mą niezdolnością opanowania języka francuskiego czy dat zwycięskich bitew Suworowa. Sam był autentycznym omnibusem: potrafił wyrecytować z pamięci dowolną strofę *Eugeniusza Oniegina*, mówił biegle po francusku i angielsku, w dziedzinie fizyki teoretycznej poruszał się na tyle swobodnie, że w dezercji do świata poezji jego wykładowcy uniwersyteccy dopatrywali się znamion tragedii. Żałuję, że nie byli ci profesorowie ludźmi obdarzonymi większą charyzmą. Że nie zdołali się z nim podzielić całą radością uprawiania fizyki, że nie potrafili wytłumaczyć swemu najzdolniejszemu studentowi, dlaczego kształt wszechświata i ciężar właściwy światła są czymś znacznie ważniejszym niż niezrymowane wiersze o leningradzkich kanciarzach i znachorkach.

Mój ojciec, nawet jako siedemnastolatek, od jednego spojrzenia rzuconego przez okno wiedziałby, co jest grane w tym samotnym domu.

Dlatego czułem się jak idiota, kiedy w końcu pojąłem, co tu robią te dziewczyny, kto je żywi i dba o zapas drewna opałowego pod okapem.

Blondynka spiorunowała Kola wzrokiem, jej nozdrza rozdęły się, a skóra pokryła rumieńcem pod deseniem z piegów.

- Ty... - wyrzuciła z siebie i urwała, bo gniew na moment odebrał jej zdolność artykułowania słów. - Przyłazisz tu, żeby nas potępiać? Zastrany krasnoarmiejski bohater? A gdzie się dotąd podziewałeś z tą swoją armią? Gdzie byłeś, kiedy przyszli Niemcy i wszystko puścili z dymem? Kiedy zastrzelili moich młodszych braci, ojca, dziadka i w ogóle wszystkich w okolicy? Byłeś gdzie indziej! A teraz przychodzisz i grozisz mi bronią?

- Nikomu nie grożę - odparł Kola z niezwykłą u niego po-tulnością.

Wiedziałem, że przegrał tę potyczkę.

- Zrobię wszystko, żeby chronić moja siostrę - podjęła dziewczyna, pokazując ruchem głowy pulchną brunetkę. - Absolutnie wszystko. Ale to wy mieliście nas chronić. Przesławna Armia Czerwona, Obrońcy Ludu! No, gdzieście byli?

- Walczyliśmy...

- Nikogo nie potraficie obronić. Opuściliście nas. Nie mieszkamy w mieście, więc się nie liczymy, o to chodzi, prawda? Wiejskie ćwoki mogą iść na rozkurz! Czy o to chodzi?

- Połowa ludzi z mojej kompanii zginęła walcząc o...

- Połowa? Gdybym była głównodowodzącym, zginęliby wszyscy moi żołnierze, byle powstrzymać faszystów przed wkroczeniem do naszego kraju!

- No cóż! - mruknął Kola i przez kilka sekund były to jedyne słowa, na jakie się zdobył. W końcu schował pistolet do kieszeni. - Dzięki Bogu, że nie jesteś głównodowodzącym.

XIV

Mimo kiepskiego początku zawarcie pokoju z dziewczynami nie zajęło wiele czasu. Byliśmy sobie nawzajem potrzebni. One od dwóch miesięcy nie rozmawiały z żadnym Rosjaninem, nie miały radia, były więc złaźnione wieści o wojnie. Gdy usłyszały o naszych zwycięstwach pod Moskwą, Galina - ta brunetka - uśmiechnęła się do swojej siostry Niny i z ożywieniem pokiwała głową, jakby przewidziała taki a nie inny rozwój wydarzeń. Pytały o Leningrad, ale nie zainteresowała ich ani grudniowa liczba ofiar blokady, ani też miesięczna racja chleba, jaka obecnie przysługuje na kartki. Prowincja ucierpiała nawet bardziej niż Leningrad, opowieści zatem o gehennie bohaterskiego miasta wydawały się jej mieszkańcom nudne. Owszem, pytały, czy Pałac Zimowy jeszcze stoi (stał), czy przeniesiono gdzieś Jeździec Miedzianego (nie przeniesiono) i czy przetrwał pewien sklep na Newskim Prospekcie najwyraźniej słynący z najlepszych bucików w całej Rosji (aniśmy z Kolą wiedzieli, ani to nas obchodziło).

Sami nie zadawaliśmy dziewczynom zbyt wielu pytań. Dostatecznie dobrze znałyśmy ich historię bez dociekania szczegó-

łów. Mężczyźni z ich osad i miasteczek zostali wycięci w pień, wiele kobiet wyekspediowano na zachód, do niewolniczej pracy w niemieckich fabrykach. Inne, z dziećmi na rękach i z rodzinnymi ikonami w tobołkach, umknęły na wschód, pokonując setki kilometrów z nadzieją, że zdołają poruszać się szybciej niż Wehrmacht. Udziałem tych najładniejszych nie stała się ani pierwsza, ani druga możliwość. Najeźdźcy zatrzymali je dla swej przyjemności.

Siedzieliśmy całą grupą na podłodze przy kominku, na gzymsie suszyły się nasze rękawice i skarpety. W rewanżu za wieści dziewczyny ugościły nas wrzącą herbatą, kromkami czarnego chleba, a w dodatku dwoma pieczonymi, przekrojonymi już na pół ziemniakami. Kola odgryzł kawałek swojego i popatrzył na mnie. Ja odgryzłem kawałek swojego i popatrzyłem na Galinę o miłej buzi i pulchnych ramionach. Siedziała oparta o kamienną podstawę kominka, wsunawszy dłonie pod gołe nogi.

- To masło? - zapytałem.

Skinęła głową. Kartofle smakowały jak prawdziwe kartofle, w niczym nie przypominały tych skiełkowanych, pomarszczonych i gorzkich bulwek, które od wielkiego dzwonu jadaliśmy w Leningradzie. Za dobry kartofel z tłuszczem można było na Bazarze dostać trzy granaty ręczne albo skórzano-wojłokowe buty.

- Przynoszą wam czasem jajka? - zapytał Kola.

- Raz przynieśli - odparła Galina. - Usmażyliśmy omlet. Kola spróbował nawiązać ze mną kontakt wzrokowy, ale byłem bez reszty skoncentrowany na swoim ziemniaku z masłem.

- Stacjonują gdzieś w pobliżu?

- Oficerowie zajmują dom nad jeziorem - odrzekła Lara, dziewczyna o wyglądzie Czeczenki, która była w istocie pół-Hiszpanką. - W Nowym Koszkinie.

- To miasteczko?

- Tak. Pochodzę z niego.

- I powiadasz, że oficerowie miewają jajka?

Teraz to ja popatrzyłem na niego. Postanowiłem jeść kartofel powoli, delectować się każdym kęsem. Jeśli chodzi o kolację, mieliśmy niebywałe szczęście, przytrafiły się nam dwie godziwe pod rząd - najpierw rosół z Luboczki, a teraz kartofle. Nie oczekiwałem, że cud powtórzy się po raz trzeci. Żując z wielką starannością, wypatrywałem w twarzy Koli zwiastunów jakichś idiotycznych pomysłów.

- Nie wiem, czy mają akurat w tej chwili - powiedziała Lara z krótkim chichotem. - Naprawdę tak cię sparło na te jajka?

- Tak - odrzekł, obdarowując dziewczynę uśmiechem, który sprawił, że na jego policzkach pojawiły się dwa uwodzicielskie dołki. Kola umiał dobierać uśmiechy najlepiej eksponujące ten atrybut jego młodzieńczego wdzięku. - Chodzą za mną od czerwca. Jak myślisz, dlaczego nas tu przyniosło? Szukamy jajek.

Osobliwy żarcik wprowadził dziewczęta w wesołość.

- Organizujecie partyzantkę? - zapytała Lara.

- Nasze zadanie jest ściśle tajne - powiedział Kola - poprzestańmy więc na tym, że szkopy popamiętają tę zimę.

Dziewczyny popatrzyły po sobie, ale buńczuczne słowa Koli nie wywarły na nich żadnego wrażenia. Widziały Wehrmacht z mniejszej odległości niż Kola, miały okazję wyciągnąć własne wnioski, kto okaże się zwycięzcą tej wojny.

- Jak daleko do Nowego Koszka? Lara wzruszyła ramionami.

- Niedaleko. Sześć, siedem kilometrów.

- To mógłby być niezły cel - powiedział do mnie, pogryzając czarny chleb z ostentacyjną nonszalancją. - Kropnąć gromadę oficerów Wehrmachtu, pozbawić brygadę dowództwa...

- Oni nie są z Wehrmachtu - powiedziała Nina takim tonem, że natychmiast podniosłem na nią wzrok. Nie wyglądała na lękliwą osobę, ale to co mówiła, przejmowało ją strachem. Jej siostra, Galina, przygryzła dolną wargę i wbiła spojrzenie w ogień. - Są z Einsatzgruppe.

Od czerwca wszyscy Rosjanie przechodzili przyspieszony kurs języka niemieckiego. Dosłownie z dnia na dzień do nasze-

go codziennego słownika wtargnęły dziesiątki nowych haseł: Panzery, Junkersy i Luftwaffe, Blitzkrieg, Gestapo i te wszystkie inne rzeczowniki pisane z wielkiej litery. Słowo Einsatzgruppe, gdy je po raz pierwszy usłyszałem, nie brzmiało tak złowieszczo, jak niektóre z tamtych, kojarzyło się raczej z nazwiskiem pedantycznego buchaltera z kiepskiej dziewiętnastowiecznej komedii obyczajowej. Starczyło jednak przeczytać kilka artykułów prasowych, posłuchać kilku audycji w radiu czy nawet przypadkowych rozmów, by zapomnieć o zabawnych skojarzeniach. Einsatzgruppen bowiem były faszystowskimi szwadronami śmierci, doborową formacją zabójców rekrutowanych z szeregów armii regularnej, Waffen-SS i Gestapo; ich członków charakteryzowała brutalna kompetencja i nieskazitelnie aryjska krew w żyłach. Kiedy Niemcy dokonywali inwazji na jakiś kraj, Einsatzgruppen podążały za jednostkami liniowymi i uzyskawszy pewność, że rejon został opanowany, przystępowały do eliminacji wybranych celów - komunistów, Cyganów, intelektualistów i rzecz jasna Żydów. W każdym wydaniu „Prawda” i „Czerwona Gwiazda” zamieszczały nowe zdjęcia rowów wypełnionych zwłokami pomordowanych Rosjan, którzy najpierw kopali zbiorowe mogiły, później zaś byli uśmierceni strzałem w tył głowy. Zapewne publikacje tych potencjalnie szkodliwych dla morale społeczeństwa fotografii poprzedzały burzliwe debaty propagandzistów i szefów redakcji, najwyraźniej jednak zwyciężył pogląd, że chociaż przerażają i wprawiają w przygnębienie, to zarazem niosą bardzo wyraziste przesłanie: oto jaki czeka nas los, jeśli przegramy wojnę.

- A zatem wieczorami przychodzą tu oficerowie z Einsatzgruppe? -
upewnił się Kola.

- Tak - odparła Nina.

- Nie sądziłem, że zawracają sobie głowę ostrzeliwaniem miasta -
powiedziałem.

- Przynajmniej nie powinni, ale ci zrobili sobie z tego rozrywkę.
Zawierają zakłady. Mierzą do rozmaitych budynków w mieście, a
piloci bombowców informują ich o trafieniach. Dlatego pytałyśmy o
Pałac Zimowy, bo to ich upragniony cel.

Pomyślałem o zrujnowanym Kirowie, o Wierze Osipowej i bliźniakach Antokolskich; czy, zadawałem sobie pytanie, zostali zmiażdżeni lawiną żelbetu, czy też przeżyli zawalenie się budynku tylko po to, by daremnie wzywając pomocy, dusić się powoli gdzieś pod rumowiskiem w oparach dymu i gazu. Może umarli dlatego, że jakiś Niemiec daleko w lesie, pociągając sznapsa z piersiówki i dowcipkując z kompanami, podał celownicemu złe współrzędne, wskutek czego siedemdziesiędziomilimetrowe pociski zamiast na Pałac Zimowy spadły na mój szpetny stary blok.

- Ilu ich zwykle przyjeżdża?

Nina pytając spojrzała na pozostałe dziewczyny, ale one udały, że tego nie widzą. Galina skubała jakiś ledwie widoczny strupek na swojej dłoni, Lara pogrzebaczem wpychała w głąb kominka płonące polano, które zsunęło się z rusztu. Olesia zaś, ta z warkoczykami, trwała w milczeniu, którego nie przerwała ani razu, odkąd my się zjawili. Nie mam pojęcia, czy była chorobliwie nieśmiała, niema od urodzenia czy też pozbawiona języka przez ludzi z Einsatzgruppe. Zebrała nasze puste talerze i kubki, a następnie wyniosła je z pokoju.

- Zależy od dnia - odrzekła wreszcie Nina tonem tak obojętnym, jakbyśmy omawiali partię brydża. - Czasem nikt się nie zjawia. Czasem przyjeżdża dwóch albo czterech. Czasem jest ich więcej.

- Przyjeżdżają samochodem?

- Tak. Oczywiście, że tak.

- Zostają do rana?

- Czasem. Nie zawsze.

- Nigdy nie zjawili się w ciągu dnia?

- Raz czy dwa razy.

- A więc, wybacz, że pytam, co powstrzymuje was przed ucieczką?

- Myślisz, że to takie łatwe? - Nina wydawała się poirytowana zarówno samym pytaniem, jak i zawartą w nim sugestią.

- Oczywiście, że niełatwe - przyznał Kola - choć my z Lwem wymaszerowaliśmy z Pitra o świcie i dotarliśmy aż tutaj.

- Ci Niemcy, z którymi walczysz, ci, którzy podbili połowę naszego kraju, są twoim zdaniem bandą idiotów? Sądzisz, że zostawiliby nas tu same, gdybyśmy mogły ot tak, otworzyć sobie drzwi i powędrować spacerkiem do Pitra?

- A czemu nie możecie?

Widziałem, jaki efekt wywarło na dziewczętach to pytanie: w oczach Niny zapłonął gniew, w oczach Galiny, wpatrzonych w delikatne białe dłonie - wstyd. Mimo krótkiej znajomości z Kolą byłem przekonany, że powoduje nim autentyczna ciekawość, nie zaś chęć dokopania im zbyt trudnymi pytaniami, wolałbym jednak, żeby w tej chwili się zamknął.

- Opowiedz im o Zoi - zasugerowała Lara.

Ten pomysł najwyraźniej sprawił Ninę w jeszcze większą irytację. Wzruszyła tylko ramionami i nie odezwała się ani słowem.

- Myślą, że jesteśmy tchórzliwe - dodała Lara.

- Nic mnie nie obchodzi, co sobie myślą - odrzekła Nina.

- Dobrze, to ja im opowiem. No więc była tu jeszcze jedna dziewczyna, Zoja.

Galina wstała, wygładziła swoją koszulę nocną i wyszła z pokoju. Nina nie zwróciła na to uwagi.

- Niemcy ją uwielbiali. Na jednego, który przychodził do mnie, sześciu odwiedzało ją.

Lara mówiła bez owijania w bawełnę i wszystkich nas ogarnęło zakłopotanie. W pierwszym odruchu Nina chciała wyjść w ślad za dwoma pierwszymi dziewczynami, ale w końcu została, uważając, by jej rozbiegane spojrzenie nie padło na mnie czy na Kolę.

- Miała czternaście lat, jej rodzice byli działaczami partyjnymi. Nie wiem, czym się zajmowali, ale chyba czymś ważnym, bo zostali schwytani przez Einsatzgruppen i rozstrzelani na ulicy. Później ich zwłoki powieszono na latarni, żeby mieszkańcy miasta wiedzieli, jaki los czeka komunistów. Zoję przywieziono tu w tym samym czasie co nas, pod koniec października. Przedtem były inne dziewczyny, rozumiecie, po kilku miesiącach zaczynamy ich nudzić. Tak czy siak Zoja stała się ich ulu-

bienicą. Była taka drobna i tak nimi przerażona... Sądzę, że to im się najbardziej podobało. Mówili jej: „Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy, nie pozwolę, by cię skrzywdzono”, no, takie rzeczy, ale przecież widziała zwłoki swoich rodziców wiszące na latarni, a każdy z jej gości mógł być tym, który ich zastrzelił albo wydał rozkaz, żeby ich rozstrzelano.

- Wszystkie jesteśmy po przejściach - stwierdziła Nina. - Zoja spanikowała.

- Tak, spanikowała. Miała czternaście lat i spanikowała. Z tobą sprawa wygląda inaczej - masz siostrę, nie jesteś sama.

- Zoja miała nas.

- Nie - sprzeciwiła się Lara. - To było coś zupełnie innego. Każdej nocy, kiedy już wyszli, płakała, płakała całymi godzinami, tak długo, aż wreszcie zasnęła. Choć nie zawsze udawało się jej zasnąć. W pierwszym tygodniu próbowaliśmy jej pomóc. Siadywałyśmy przy niej, trzymały za rękę, opowiadałyśmy rozmaite historie... robiłyśmy wszystko, byle tylko przestała płakać. Daremnie. Usiłowaliście kiedyś uspokoić rozgorączkowane niemowlę? Wtedy też człowiek chwytą się wszystkich środków: bierze je na ręce, kołysze, śpiewa, daje coś chłodnego do picia. I co? I nic. Zoja płakała dalej. Po tygodniu tego koszmaru nasze współczucie zmieniło się w złość. Nina ma rację: wszystkie jesteśmy po przejściach. Wszystkie straciłyśmy rodziny. Płacz Zoi nie dawał nam zasnąć. W drugim tygodniu zaczęłyśmy ją ignorować. Kiedy wchodziła do pokoju, przenosiłyśmy się do drugiego. Wiedziała, że się złości - nic nie mówiła, ale wiedziała dobrze. I przestała płakać, nagle, jakby uznała, że wyrobiła normę. Przez trzy dni była bardzo cicha, zamknięta w sobie. Czwartego dnia rano zniknęła, ale o tym dowiedziałyśmy się dopiero pod wieczór, kiedy przyjechali Niemcy. Władowali się rozbawieni, wywrzaskując jej imię. Myślę, że urządzali loterię i wygrany dostawał Zoję pierwszy. Przywozili do niej kumpli z innych jednostek, robili jej zdjęcia. Ale tego wieczoru jej nie było. Oczywiście nie uwierzyli, że nie mamy pojęcia o jej zniknięciu, sama zarzuciłabym sobie kłamstwo w takiej sytu-

acji. Mam zresztą nadzieję, że skłamałybyśmy, gdybyśmy wiedziały. Mam nadzieję, że zrobiłybyśmy to dla niej, chociaż nie wiem, czybyśmy zrobiły.

- Jasne, że byśmy zrobiły - stwierdziła Nina.

- A ja nie wiem. To zresztą bez znaczenia. No więc wylecieli jej szukać, Abendroth i pozostali. Abendroth jest... no, nie za bardzo wyznaję się na szarżach... majorem? - pytająco spojrzała na Ninę, a ta wzruszyła tylko ramionami. - Chyba majorem. Niektórzy Niemcy są od niego starsi, ale to on wydaje rozkazy. Musi być dobry w swojej robocie. Jeśli się zjawiał, zawsze brał Zoję pierwszy, nawet kiedy przyjeżdżał pułkownik z innej jednostki; zawsze pierwszy, a jak już z nią skończył, to siadał przy kominku i popijał śliwovicę. Nieodmiennie śliwovicę. Płynnie mówił po rosyjsku. I po francusku... dwa lata mieszkał w Paryżu.

- Polując na przywódców ruchu oporu - dodała Nina. - Mówił mi o tym jeden z pozostałych. Miał takie sukcesy, że został najmłodszym majorem we wszystkich Einsatzgruppen.

- Lubi grać ze mną w szachy - podjęła Lara. - Wcale nie jestem najgorsza, ale chociaż z reguły poświęca królową, czasem królową i pionka, daje mi mata najwyżej w dwudziestu ruchach, nawet kiedy jest pijany, a pijany jest prawie zawsze. Kiedy jestem... kiedyjestem zajęta, rozstawia szachownicę i gra sam ze sobą.

- Jest najgorszy z nich wszystkich - powiedziała Nina.

- Tak. Choć z początku byłam innego zdania. Ale po tym z Zoją... jest najgorszy. No więc przywieźli psy i ruszyli w las na poszukiwanie. Potrzebowali zaledwie kilku godzin, żeby ją złapać. Była strasznie osłabiona... Już przedtem drobna, prawie nic nie jadła, odkąd się tu znalazła. Przyciągnęli ją z powrotem i obdarli do naga. Wyglądała jak dzikie brudne zwierzątko, miała liście we włosach i sińce na całym ciele, bo tłukli ją, gdzie popadło. Związali jej ręce w przegubach i nogi w kostkach. Abendroth kazał mi iść na dwór i przynieść piłę, która leży obok drewna do kominka. Uciekając, Zoja zabrała moje buty i palto, no więc uznali, że to ja jej pomogłam. Nie wiem, co myśla-

łam, kiedy Abendroth wysłał mnie po piłę, ale nie myślałam, że... sądziłam, że jej nie skrzywdzą, bo przecież była ulubienicą ich wszystkich.

Usłyszałem zduszony okrzyk, odwróciłem głowę i zobaczyłem, że Nina zakryła oczy dłońmi, drapie palcami czoło i chyba największym wysiłkiem woli zmusza do milczenia zaciśnięte usta.

- Czterech przytrzymało ją za ręce i nogi. Nawet nie próbowała się wyrwać, wtedy jeszcze nie. Cóż zresztą mogłaby zwojować z tymi swoimi czterdziestoma kilogramami? Przypuszczała, że ją zabiją, i wcale się tym nie przejmowała; pragnęła śmierci, czekała na nią. Ale nie zabili jej. Abendroth kazał mi dać piłę. Nie podać, lecz włożyć sobie do rąk. Chciał, bym wiedziała... że ją ode mnie dostał. Byliśmy w pokoju wszystkie, Nina, Galina, Olesia i ja. Kazali nam zostać. Chcieli, żebyśmy przy tym byli, taką wymierzili nam karę. Pomogłyśmy Zoi uciec, więc musiałyśmy patrzeć. Wszyscy palili... nauganiali się za Zoją po całym lesie, więc zasłużyli na papierosa... i pokój był pełen dymu. Zoja sprawiała wrażenie bardzo spokojnej, niemal pogodnej, wierzyła, że jest już poza ich zasięgiem, że nic nie mogą jej zrobić. Ale była w błędzie. Abendroth pochylił się i wyszeptał jej coś do ucha. Nie wiem, co to było. Potem przyłożył brzeszczot do kostki Zoi i zaczął piłować. Zoja... nawet jeśli dożyję setki, w co wątpię, choć wszystko może się zdarzyć... nawet najdłuższe lata życia nie wymażą tego skowytu z mej pamięci. Przytrzymało ją czterech silnych mężczyzn, ją, właściwie skórę i kości, ale wyrwała się z taką mocą i determinacją, że przytrzymywali ją z najwyższym wysiłkiem. Abendroth oderznął jedną stopę i zabrał się za następną. Jeden z Niemców biegiem wypadł z pokoju... pamiętasz to, Nina? Zapomniałam, jak się nazywał. Już nie wrócił. Abendroth odpiłował drugą stopę, a Zoja wyła cały czas. Myślałam wtedy, że to nie do zniesienia, że nigdy nie odzyskam już zdrowych zmysłów, że to za wiele, za wiele. Abendroth wyprostował się... miał zakrwawiony mundur, krew na rękach i twarzy - i lekko skłonił głowę w naszą stronę. Pamiętasz? Jakby właśnie zakończył udany występ. Powiedział tylko: „Taki

los spotyka dziewczuszki, które oddalają się od domu", i wszyscy wyszli, zostawiając nas w kłębach dymu tytoniowego, z Zoją jęczącą na podłodze, próbowaliśmy ją opatrzyć, zatrzymać krwawienie, ale było już za późno.

Kiedy Lara skończyła mówić, domem zawładnęła cisza. Nina pochlipywała bezgłośnie, ucierając nos grzbietem dłoni. W kominku strzeliło zwęglone polano, a chmura iskier została wessana przez dymnik. Gałęzie modrzewi muskały kryty gontem dach. Daleko na zachodzie wybuchały bomby, nie słyszeliśmy jednak eksplozji, lecz raczej czuliśmy ich wibracje, które wprawiały w drżenie szyby okienne i marszczyły powierzchnię wody w szklance.

- Przyjeżdżają więc koło północy? - upewnił się Kola.

- Na ogół.

Wedle porcelanowego zegara kominkowego mieliśmy sześć godzin. Byłem po całodziennym marszu przez śniegi na ostatnich nogach, ale wiedziałem, że po wysłuchaniu historii Zoi i z perspektywą rychłego przyjazdu oficerów z Einsatzgruppe nie zdołam zmrużyć oka.

- Jutro rano - powiedział Kola do Lary i Niny - macie wszystkie wyruszyć do miasta. Dam wam adres, pod którym będziecie mogły się zatrzymać.

- Ale tu jesteśmy bezpieczniejsze niż w mieście - zaproponowała Nina.

- Po dzisiejszej nocy już nie będziecie.

XV

Lara zaprowadziła nas do niewielkiego pokoiku na tyłach domu, w czasach carskich pełniącego, jak zgadywałem, rolę służbówki; na małym biurczku postawiła dwie zapalone świece w mosiężnym świeczniku. Wyłożonych sosnową boazerią ścian izdebki nic nie zdobiło, materace na piętrowym łóżku były nieobleczone, omal nie wybiłem sobie zębów, potknąwszy się o zwichrowaną deskę w podłodze, ale przynajmniej nie mieliśmy powodów, żeby uskarżać się na chłód. Przez wąskie okna widzieliśmy w blasku księżycy szopę na sprzęt ogrodniczy i leżące w śniegu obok niej przewrócone taczki.

Usiadłem na dolnej pryczy i powiodłem palcem po wyrytym w boazerii imieniu ARKADIJ. Ciekawe, pomyślałem, jak dawno temu mieszkał w pokoiku ów Arkadij i czy jest w tej chwili sędziwym starcem dygoczącym gdzieś z zimna, czy też po prostu szkieletem spoczywającym na cmentarzu. Zręcznie posługiwał się nożem, to nie ulegało wątpliwości, pochyłe litery jego imienia były pełne ozdobnych zakrętasów, a całość podkreślała zamaszysta falująca linia.

Lara i Kola uzgodnili system komunikacyjny - uderzenia chochlą w garnki - który poinformuje nas, ilu Niemców posta-

nowiło skorzystać dzisiejszej nocy z odrobiny rozrywki. Kiedy dziewczyna wyszła, Kola rozłożył pistolet, starannie układając na biurku jego poszczególne części, obejrzał każdą z osobna w poszukiwaniu uszkodzeń, następnie wytarł rękawem koszuli i ponownie złożył broń.

- Zastrzełeś już kogoś? - spytałem.

- Trudno powiedzieć.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że wystrzeliłem z karabinu ze sto razy, ale nie mam pojęcia, czy kogokolwiek trafiłem. - Wsunął magazynek w kolbę. - Kiedy zastrzelę Abendrotha, będę miał pewność.

- Może jednak powinniśmy odejść.

- To ty chciałeś tu przyjść.

- Potrzebowaliśmy odpoczynku. Potrzebowaliśmy jedzenia. Teraz czuję się znacznie lepiej.

Odwrócił się na krześle i popatrzył na mnie. Siedziałem w swojej bekieszy na łóżku, podłożywszy dłonie pod nogi.

- Może ich przyjść nawet ośmiu - podkreśliłem. - A mamy tylko jeden pistolet.

- I jeden nóż.

- Nie mogę przestać myśleć o Zoi.

- I bardzo dobrze - odparł. - Myśl o niej, kiedy mu będziesz wbijał nóż w bebechy.

Rzucił na górną pryczę swój szynel, wdrapał się, usiadł po turecku, położył pistolet obok siebie. Potem z kieszeni płaszcza wyjął dziennik. Jego ogryzek ołówka skurczył się do rozmiaru paznokcia, ale Kola czynił zapiski ze zwykłą prędkością.

- Nie sądzę, żebym potrafił to zrobić - powiedziałem po długiej chwili milczenia. - Nie sądzę, żebym potrafił dźgnąć człowieka.

- Więc będę musiał zastrzelić ich wszystkich. Ile to już... jedenaście dni, odkąd wysrałem się ostatni raz? Ile, twoim zdaniem, wynosi rekord?

- Zapewne znacznie więcej niż jedenaście dni.

- Ciekawe, jak będzie wyglądało, kiedy w końcu wylezie.

- Kola... może jednak pójdziemy, co? Zabierzemy dziewczyny i wrócimy do miasta. Damy sobie radę. Mają mnóstwo żarcia. Rozgrzaliśmy się trochę, weźmiemy kilka koców i...

- Posłuchaj. Wiem, że się boisz, zresztą masz do tego święte prawo. Tylko idiota siedziałby spokojnie, wiedząc, że niebawem pojawią się ci zwyrodnialcy. Ale na to właśnie czekałeś. To jest twoja noc. Próbują puścić z dymem nasze miasto. Próbują zagłodzić nas na śmierć. Ale jesteśmy jak dwie cegły ze starego dobrego Pitra. Nie zdołasz spalić cegły. Nie zdołasz jej zagłodzić.

Śledziłem wzrokiem rozedrgane płomyki świec, patrzyłem na cienie tańczące po suficie.

- Gdzieś to usłyszał? - zapytałem w końcu.

- Który kawałek, ten o ceglach? Od porucznika. A co? Nie porwał cię?

- Aż do tego momentu było w porządku.

- A ja lubię te cegły. „Nie możesz spalić cegły, nie możesz jej zagłodzić”. Naprawdę fajne. Ma niezły rytm.

- Od tego porucznika, co wlaź na minę?

- Tego samego. Biedaczysko. Dobra, dajmy sobie spokój z ceglami. Obiecuję ci, moje ty lwiątko, że tu nie zginiemy. Ukatrupimy kilku faszystów i znajdziemy te jajka. W moich żyłach płynie cygańska krew; umiem przepowiadać przyszłość.

- Nie masz ani kropli cygańskiej krwi.

- Poza tym nadal utrzymuję, że pułkownik zaprosi nas na wesele córki.

- Ha! Zakochałeś się.

- Bez dwóch zdań. Sądzę, że obdarzyłem tę dziewczynę szczerym uczuciem. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest durną kurewką, ale i tak ją kocham. Co więcej: pragnę poślubić. Nie będzie musiała nic mówić, nie będzie musiała mi gotować i rodzić moich dzieci. Wystarczy mi w zupełności, że od czasu do czasu nago pojeździ na łyżwach po Newie i wykręci maleńki piruet nad moimi otwartymi ustami.

Kola sprawił, że na kilka sekund zapomniałem o strachu, ale strach nigdy nie opuszczał mnie na długo, ba, nie pamiętam

nawet, kiedy ostatni raz byłem pozbawiony jego towarzystwa. Tego wieczoru przyszedł w najokropniejszej ze swoich postaci. Ileż możliwości przejmowało mnie grozą! Była zatem możliwość wstydu, spore prawdopodobieństwo, że przycupnę gdzieś na obrzeżach akcji, zostawiając Koli walkę z Niemcami... tyle tylko że tym razem, miałem zupełną pewność, nie ujdę z życiem. Była możliwość bólu, doświadczania takich samych cierpień jak Zoja, gdy zęby piły wgryzały się w jej skórę, mięśnie i kości. Istniało wreszcie bardzo wysokie prawdopodobieństwo śmierci. Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć ludzi, którzy utrzymywali, że najbardziej na świecie boją się wystąpień publicznych, pajaków lub czegokolwiek innego z galerii kieszonkowych okropieństw. Czy jest w ogóle coś, co napawa człowieka większym przerażeniem niż śmierć? Wszystko oprócz niej daje jakąś szansę ucieczki, pozostawia jakieś uchylone drzwi: paralytyk może nadal czytać Dickensa, szaleniec może doświadczać wizji aż obłądnych w swym pięknie.

Usłyszałem skrzypnięcie sprężyn, podniosłem głowę i ujrzałem odwróconą o sto osiemdziesiąt stopni twarz Koli. Wiszące w brudnych pozlepianych strąkach jasne włosy. Patrzył na mnie z troską i natychmiast zebrało mi się na płacz. Jedynym człowiekiem na ziemi, który wiedział, jak bardzo się boję, który wiedział, że chociaż jeszcze żyję, to tej właśnie nocy mogę zginąć, a więc jedynym takim człowiekiem był spotkany trzy dni temu chełpliwy dezertier. Potomek Kozaków. Nieznajomy. Mój ostatni przyjaciel.

- To ci poprawi nastrój - powiedział, zrzucając mi na kolana talię kart.

Na pierwszy rzut oka wyglądały jak zwyczajne karty, ale kiedy je zacząłem rozkładać, okazało się, że są w istocie fotografiami kobiet, w części zupełnie nagich, po części przystrojonych w pasy do pończoch albo koronkowe gorseciki. Kusząco rozchyłały usta, unosiły w dłoniach pełne piersi...

- Sądziłem, że muszę dołożyć ci w szachy, aby to dostać.

- Ostrożnie, rany boskie, ostrożnie. Nie pozaginaj rogów. Przyjechały aż z Marsylii.

Przypatrywał się, jak przeglądam zdjęcia, uśmiechał, gdy na niektóre patrzyłem dłużej.

- A co powiesz o naszych dziewczynach? Cztery ślicznotki, co? Chyba zdajesz sobie sprawę, że po dzisiejszej nocy będziemy bohaterami i nie zdołamy się od nich opędzić. No więc, na którą się decydujesz?

- Po dzisiejszej nocy będziemy martwi.

- Doprawdy, mój przyjacielu, doprawdy, przestań wreszcie mówić takie rzeczy.

- Chyba pasuje mi ta mała z pulchnymi rączkami.

- Galina? I dobrze. Wygląda jak antrykot, ale nie ma sprawy, rozumiem.

Nie odzywał się przez chwilę, a ja podziwiałem portret strzelającej z bata niewiasty w bryczesach.

- Posłuchaj, Lew, daj mi słowo, że jak już będzie po wszystkim, porozmawiasz z tą swoją Galinką-cielęcinką. Wiem, że nieśmiały z ciebie chłopak, ale nie czmychaj tym razem jak inni nieśmiali chłopcy. Mówię zupełnie serio. Wpadłeś jej w oko, widziałem, jak na ciebie patrzy.

Ja jednak miałem stuprocentową pewność, że nie patrzyła na mnie, tylko, jak zresztą one wszystkie, na Kolę. Kola też o tym wiedział.

- A co z wyrachowanym lekceważeniem? Utrzymałeś, że z lektury *Psa podwórkowego* jasno wynika, iż tajemnicą podboju kobiecego serca jest...

- Istnieje ogromna różnica pomiędzy ignorowaniem a wabieniem kobiety. Wabisz ją aurą tajemniczości. Ona pragnie, byś przypuścił już atak, ty jednak krążysz jak szczwany drapieżnik na łowach. Tak samo z seksem. Amatorzy spuszczają portki i próbują nadziać kobietę na wacka jak kłusownik rybę na oścień, podczas gdy dla utalentowanych artystów to wyrafinowana gra pokus, podchodów, przybliżania się i oddalania.

- Ta jest niekiepska - powiedziałem, podnosząc zdjęcie kobiety upozowanej na toreadora. Trzymała w rękach kapę, a na głowie miała beret.

- Moja ulubienica. Kiedy byłem w twoim wieku, gapiąc się na nią, napełniłem ze dwadzieścia skarpet.

- Wedle „Komsomolskiej Prawdy” masturbacja przytępia rewolucyjnego ducha.

- Bez wątpienia. Proudhon jednak utrzymuje, że...

Nie zdążyłem się dowiedzieć, co utrzymuje Proudhon. Usłyszeliśmy brzęknięcie miedzi o miedź i obaj usiedliśmy na swoich pryczach.

- Wcześniej przyszli - wyszeptał Kola.

- Ale tylko dwóch.

- Kiepski wieczór wybrali na wycieczki w kameralnym towarzystwie.

- Słowa Koli wisiały jeszcze w powietrzu, gdy chochła uderzyła w garnek jeszcze raz... dwa... trzy... cztery razy.

- Sześciu - wysapałem.

Kola zwiesił nogi z pryczy i bezszelestnie, z pistoletem w dłoni, zsunął się na podłogę. Zdmuchnął świece i zerknął przez okno, ale nie było nic do oglądania, bo znajdowaliśmy się po niewłaściwej stronie domu. Usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwi samochodu.

- Plan jest taki - powiedział Kola cicho i spokojnie. - Teraz poczekamy. Niech się rozluźnią, ogrzeją, wypiją kilka kolejek. Na pewno pozdejmują mundury, więc jeśli dopisze nam szczęście, nie będą mieli broni pod ręką. Pamiętaj, nie przyjechali tu na wojaczkę, tylko do dziewczyn. Słyszysz? Mamy przewagę.

Skinąłem głową, chociaż kalkulacje Koli nie przemawiały mi do przekonania. Rachuba wyglądała inaczej: nas dwóch i sześciu Niemców. Czy dziewczyny spróbują nam pomóc? Dla Zoi nie ruszyły palcem, ale z drugiej strony cóż mogły dla niej zrobić? Sześciu Niemców i osiem kul w tokarowie. Miałem nadzieję, że Kola dobrze strzela. Po moim ciele, niczym prąd elektryczny, chodził strach: wprawiał mięśnie w drgawki i wysuszał usta. Czułem się bardziej ożywiony niż kiedykolwiek dotąd, jak gdyby właśnie ta chwila, w starym dworze pod Bierzówką, była pierwszą, w której istnieję naprawdę, rozbudzony wreszcie po wszystkich poprzedzających ją latach lepszego czy gorszego snu. Moje zmysły uległy nadzwyczajnemu wyostrzeniu, dostarczając

mi wszelkich informacji, jakich potrzebowalem w tym dramatycznym momencie. Slyszałem skrzywienie butów na udeptanym śniegu, czułem aromat palonych w kominku sosnowych igieł. Była to stara sztuczka służąca poprawieniu panującego w domu zapachu.

Słyszając wystrzał karabinowy, wzdrygnęliśmy się obaj. Staliśmy cicho w ciemności i próbowaliśmy zrozumieć, co się stało. Po kilku sekundach rozległy się następne wystrzały, ogarnięci paniką Niemcy przekrzykiwali się nawzajem.

Kola pobiegł ku drzwiom. Chciałem mu powiedzieć, żeby zaczekał, bo przecież mamy plan i ów plan każe nam czekać, ale nie chciałem zostać sam, kiedy na zewnątrz rozgadały się karabiny, a Niemcy wyrzaskiwali swoje brzydkie słowa.

Wpadliśmy do sali kominkowej i natychmiast rzuciliśmy się na podłogę, jedno bowiem ze szprosowych okien roztrzaskała kula. Wszystkie cztery dziewczyny leżały już na brzuchach, osłaniając dłońmi twarze przed odłamkami szkła.

Żyłem w centrum wojny od pół roku, ale nigdy nie byłem tak blisko strzelaniny; teraz rozszalała się wokół mnie i nie miałem pojęcia, kto ją rozpętał. Tuż za ścianą domu pokasływały automaty, odgłos strzałów karabinowych dochodził gdzieś z daleka, zapewne ze skraju lasu. Kule opukiwały dwór od frontu.

Kola podpełzł do Lary i szturchnął ją łokciem.

- Kto do nich strzela?

- Nie wiem.

Usłyszeliśmy zapuszczany silnik, trzasnęły drzwi; wóz przyspieszył, koła zabuksowały w śniegu. Ogień karabinowy zgęstniał, strzały zlewały się ze sobą, a kule rwały teraz blachę, wydając zupełnie inny dźwięk niż wtedy, kiedy uderzały w mur.

Kola wstał z podłogi i skulony podkradł się do drzwi wejściowych, utrzymując głowę poniżej dolnej krawędzi okien. Podążyłem za nim. Przy drzwiach, oparci o nie plecami, przyklękaliśmy na podłodze. Kola po raz ostatni sprawdził pistolet, ja wyjąłem nóż z pochwy na kostce. Wiedziałem, że wyglądam idiotycznie, bo trzymałam go w taki sposób, jak malec trzyma ojcową brzytwę. Kola rozciągnął usta, jakby miał lada

chwila parsknąć śmiechem. To wszystko jest cholernie dziwne, przemknęło mi przez głowę. Tkwię w sercu walki, przejmując się własnymi myślami i tym, że wyglądam kretyńsko z nożem w garści, podczas gdy wszyscy inni posługują się bronią palną. Jestem świadom, że jestem świadom. Nawet teraz, gdy kule bzykają w powietrzu jak rozwścieczone szerszenie, ja nie potrafię uciszyć paplaniny swojego umysłu.

Kola położył dłoń na klamce i lekko ją nacisnął.

- Zaczekaj - powiedziałem. Znieruchomieliśmy na kilka następnych sekund. - Zrobiło się cicho.

Ogień umilkł raptownie. Silnik samochodu wciąż mruczał, ale nie słyszałem, by poruszały się koła. Niemieckie głosy umilkły równie nagle, jak strzały. Kola zerknął na mnie i powolutku uchylił drzwi, zaledwie na tyle, żeby można było przez nie wyrzeć. Wiszący wysoko i bardzo jasny księżyc oświetlał dramatyczną scenę: Niemcy w białych skafandrach leżeli twarzami do ziemi, kubelwagen z roztrzaskanymi szybami i dymiącym silnikiem staczał się pomalutku z nieodśnieżonego podjazdu. Z okna po stronie pasażerskiej zwisał widoczny do połowy trup mężczyzny, wciąż trzymający w martwych palcach pistolet maszynowy. Drugi kubeł, zaparkowany pod zawa-diackim kątem przy bocznej ścianie domu, był nieuszkodzony i nieruchomy. W połowie drogi pomiędzy nim a wejściem leżało dwóch następnych Niemców, a z ich czaszek wyciekała na śnieg ciemna ciecz. Zdążyłem tylko pomyśleć o precyzji strzałów, które ich powaliły, gdy z gwizdem raptownie puszczonej struny przez szczelinę pomiędzy głową moją a Koli przemknęła kula.

Padliśmy do tyłu, a Kola czubkiem buta zatrzasnął drzwi. Potem złożył dłonie w trąbkę i wrzasnął przez rozbite okno:

- Jesteśmy Rosjanami! Hej, wy tam! Jesteśmy Rosjanami! Po kilku sekundach ciszy gdzieś z daleka dobiegła odpowiedź:

- A mnie wyglądacie na jebanych szkopów!

Kola roześmiał się i wymierzył mi radosnego kuksańca w ramię.

- Nazywam się Nikołaj Aleksandrowicz Własow! - wykrzyknął przez okno. - Mieszkam przy prospekcje Engelsa!

- Oryginalne, kurna, nazwisko! Byle szkop po kilku lekcjach rosyjskiego mógłby takie wykombinować.

- Prospekt Engelsa! - krzyknął inny głos. - W każdym pierdolonym ruskim mieście jest jakiś prospekt Engelsa!

Wciąż roześmiany Kola chwycił mnie za szubę i potrząsnął, robiąc to tylko dlatego, że napakowany adrenaliną, żywy i przepełniony uczuciem szczęścia po prostu musiał kimś potrząsnąć. Lawirując wśród szklanych odłamków, przysunął się bliżej do rozbitego okna.

- Cipeczka twojej mamuski osobiwie jest niepłytkka - ryknął - niemniej jednak chutliwie chłonę wonie wionące z jej otchłani i żwawo się z nią parzę, gdy tylko mi rozkaże!

Cisza, która zapadła po tej deklaracji trwała bardzo długo, ale Kola się tym nie przejmował. Rozbawiony swoim żarcikiem, puszczał do mnie oko, jak weteran wojny tureckiej przerzucający się z kumplami w łaźni rubasznymi inwektywami.

- No i co o tym powiecie? - wrzasnął. - Czy waszym zdaniem również coś takiego może wykombinować facet po kilku lekcjach naszego pięknego języka?

- O czyjej właściwie matce mówiłeś? - zapytał znacznie teraz bliższy głos.

- Na pewno nie tego, który tak dobrze strzela. Prawdziwy geniusz karabinu.

- Masz broń?

- Pistolet.

- A twój mikry koleś?

- Tylko nóż.

- Wyjdźcie obaj na dwór. Z łapami w górze, bo inaczej odstrzelimy wam jajeczka.

Podczas tej rozmowy Lara i Nina w koszulach nocnych połyskujących cekinami z okruchów rozbitego szkła, wsunęły się do sieni.

- Pozabijali ich? - zapytała szeptem Nina.

- Wszystkich sześciu - odparłem. Sądziłem, że się uradują, ale tylko popatrzyły po sobie z niepokojem. To życie, jakiego

zaznały przez kilka ostatnich miesięcy, nieodwracalnie dobiegło końca. Będą musiały uciec, nie mając pojęcia, jak zdobędą coś do jedzenia i gdzie położą się spać. Podzielał los milionów Rosjan, ale pod jednym względem ich sytuacja była gorsza: schwytane przez Niemców poniosłyby karę znacznie okrutniejszą niż Zoja.

Koła sięgnął już do klamki, lecz powstrzymał się na moment, gdy Lara położyła mu dłoń na nodze.

- Nie wychodź - powiedziała. - Nie zaufają ci.

- Dlaczego nie mieliby mi zaufać? Jestem żołnierzem Armii Czerwonej.

- Ty tak, ale oni nie. W promieniu trzydziestu kilometrów od tego miejsca nie ma żadnego oddziału Armii Czerwonej. Uznają cię za dezertera.

Uśmiechnął się i położył rękę na jej dłoni.

- Czy wyglądam na dezertera? Bez obaw. Mam dokumenty. Nie uspokoił Lary. Gdy ponownie sięgnął do klamki, przysunęła się do wybitego okna.

- Dziękujemy za ratunek, towarzysze! - zawołała. - Ci dwaj tutaj to wasi sprzymierzeńcy! Nie strzelajcie do nich!

- Gdybyśmy chcieli go ukatrupić, już dawno leżałby jak neptek z kulą w tym swoim wielkim łbie. Powiedz błaznowi, żeby wyłaził.

Koła otworzył drzwi i wyszedł z rękoma uniesionymi wysoko w górę. Mrużąc oczy, rozejrzał się dokoła, ale w polu widzenia nie było nikogo.

- Powiedz komisowi, żeby też wyszedł.

Dziewczyny sprawiały wrażenie zaniepokojonych moim losem, ale Lara skinęła głową, dodając mi otuchy. Tylko mnie rozzłościła. Dlaczego nie wyjdzie sama? I w ogóle, że też musiały tu być. Gdyby dwór stał pusty, przespaliłyśmy się w nim z Kolą i rankiem, wyschnięci i wypoczęci, podjęlibyśmy wędrówkę.

Myśli tej deptał po piętach wstyd, przywołany jej absurdalnością.

Nina ścisnęła moje ramię i uśmiechnęła się do mnie. Bez dwóch zdań, nigdy nie posłała mi uśmiechu ładniejsza dziewcz-

czyna. Wyobraziłem sobie, że opisuję tę scenę Olegowi Antokolskiemu: maleńka biała dłoń Niny zaciska się na moim ramieniu, jej powieki trzepoczą jak skrzydła motyla, a we wpatrzonych we mnie oczach czai się niepokój o mój los.

Ta chwila dawno minęła, a ja w myślach wciąż relacjonowałem jej przebieg kumplowi, który zapewne w rzeczywistości nigdy nie wysłucha mojej historii, bo od paru dni, o czym zapomniałem, leży pod gruzami na Woinowej.

Próbowałem odwzajemnić uśmiech Niny, poniosłem fiasko, wyszedłem zatem przez drzwi z rękoma w górze. Odkąd wybuchła wojna, przeczytałem setki opowieści o poczynaniach bohaterów narodowych. Żaden z nich nie uważał się za bohatera. Byli po prostu uczciwymi obywatelami, którzy bronili Matuszki Rosji przed faszystowskim gwałtem. Pytani w wywiadach, dlaczego przypuścili atak na bunkier, wdrapali się na wieżyczkę wrażego czołgu, by wrzucić do środka granat, odpowiadali, że uczynili to bez namysłu, zrobili coś, co na ich miejscu zrobiłby każdy uczciwy Rosjanin.

Bohaterowie i śpiochy zatem potrafią wyłączyć myślenie w razie potrzeby. Tchorzy i lunatyków, moich braci, prześladuje paplanina umysłu. Wychodząc przez drzwi, pomyślałem: Oto stoję na dworskim dziedzińcu opodal Bierzowki, a partyzanci celują mi w głowę ze swych karabinów.

Jeśli sądzić po szerokim uśmiechu na twarzy Koli, mój kompan nie myślał o niczym. Staliśmy ramię przy ramieniu, a niewidoczni partyzanci poddawali nas oględzinom. Nasze okrycia zostały we dworze, trzęśliśmy się więc z zimna, bo mróz przenikał nas do kości.

- Udowodnij, że jesteś swój. - Głos zdawał się dochodzić spoza obsypanej śniegiem beli siana; kiedy mój wzrok przyzwyczał się do ciemności, dostrzegłem za nią klęczącego na jednym kolanie mężczyznę z karabinem przy ramieniu. - Właduj każdemu z Niemców kulkę w łeb.

- Co to za próba - odparł Kola - skoro wszyscy są martwi? Już dawno przestała mnie zaskakiwać jego zdolność pogarszania całkiem fatalnej sytuacji. Może bohaterem zostaje ktoś,

kto nie uświadamia sobie własnej śmiertelności? Czy człowiekiem odważnym jest po prostu głupek, który nie wie, że może umrzeć?

- Wiesz, dlaczego jeszcze żyjemy? - zapytał partyzant skryty w mroku. - Bo posyłamy im po kulce nawet wtedy, kiedy sądzimy, że są martwi.

Kola skinął głową. Podeszedł do wciąż warkocącego kubła, który przestał się już toczyć, bo ugrzązł w metrowej zaspie śniegu.

- Mamy cię na oku - przypomniał partyzant. - Po jednej w każdy łeb.

Lufa tokariewa błysnęła jak flesz aparatu fotograficznego, kiedy Kola strzelił do martwego kierowcy i martwego pasażera. Potem zawrócił i ruszył przez zaśnieżony dziedziniec, zatrzymując się, żeby oddać po strzale do leżących w nienaturalnych pozycjach niemieckich żołnierzy.

Kiedy pochylił się nad szóstym, aby przyłożyć mu lufę do czaszki, coś najwyraźniej usłyszał, przyklęknął więc, przez moment nastawiał ucha, a wreszcie wstał i krzyknął:

- Ten jeszcze żyje!

- Właśnie dlatego musisz go dobić.

- Może miałby dla nas jakieś interesujące informacje?

- Wygląda ci na takiego, co jest w stanie gadać?

Kola przewrócił rannego na wznak. Niemiec jęknął cicho, a na jego ustach pojawiły się bąbelki różowej piany.

- Nie - odrzekł Kola.

- Bośmy przestrelili mu płuca. No więc ulituj się nad biedakiem i go wykończ.

Kola wstał, wymierzył pistolet i strzelił konającemu w czoło.

- Teraz schowaj broń.

Kola usłuchał i partyzanci zaczęli wyłaniać się ze swoich kryjówek: zza bel siana, niskich kamiennych murków przecinających pola, spomiędzy drzew na skraju lasu. W sumie ze dwunastu mężczyzn w długich paltach i z karabinami w dłoniach; kiedy zbliżali się do budynków, kłęby pary idącej z ust unosiły się nad ich głowami.

Przeważnie wyglądali na chłopów - spod nasuniętych na oczy futrzanych czap nieprzyjaźnie obracały się w naszą stronę szerokie płaskie twarze. Nie byli jednolicie umundurowani, jedni bowiem mieli na nogach kazonne krasnoarmiejskie buty, inni natomiast - walonki, jedni płaszcze brązowe, inni zaś szare. Któryś z partyzantów nosił nawet białe maskujące drelichy polowe, chyba fińskiej proweniencji. Przodem, z tygodniowym ciemnym zarostem na twarzy i starą myśliwską fuzją na ramieniu, kroczył mężczyzna, którego uznałem za dowódcę. Jego nazwisko, jak dowiedzieliśmy się później, brzmiało Korsaków, nigdy jednak nie poznaliśmy jego imienia i odczestwa. Zapewne zresztą posługiwał się przybranym nazwiskiem, partyzanci bowiem mieli solidne powody, by z obsesyjną wręcz starannością ukrywać swoją tożsamość, jako że jedną z głównych metod stosowanych przez okupanta do walki z ruchem oporu były publiczne egzekucje całych rodzin osób podejrzewanych o udział w miejscowej partyzantce.

Korsaków podszedł do nas w towarzystwie dwóch swoich ludzi, a pozostali rozproszyli się, by przeszukać zwłoki, zabrać broń, amunicję, dokumenty, piersiówki i zegarki. Partyzant w białych drelichach, klęcząc przy jednym z martwych Niemców, usiłował mu ściągnąć obrączkę z palca, a gdy nie chciała zejść, wsunął palec do ust, żeby go zwilżyć śliną. Czując na sobie mój wzrok, lekko unióś głowę, puścił do mnie oko, potem wypluł palec i już bez większego trudu zdjął z niego obrączkę.

- Nimi się nie przejmuj - powiedział Korsaków, widząc, że przyglądam się poczynaniom partyzanta. - To mną powinieneś się przejmować. Czemuście się tu znaleźli?

- Przyszli, żeby organizować partyzantkę - pospieszyła z informacją Nina. Wraz z Łarą wyszły na bosaka z domu i teraz stały na śniegu, kuliły się z zimna, a wiatr rozwiewał im włosy.

- Doprawdy? Czy wyglądamy na niezorganizowanych?

- To swoi. Mięli zamiar pozabijać Niemców, zanim żeście się pojawili.

- Taki mieli zamiar? To ładnie z ich strony. - Odwrócił się i zawołał do partyzanta przeszukującego trupy w samochodzie. - No i co mamy?
- Same płotki! - odkrzyknął brodaty partyzant, podnosząc w górę oderwane od mundurów insygnia oficerskie. - Porucznicy i kapitanowie.

Korsaków wzruszył ramionami i z powrotem przeniósł spojrzenie na Ninę, a zwłaszcza na jej blade łydki i kształtne uda rysujące się pod koszulą nocną.

- Wracajcie do środka - powiedział. - Załóżcie coś na siebie. Szkopy nie żyją, więc nie musicie już zachowywać się jak kurwy.

- Nie nazywajcie nas tak.

- Będę was nazywać, jak zechcę. Wracajcie do środka. Lara wzięła Ninę za rękę i pociągnęła ją w stronę domu.

Kola odprowadził je wzrokiem, a potem spojrzał na dowódcę partyzantów.

- Zachowaliście się nieelegancko, towarzyszu.

- Nie jestem twoim towarzyszem. A gdyby nie ja, już by na pół gwizdka miały w cipach szkopskie fiuty.

- Niemniej jednak...

- Zamknij pysk. Nosisz mundur, ale nie jesteś przy wojsku. Dezerter?

- Wypełniamy rozkazy. Mam w płaszczu dokumenty.

- Każdy kolaborant, którego spotkałem, miał jakieś dokumenty.

- To osobiste upoważnienie do pułkownika Greczki z NKWD.

Korsaków uśmiechnął się szeroko i obrócił głowę w stronę swoich ludzi.

- I władza tego pułkownika Greczki sięga aż tutaj? Uwielbiam, jak ci bezpieczniacy z miasta wydają nam rozkazy.

Stojący obok niego tykowaty koleś z blisko siebie osadzonymi oczyma zarechotał donośnie, prezentując nam swoje zepsute zęby. Drugi się nie roześmiał. Nosił drelich polowy pokryty sepiowym deseniem z białych zawijasów i uschniętych brązowych

liści, jego oczy były ledwie widoczne spod daszka króliczej czapy. Był niski, jeszcze niższy niż ja, bez śladu zarostu na zaróżowionej twarzy o delikatnych, lecz wyrazistych rysach, i pełnych ustach, lekko teraz skrzywionych w nieprzyjaznym grymasie, wywołanym bez wątpienia moim spojrzeniem.

- Co się tak gapisz? - zapytał, a ja uświadomiłem sobie, że ten głos nie należy do mężczyzny.

- Jesteś dziewczyną! - wyrzucił z siebie Kola, którego oczy zaokrągliły się gwałtownie. W jego i swoim imieniu poczułem się jak kretyn.

- Nie bądź taki zaskoczony - powiedział Korsaków. - Strzela najlepiej z nas wszystkich. Te szkopy z porozwalanymi łbami to jej robota.

Kola gwizdnął przez zęby i przeniósł wzrok z dziewczyny na widoczną za białymi polami linię lasu.

- Stamtąd? Ile to jest, czterysta metrów? Do ruchomych celów?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Kiedy biegna po śniegu, nie trzeba prowadzić ich zbyt długo.

- Wika chce pobić rekord Ludmiły Pawliczenko - dorzucił posiadacz fatalnego zgryzu. - Zostać snajperką numer jeden.

- Ilu Miła ma w tej chwili na rozkładzie? - zapytał Kola.

- „Czerwona Gwiazda” podaje, że dwustu - odparła Wika, leciutko unosząc oczy ku niebu. - Armia zalicza jej trafienie, ilekroć się wysmarka.

- To niemiecki karabin, prawda?

- K98 - odpowiedziała, poklepując dłonią lufę broni. - Najlepsza giwera na świecie.

Kola szturchnął mnie łokciem i wyszeptał pod nosem:

- Zaczyna mi do niej stawać.

- Co tam gadasz? - zapytał Korsaków.

- Mówię, że jeśli postoiemy tu trochę dłużej, kutas odpadnie mi z zimna... wybacz dosadny język. - Ze staroświecką galanterią skłonił przed Wiką głowę, a potem znów spojrzał na Korsakowa. - Chcecie obejrzeć moje dokumenty, chodźmy do środka

i obejrzymy je sobie. Chcecie rozwalić rodaków na śniegu, nie ma sprawy, rozwalajcie. Ale dość tego sterczenia na mrozie.

Partyzant najwyraźniej miał większą ochotę zastrzelić Kolę niż studiować dokumenty, ale uśmiercenie żołnierza w mundurze, zwłaszcza na oczach tylu świadków, nie było kwestią błahą. Z drugiej strony nie chciał skapitulować zbyt szybko, bo straciłby twarz przed swoimi ludźmi. Przez kilka sekund wściekle patrzyli sobie z Kolą w oczy, a ja przygryzałem wargę, żeby powstrzymać szczekanie zębów.

Patową sytuację rozwiązała Wika.

- Ci faceci chyba się zakochują - powiedziała. - Tylko popatrzcie! Nie wiedzą, czy najpierw się pobić, czy od razu zacząć na golasa baraszkować w śniegu.

Rozległ się rechot partyzantów, a Wika, ignorując piorunujące spojrzenie Korsakowa, ruszyła w stronę domu.

- Głodna jestem - powiedziała - a te dziewczyny wyglądają tak, jakby przez całą zimę opychały się schaboszczakami.

Partyzanci, również radzi skryć się przed zimnem, dźwigając swoje łupy, podążyli za nią. Kiedy przed drzwiami Wika tupiała, żeby usunąć śnieg z podeszew, zastanawiałem się, jak pod drelichem i wszystkimi warstwami ciepłych okryć, może wyglądać jej ciało.

- Należy do ciebie? - zapytał Kola Korsakowa, kiedy zniknęła w głębi domu.

- Żartujesz? To bardziej chłopak niż dziewczyna.

- To dobrze - stwierdził Kola, kuksając mnie w ramię - bo mam wrażenie, że mój koleżka wsiąkł.

Korsaków spojrział na mnie i parsknął śmiechem. Zwykle nienawidziłem, kiedy się ze mnie śmiano, tym razem jednak rozbawienie partyzanta przyjąłem z uczuciem ulgi. Wiedziałem, że nas nie zabije.

- Życzę powodzenia, chłopcze. Tylko pamiętaj, że może odstrzelić ci ptaszka z odległości pół kilometra.

XVI

Korsaków dał swoim ludziom godzinę, żeby się ogrzali i pokrzepili, rozleźli się więc po wielkiej sali, porozrzucali palta na podłodze, a skarpety i onuce powiesili na ekranie kominkowym. Wika - której króciutko ostrzyżone i bardzo brudne ciemnorude włosy sterczały z głowy jak poskręcane patyczki - ze skrzyżowanymi stopami leżała na wznak na wyściełanej kanapie, miętosiła w palcach przyciśniętą do piersi czapę z króliczego futra i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w szklane ślepie koziorożca, którego głowa wisiała akurat naprzeciwko niej. Wyobrażałem sobie, że rozmyśla o polowaniu, zadaje sobie pytanie, czy myśliwy położył zdobycz na miejscu, czy też ranne zwierzę przebiegło jeszcze wiele kilometrów, nie pojmując, że śmierć wgryzła się już w jego mięśnie i kości, i teraz uparcie zmierza do celu niczym powolny ślimak, którego jednak nie sposób przegonić.

Siedząc na parapecie okiennym, nie spuszczałem z niej oka, ale bardzo uważałem, by nie zorientowała się, że ją obserwuję. Pod drelichami polowymi, które zdjęła, aby je podsuszyć, nosiła grubą flanelową koszulę dwa razy na nią za dużą, i co

najmniej dwie pary ciepłych kalesonów. W przeciwieństwie do większości rudzielców nie miała ani jednego piega. Pastwiła się nad górną wargą swoimi dolnymi lekko zakrzywionymi ząbkami. Wpatrywałem się w nią jak zaklęty. W niczym nie przypominała obiektu westchnień - była niemal zagłodzona i wyglądała tak, jakby przez ostatni tydzień spała w leśnej ściółce - ale strasznie pragnąłem zobaczyć ją nagą. Rozpiąć tę flanelową koszulę, ściągnąć kalesony, a później całować blady brzuch i chudziutkie uda.

Tak wyraziste i zuchwale rojenia były dla mnie czymś nowym. Czyżby pornograficzne karty Koli aż do tego stopnia rozpałyły mą wyobraźnię? Bo zwykle fantazjowałem z anachroniczną powściągliwością - wyobrażałem sobie, jak ubrana od stóp do głów Wiera Osipowa daje tylko dla mnie recital wiolonczelowy w kameralnej atmosferze swej sypialni, po którym komplementuję jej grę, imponując jej swą elokwencją i mistrzowskim opanowaniem terminologii muzykologicznej. Rzecz kończy się namiętym pocałunkiem: baletowo uniesiona noga Wiery przewraca pulpity do nut, buzia rozplómienna się rumieńcem, kołnierzyk jest przekrzywiony, jeden guzik bluzeczki rozpięty... I wtedy, z błakającym się na ustach tajemniczym uśmiechem, wychodzę.

Moje fantazje zatem kończyły się w zasadzie na długo przed seksem, a to z tej prostej przyczyny, że bałem się seksu, nie miałem pojęcia, jak go uprawiać. Nie dysponowałem nawet dostateczną wiedzą, by udawać, że wiem, jak się go uprawia. Rozumiałem podstawowe fakty natury anatomicznej, przerastała mnie jednak sama geometria aktu, o którą, nie posiadając ojca, starszego brata, ani też dysponującego odpowiednim doświadczeniem przyjaciela od serca, nie miałem kogo zapytać.

W moim pożądaniu Wiki nie było jednak nic powściągliwego. Pragnąłem z portkami pałętającymi się wokół kostek spaść na nią jak sęp, licząc, że to ona pokaże mi co i jak. Potem, kiedy już problemy techniczne zostaną rozwiązane, jej palce o brudnych poobgryzanych paznokciach będą orać moje plecy, jej odrzucona do tyłu głowa odsłoni długą białą szyję rozdygotaną

przyspieszonym pulsem, ciężkie powieki będą uniesione, a źrenice zatopione w błękitcie jej oczu zaczną maleć, aż skurczą się do rozmiaru dwóch kropek nad i.

Na pierwszy rzut oka Nina, Lara, Galina i Olesia były ładniejsze niż Wika. Miały długie zadbane włosy, nie miały natomiast zaschniętego błota na grzbietach dłoni. Troszeczkę nawet szminkowały usta. Teraz gorączkowo krążyły między salą kominkową a kuchnią z misami obłuskanych orzechów włoskich i solonej rzodkwi. Znów musiały obsługiwać uzbrojonych mężczyzn, rodaków wprawdzie, lecz nie mniej przez to groźnych i nieobliczalnych. Jeden z nich, siedzący po turecku obok kominka, chwycił Galinę za pulchne przedramię, kiedy pochyliła się, by dolać mu wódki.

- Wyglądałaś już na dwór? - zapytał. - Może jeden z tych, co leżą gębami w śniegu, to twój chłopak?

Jego siedzący w pobliżu kompan zarechotał donośnie, a zachęcony tym partyzant szarpnięciem posadził sobie Galinę na kolanach. Nawykła do brutalnego traktowania, nie krzyknęła przy tym i nie uroniła ani kropli wódki.

- Przynosili ci różne przysmaki? Na pewno, co nie? Bo skąd byś miała takie poliki? - Przeciągnął sękatym kciukiem po jej różowej twarzy. - A co im dawałaś w zamian? Pójdę o zakład, że wszystko, czego chcieli. Tańczyłaś nago, kiedy śpiewali *Horst Wessel Lied*? Obciągałaś im, kiedy popijali sznapsa?

- Zejdz z niej - powiedziała Wika. Wciąż leżała na wznak, wciąż wpatrywała się w łeb koziorożca, ale teraz jej stopy w grubych wełnianych skarpetach poruszały się rytmicznie, jakby do wtóru jakiejś niesłyszalnej melodii. Nie sposób było powiedzieć, czy się rozzłościła, jej głos bowiem brzmiał zupełnie beznamiętnie. Słowa Wiki unosiły się jeszcze w powietrzu, a ja już żałowałem, że nie wyszły z moich ust. Byłby to gest ryzykancki, może nawet samobójczy, ale przecież Galina odnosiła się do mnie życzliwie, a więc powinienem stanąć w jej obronie; zresztą nie z powodu szlachetności mego charakteru, lecz po to, by zaimponować Wice. Wszelako w chwili kiedy powinienem był działać, zamieniłem się w słup soli. Kolejny akt tchó-

rzostwa, który w rozmyślaniach będzie do mnie wracać przez długie lata. Kola zainteresowałyby bez wahania, ale Kola był chwilowo nieobecny, bo w jednym z bocznych pokoi pokazywał Korsakowi list żelazny od pułkownika.

Partyzant trzymający Galinę za rękę wahał się kilka sekund, zanim odpowiedział Wice. Wiedziałem, że się boi. Sam żyłem w strachu od tak dawna, że dostrzegałem go u innych, zanim sami uzmysłowili sobie jego obecność. Ale wiedziałem również, że odpysknie, zdobędzie się na jakąś kąśliwą uwagę, która udowodni kompanom, jak bardzo się mylą, posądzając go o lęk przed Wiką.

- O co chodzi? - zapytał w końcu. - Chcesz ją zatrzymać dla siebie?

Była to próba niewydarzona i nikt nie skwitował jej śmiechem. Wika nie zniżyła się do odpowiedzi, nawet nie spojrzała w stronę faceta, a o tym, że go w ogóle usłyszała, mógł świadczyć uśmiech, powoli rozplywający się po jej twarzy, choć z drugiej strony wcale nie musiał, gdyż równie dobrze mogło go wywołać szklane spojrzenie koziorożca. Po kilku następnych sekundach partyzant mruknął, puścił Galinę i lekko ją popchnął.

- Zmykaj, obsłuż innych. Byłaś niewolnicą tak długo, że nie nadajesz się do niczego innego.

Jeśli nawet zniewagi partyzanta ją zraniły, Galina nie dała tego po sobie poznać. Naląła wódki pozostałym mężczyznom w pokoju, ci zaś zachowali się wobec niej uprzejmie, a nawet wyrazili podziękowanie skinieniami głów.

Przez jakąś minutę ważyłem szanse na władowanie się w prawdziwie żenującą sytuację, ale w końcu wstałem, przeszedłem przez pokój i usiadłem na sofie, blisko odzianych w grube wełniane skarpety stóp Wiki. Wlepiła we mnie wzrok gotowa wysłuchać głupstwa, jakie postanowiłem palnąć.

- Czy twój ojciec był myśliwym? - zapytałem. Było to pytanie, które wykoncypowałem jeszcze siedząc na parapecie, ale teraz, kiedy już zostało zadane, zacząłem się gorączkowo zastanawiać, skąd przyszło mi do głowy, że mogłoby być dobrym początkiem rozmowy. Pewnie miało związek z przeczytanym

kiedyś artykułem o snajperach, a zwłaszcza wzmianka, że jako mały chłopiec Sidorenko polował na wiewiórki. -Co?

- Twój ojciec... pomyślałem, że może dzięki niemu nauczyłaś się strzelać.

Nie miałem pojęcia, czy tym, co dostrzegam w jej niebieskich oczach, jest znudzenie czy niesmak. Teraz, w świetle lamp naftowych, dostrzegłem wysyp małych czerwonych pryszczyków na jej czole.

- Nie. Nie był myśliwym.

- Chyba wielu snajperów zaczynało od polowań... Przynajmniej czytałem o tym.

Już nie patrzyła na mnie, znów studiowała koziorožca. Byłem mniej interesujący niż wypchany zwierzak. Pozostali partyzanci zerkali na mnie, poszturchiwali się łokciami, chichotali, szeptali coś sobie na ucho.

- Skąd masz ten niemiecki karabin? - zapytałem z desperacją, czując się jak hazardzista, który ciągle wyklada stawki, chociaż dostaje coraz gorszą kartę.

- Po Niemcu.

- A ja mam niemiecki nóż. - Podciągnąłem nogawkę, wyjąłem nóż z pochwy i obróciłem go w dłoni, pozwalając, by doskonała stal rozbłysła w świetle. Nóż ją zainteresował. Wyciągnęła dłoń, podałem jej sztylet, a ona sprawdziła na przedramieniu ostrość klingi.

- Można się nim golić - stwierdziłem. - Nie, żebyś potrzebowała... To znaczy...

- Gdzie go znalazłeś?

- Przy Niemcu.

Uśmiechnęła się, a mnie ogarnęła duma z odpowiedzi, jakiej udzieliłem, odpowiedzi - mogłoby się zdawać - niebywale mądrej, wpisującej się w narzucony przez Wikę marsowy ton pogawędki.

- A gdzie żeś znalazł Niemca?

- Martwy spadochroniarz w Leningradzie. - Miałem nadzieję, iż ta ogólnikowa konstatacja pozostawia możliwość, że osobiście ustrzeliłem owego spadochroniarza.

- Już skaczą? Więc się zaczęło?

- To chyba nie był wielki desant. Przedarło się zaledwie kilku. Szkopy miały pecha. - Teraz z kolei liczyłem, że moje słowa zostały rzucone z odpowiednią dozą nonszalancji, nonszalancji, jaką mógłby okazywać urodzony zabójca, prawiąc o nieprzyjaciołach, których wysłał na tamten świat.

- Sam go zabiłeś?

Już otwarłem usta gotów skłamać, kiedy jednak spojrzała na mnie, lekko rozciągając wargi w uśmiechu tyleż doprowadzającym mnie do szału protekcyjnym wyrazem, ile budzącym pragnienie, by ją pocałować...

- Mróz go zabił. Po prostu widziałem, jak spada.

Kiwnęła głową, oddała mi nóż, założyła ręce za głowę i nie zasłaniając ust, przeciągle ziewnęła. Miała zupełnie dziecięce zęby, drobniutkie i niezbyt długie. Sprawiała wrażenie tak ukontentowanej, jakby zjadła przed chwilą podlaną najwyborniejszymi winami kolację z dziewięciu dań, a nie kilka kęsków czarnej rzodkwi.

- Mróz to najstarszy oręż Mateczki Rosji - wyrecytowałem i natychmiast pożałowałem swoich słów. Może były prawdziwe, ale w prasie i w radio propagandziści powtarzali je jak mantrę od kilku miesięcy, zmieniły się więc w wytarty banał. Nawet określenie „Mateczka Rosja” sprawiło, że poczułem się jak jeden z tych kretyńsko uśmiechniętych pionierów, którzy w swych białych koszulach i czerwonych krawatach maszerują po parkach, wyśpiewując *Wesołego dobosza*.

- Ja też mam kosę - powiedziała, wyjmując z pochwy za pasem i podając mi nóż o rękojeści z brzoźowego drewna.

Obróciłem go w dłoniach. Klingę pokrywały delikatne linie, niczym drobne falki na wodzie marszczonej przez lekki wietrzyk.

- Wydaje się trochę toporny.

- Wręcz przeciwnie. - Uniosła się nieco i opuszką palca wskazującego powiodła po arabeskach na klindze. - To damasceńska stal.

Była teraz tak blisko mnie, że dokładnie widziałem relief jej ucha i zmarszczki przecinające gładź czoła, kiedy unosiła brwi.

W gęstwinie jej krótkich włosów ugrzęzło kilka igieł sosnowych i tylko z trudem oparłem się odruchowi, by je powyciągać.

- Nazywa się puukko - wyjaśniła. - Każdy fiński chłopak dostaje taki, kiedy osiąga pełnoletniość.

Odebrała mi nóż i przytrzymała pod kątem, abym mógł podziwiać grę refleksów na stali.

- Najlepszy snajper na świecie jest Finem. Simo Hayha. Biała Śmierć. Pięćset pięć potwierdzonych trafień podczas Wojny Zimowej.

- Więc znalazłaś ten nóż przy jakimś Finie, którego zastrzeliłaś?

- Kupiłam w Terijoki za osiemdziesiąt rubli. - Wsunęła nóż do pochwy za pasem i rozejrzała się po pokoju, szukając wzrokiem jakiegoś bardziej interesującego niż ja obiektu uwagi.

- Może ciebie zaczną nazywać Czerwoną Śmiercią - powiedziałem. Byłem świadom, że za wszelką cenę muszę utrzymać rozmowę przy życiu, bo jeśli się urwie, już nigdy nie znajdę w sobie dość odwagi, by ją wznowić. - Dałaś dziś niezły popis snajperski. Ci einsatze nie są chyba przyzwyczajeni do sytuacji, kiedy to oni znajdują się pod ogniem.

Wika prześwidrowała mnie swymi lodowato błękitnymi oczyma. Było w jej spojrzeniu coś nie do końca ludzkiego, coś drapieżnego, wilczego. Zrobiła dzióbek z ust i dopiero potem pokręciła głową.

- Czemu uważasz, że to einsatze?

- Dziewczęta mówią, że głównie oni tu przyjeżdżają.

- Ile masz lat, piętnaście? Nie jesteś żołnierzem...

- Siedemnaście.

- ...ale wędrujesz z żołnierzem, który oddalił się ze swego oddziału.

- No, jak wam mówił, wypełniamy specjalny rozkaz pułkownika Greczki.

- Specjalny rozkaz żeby co? Organizować partyzantów? Czy wyglądam na idiotkę?

-Nie.

- Wpadliście z wizytą do pańienek? Jedna z nich to twoja dziewczyna?

Sugestia Wiki, że jedna z tych ślicznych istot mogłaby być moją dziewczyną, wbiła mnie w osobliwą dumę, choć wychwyciłem wzgardliwą nutę w słowach „jedna z nich”. Budziłem w Wice zaciekawienie i to już był jakiś początek. Zaciekawienie zresztą ze wszech miar uzasadnione, cóż bowiem chłopak z Pitra mógł robić dwadzieścia kilometrów za nieprzyjacielskimi liniami, i to w przybytku uciech przeznaczonym dla najeźdźczych oficerów?

Przypomniałem sobie nauki Koli o pociąganiu kobiety aurą tajemniczości.

- My mamy swoje rozkazy, wy pewnie macie swoje, i niech tak zostanie.

Milcząc, Wika wpatrywała się we mnie przez kilka sekund. Może zaczynałem ją pociągać, ale trudno było to stwierdzić.

- Ci Niemcy z mózgami na śniegu to Wehrmacht. Należałoby przypuszczać, że facet... wybacz, chłopiec... pracujący dla NKWD rozróżnia szkopskie formacje.

- Nie miałem okazji przyjrzeć się im dokładnie, boście do nas mierzyli z karabinów.

- W każdym razie my polujemy na einsatzów. To jest gruba zwierzyna. Od półtora miesiąca próbujemy dostać tego trupojeba Abendrotha. Liczyliśmy, że dziś tu będzie.

Określenie „trupojeb” usłyszałem po raz pierwszy w życiu. W ustach Wiki zabrzmiało szczególnie wulgarnie. Nie wiedzieć czemu, uśmiechnąłem się pod nosem; ten uśmiech musiał wyglądać dziwnie i abstrakcyjnie. A ja po prostu wyobraziłem sobie Wikę bez majtek, doświadczając wizji znacznie wyrazistszej, bardziej uszczegółowionej i sugestywniej szej niż podczas swoich rutynowych rojeń o gołych kobietach. Może pornograficzne karty Koli rzeczywiście mi pomogły.

- Abendroth jest w Nowym Koszkinie - powiedziałem. - W domu nad jeziorem.

Ta informacja najwyraźniej wydała się Wice znacznie bardziej pociągająca niż wszystkie, jakie dotąd podałem. Mój nie-

obecny uśmiech w połączeniu z wiedzą o miejscu pobytu faszysty natychmiast uczynił mnie człowiekiem intrygującym.

- Kto ci to powiedział?

Osobnik o bardziej tajemniczej osobowości niż moja wiedziałby zapewne, jak zbyć to pytanie, jak - by użyć boksterskiego porównania - zejść z linii ciosu, tańcząc w ringu i robiąc uniki, nie nadziać się na nokautujące uderzenie oponenta. Wiedziałem coś, o czym Wika chciała się dowiedzieć, po raz pierwszy uzyskałem nad nią leciutką przewagę. Słowa „Nowe Koszkin” przydały mi bezpieczeństwa referencjom szczypty wiarygodności, dostarczyły haka, który mógłbym wykorzystać.

- Lara - odparłem, trwoniąc te wszystkie możliwości jednym słówkiem.

- Która to?

Pokazałem Łarę. Kiedy spoczął na niej nieruchomy wzrok Wiki, doznałem uczucia, że dopuściłem się czegoś na kształt zdrady. Lara zachowała się wielkodusznie wobec nas - dała nam schronienie przed zimnem, nakarmiła ciepłą strawą, wybiegła bosą na brutalny chłód zimowej nocy, aby nas bronić przed podejrzliwością partyzantów - a ja wychlapałem jej imię tej uśmiechającej się z wyższością niebieskookiej zabójczyni. Kiedy Wika spuszczała stopy z kanapy, jej skryte pod wełną skarpet palce otarły się o nogawkę mych spodni. Wstała i podeszła do Lary, która przykucnięta przed kominkiem wpychała w płomień następne polano. Dopiero teraz, gdy szła bez butów, uświadomiłem sobie, jak naprawdę mała jest Wika, choć poruszała się z tym rodzajem leniwego wdzięku, jaki często widać u sportowców poza skocznią czy bieżnią.

To jest nowoczesna wojna, pomyślałem, gdzie muskuły niewiele znaczą, a szczupłutka dziewczyna może rozpołować niemiecką głowę z odległości czterystu metrów.

Lara chyba zdenerwowała się trochę, kiedy zobaczyła nad sobą uśmiechniętą snajperkę. Słuchając Wiki, wycierała sędzę z dłoni. Nie słyszałem rozmowy, ale widziałem, że Lara kiwa głową i - sądząc po gestykulacji - udziela Wice wskazówek.

Do pokoju w towarzystwie Korsakowa wszedł Kola. Obaj trzymali w dłoniach szklanki z wódką, rechotali z jakiegoś dowcipu, ot, najlepsi kumple na świecie, którzy dawno zapomnieli o niegdysiejszej wrogości. Niczego innego zresztą się nie spodziewałem, Kola był wspaniałym komiwojażerem, zwłaszcza gdy handlował własną osobą. Zamaszystym krokiem podszedł do kanapy, uwalnął się na nią z westchnieniem, plasnął mnie w kolano i dopił resztę wódki.

- Dość pojadłeś? - zapytał. - Bo jesteśmy gotowi do wymarszu.

- Idziemy? Sądziłem, że prześpiemy tu noc. Strzelanina podkręciła mnie trochę, teraz jednak, kiedy

kule przestały latać, czułem, jak w me kości na powrót wsącza się znużenie. Nie zmrużyłem oka, odkąd opuściliśmy mieszkanie Soni, a przecież miałem za sobą całodzienne przedzieranie się przez śniegi.

- Daj spokój, rusz głową. Co się twoim zdaniem zdarzy, kiedy te fryce nie wrócą ze swojej imprezki? Ile upłynie czasu, zanim wyślą pluton na poszukiwanie swoich kapitanów?

Wika dowiedziała się już od Lary wszystkiego, czego chciała. Teraz w kącie sali ściszym głosem rozmawiała z Korsakowem, a migocące płomienie wyławiały z półmroku ich dwie sylwetki: pieczystego, zarośniętego dowódcy partyzantowi mikroskopijnej zabój czyni.

Pozostali szykowali się już do wymarszu - strzelali po ostatnim kielichu przed długą drogą, naciągali podeschnięte skarpety, zawijali onuce, wzuwali walonki i skórzane buciory. Dziewczyny znikły gdzieś w głębi domu, zabierając - jak sądziłem - wszystko, co zdołają unieść i decydując, dokąd pójdą.

- Moglibyśmy wziąć niemieckie samochody - zaproponowałem w przypiływie natchnienia. - Podrzucić dziewczęta do Leningradu... - Jak w przypadku wszystkich moich genialnych myśli, przekonanie, że są genialne, rozwiało się jak dym, zanim skończyłem zdanie.

- Machnąć się kubłem w stronę leningradzkich linii obronnych - powiedział Kola. - Hm, tak, to byłby niezły numer.

A kiedy już zostaniemy przez naszych rozwaleni w drebiezgi, jakiś mołojec, wyciągając z wraku dymiące trupy, stwierdzi ze zdziwieniem: „Ha, te Niemiaszki mają cholernie ruski wygląd”. Nie, moje ty lwiątko, jeszcze nie wracamy do Pitra. Mamy do załatwienia sprawę w Nowym Koszkinie.

XVII

Dwadzieścia minut później znów maszerowaliśmy przez śniegi, a ciepło panujące w domu szybko stawało się znikającym wspomnieniem. Szliśmy rzędem wśród szpaleru potężnych sosen, w odległości dziewięciu kroków jeden od drugiego. Taki był wyraźny rozkaz Korsakowa. Nie pojmowałem taktycznego znaczenia podobnej formacji, ufałem jednak, że ci ludzie, biegli w zastawianiu i unikaniu pułapek, dobrze wiedzą, co robią. Kola szedł przede mną, a ponieważ miałem przez cały czas pochyloną głowę, widziałem tylko dolny skraj jego szynela i czarne skórzane buty. Reszta członków naszej grupki zamieniła się w zjawy, niewidzialne i praktycznie bezgłośnie, jeśli nie liczyć z rzadka zdradzających ich obecność trzasków deptanych gałązek czy cichych zgrzytnięć, kiedy ktoś otwierał manierkę, żeby pociągnąć łyk wciąż ciepłej herbaty.

Nigdy nie wierzyłem w potoczną opinię, iż żołnierze opanowują sztukę podrzemywania podczas marszu, w miarę jednak jak posuwaliśmy się na wschód, kołysany rytmem naszych stóp unoszonych w górę i opadających w śnieg, zacząłem balansować na cienkiej granicy czuwania i snu, przepływając to

na jedną, to znów na drugą stronę. Nie powstrzymywał mnie przed tym nawet chłód. Drogą do Nowego Koszkinia z dworu było ledwie kilka kilometrów, ale drogę zostawiliśmy daleko z boku, omijając szerokim łukiem stanowiska niemieckie, na które, zdani tylko na siebie, niechybnie byśmy się z Kolą władowali. Korsaków powiedział, że przemarsz potrwa cztery godziny; zanim pierwsza dobiegła kresu, czułem się tak, jakby przez dziurę w czaszce nalano mi do głowy gęstego syropu. Wszystkie czynności wykonywałem w zwolnionym tempie. Kiedy na przykład chciałem utrzyć nos, najpierw odnotowywałem polecenie wydawane przez mózg, potem niechętnie przyjęcie go do wiadomości przez dłoń, która podejmowała długą podróż w górę, nieudolnie szukała nosa, stanowiącego przecież zazwyczaj łatwy cel, a wreszcie z ulgą wracała do swego przytulnego schowanka w kieszeni mojej bekieszy po ojcu.

Im większe ogarniało mnie zmęczenie, tym mniej realistyczny wydawał mi się cały scenariusz. Bo jakże mógł być realistyczny? Byliśmy gromadką bajkowych myszek smyrgających pod księżycem wyrysowanym kredą na czarnej tablicy nieba. W Nowym Koszkinie mieszkał czarodziej, który znał starożytne słowa zdolne przywrócić nam dawno utraconą ludzką postać. Droga wszelako pełna była niebezpieczeństw: wśród śniegów czyhały na nas olbrzymie czarne koty, a kiedy ruszały do ataku, z ogonkami rozedrganymi z przerażenia rozpierzchaliśmy się na boki w poszukiwaniu kryjówek.

Niemal skręciłem kostkę, gdy moja stopa głębiej niż zwykle zatoneła w śniegu. Kola obejrzał się, ale zdołałem odzyskać równowagę bez pomocy, uspokoiłem go więc szybkim kiwnięciem głową i szedłem dalej.

Dziewczyny opuściły dom w tym samym czasie co my. Nie miały palt ani ciepłych butów, zabranych przez Niemców po ucieczce Zoi, poubierały się więc na cebulę we wszystkie bluzki, swetry i rajtuzy, jakie zdołały znaleźć. Kiedy zjawily się w tym rynsztunku w sali kominkowej, przypominały niezgrabnie stąpające kukły albo tęgie podpite kołchoźniczki. Galina rzuciła pomysł, aby nałożyć niemieckie skafandry, została jednak zakrzy-

czana - w przypadku schwytania szanse dziewczyn na ujście z życiem nie były wielkie, gdyby jednak pochwycono je ubrane w okrycia zabitych niemieckich oficerów, spadłyby do zera.

W drzwiach ja i Kola ucałowaliśmy wszystkie z dubeltówki. Postanowiły nie iść do Leningradu; jedna czy druga miała tam daleką rodzinę, ale przecież owi pociotkowie mogli już nie żyć albo też dawno umknęli na wschód. Co więcej, Leningrad nie miał czym karmić swoich rdzennych mieszkańców, na cóż mogłyby liczyć pozbawione kartek dziewczyny z prowincji? Skoro więc Leningrad nie stanowił sensownej opcji, postanowiły ruszyć na południe, zabierając ze sobą cały prowiant, jakiego nie wzięli partyzanci, a poza tym Korsaków pozwolił im zatrzymać dla obrony dwa oficerskie lugery. Ich szanse, jako się rzekło, nie były wielkie, opuszczały jednak dwór w dobrym nastroju. Więzione od miesięcy, torturowane w swoisty sposób każdej nocy, były wreszcie wolne. Ucałowałem więc osiem policzków, pomachałem dziewczynom na pożegnanie i nie spotkałem ich, ani też nie usłyszałem o nich żadnych wieści, już nigdy.

Poczułem szarpnięcie za ramię, gwałtownie otworzyłem oczy i uświadomiłem sobie, że szedłem krokiem lunatyka. Teraz, z dłonią na mym barku, tuż obok maszerował Kola.

- Jesteś jeszcze z nami? - zapytał cicho, przypatrując mi się z prawdziwym niepokojem.

- Jestem.

- Będę szedł przy tobie. Żebyś nie zasnął.

- Ale Korsaków powiedział...

- Pieprzyć rozkazy tego wieprza bez matki i ojca. Widziałeś, jak potraktował dziewczyny.

- Aleś się z nim nieźle pobratał.

- Jest nam teraz potrzebny. A ta jego mała przyjaciółeczka... gapiłeś się na nią jak cielę na malowane wrota. Chciałbyś strzelić numerek ze strzelcem wyborowym, co?

Pokręciłem głową zbyt znużony, żeby choć jęknięciem skwitować jego żaloszny żarcik.

- Byłeś kiedyś z rudą? Rany, co ja gadam, przecież nigdy nie byłeś z żadną dziewczyną. Dobra wiadomość jest taka, że

rude to w betach prawdziwe diablance. Dwa z trzech najlepszych rypanek w życiu miałem z rudymi. Dwa z czterech, powiedzmy. Ale, i to jest druga strona medalu, nienawidzą mężczyzn. Kipią w nich złe emocje. Więc się strzeż, przyjacielu.

- Wszystkie rude nienawidzą facetów?

- I jest w tym sens, jak się głębiej zastanowić. Istnieje spora szansa, że każda rudowłosa dziewczyna, którą spotkasz w tych stronach, pochodzi od jakiegoś wikinga, który ganiał z toporem i odrąbywał ludziom ramiona, zanim zgwałcił jej prapra i tak dalej babkę. W jej żyłach płynie krew grabieżców.

- Niegłupia teoria. Powinieneś zapoznać z nią Wikę.

Staralem się stapać po śladach partyzanta wyprzedzającego nas o osiemnaście kroków, bo kosztowało to mniej energii niż wydeptywanie w sypkim śniegu własnych, ale partyzant ów miał długie nogi i musiałem wkładać sporo wysiłku, żeby sprostać temu zadaniu.

- A więc, tak dla jasności - zacząłem, posapując z lekka i uchylając się przed ciężką od igieł gałęzią sosny - maszerujemy do Nowego Koszkinia, żeby znaleźć sztab Einsatzgruppe, bo być może mają tam jajka.

- To robimy dla pułkownika. Ale dla siebie i dla Rosji idziemy do Nowego Koszkinia powybijać einsatzów, bo zasługują na śmierć.

Pochyliłem głowę jeszcze bardziej, tak że podniesiony kołnierz szuby osłaniał przed wiatrem większą część twarzy. Dalsza dyskusja była bezcelowa. Kola uważał się za kogoś w rodzaju wolnomyślnego członka cyganerii, na swój sposób jednak był równie szczerym wyznawcą jak byle komsomolec. Ale najgorsze w tym wszystkim było to, że nie mogłem odmówić mu racji. Einsatzów należało unicestwić, zanim oni unicestwią nas, osobiście wszakże wolałbym nie brać na barki odpowiedzialności za wypełnienie tej misji. Bo niby miałem się wkraść do ich matecznika ze swoim nożem jako jedyną bronią? Jeszcze pięć dni temu dzisiejsza ekspedycja jawiłaby się w mej wyobraźni jak owa wielka przygoda, o której marzyłem od początku, ale teraz, kiedy już trwała, potrafiłem

tylko ubolewać, że nie ewakuowałem się we wrześniu z matką i siostrą.

- Pamiętasz zakończenie pierwszej księgi *Psa podwórkowego*. Kiedy Radzenko widzi, jak jego dawny nauczyciel kusz-tyka ulicą, mamrocząc coś do gołębi?

- Najgorsza scena w historii literatury.

- Ach, wybacz, przecież nigdy nie czytałeś powieści. Było coś osobliwie krzepiącego w konsekwencji Koli, jego

skłonności, by te same żarciki - jeśli w ogóle można je nazwać żarcikami - powtarzać w nieskończoność. Przypominał w tym pogodnego, spierniczałego dziadunia, który z gorseem zachłapanym zupą relacjonuje przy stole swoje spotkanie z carem, chociaż wszyscy członkowie rodziny potrafiliby wyrecytować z pamięci tę opowieść.

- Jedna, trzeba ci wiedzieć, z najpiękniejszych - podjął. - W swoim czasie profesor ów był znanym pisarzem, teraz jednak został kompletnie zapomniany. Starzec budzi w Radzence uczucie zażenowania, Radzenko więc odprowadza go wzrokiem z okna swojej sypialni - jak zapewne pamiętasz, nigdy nie wychodzi z mieszkania, spędził w nim siedem ostatnich lat - patrzy, jak znika w dali, kopiąc gołębie i obrzucając je przekleństwami. - Kola odchrząknął i przeszedł na tonację recytatorską. - Talent przypomina obsesyjną kochankę. Bardzo piękną - kiedy ci towarzyszy, jesteś na oczach wszystkich, jesteś zauważany. Ale łomoce do twoich drzwi o najdziwniejszych porach, znika na długi czas, nie ma szczypty wyrozumiałości dla całej reszty twego życia: żony, dzieci, przyjaciół. Bywa najbardziej ekscytującym wieczorem w tygodniu, pewnego razu jednak porzuca cię na dobre. Kiedy po wielu, wielu latach ujrzysz ją idącą pod ramię z młodszą mężczyzną, będzie udawać, że cię nie poznaje.

Oczywista niewrażliwość Koli na zmęczenie drażniła mnie i zdumiewała zarazem. Ja ciągle posuwałem się naprzód tylko dlatego, że wypatrzywszy odległe drzewo, przyrzekałem sobie, iż nie dam za wygraną, dopóki do niego nie dotrę, a kiedy się już przy nim znalazłem, znajdowałem następne i składałem

w duszy kolejną przysięgę. Kola był najwyraźniej zdolny całymi godzinami wędrować po lesie, perorując przy tym scenicznym szeptem.

Odczekałem chwilę, by mieć pewność, że skończył, i dopiero wtedy skinąłem głową.

- Ładne.

- Prawda? - wypalił pospiesznie z wyraźnym zadowoleniem.

Reakcja Koli sprawiła, że spojrzałem badawczo na jego oświetloną księżycem twarz.

- Wyruleś na pamięć prawie całą książkę?

- Och, trudno powiedzieć. Wyimek stąd, akapit stamtąd.

Pokonywaliśmy grzbiet wzniesienia i znacznie w tym miejscu głębszy śnieg mocno utrudniał stawianie kroków; chwiejnie maszerując ku następnemu drzewu, charczałem i posapywałem jak starzec pozbawiony jednego płuca.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Właśnie to zrobiłeś - odparł ze swym irytującym uśmiechem człowieka bardzo z siebie radego.

- Co właściwie piszesz w swoim pamiętniku?

- To zależy od dnia. Czasem notuję, co widziałem, czasem słyszę z czyichś ust jedno, drugie zdanie, które przypada mi do gustu.

Skinąłem głową i przeprowadziłem mały eksperyment, zacząłem w dziesięciosekundowych interwałach zamykać na zmianę oczy, to lewe, to prawe, żeby mogły przez chwilę odpocząć od smagającego je wiatru.

- Czemu pytasz?

- Bo sądzę, że piszesz *Psa podwórkowego*.

- Sądzisz... masz na myśli krytyczny rozbiór *Psa podwórkowego*? Cóż, w rzeczy samej. Jak ci zresztą mówiłem. Pewnego dnia zacznę wygłaszać wykłady o tej książce. Może siedem osób w całej Rosji wie o Uszakowie więcej niż ja.

- Moim zdaniem nie istnieje żaden Uszakow. - Podsunąłem czapkę do góry, żeby lepiej widzieć Kolę. - Utrzymujesz, że to klasyka, a ja w życiu nie słyszałem o powieści pod takim

tytułem. A kiedy stwierdziłem, że tamten fragment jest dobry, byłeś nie tylko szczęśliwy, lecz również dumny. Gdybym zacytował Puszkina, a ty byś uznał, że to nieźle napisane, nie miałbym żadnych powodów do dumy, prawda?

Wyraz twarzy Koli nie zmienił się na jotę. Nie wyczytałem z niej ani potwierdzenia, ani zaprzeczenia.

- Ale ci się spodobał?

- Był niezły. Świeżo napisany kawałek?

- Z ostatnich godzin. A wiesz, co mnie zainspirowało? Ten wiersz twego ojca. Stary poeta, niegdyś sławny, jakim widziano go w kawiarni.

- To była druga przesłanka. Zerznąłeś z niego żywcem. Roześmiał się, wyrzucając w lodowate powietrze wielki kłęb pary.

- Taka już jest literatura i nie mówimy tu o kradzieży, tylko o hołdzie. Co powiesz o pierwszym zdaniu książki? Też ci się podoba?

- Nie pamiętam pierwszego zdania książki.

- W ubojni, gdzie pocałowaliśmy się pierwszy raz, powietrze wciąż cuchnęło owczą krwią.

- Nie za bardzo melodramatycznie?

- A co jest złego w dramatyzmie? Ci wszyscy pisarze współcześni to takie zalęknione żyjątka...

- Me l o dramatyzmie - podkreśliłem.

- ...gdy tymczasem temat wymagający ekspresji zasługuje na ekspresję.

- A więc przez cały ten czas... Czemu mi po prostu nie powiedziałeś, że piszesz powieść?

Kola popatrzył na księżyc opadający już ku wierzchołkom drzew. Niebawem skryje się całkowicie i będziemy maszerować w kompletnej ciemności, potykając się o korzenie i ślizgając na czarnych taflach lodu.

- Prawdę mówiąc, gdyśmy się poznali w Kriestach, sądziłem, że nazajutrz rano zostaniemy rozstrzelani. Czy więc moja odpowiedź miałaby jakiegokolwiek znaczenie? Palnąłem, co mi ślina na język przyniosła.

- Mówiłeś wtedy, że nas nie rozstrzelają!
- No cóż, wyglądałeś mi na trochę wystraszonego. Ale weź tak na zdrowy rozum: dezerterski i szabrownik, jakie mieliśmy szanse?

Następne drzewo, które wybrałem na punkt docelowy

- właściwie kontur drzewa, ogromnej starej sosny wyrastającej nad głową rodzeństwa niczym strażnik - wydawało się niemożliwie odległe. Kiedy posapując, przedzierałem się przez śniegi, Kola, jak przyrodnik amator na wieczornym spacerze, nonszalancko popijał herbatę z menażki. Ignorując fakt, że przez ostatnie dni jedliśmy obaj dokładnie to samo, tłumaczyłem sobie większą wytrzymałość Koli różnicą racji wojskowych i cywilnych, oczywiście na niekorzyść tych drugich.

- Twierdziłeś, że oddaliłeś się z jednostki, żeby bronić pracy magisterskiej na temat *Psa podwórkowego* Uszakowa

- powiedziałem, pauzując co parę słów, żeby złapać oddech.

- A teraz przyznajesz, że nie ma żadnego Uszakowa ani *Psa podwórkowego*.

- Ale będzie. Jeśli pożyję dostatecznie długo.

- Dlaczego opuściłeś oddział?

- To skomplikowana sprawa.

- Zamierzacie się pieprzyć w krzakach?

Odwróciliśmy się z Kola raptownie. Wika całkiem bezgłośnie podkraśniała się do nas tak blisko, że wyciągnąwszy rękę, mógłbym dotknąć jej policzka. Piorunowała nas wzgardliwym spojrzeniem, najwyraźniej zniesmaczona towarzystwem tak żalosnych wojaków.

- Mieliśmy maszerować w rzędzie, utrzymując dziewięć kroków odstępu. - Miała bardzo niski głos jak na osóbkę tak nikiemnej postury, w dodatku dość ochrypły. Mogło się zdawać, że przed tygodniem przeszła grypę i jej krtań nie funkcjonuje jeszcze normalnie. Szeptowała tak wprawnie, że chociaż my doskonale rozumieliśmy każde jej słowo, ktoś stojący w odległości pięciu metrów nie usłyszałby nic.

- Idziecie sobie spacerkiem jak para pedałów i gwarzycie o książkach. Zdajecie sobie sprawę, że niemieckie stanowiska są

o dwa kilometry stąd? Jeśli chcecie skończyć w zbiorowym grobie razem ze wszystkimi tymi komunistami i Żydami, to wasza sprawa, ale ja w przyszłym roku wybieram się do Berlina.

- On jest Żydem - stwierdził Kola i udając, że nie dostrzega mojego wściekłego spojrzenia, dziabnął mnie kciukiem w ramię.

- Naprawdę? No to jesteś pierwszym durnym Żydem, którego spotkałam. Albo róbcie w tył zwrot i wracajcie do Pitra, albo zamknijcie twarze i przestrzegajcie naszych zasad. Nie bez powodu przez dwa ostatnie miesiące udało nam się uniknąć strat. No, ruszajcie.

Pchnęła nas obu w plecy, a my, zawstydzeni i milczący, zajęliśmy swoje pozycje w szyku.

Rozmyślałem o nieistniejącym pisarzu Uszakowie i jego nieistniejącym arcydziele *Pies podwórkowy*. Z jakiegoś powodu nie złościłem się na Kole. Zaserwował mi dziwne, ale nieszkodliwe kłamstwo, im dłużej zaś rozmyślałem, tym lepiej pojmowałem motywy, jakimi się kierował. Kola stwarzał wrażenie człowieka nieustraszonego, lęk jednak jest w każdym, stanowi część naszego dziedzictwa, czyż bowiem nie wywodzimy się wszyscy od bojaźliwych maleńkich ścierwojadów, które kryły się po kątach, gdy ziemia drżała od stąpień olbrzymich bestii? Kanibale i faszyci nie wytrącali Koli z równowagi, groźba utraty twarzy natomiast - owszem; możliwość wyśmiania przez obcych jego literackich prób.

Ojciec miał wielu przyjaciół, przeważnie pisarzy, którzy - po części dlatego, że nigdy nikogo nie wyrzucał, po części zaś z powodu kulinarnych talentów matki - uczynili z naszego mieszkania swój klub. Matka zrzędziła czasem, że jest kierowniczką hoteliku „Pod Pisarzyną”. W domu cuchnęło dymem papierosowym, niedopałki poniewierały się praktycznie wszędzie: w doniczkach z kwiatami, niedopitych szklankach herbaty. Pewnego wieczoru na kuchennym stole awangardowy dramaturg poutykał w kałużach roztopionej stearyny dziesiątki petów reprezentujących formacje rzymskie i kartagińskie, aby unaocznić zastosowany przez Hannibala w bitwie pod Kannami

manewr podwójnego oskrzydlenia. Matka utyskiwała na zgiełk, potłuczone szklanki czy dywany pochłapane tanim ukraińskim winem, ale wiedziałem, że uwielbia gościć tłumy powieściopi-sarzy i poetów, a zwłaszcza widzieć, jak pochłaniają jej gulasze i pieją peany na cześć jej ciast. W młodości była urodziwą kobietą i choć zapewne trudno było ją nazwać flirciarą, to z pewnością lubiła, gdy flirtowali z nią przystojni mężczyźni. Siadywała obok ojca na kanapie, słuchając debat, pyskówek i tyrad, nie odzywała się ani słowem, lecz nic nie umykało jej uwadze; swoje spostrzeżenia zachowywała na résumé wieczoru, którego dokonywała wspólnie z ojcem, kiedy już ostatni pijus wytoczył się z mieszkania. Nie była pisarką, lecz namiętą, niezmiernie wnikliwą czytelniczką o eklektycznych gustach, ojciec jednak wysoko sobie cenił jej opinie. Gdy w mieszkaniu pojawiał się ktoś z prawdziwie wielkich, Mandelsztam dajmy na to, albo Czukowski, nie okazywała mu szczególnych względów, lecz co nie ulegało dla mnie wątpliwości, obserwowała z większą uwagą niż innych gości, oceniając, jak zachowuje się w stosunku do ojca. Z jej punktu widzenia społeczność literacka podlegała takiej samej hierarchizacji jak armia, i chociaż poszczególne szarże nie miały nazw i dystynkcji, to przecież różniły się od siebie równie wyraźnie, jak stopnie wojskowe. Matka pragnęła wiedzieć, gdzie sytuuje się ojciec.

Czasem, gdy osuszono już odpowiednio dużo butelek wina, wstawał któryś z poetów i jak drzewo na wietrze chwiejąc się z lekka, recytował swój nowy wiersz. Dla mnie, wówczas ośmiolatka zapuszczającego z sieni żurawia do saloniku, pewnego, że lada chwila zostanie przyłapany i żywiącego tylko nadzieję, że tym, który go przyłapie, będzie ojciec (ojca po prostu nie sposób było rozgniewać, podczas gdy matka nie ociągała się z plaśnięciem mnie po uszach), wiersze te nie miały żadnego sensu. Większość poetów marzyła, żeby zostać drugim Majakowskim, nie mogąc jednak równać się z nim talentem, małpowali jego mętłą niekiedy wieloznaczność, podejrzewam zatem, że te wyrzaskiwane strofy miały dla pozostałych gości ojca niewiele większy sens niż dla mnie, ośmiolatka. O ile wszakże same utwory nie

zwaląły mnie z nóg, o tyle recytacje - owszem, widok ogromnych mężczyzn o krzaczastych brwiach, którzy nieodmiennie trzymali w palcach papierosy i podczas szczególnie ekspresyjnej gestykulacji zaśmiecali podłogę słupkami popiołu. Raz od wielkiego dzwonu podnosiła się, by stawić czoło wlepionym w siebie oczom, jakaś kobieta - kiedyś, wedle słów matki, choć ja zupełnie tego nie pamiętam, była nią sama Achmatowa.

Czasem poeci czytali wiersze z nabazgranych manuskryptów, czasem recytowali z pamięci... Kiedy kończyli, wciąż czując na sobie brzemie spojrzeń, sięgali po najbliższy kieliszek wina albo wódki - nie tylko po to, by dodać sobie animuszu alkoholem, lecz również dlatego, że przez chwilę oczekiwania na reakcję słuchaczy musieli zająć czymś dłonie i oczy. Reakcją owych słuchaczy - kolegów po fachu i rywali - była z reguły umiarkowana aprobata wyrażana przez kiwanie głowami, uśmiechy, poklepywanie po ramieniu. Raz czy dwa razy byłem świadkiem, jak owi skłonni do zawodowej zawiści ludzie pióra wpadali w entuzjastyczny zachwyt, do tego stopnia poruszeni siłą utworu, że odkładając na bok subiektywne pobudki, zaczęli wiwatować, opadali ze wszystkich stron oszołomionego, uszczęśliwionego poetę, obcałowywali go zaślinionymi wargami, mierzwili mu włosy, z podziwem kręcili głowami i powtarzali wersety, które wywarły na nich szczególnie mocne wrażenie.

Wszelako znacznie częściej po recytacji zapadało wzgardliwe milczenie: nikt nie palił się, by spojrzeć poecie w oczy, zamarkować zainteresowanie tematem utworu, bez przekonania skomplementować zręczne użycie lotnej metafory. Fiasko prezentacji stawało się dla recytatora oczywiste natychmiast. Jednym haustem opróżniał wtedy swój kielich, oblewając się rumieńcem wstydu, rękawem wycierał usta, dreptał w najdalszy kąt pokoju i zaczynał okazywać niezwykle zainteresowanie księgozbiorem ojca - tomami Balzaka, Stendhala, Yeatsa czy Baudelaire'a. Po jakichś dwudziestu minutach znikał ze spotkania, bo wcześniejsza rejterada zostałaaby uznana za brak ikry, dąsy czy tchórzostwo. Wijąc się więc w duchowych męczarniach, odczekiwał swoje, podczas gdy wszyscy zebrani z osten-

tacyjną starannością unikali wspominania jego wiersza, jakby był śmierzącym bakiem, którego ludzie kulturalni po prostu nie komentują. W końcu z uśmiechem na twarzy, lecz wzrokiem wlepionym w podłogę, nieszczęśnik dziękował mojej matce za poczęstunek i gościnność i spieszenie wypadał na korytarz, doskonale wiedząc, że kiedy tylko zamkną się za nim drzwi, goście rodziców zaczną na wypródki obśmiewać okropieństwo, które spłodził, ten koszmarek, ten bzdet, tę pretensjonalną, wysiloną karykaturę wiersza.

Kola bronił się w ten sposób, że wymyślił Uszakowa. Wyimaginowany pisarz był tarczą ochronną, spoza której Kola bez obaw, że zostanie wykpiony, mógł sondować moją opinię o tytule powieści, jej pierwszym zdaniu, filozofii głównego bohatera. Trudno uznać tę mistyfikację za szczególnie wyrafinowaną, Kola jednak przeprowadził ją zręcznie, a ja doszedłem w końcu do wniosku, że kiedyś będzie w stanie napisać przyzwoitą powieść, jeśli tylko przeżyje wojnę i odpuści sobie bombastyczne otwarcie.

Rozmowa z Kolą i krótka wymiana myśli z Wiką przywołały mnie do przytomności, zacząłem się więc rozglądać po lesie, mając tylko nadzieję, że partyzanci maszerujący przodem lepiej widzą w mroku niż ja. Księżyc osunął się poniżej linii drzew, do wschodu słońca pozostawało jeszcze kilka godzin, zapanowały nieprzeniknione ciemności. Dwa razy cudem uniknąłem zderzenia z pniami. Na niebie panowały miliony gwiazd, ale stanowiły tylko dekorację i niewiele było z nich pożytku. Jeśli - zastanawiałem się - astronomowie mają słuszność i te wszystkie maleńkie żółte punkciki, którymi napakowany jest wszechświat, są w istocie słońcami, częstokroć znacznie większymi niż nasze, i skoro światło nieustannie podróżuje, nie zwalniając i nie słabnąc, to czemu nasze niebo nie jest rozjarzone przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? Musiało istnieć jakieś oczywiste wyjaśnienie, ale nie potrafiłem na nie wpaść. Przez może pół godziny nie przejmowałem się zbirami z Einsatzkommando i ich dowódcą Abendrothem, nie pamiętałem o sztywniejących z przemęczenia mięśniach nóg, nie zwracałem uwagi na chłód. Czy gwiazdy

przypominają latarki o ograniczonym zasięgu? Stojąc na dachu Kirowa, widziałem z odległości kilku kilometrów ognik żołnierskiej zapalniczki, ale przecież ów ognik nie mógł oświetlić mojej twarzy. Dlaczego jednak odległość osłabia moc światła? Czy cząsteczki światła rozbiegają się na boki jak śrut wystrzelony z fuzji? I czy w ogóle światło zbudowane jest z cząsteczek?

Moje półsenne rozmyślenia dobiegły raptownie końca, gdy walnąwszy nosem w plecy Koli, krzyknąłem z zaskoczenia i zostałem natychmiast uciszony przez pół tuzina głosów. Wysłając wzrok, dostrzegłem, że wszyscy skupili się wokół ogromnego zaśnieżonego głazu, na który zdążyła się już wdrapać Wika. Nie mam pojęcia, jakim cudem wspięła się w ciemności po jego stromym oblodzonym boku.

- Pałą wioski - poinformowała z góry Korsakowa. Dokładnie w tej samej chwili poczułem zapach dymu.

- Znaleźli trupy - stwierdził Korsaków.

Niemcy jasno wyłożyli mieszkańcom okupowanych terenów swą filozofię odwetu - przez obwieszczenia na murach, rosyjskojęzyczne proklamacje radiowe, kolaborantów: zabijcie jednego naszego żołnierza, a my uśmiercimy trzydziestu Rosjan. Tropienie partyzantów było trudnym zadaniem, nie wymagało jednak większego wysiłku pojmowanie dowolnej liczby starców, kobiet i dzieci.

Jeśli nawet Korsakowa i jego ludzi poruszyła świadomość, że ich akcja doprowadziła do rzezi Bogu ducha winnych cywilów, to nie dali temu żadnego świadectwa w swych prowadzonych półszepem rozmowach. Dokonując inwazji na nasz kraj, nieprzyjaciel wypowiedział wojnę totalną, po wielekroć - w słowie mówionym i w druku - poprzysiągł zmieść z powierzchni ziemi nasze miasta i zniewolić ludność. Z kimś takim nie da się walczyć umiarkowanie, na wojnę totalną odpowiadać półwojną. Partyzanci zatem nadal będą łuskać faszystów, a faszyci masakrować cywilów - aż uświadomią sobie, że nie zdołają zwyciężyć, jeśli nawet za jednego swojego będą zabijać trzydziestu Rosjan. Ta arytmetyka była brutalna, ale brutalne kalkulacje zawsze wychodziły Rosji na dobre.

Wika zląła z głazu, a Korsaków ruszył w jej stronę, żeby się z nią naradzić. Mijając Kołę, mruknął:

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o Nowe Koszkin.

- Nie idziemy tam?

- A po kiego grzyba? Pomysł był taki, żeby dotrzeć przed świtem i zapolować na einsatzów. Czujesz ten dym? Teraz einsatze polują na nas.

XVIII

Kilka kilometrów w głąb lądu od jeziora Ładoga, na zboczu wzgórza pokrytym gęstwiną jodeł, partyzanci mieli jedną ze swoich kryjówek - dawno opuszczoną chatę myśliwską. Dotarliśmy tam w końcu na godzinę przed świtem, kiedy z szarzejącego ospale nieba zaczynał prószyć drobny śnieżek. Wszyscy dostrzegli w tym dobry omen, bo maskował nasze ślady i zapowiadał ocieplenie.

W drodze do chaty pokonaliśmy grzbiet wzniesienia ponad kolejną płonąca wioską. Ogień robił swoje w zupełnej ciszy, małe domki pokornie zapadały się w płomienie, ku niebu strzelały chmary iskier. Z oddali był to piękny widok; dziwna rzecz - pomyślałem - że tak często zewnętrzna postać przemocy, na przykład pociski smugowe nocą, jest po prostu miła dla oka. Będąc na wysokości wioski, usłyszeliśmy z odległości może kilometra salwę oddaną z siedmiu czy ośmiu automatów. Wiedzieliśmy, co oznacza, nikt nie zatrzymał się nawet na chwilę.

Chata myśliwska, zbita zardzewiałymi gwoździami ze starych desek, sprawiała wrażenie dzieła człowieka tyleż pozbawionego umiejętności ciesielskich, ile cierpliwości, by jako

tako uporać się z robotą. Zwichrowane drzwi ledwie trzymały się zawiasów, nie było żadnego okna, rura stercząca z dachu pełniła rolę dymnika, a ubita glina - podłogi. Panujący w środku smród ludzkich odchodów był prawie nie do zniesienia. Na ścianach widniały bruzdy pozostawione, mogłoby się здаwać, przez zwierzęce pazury, zastanawiałem się więc, czy przypadkiem dusze sprawionych tu kun i lisów wciąż nie nawiedzają tego miejsca, chętne, gdy już wypalą się świeczki, obdrzeć ze skóry jego aktualnych mieszkańców.

Wewnątrz było równie zimno jak na dworze, a jedyna różnica polegała na tym, że ściany domku dawały ochronę przed wiatrem.

Korsaków wyznaczył jednego nieszczęśnika do spełnienia pierwszej warty, partyzant w fińskim stroju maskującym wyjął z plecaka i ustawił małą burżujkę, a następnie napełnił ją kawałkami drewna pozostawionymi podczas poprzedniego pobytu. Kiedy zapłonął ogień, wszyscy otoczyliśmy piecyk ciasnym kręgiem, trzynastu mężczyzn i jedna kobieta, czy raczej, żeby nazwać rzeczy po imieniu, dwunastu mężczyzn, jeden chłopiec i jedna kobieta. Po raz setny tej nocy zadawałem sobie pytanie, jak ta kobieta wyglądałaby bez swoich utyłanych drelchów, tylko w bladej skórze ciasno opinającej arabeskę błękitnawych żył. Czy miała piersi, czy też była po chłopięcemu płaska? Nie wątpiłem, że w biodrach jest równie szczupła jak ja, mimo jednak krótko obciętych włosów i brudu na szyi dostrzegłem w niej, zwłaszcza w dumnie wysuniętej dolnej wardze, niezaprzeczalną kobiecość. Czy towarzysze bronni pożąдали jej czy może, jak Korsaków, widzieli w Wice tylko bezpłciowego snajpera o niesamowitym oku? Czy to oni byli idiotami czyja?

Odór gówna powodował łzawienie oczu, niebawem jednak został przytępiony przez dym, a ogień i ciepło naszych ciał wspólnym wysiłkiem podniosły temperaturę panującą w chacie do znośnego poziomu. Na tym etapie zasnąłbym byle gdzie, osunąłem się więc w niebyt zaledwie kilka sekund po tym, jak ze zwiniętym szalikiem pod głową ległem na ojcowej bekieszcy.

Chwilę później Kola szturchnął mnie łokciem.

- Hej - wyszeptał. - Hej, nie śpisz jeszcze?

Mocno zaciskałem oczy, mając nadzieję, że zostawi mnie w spokoju.

- Gniewasz się? - zapytał. Tak blisko przysunął usta do mego ucha, że poszeptywał mi wprost w głąb czaszki, nie zakłócając snu pozostałym. Miałem ochotę mu przywalić, żeby zamknął wreszcie twarz, ale bałem się, że mi odda.

- Nie - odparłem. - Ale może ty byś zasnął?

- Wybacz, że cię okłamałem. Postąpiłem źle, nawet jeśli uważałem, że już po nas. Popełniłem błąd.

- Dzięki - mruknąłem i z nadzieją, że pojmie aluzję, przewróciłem się na bok.

- Ale tytuł ci się podoba, co? *Pies podwórkowy*? Wiesz, skąd się wziął?

- Błagam... błagam, daj mi pospać.

- Przepraszam. Śpij, oczywiście.

Pół minuty upłynęło w milczeniu, ale nie umiałem się odprężyć, bo wiedziałem, że Kola jest w pełni rozbudzony, gapi się w sufit i tylko czeka, żeby zadać mi następne pytanie.

- Chciałbyś poznać prawdę, co? Dlaczego oddaliłem się ze swojego batalionu.

- Możesz opowiedzieć mi jutro.

- Nie byłem z dziewczyną od czterech miesięcy. Jajka mi dzwoniły jak cerkiewne dzwony. Myślisz, że żartuję? Nie jestem do ciebie podobny, nie mam twojej siły woli. Zerznąłem pierwszą dziewczynę trzy dni po tym, jak po raz pierwszy się zlałem. Miałem dwanaście lat i ani włoska na klejnotach, a jednak w kotłowni wsadziłem małego Kławie Stiepanowej i bang, bang, bang!

- Bang, bang, bang?

- Roznosi mnie, możesz mi uwierzyć. Tydzień bez numerka i tracę zdolność koncentracji, mój umysł przestaje pracować, a ja łażę po okopach wte i wewte ze sterzącym kindybałem.

Gorący oddech Koli parzył mi ucho, ale mimo wysiłków nie zdołałem odsunąć się ani o centymetr dalej, bo leżeliśmy pokotem na polepie stłoczeni jak papierosy w paczce.

- Cały batalion planował na sylwestra duży ubaw. Była wódka, miały być śpiewy, a może nawet pieczone z paru świniaków zadołowanych ponoć w jakiejś stodole. Cała noc balowania, kapujesz? No to sobie wykombinowałem, że w porządku, niech sobie świętują przy gorzałce i pieczonej wieprzowinie, ale ja mam inne sprawy do załatwienia. Staliśmy niespełna godzinę drogi od Pitra, a ja miałem kumpla, który jeździł z rozkazami do sztabu głównego. Tej nocy miał być w mieście przez trzy, może cztery godziny. Idealna sytuacja. No więc zabieram się z nim, podwozi mnie pod dom przyjaciółki...

- Soni?

- Nie, jednej dziewczyny o imieniu Julia. Nie najpiękniejszej na świecie, właściwie nawet niezbyt ładnej. Ale posłuchaj, Lowa, stawał mi do niej nawet kiedy piłowała paznokcie. Miała magiczną cipkę. Naprawdę. No więc przez całą drogę, bo jej mieszkanie było na szóstym piętrze, przygotowuję się w myślach. Postanowiłem, że po prostu rzucę ją na kanapę, tak, żeby kuper był w powietrzu, i wejdę do samego końca. Nie wiem, nawiasem mówiąc, jak tam u ciebie z wyposażeniem, ale jeśli nienadzwyczajnie, to właśnie najodpowiedniejsza pozycja. Dupczysz na pełny gwizdek. W każdym razie docieram w końcu do mieszkania, rozpinam pas, łomocę w drzwi - i otwiera mi starucha. Niewiele większa niż średnio wyrosnięta karlica, ma na oko ze dwieście lat. Mówię, że jestem przyjacielem Julii, a ona na to: „Boże zmiłuj! Julia nie żyje od miesiąca”. Boże zmiłuj! Kurwa! Ekskuzuję się przed starowiną, daję jej kawałek chleba, bo ledwie stoi na nogach i zbiegam na dół. Czas ucieka. Jest w tej okolicy jeszcze druga dziewczyna, jedna z tych ba-letnic, o których ci opowiadałem. Trochę frygida, ale najlepsze nogi w Pitrze. Muszę przeleźć przez bramę, żeby dostać się do jej bloku, omal przy tym nie nadzieiam się zadkiem na szpikulec, ale jakoś przełazę, dobiegam do mieszkania, walę w drzwi, „To ja, Nikołaj Aleksandrowicz, wpuść mnie!” krzyczę. Drzwi się otwierają i co? Gapi się na mnie swoimi szczurzymi ślepkami jej mężulek. Wrednego gluta nigdy nie ma w domu, ale akurat tym razem jest. Partyjniak, rzecz jasna, zwykle w komitecie

pichci nowe ukazy, w sylwestra jednak postanowił podręczyć żonę swoim wszawym towarzystwem. „Kim jesteście? O co chodzi?” zagaja z oburzeniem, jakby się poczuł urażony, że załomotałem w drzwi, żądając poczęstunku w postaci bobra małżonki w sosie własnym. Mam mu ochotę przypierdzielić, żeby siadł na tym swoim pryszczatym dupsku, ale ponieważ wiem, że to byłby mój koniec, salutuję tylko temu cywilnemu piździelcowi, mówię, że pomyliłem drzwi, i znikam. Teraz naprawdę jestem w kropce. W tej części miasta znam tylko jeszcze jedną dziewczynę, ale Roza robi te rzeczy zawodowo, a ja nie mam grosza przy duszy. Ale, myślę sobie, jestem stałym klientem, więc może da mi na krechę albo weźmie zamiast forsy resztkę mojego żarcia. Mam do niej parę kilometrów, ruszam biegiem i pocę się po raz pierwszy od października. Kumpel już niedługo będzie wracać do jednostki. Bez tchu docieram na miejsce, karaskam się na czwarte piętro, drzwi nie są zamknięte od środka, wchodzę - a w kuchni, rozpijając flaszkę wódki, czeka na swoją kolejkę trzech żołnierzy. Roza postępuje w sąsiednim pokoju, te trzy matole wyśpiewują ludowe pieśni i poklepują się po plecach. „Bez obaw”, powiada ostatni w kolejce, „uwinę się w trymiga”.

Proponuję im forszę, żeby wpuścili mnie pierwszego, tyle tylko że nie mam żadnej forsy, a oni nie są aż takimi matolami, żeby przyjąć weksel. Mówię, że muszę wrócić do batalionu, a jeden z nich na to: „Jest sylwester! Wszyscy się popili! Wystarczy, że wrócisz do rana”. Brzmiało to sensownie, więc wkrótce, jako że butla wciąż przechodziła z rąk do rąk, chlałem z nimi i ryczałem te ich jebane piosenki głośniej niż oni wszyscy razem wzięci. No a godzinę później wreszcie dobiłem do Rozy. To słodka dziewczyna... gównu mnie obchodzi, co ludzie mówią o kurwach... obsłużyła mnie za resztę chleba, który miałem w kieszeni, a nie było tego wiele. Tylko powiedziała, że ma obolałą cipkę, więc mi obciągnęła. Piętnaście minut później jestem znów gotowy, ona się uśmiecha, powiada: „Och, jak ja was kocham, młodziaki”, i powolutku, delikatnie, daje mi po bożemu. A potem znowu, pół godziny później. Musiałem utoczyć w nią z litr śmietanki.

Miałem nieprzyjemne wrażenie, że w miarę snucia swej opowieści Kola podnieca się na nowo.

- No i nie zdążyłeś na swoją okazję.

- Och, spóźniłem się ładnych parę godzin. Ale się nie gryzłem, byłem pewien, że znajdę jakiś inny transport. Znałem większość chłopaków wożących rozkazy, to nie mogło być trudne. Szkoda, że nie widziałeś, jak wychodzę z domu Rozy. Inny człowiek niż ten, który wszedł niedawno. Rozluźniony, z uśmiechem od ucha do ucha, maszerujący sprężystym krokiem. Ale nie zaszedłem daleko. No więc ruszam sobie w podskokach, a tu bach!, zatrzymuje mnie patrol enkawudzistów, czterech parszywych skurwysynów, a dowódca żąda mojego rozkazu wyjazdu. Nie mam, mówię, żadnego rozkazu, przysłał mnie generał Stelmach, przygotowuje się do dużej bitwy, potrzebuje karabinów, moździerzy i amunicji, nie ma czasu na podpisywanie jakichś zasranych powiastek. Chyba Stelmach to twój współplemieniec, wiedziałeś o tym?

- Czyta historia się kiedyś skończy? - zapytałem. - A może zamierzasz gadać, aż zapędzisz mnie do grobu?

- No więc ta duma narodu, co mnie przesłuchuje, ten, kurna, stróż prawa, ma hitlerowski wąsik. Człowiek by pomyślał, że wszyscy rosyjscy posiadacze takich wąsików już dawno je zgolili, ale nie, ten piździelec uważa, że mu z nim do twarzy. Pyta, dlaczego przekazywałem wiadomości Stelmacha akurat w tym bloku, na Wyborgu, a ja dochodzę do wniosku, że szczypta prawdy nie zawadzi i że odwołam się do ludzkiej strony tego enkawudzisty. Puszczam do niego oko i mówię, że czekając na transport do sztabu generała, załapałem się na kawałek dupy. Człowiek by pomyślał, że poklepie mnie po plecach i upomni, żebym następnym razem, kiedy oddalę się z batalionu, miał wszystkie dokumenty w porządku. Cztery miesiące walczyłem na froncie, kiedy ten konus z hitlerowskim wąsikiem pałętał się po Pitrze, aresztując żołnierzy za to, że podrzucili rodzicom kawałek mięsa albo garstkę ryżu. To był właśnie mój błąd. Próbowałem przemówić do człowieczeństwa biurokraty. No więc każe swoim ludziom założyć

mi kajdanki, uśmiecha się z wyższością i oznajmia, że generał Stelmach jest w Tychwinie, dwieście kilometrów stąd i że właśnie stoczył zwycięski bój.

- Nie powinieneś był wspominać Stelmacha. To była głupota z twojej strony.

- Oczywiście, że głupota! Ale kutas mi jeszcze nie wysechł! - Któryś z partyzantów gniewnym mruknięciem polecił mu zamknąć pysk i Kola ściszył głos. - Umysł jeszcze nie pracował mi prawidłowo. Nie mogłem uwierzyć, że ten facet o coś mnie oskarża. Po południu byłem żołnierzem cieszącym się dobrą opinią, a teraz, pięć godzin później, zarzuca mi się dezercję. Myślałem, że rozwalą mnie od razu na ulicy, ale zamiast tego zawieźli mnie do Kriestów. I tam spotkałem ciebie, mój depresyjny mały Hebrajczyku.

- Jak umarła Julia?

- Co? Nie wiem. Pewnie z głodu.

Leżeliśmy cicho przez kilka minut, wsłuchując się w odgłosy wydawane przez partyzantów - jedni spali bezgłośnie, drudzy pochrumkiwali przez nos, inni wreszcie poświstywali jak wiatr w kominie. Usiłowałem wyłowić oddech Wiki, zaciekawiony, jakie dźwięki wydaje przez sen, ale nie zdołałem tego dokonać.

Wcześniej irytowałem się, że przez swoje gadanie Kola nie daje mi spać, teraz jednak, gdy umilkł, nagle poczułem się samotny.

- Śpisz już? - zapytałem.

- Hmm? - zaszemrał nieprzytomnie; nigdy nie miał problemów z zasypianiem, więc w tej chwili, opowiedziawszy mi swą historię, błyskawicznie odpływał do krainy swoich snów.

- Dlaczego w nocy jest ciemno? -Co?

- Jeśli istnieją miliardy gwiazd, na ogół równie jasnych jak nasze słońce, i skoro światło wędruje wiecznie, to dlaczego przez cały czas nie jest jasno?

W gruncie rzeczy nie oczekiwałem odpowiedzi. Zakładałem, że Kola prychnie, każe mi iść spać albo rzuci na odczepnego coś w stylu: „W nocy jest ciemno, bo zachodzi słońce”. Kola jednak

usiadł i spojrzał na mnie z góry. W rozchwianym blasku bur-żujki widziałem namysł rysujący się na jego twarzy.

- Doskonałe pytanie - stwierdził. Rozmyślał przez chwilę, wbijając spojrzenie w mrok przyczajony za kręgiem światła. W końcu pokręcił głową, ziewnął i legł na podłodze. Kilka sekund później zachrapał, to poświstując przy wdechach, to po-fukując przy wydechach.

Jeszcze nie spałem, kiedy do chatki wszedł wartownik z pierwszej zmiany i obudził zmiennika, pokrzepił burżujkę przyniesionym chrustem, a wreszcie położył się na podłodze wśród innych. Jeszcze przez godzinę wsłuchiwałem się w sęczki trzaskające w ogniu, rozmyślałem o gwiazdach i Wice, aż wreszcie zasnąłem, by śnić o niebie, z którego padał deszcz pulchnych dziewcząt.

XIX

Wartownik obudził nas tuż przed południem; wpadł do chaty i usiłując mimo paniki nie podnosić głosu, powiedział:

- Nadchodzą. - Zerwaliśmy się na nogi, zanim ponownie zdążył otworzyć usta. Spaliśmy w butach, więc pochwycenie reszty dobytku zajęło nam dosłownie ułamek sekundy. Byliśmy gotowi do wymarszu.

- Chyba całą kompania. Prowadzą jeńców.

Korsaków zarzucił karabin na ramię.

- Piechota?

- Nie dostrzegłem żadnych pojazdów.

Pół minuty później wysypaliśmy się przez pokrzywione drzwi we wraży blask słońca. W chacie panował grobowy mrok, więc w jaskrawym świetle południa ledwie zdołałem otworzyć oczy. Podążyliśmy za Korsakowem, wypełniając jego niewypowiedziany rozkaz: uciekać.

Byliśmy bez szans. Zanim ostatni partyzant wybiegł z chaty, usłyszałem wrzaski Niemców. Zmieniłem się w bezmyślne zwierzę, pędzone tylko strachem. Ociepliło się, ciężki, zwilgotniały śnieg czepiał się butów, usiłował mnie wessać.

Kiedy miałem dziewięć lat, odwiedziła Piter grupa wybitnych francuskich komunistów, a władze odpicowały na tę okazję ulice miasta. Robotnicy z nieodłącznymi papierosami w kącikach ust wylali na Woinową świeży asfalt, a kiedy wygładzili go pacami na długich trzonkach, moja ulica przybrała wygląd rzeki roztopionej czekolady. We trzech z bliźniakami Antokolskimi przyglądaliśmy się od rana tej akcji przed bramy Kirowa. Nie pamiętam, by jakikolwiek konkretny czynnik dał impuls naszemu postępkowi. Bez słowa, bez jednej wymiany spojrzeń, ściągnęliśmy buty, rzuciliśmy je na podwórko i przebiegliśmy przez ulicę. Mogliśmy poparzyć sobie podeszwy stóp, ale to nas nie ruszało; pozostawiwszy swoje ślady w miękkim asfalcie, biegnęliśmy dalej, a robotnicy, doskonale zdając sobie sprawę, że nigdy nas nie dościgną, tylko klęli w żywy kamień i wygrażali nam swoimi pacami.

Matka potrzebowała godziny wściekłego szorowania mydłem i pumeksem, by doczyścić moje stopy. Ojciec, usiłując ukryć rozbawienie, stał z rękoma założonymi do tyłu przy oknie i patrzył na ulicę, której nieskazitelnie połyskliwą czerń przecinały - niczym ślady mew pozostawione w mokrym piasku plaży - trzy sznureczki odcisków dziecięcych stóp.

Bieg po miękkim asfalcie jest czymś zupełnie innym niż bieg po mokrym śniegu, ale zawsze dzieje się tak - choć nie mam pojęcia wedle jakiego klucza - że pewne sytuacje wywołują takie a nie inne wspomnienia, a kiedy już same staną się wspomnieniami, wchodzą z tymi dawniejszymi w nierozzerwalny związek.

Wśród jodeł huknęły strzały. Jedna kula świsnęła tak blisko mojej głowy, że dotknąłem dłonią skroni, żeby sprawdzić, czy nie zostałem trafiony. Wtedy spostrzegłem, że biegnący przede mną partyzant wali się na ziemię, wali, widziałem to jasno, w taki sposób, że nie wstanie już nigdy. Nie mogłem biec szybciej, nie mogłem bać się bardziej - widok ludzkiej śmierci nic we mnie nie zmienił. W tym momencie nie byłem już Lwem Abramowiczem Beniowem. Nie miałem w Wiaźmie żyjącej matki ani pochowanego w jakimś bezimiennym dole martwego ojca. Nie byłem po

mieczu dziedzicem odzianych w czarne kapelusze badaczy Tory, po kądzieli zaś drobnych moskiewskich burżujów. Gdyby w tym momencie jakiś Niemiec ułapił mnie za kołnierz, potrząsnął mną i nienagannym rosyjskim zapytał o nazwisko, nie zdołałbym mu odpowiedzieć, nie wydusiłbym z siebie jednego słowa błagającego o litość.

Korsaków odwrócił się, żeby strzelić do prześladowców, zanim jednak nacisnął spust, kula oderwała mu od twarzy całą dolną szczękę. Zamrugał tylko oczyma, z których nie zdążyła jeszcze odpłynąć czujność. Minałem go pędem, pokonałem strome wzniesienie, zbiegłem z jego grzbietu w wąski parów, gdzie na kamieniach i połamanych gałęziach bulgotał strumyk zasilany wodą z topniejącego śniegu.

Ulegając podszeptowi instynktu, odbiłem od dotychczasowego kursu i ruszyłem w dół strumienia, bo po oślizgłych kamieniach można było jednak biec szybciej niż po rozmiękłym śniegu. Moje ciało było gotowe na przyjęcie nieuniknionej kuli, która jak mostowy gwóźdź zostanie wbita pomiędzy me łopatki i rzuci mnie twarzą do przodu w lodowatą wodę. Mimo wszystko obudziła się we mnie zdumiewająca zwinność, stopy wybierały cele, nie konsultując się z umysłem, buty pewnie rozchlapywały wodę.

Nie wiem, jak długo biegłem i jaki dystans pokonałem, w końcu jednak musiałem się zatrzymać. Skoczyłem za pień wiekowego modrzewia o gałęziach zwieszających się do ziemi pod brzemieniem czap topniejącego śniegu i przysiadłem w cieniu, próbując odzyskać oddech. Nogi nie przestawały mi drżeć, nawet kiedy usiłowałem je uspokoić, przyciskając do ud dłonie w rękawiczkach. Po jakimś czasie ból w piersiach ustąpił nieco, wystawiłem więc głowę zza pnia i spojrzałem w górę.

W moją stronę miarowym niespiesznym biegiem zmierzało trzech uzbrojonych mężczyzn. Nie mieli na sobie niemieckich mundurów. Najbliższy nosił biały strój maskujący: był to partyzant, na którego zwróciłem uwagę, kiedy ślinił palec martwego Niemca, żeby ściągnąć obrączkę. Kompani zwracali się do niego „Marków”. Kochałem go w tym momencie, kochałem jego

tępawą zaczerwienioną twarz i głęboko osadzone oczy, które zeszłego wieczoru wydawały mi się mordercze.

Następny biegł Kola; na jego widok roześmiałem się donośnie. Poznałem go w piątek wieczorem, do poniedziałku nie lubiłem, a teraz, we wtorek po południu, omal nie rozplakałem się ze szczęścia na jego widok. Podczas ucieczki zgubił swoją uszankę i musiał odgarniać do tyłu spadające na czoło włosy blond. Odwrócił się, by powiedzieć coś do trzeciego członka grupki, coś - sądząc po szerokim uśmiechu, jaki towarzyszył wypowiedzanym słowom - silnie i nieodparcie zabawnego.

Tym trzecim członkiem grupki okazała się Wika. W przeciwieństwie do Koli ocaliła swoją futrzaną czapkę; mimo dzielącego nas dystansu widziałem, jak spod jej nisko nasuniętego daszka czujnie rozglądają się na boki wilcze niebieskie oczy. Słowa Koli najwyraźniej Wiki nie rozbawiły. Chyba ich nawet nie słuchała. Co kilka kroków odwracała głowę, żeby sprawdzić, czy nie zbliżają się prześladowcy.

Mój bieg nie mógł trwać bardzo długo (dwadzieścia minut? dziesięć?), ale wewnątrz chaty myśliwskiej sprawiało w tej chwili wrażenie wspomnienia podkradzonego jakiemuś innemu człowiekowi. Prawdziwe przerażenie, stuprocentowa pewność, że akt przemocy nieodwołalnie utnie nić twojego żywota, wymazuje z duszy wszystko prócz siebie. Choć więc ujrzałem Kolę, Wikę i Markowa, chociaż ich trzy fizjonomie wydały mi się najpiękniejszymi twarzami w całej Rosji, nie byłem w stanie wykrzyknąć ich imion czy pomachać im dłonią. Cień skupiony pod obwisłymi konarami modrzewia był moim bezpiecznym schronieniem, odkąd tu przycupnałem, nie spotkało mnie nic złego. Niemcy mnie nie znaleźli. Nie widziałem żadnego strzału, który oderwał czyjąś szczękę, pozostawiając tylko parę oczu zawieszonych powyżej krwawego ochłapa rodem z podłogi w taniej jatce. Nie mogłem przywołać Koli, chociaż w ciągu czterech ostatnich dni stał się moim najlepszym przyjacielem.

Może nieznacznie zmieniłem pozycję lub zadrzałem... tak czy inaczej Wika podrzuciła kolbę do ramienia, wykręciła się na pięcie i wymierzyła w moją głowę lufę swojego karabinu.

Nawet wtedy nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu na czas, by ocalić życie. Mogłem zawołać ją po imieniu. Mogłem cokolwiek powiedzieć po rosyjsku.

Jakimś cudem jednak, choć kryłem się w cieniu, osłonięty dodatkowo przez obwisłe gałęzie, Wika rozpoznała mnie i powstrzymała się przed naciśnięciem spustu.

- To twój mały przyjaciel - powiedziała do Koli. - Może być ranny.

Kola podbiegł do mnie, chwycił za kłapy bekieszy, przechylił całe moje ciało najpierw w lewo, a potem w prawo, szukając dziur po kulach.

- Ranny jesteś? Pokręciłem głową.

- No to chodź. - Postawił mnie na nogi. - Są tuż za nami.

- Za późno - powiedziała Wika, która wraz z Markowem skryła się obok nas pod modrzewiem. Ruchem lufy pokazała wzgórze.

Na jego grzbiecie, niespełna dwieście metrów od nas, pojawili się Niemcy w białych skafandrach: szli ostrożnie, z bronią gotową do strzału, czujnie rozglądali się dokoła, żeby uniknąć zasadzki. Zrazu było ich ledwie kilku, zza wzgórza jednak wyłaniali się następni i następni, aż całe zbocze zaroilo się od ludzi, którzy pragnęli nas zabić.

Z kieszeni drelichów Marków wyjął lornetkę i dokładnie obejrzał zwiadowców idących przed niemieckim oddziałem.

- Pierwsza Dywizja Strzelców Górskich - wyszeptał, podając lornetkę Wice. - Mają insygnia w kształcie szarotki, widzisz?

Skinęła głową, z lekceważeniem odsuwając od siebie lornetkę. Pomiędzy rzędami żołnierzy maszerowała ze spuszczoneymi głowami gromada jeńców. Czerwonoarmiści w utyłanych mundurach dreptali obok oszołomionych cywilów poubieranych w to, co zdołali na siebie narzucić, kiedy Niemcy przystąpili do pacyfikowania ich wiosek. Nie brakło nieszczęśników bez palt, rękawic czy czapek, niektórzy mieli na sobie tylko podkoszulki.

Rozchlapując mokry śnieg, bez słowa, nie patrząc przed siebie, szli prosto na nas.

- Wygląda na to, że idzie do nas w odwiedziny cała kompania - stwierdził Markow. Schował lornetkę i przygotował broń do strzału. - Że też akurat teraz, jak mam kieszenie pełne złota.

Wika położyła dłoń na ramieniu Markowa.

- Tak ci spieszno zostać męczennikiem?

Zerknął na nią sponad przyrządów celowniczych swojego karabinu, wymierzonego już w najbliższego faszystę.

- Walenie do piechocińców - powiedziała - nie ma sensu. My polujemy na einsatżów.

Gniewnie wykrzywił usta i odepchnął jej dłoń, jak gdyby była zwariowaną żebraczką, nachalnie domagającą się wsparcia.

- Nie mamy żadnego wyboru. Widzę tylko strzelców górskich.

- Einsatzgruppe A współdziała z Erste Gebirgsjäger, dobrze o tym wiesz. Abendroth nie może być daleko.

Popatrzyliśmy z Kolą po sobie. Zeszłego wieczoru usłyszeliśmy nazwisko Abendroth po raz pierwszy; już w tej chwili brzmiało jak groźba. Nie potrafiłem wyrzucić z siebie wyimaginowanego obrazu Zoi wijącej się na podłodze obok swych oderżniętych stóp. Samego Abendrotha nie byłem sobie w stanie wyobrazić, dziewczyny go nie opisały, wyobrażałem sobie jednak jego dłonie - pochłapane krwią, o nienagannie wymanikiurowanych paznokciach - kiedy odkładają na drewnianą podłogę niepotrzebną już piłę.

- Już po wszystkim - powiedział Markow. - Koniec z uciekaniem.

- Nic nie mówiłam o uciekaniu. Mają przeszło setkę jeńców. Wmieszamy się w nich...

- Wymiękłaś, głupia pizdo? Myślisz, że jak wyjdiesz z giwerą w górze, szkopy tak po prostu pozwolą ci się poddać?

- Nie poddajemy się. - Chwyciła dłonią jedną z niższych gałęzi, podciągnęła się nieco i wsunęła karabin pomiędzy gałąź

a pień. Zeskoczywszy na ziemię, wytrzepała śnieg z rękawic i gestem poleciała Markowowi, by on również ukrył swą broń.

- Wmieszamy się w tłum jeńców i poczekamy na odpowiedni moment. Szkopy już przeszukały to stado baranów. Masz przy sobie pistolet, prawda? No, zasuwaj, szybko. Pozbądź się karabinu.

- Mogą ich przeszukać jeszcze raz.

- Ale tego nie zrobią.

Najbliżsi Niemcy, w kapturach ciasno opinających furażerki, byli niespełna sto metrów od nas. Marków patrzył na nich łakomie: ich zaczerwienione twarze stanowiły łatwy cel dla doświadczonego strzelca.

- Przed wieczorem wybiją połowę jeńców.

- My będziemy w tej drugiej połowie.

Kola uśmiechnął się i pokiwał głową, coraz bardziej przekonany do pomysłu Wiki. Pomysłu tak absurdalnego, że z powodzeniem mógł przyjść do głowy jemu samemu, w najmniejszym stopniu więc nie byłem zaskoczony, że go przyjmuje z pewnym entuzjazmem.

- Warto spróbować - wyszeptał. - Jeśli niepostrzeżenie dołączymy do jeńców, wciąż mamy szansę, jeśli nas szkopy namierzą... cóż, postrzelamy sobie. To dobry plan.

- To gówniany plan - zaoponował Marków. - Jak niby mamy dołączyć niepostrzeżenie?

- Zostało ci chyba kilka granatów, co? - zapytała Wika. Marków świdrował ją wzrokiem. Sprawiał wrażenie kogoś,

kto oberwał po ryju zbyt wiele razy, miał boksinoski wgnieciony nos i najwyżej połowę zębów w dolnej szczęce. W końcu pokręcił głową, zawiesił karabin na sęku i wyjrzał zza pnia na zbliżającą się kolumnę.

- Prawdziwie z ciebie wredna cipa, wiesz o tym?

- Wyskakuj z drelichów - odparła. - Wyglądasz w nich na żołnierza.

Marków szybko porozpinał guziki, usiadł na śniegu i nie zdejmując butów, ściągnął swój biały kombinezon. Nosił pod nim pikowaną kamizelkę myśliwską, kilka warstw wełnianych

swetrów i pochłapane farbą spodnie robocze. Z brezentowego woreczka wyjął granat zaczepny, odwinął ze szmaty i wsunął w niego zapalnik grubości papierosa.

- Musimy wszystko zgrać idealnie - powiedział.

Przykucnięci i bezgłośni, kuliliśmy się za grubym pniem modrzewia, wstrzymując oddech, kiedy pierwsi niemieccy żołnierze mijali nas w odległości niecałych dwudziestu metrów.

Nikt nie pofatygował się, żeby zapytać mnie o zdanie, co miało jakiś sens, ponieważ nawet nie próbowałem otworzyć ust, by cokolwiek zasugerować. Odkąd wypadliśmy przez drzwi chaty myśliwskiej, nie powiedziałem ani słowa, a teraz było na to za późno.

Nie podobała mi się żadna z dwóch opcji. Strzelanina mogła być jakimś rozwiązaniem dla zahartowanego partyzanta pokroju Markowa, ale ja nie byłem gotów na misję samobójczą. A już udawanie jeńca trąciło absurdem, bo jak długo w dzisiejszych czasach udaje się przeżyć statystycznemu jeńcowi? Gdyby mnie ktokolwiek zapytał o zdanie, zaproponowałbym kontynuowanie ucieczki, choć nie byłem pewien, jak daleko jeszcze zdołałbym pobiec, albo też wspięcie się na drzewo i oczekiwanie, aż Niemcy nas miną. Zwłaszcza drugie wyjście nabierało coraz więcej i więcej sensu, ponieważ minęła nas już szpica kompanii strzelców górskich, a my wciąż nie zostaliśmy dostrzeżeni.

Kiedy na wysokości naszego modrzewia znaleźli się pierwsi z rosyjskich jeńców, Wika skinęła głową do Markowa, który głęboko zaczerpnął powietrza, przeszedł aż na skraj cienia rzucanego przez drzewa i z całą mocą cisnął granat.

Ze swojego miejsca nie mogłem stwierdzić, czy Niemcy zauważyli lecący nad swoimi głowami ciemny punkt, zapewne jednak nie zauważyli, ponieważ nie rozległy się żadne ostrzegawcze krzyki. Z przytłumionym „łup” granat wylądował w śniegu trzydzieści metrów od nas. Przez kilka sekund nic się nie działo i już zaczynałem być pewny, że okazał się niewybuchem, gdy eksplodował z dostateczną mocą, by obruszyć na nasze głowy kaskadę śniegu strąconego z gałęzi modrzewia.

Jak na komendę wszyscy w maszerującej kolumnie, na równi żołnierze i jeńcy, skulili się ogarnięci nagłą paniką i jak jeden mąż spojrzeli w lewo, gdzie wystrzelił w niebo ogromny śnieżny gejzer. Chyłkiem wymknęliśmy się spod drzewa i ruszyliśmy w stronę tłumu rosyjskich obdartusów; w tej samej chwili niemieccy oficerowie zaczęli wykrzykiwać jakieś rozkazy i lornetować przeciwległy skraj lasu, wypatrując snajperów ukrytych, być może, pośród drzew. Byliśmy coraz bliżej naszych pojmanych rodaków; piętnaście metrów... trzynaście... stąpając ostrożnie i walcząc z odruchem, by resztkę dystansu pokonać biegiem. Niemcom wydało się, że dostrzegają jakieś poruszenie w odległych zaroślach, zaczęli więc krzyczeć jeden przez drugiego i pokazywać coś sobie palcami, część żołnierzy padła na ziemię, gotowa otworzyć ogień do niewidocznego nieprzyjaciela.

Zanim zorientowali się, że nikt nie zagraża kolumnie z lewej strony, my przeniknęliśmy do niej z prawej. Kilku jeńców dostrzegło nasze przybycie, ale nie powitało nas żadne słowo czy przyjazny gest. A nawet wyraz zaskoczenia na którejkolwiek twarzy. Może dla tych pogrążonych w beznadziejnej apatii ludzi było czymś naturalnym, że z lasu wyłazi grupka facetów, by potajemnie oddać się w niemieckie ręce?

Jeńcy byli wyłącznie płci męskiej i w bardzo różnym wieku - od szczerbatych chłopaczków z zamarznietymi soplami smarków pod nosami, po przygarbionych starców z siwą szczeciną zarostu na wychudłych twarzach. Wika jeszcze głębiej naciągnęła na oczy swą czapę z królika: w swym bezkształtnym przyodziewku wyglądała jak byle podrostek i nie zwracała na siebie niczyjej uwagi.

Przynajmniej dwóch czerwonoarmistów miało na nogach tylko podarte skarpety, Niemcy bowiem wysoko sobie cenili sowieckie kazonne buty ze skóry i filcu, uważając, że są znacznie trwalsze i cieplejsze niż ich własne przydziałowe. Skarpety żołnierzy były kompletnie przemoczone; kiedy temperatura spadnie, zamienią się w dwie bryły lodu. Zastanawiałem się, ile kilometrów zdołają pokonać nieszczęśnicy, jak daleko zajdą,

gdy odrętwienie ogarnie stopy, potem kostki, łydki, a wreszcie kolana. O tępiące i żalodne oczy czerwonoarmistów przywiodły mi na pamięć ślepią koni pociągowych, które zaprzęzione do sań widywało się na pokrytych śniegiem ulicach Pitra, zanim jeszcze zabrakło żywności i zanim wszystkie zwierzęta zarżnięto na mięso.

Niemcy trajkotali w swoim narzeczu. Żadnemu chyba nie stała się większa krzywda, chociaż jeden młody żołnierz został najwyraźniej draśnięty odłamkiem w policzek: dumny ze swej pierwszej wojennej rany zdjął rękawicę, zebrał kciukiem nieco krwi i prezentował ją kompanom.

- Sądzą, że to była mina przeciwpiechotna - wyszeptał Kola, który zmrużywszy jedno oko, wsłuchiwał się w rozmowy Niemców. - Są chyba Tyrolczykami, mają dziwną wymowę. Tak, mówią, że to była mina.

Oficerowie wydali rozkazy, żołnierze odwrócili się do pokornej trzódki jeńców i ruchami pistoletów nakazali wznowić marsz.

- Zaczekajcie! - wrzasnął jeden z Rosjan, grubowargi cywil po czterdziestce, noszący na głowie pikowaną puchową uszankę z mocno zawiązanymi pod brodą trokami kłap. - Ten człowiek to partyzant!

Wyciągnął rękę i pokazał Markowa. Na zboczu wzgórza zapadła cisza.

- Przyszedł do mojego domu miesiąc temu, ukradł wszystkie kartofle, całe jedzenie, powiedział, że musi, bo prowadzą wojnę! Słyszycie? To partyzant! Zabił wielu Niemców!

Marków wbijał w cywila spojrzenie, przekrzywiając głowę jak pies bojowy.

- Morda w kubel - syknął, czerwieniejąc z gniewu na twarzy.

- Nie będziesz mi więcej rozkazywał! Nie będziesz gadał, co mam robić!

Przez tłumek, który otoczył Markowa i jego oskarżyciela, przepchnął się porucznik w asyście trzech żołnierzy.

- O co chodzi? - ryknął. Był najwyraźniej tłumaczem kompanii, mówił po rosyjsku z silnym ukraińskim akcentem. Spra-

wiał wrażenie grubasa, który raptownie schudł, wskutek czego pucołowate niegdyś policzki zamieniły się w obwisłe fafle.

Oskarżyciel stał z wciąż wyciągniętą ręką; wyglądał w tej swojej durnej uszance jak wyrośnięty dzieciak. Mówił do porucznika, ale nie spuszczał z Markowa wzroku.

- Ten człowiek to morderca. Zabijał waszych!

Kola już otwierał usta, żeby przemówić w obronie Markowa, ale Wika powstrzymała go mocnym kuksańcem wymierzonym w podbrzusze. Niemniej jednak dostrzegłem, że dłoń Koli pograża się w kieszeni szynela i zapewne zaciska na kolbie tokariewa.

Marków pokiwał głową, a jego usta wykrzywił dziwny złowrogi uśmiech.

- Sram w mleko twojej matki.

- Teraz nie wyglądasz na takiego odważniaka! Nie wyglądasz na takiego twardziela! Jasne, twardy jesteś, kiedy kradniesz kartoszki prostym ludziom, ale kim jesteś teraz? No, co? Kim jesteś?

Marków warknął i z kieszeni swej kamizelki myśliwskiej wyszarpnął niewielki pistolet. Mimo masywnego cielska zrobił to równie szybko jak amerykański rewolwerowiec. Wymierzył broń w swojego oskarżyciela, stojący w pobliżu jeńcy rozpięchli się na boki, by zejść z linii strzału.

Niemieccy żołnierze byli jeszcze szybsi. Zanim Marków zdążył nacisnąć spust, salwa z pistoletów automatycznych MP-40 wywierciła w jego kamizelce skupisko małych dziurek. Marków zachwiał się, zmarszczył czoło, jakby usiłował przypomnieć sobie coś istotnego, a potem na wznak runął w rozmiękły śnieg, przy czym z dziur w kamizelce wypłynęło kilka strzępków puchu.

Grubowargi tępo gapił się na zwłoki Markowa. Musiał z góry wiedzieć, czym skończy się denuncjacja, mimo wszystko jednak sprawiał wrażenie zaszokowanego jej efektem. Porucznik patrzył nań przez chwilę, zastanawiając się pewnie, czy nagrodzić go czy ukarać, w końcu jednak tylko się pochylił, żeby zabrać na pamiątkę broń Markowa, i oddalił się bez słowa. Żołnierze

pospieszyli za nim, rzuciwszy ledwie przelotne spojrzenie na martwego partyzanta. Może zastanawiali się, który z nich oddał ten naprawdę śmiertelny strzał.

Po chwili kolumna ruszyła ponownie, zostały jednak wprowadzone pewne zmiany: teraz przodem, dziesięć metrów przed pierwszymi Niemcami, szło sześciu Rosjan, pełniąc rolę ludzkich trałowców. Każdy krok, który przecież mógł się skończyć na ukrytym odciągu, musiał być dla nich przerażającym doświadczeniem. Zapewne doznawali pokusy, by uciec, w takim przypadku jednak natychmiast powaliłyby ich kule żołnierzy.

Od oskarżyciela Markowa wszyscy trzymali się na dystans. Był trędowaty, był nosicielem zarazy. Strzelając oczyma na boki, jakby oczekiwał słów potępienia, mamrotał coś pod nosem i była to długa, choć bezgłówna rozmowa z samym sobą.

Pomiędzy Wiką a Kolą dreptałem przez chlapę, mając przed sobą jeszcze z dziesięciu innych jeńców. Ilekroć ktoś z naszej grupy odzywał się na tyle głośno, by mogli to usłyszeć żołnierze, rozlegało się szczeknięcie: „*Halts Mau!!!*”. Nie trzeba było tłumacza, żeby zrozumieć szkopskie przesłanie: skarcony natychmiast zamykał twarz, pochylał głowę i lekko przyspieszał kroku. Jeśli jednak mówiło się ściszym głosem i miało strażników na oku, rozmowę można było jakoś prowadzić.

- Przykro mi z powodu twojego przyjaciela - wymamrotałem do Wiki.

Szła dalej, jakby nie zamierzała odpowiedzieć albo nie usłyszała moich słów. Przyszło mi na myśl, że mogłem ją urazić.

- Chyba był porządnym człowiekiem - dodałem. Oba wypowiedziane przeze mnie zdania trąciły bezdennym banałem, przypominały zdawkowe formułki, jakie klepie się na pogrzebach nieulubianych krewnych. Nic dziwnego, że Wika je zignorowała.

- Nie był - odrzekła w końcu. - Ale lubiłam go tak czy owak.

- Ten zdrajca powinien zawisnąć na gałęzi - wyszeptał Kola, pochylając głowę, żeby nie mógł go usłyszeć nikt oprócz nas dwojga. - Mógłbym gołymi rękoma skrócić mu kark. Znam sposób.

- Daj sobie spokój - powiedziała Wika. - Ten gnojek nie ma znaczenia.

- Dla Markowa miał - zaproponowałem.

Wika podniosła wzrok i uśmiechnęła się. To nie był ten sam zimny, drapieżny uśmiech, jaki widziałem u niej wcześniej. Sprawiała wrażenie tak zaskoczonej moją uwagą, jakby właśnie usłyszała imbecyla, który gwizdże *Für Elise*, nie fałszując ani razu.

- Tak, dla Markowa miał znaczenie. Dziwny z ciebie chłopak.

- Dlaczego?

- Tak, to pokręcony koleś - zgodził się Kola, wymierzając mi przyjacielskiego kuksańca w nerki - ale nieźle daje sobie radę w szachy.

- Dlaczego jestem dziwny?

- Markow nie ma znaczenia - powiedziała. - Ja nie mam znaczenia. Ty nie masz. Wygranie tej wojny to jedyna ważna rzecz.

- Nie zgadzam się - odparłem. - Markow miał znaczenie, tak samo jak ty czyja. I właśnie dlatego musimy zwyciężyć.

Kola uniósł brwi; najwyraźniej zaimponowałem mu, sprzeciwiając się tej małej fanatyczce.

- Szczególnie ważny jestem ja - oświadczył - piszę bowiem największą powieść dwudziestego stulecia.

- Wy dwaj jesteście w sobie niemal zakochani - stwierdziła Wika. - Zdajecie sobie z tego sprawę?

Żałosna procesja zaczęła zwalniać, aż wreszcie stanęła, stropieni jeńcy rozglądali się dokoła, żeby zrozumieć, dlaczego przestaliśmy się poruszać. Zatrzymał nas jeden z nieobutych żołnierzy. Koledzy prośbą i groźbą usiłowali skłonić go, by podjął marsz, on jednak bez słowa kręcił głową i stał, jakby nogi wrosły mu w śnieg. Nie pomogło nawet popychanie; wybrał swoje miejsce i czas. Kiedy wymachując pistoletami i klnąc po niemiecku, precyzyjnie się do niego strażnicy, pozostali czerwonoarmiści z ociąganiem odstąpili od towarzysza, który uśmiechnął się do Niemców i uniósł ramię w parodii faszystowskiego pozdrowienia. Odwróciłem głowę w ostatniej chwili.

XX

Godzinę przed zachodem słońca kolumna zatrzymała się obok odpychającego budynku z czerwonej cegły, którego wąziutkie okna o szybach ujętych w ołowiane szprosy przywodziły na myśl strzelnice w średniowiecznym zamczysku; była to szkoła wzniesiona podczas drugiej pięciolatki w ramach budownictwa proletariackiego. Ponad półmetrowe mosiężne litery nad głównym wejściem układały się w słynną maksymę Lenina:

DAJCIE NAM DZIECKO NA OSIEM LAT, A JUŻ NA ZAWSZE BĘDZIE BOLSZEWIKIEM. Jakiś biegły w naszym języku najeźdźca dopisał poniżej białą farbą, która porozlewała się trochę, zanim zdążyła wyschnąć: **DAJCIE NAM SWOJE DZIECI NA OSIEM SEKUND, A NIE BĘDZIE JUŻ BOLSZEWIKÓW.**

Niemcy zrobili ze szkoły swoje centrum dowodzenia. W pobliżu wejścia zaparkowało sześć kubelwagenów, jakiś żołnierz z gołą głową - jego króciutkie żółte włosy przypominały pierze kurczęcia - tankował jeden z nich z zielonego stalowego kanistra. Zerkał na zbliżającą się kolumnę bez widocznego zainteresowania.

Oficerowie wydali rozkazy, szyk się rozluźnił, większość Niemców skierowała się do budynku; już w drodze zsuwali

z ramion ciężkie plecaki, przerzucali się donośnymi pogwarkami, najwyraźniej gotowi na prysznic - jeśli w rurach płynęła jeszcze woda - i gorący posiłek. Pozostali strzelcy, chyba w sile plutonu, skwaszeni i strudzeni całodziennym marszem po rosyjskich bezdrożach, posiłkując się lufami pistoletów, ustawili jeńców pod ścianą szkoły.

Usadowiony na składanym krzeselku, pogrążony w lekturze gazety, z papierosem w zębach, czekał tam na nas niemiecki oficer. Gdyśmy się zbliżyli, podniósł głowę i przywołał na twarz szczęśliwy uśmiech człowieka, który wita przyjaciół zaproszonych na kolację. Wreszcie odłożył gazetę, wstał i kiwając głową, powiódł spojrzeniem po naszych twarzach, ubraniach i butach. Nosił szary mundur Waffen-SS z zielonymi mankietami, ale nie miał na sobie płaszcza, który wisiał na oparciu krzesła.

- Einsatzkommando - mruknęła mi do ucha Wika.

Gdy zostaliśmy już jako tako uszeregowani, einatz rzucił papierosa w śnieg i ruchem głowy przywołał faflatego tłumacza z kompanii strzelców górskich. Rozmawiali ze sobą po rosyjsku, jakby chcieli się popisać przed nasłuchującymi jeńcami.

-Ilu?

- Dziewięćdziesięciu czterech. Nie, dziewięćdziesięciu dwóch.

- Ach, tak. Dwaj zatem postanowili opuścić nasze towarzystwo? Doskonale.

Einsatz obrócił się ku nam, powiódł spojrzeniem po twarzach jeńców, zaglądając w oczy każdemu z nas. Był przystojnym mężczyzną: zsunięta do tyłu czarna furażerka odsłaniała opalone czoło, delikatny wąsik sprawiał, że twarz przywodziła na myśl fizjonomię śpiewaka jazzowego.

- Nie bójcie się - oznajmił. - Wiem, że byliście karmieni propagandą. Komuniści chcą, byście widzieli w nas barbarzyńców, którzy przybyli, aby was unicestwić. Ale rozglądam się po waszych twarzach i kogo widzę? Porządnych, uczciwych robotników i rolników. Czy jest wśród was chociaż jeden bolszewik?

Nikt nie podniósł ręki. Niemiec się uśmiechnął.

- Tak przypuszczałem. Jesteście na to za mądrzy. Rozumiecie, że bolszewizm to po prostu najbardziej radykalny przejaw odwiecznej żydowskiej krucjaty, mającej na celu podporządkowanie sobie całego świata.

Raz jeszcze omiół wzrokiem pozbawione wyrazu twarze stojących przed nim Rosjan i beztrąsko wzruszył ramionami.

- Ale nie ma co się wymądrzać. Rozumiecie tę prawdę, bo macie ją we krwi, i to się liczy przede wszystkim. Nie ma powodów, by nasze narody pozostawały w konflikcie. Łączy nas wspólny wróg.

Kiwnął na żołnierza, który ze skrzynki stojącej obok składanego krzeselka wziął stertę gazet i rozdzielił pomiędzy pięciu swoich kolegów, a ci podeszli do grupy jeńców i wręczyli po jednym egzemplarzu każdemu z nich. Mnie przypadła „Komsomolska Prawda”, Wice i Koli - „Czerwona Gwiazda”.

- Świadom jestem, że po tylu latach indoktrynacji niełatwo wam przyjąć do wiadomości ten prosty, lecz możecie mi wierzyć, najzupełniej prawdziwy fakt: zwycięstwo Niemiec będzie zwycięstwem rosyjskiego narodu. Jeśli nawet nie zrozumiecie tego teraz, zrozumiecie niebawem. Dla waszych dzieci będzie to już oczywistością.

Zachodzące słońce wydłużało nasze cienie do gigantycznych rozmiarów. Oficer z Einsatzgruppe delektował się dźwiękiem własnych słów i wrażeniem, jakie na nas wywarły. Jego rosyjski był technicznie bezbłędny, chociaż nie czynił prób, by ukryć obcy akcent. Zastanawiałem się, skąd zna nasz język; może pochodził z którejś niemieckiej kolonii w Melitopolu czy Besarabii. Uniósł wzrok ku srebrniejącemu niebu i bielącym się na nim trzem elipsoidalnym obłoczkom.

- Kocham ten kraj. To piękna ziemia. - Opuścił głowę i przepaszającym gestem rozłożył ramiona. - To tylko gadanie, myślicie pewnie, a przecież nadal toczymy wojnę, zgoda? Prawda wygląda jednak tak, drodzy przyjaciele, że jesteście nam potrzebni. Każdy z was przysłuży się sprawie. Trzymacie w dłoniach egzemplarze gazet zadrukowane łgarstwami waszego prześwietnego reżimu. Znacnie rzetelność tych gazet!

Mówiły, że do wojny nigdy nie dojdzie i co teraz mamy? Mówiły, że Niemcy zostaną przepędzeni do sierpnia, powiedzcie jednak - tu zadygotał scenicznie - czy pogoda wygląda wam na sierpniową? Ale dajmy temu pokój, dajmy pokój. Każdy z was przeczyta na głos jeden akapit. Ci, których uznamy za piśmiennych, udadzą się z nami do Wyborga, gdzie będą opracowywać dokumenty dla rządu tymczasowego, mając zagwarantowane trzy posiłki dziennie i pracę w ogrzewanym budynku. Tych natomiast, którzy obleją egzamin, cóż... czeka praca nieco uciążliwsza. Nigdy nie byłem w estońskich hutach stali, ale ponoć te miejsca bywają niebezpieczne. Niemniej jednak i tam dostaniecie lepszą strawę niż krasnoarmiejska breja... bo nawet nie usiłuję odgadnąć, czym wy, cywile, żywiliście się w ostatnich miesiącach.

Kilku starszych wieśniaków jęknęło, pokręciło głowami i popatrzyło po sobie. Einsatz skinął do tłumacza i we dwóch przystąpili do egzaminowania jeńców. Potrzebowali zaledwie kilku zdań, aby ocenić czytelniczą biegłość Rosjan. Spojrzałem na swój numer „Prawdy”. Nad wstępniakiem krzychał tłustym drukiem cytaty z samego Stalina: **RODACY! TOWARZYSZE! WIECZNA**

CHWAŁA BOHATEROM, KTÓRZY ODDALI ŻYCIE ZA WOLNOŚĆ I SZCZĘŚCIE NASZEGO NARODU!

Starzy chłopcy wrzuszali ramionami i oddawali gazety Niemcom, nawet nie zerknąwszy na tekst. Wielu z młodszych kołchoźników wychodziło ze skóry, żeby odczytać choć kilka słów. Niemcy jowialnie obśmiewali pomyłki, klepali analfabetów po plecach, żartowali z nimi.

- Nigdy nie przykładałeś się do książek, co? Wolałeś ganiać za dziewczętami, prawda?

Niebawem jeńcy rozluźnili się, zaczęli pogadywać ze sobą, wtórować śmiechom Niemców. Kilku na oczekaniu wymyślało artykuły - o potyczkach pod Moskwą, zbombardowaniu Pearl Harbor - zupełnie udatnie imitując styl relacji nadawanych przez radio. Niemców najwyraźniej bawiły te wybiegi, ale żadna z obu zainteresowanych stron nie traktowała ich serio.

Każdy niepiśmienny był kierowany na lewą stronę. Pierwszych kilku wyraźnie czuło zakłopotanie, w miarę jednak napływu następnych humor grupy ulegał zdecydowanej poprawie.

- O, Sasza, ty też? A uważaliśmy cię za bystrzaka!

- Patrzcie, jak się wije przed oficerem! Chodź tu, chłopie, chodź! Zasuwasz z nami do huty! Co, myślałeś, że drapiesz robotę biurową? Komik z ciebie. Tylko patrzcie, jeszcze nie dał za wygraną.

- Edik, dziadku, myślisz, że zajdziesz na piechotę do Estonii? Ee? Chodź, głowa do góry, nie damy ci zginać.

Piśmienni pragnęli zaimponować Niemcom. Czytali artykuły, jakby byli aktorami recytującymi swe wielkie monologi. Czasem kontynuowali, choć kazano im przestać, akcentowali co bardziej monumentalne słowa, dowodzili swej sprawności leksykalnej. Dumni i promieniejący, stawali po prawej stronie. Kiwali głowami do innych uczonych w piśmie. Biło z nich zadowolenie, że dzień ma tak fortunny finał. Do Wyborga nie było daleko, ciepły budynek i trzy posiłki dziennie stanowiły znacznie bardziej pociągającą perspektywę życiową niż okopy czy prowizoryczne schrony, w których przesiadywało się całymi nocami, czekając, aż na głowę spadnie bomba albo pocisk z moździerza.

Kola przewracał oczyma na widok samozadowolenia piśmiennych.

- Tylko na nich popatrzcie - mruknął pod nosem. - Oczekują nagrody, ponieważ umieli przeczytać gazetę. I zwróćcie uwagę na protekcjonalizm szkopów. Może wyrecytuję im pierwszą księgę *Egeniusza Oniegina*? Myślicie, że to im zaimponuje? Sześćdziesiąt strof, rat-tat-tat-tat-tat. Myślą, że w całej Europie tylko oni stworzyli jakąś kulturę? Naprawdę sądzą, że Goethe i Heine dorównują Puszkiniowi czy Tolstojowi? Powiedzmy, że mają muzykę. Nie na tyle lepszą niż inni, jak im się wydaje, ale niech im będzie. No i filozofię. Ale literaturę? Co to, to nie.

Einsatz w czarnej furazerce był zaledwie o dwóch jeńców od Koli, który stał po mojej lewej stronie. W tym momencie

poczułem uścisk na swym prawym ramieniu; odwróciłem głowę i zobaczyłem uniesioną ku sobie bladą twarz Wiki, której drapieżne oczy nie mrugały nawet w prawie poziomych promieniach zachodzącego słońca. Złapała moje ramię, żeby mnie przed czymś ostrzec, ale - choć mogła - nie puściła go natychmiast. Tak przynajmniej sobie powiedziałem. Mógłbym ją w sobie rozkochać. Bo niby czemu nie? Co z tego, że z jej stosunku do mojej osoby przebija się na ogół znudzenie i niesmak?

- Nie umiesz czytać - wyszeptała tak precyzyjnie, że bez wątpienia tylko ja mogłem ją usłyszeć, a potem jeszcze przez chwilę spoglądała mi w oczy, by zyskać pewność, iż ją zrozumiałem. Ten jedyny raz w życiu nie potrzebowałem żadnych wyjaśnień.

Einsatz, wyrozumiały i dobrotliwy jak stary profesor, słuchał czerwonoarmisty stojącego obok Koli.

- Wkrótce nad całą Europą zatrzepoće wielki sztandar wolności...

- Doskonale.

- ...i pokoju pomiędzy narodami.

- Wybornie, wybornie. Na prawo.

Łokciem szturchnąłem Kolę w ramię. Zerknął na mnie z irytacją, gotów odsłonić przed tym protekcyjnym faszystą prawdziwe oblicze rosyjskiej literatury. Raz pokręciłem głowę. Einsatz stanął przed Kolą. Nie miałem już czasu, by cokolwiek powiedzieć. Mogłem tylko patrzeć Koli w oczy i mieć nadzieję, że zrozumie.

- Ach, krasawiec z szerokich stepów. Jacyś dońscy Kozacy w rodzinie?

Kola wyprężył się jak struna. Był wyższy niż einsatz i przez kilka chwil, nie spiesząc się z odpowiedzią, patrzył na Niemca z góry.

- Nie wiem. Urodziłem się i wychowałem w Pitrze.

- Piękne miasto. Jakże haniebne, że przechrzczono je na Leningrad. Szpetna nazwa, zgodzisz się chyba? To znaczy, abstrahując od całej polityki. Po prostu zgrzyta w uszach. Sankt

Petersburg, to brzmi jak dzwon. Te historyczne odniesienia! Byłem tam, musisz wiedzieć. W Moskwie też. W obu tych miastach zresztą spodziewam się wkrótce złożyć ponownie wizyty. A teraz pokaż, co potrafisz.

Kola uniósł gazetę do oczu i zagapił się na tekst. Głęboko nabrał powietrza w płuca, otworzył usta... i parsknął śmiechem. Kręcąc głową, oddał gazetę Niemcowi.

- Nie potrafię nawet udawać, przepraszam.

- Nie musisz. Takie bary tylko marnowałyby się przy biurku. Dobry z ciebie chłopak, dasz sobie radę.

Kola żywo pokiwał głową, uśmiechając się do oficera jak przystojny matolek. Powinien od razu dołączyć do grupy analfabetów, ale ociągał się i tylko wsunął rękę do kieszeni.

- Chciałbym zobaczyć, czy mój koleżka da sobie radę lepiej.

- Gorzej już nie można - odparł również uśmiechnięty einsatz. Przesunął się o krok i zlustrował mnie od stóp do głów. - Ile masz lat? Piętnaście?

Przytaknąłem. Nie wiedziałem, czy będę bezpieczniejszy jako piętnasto- czy szesnastolatek; zełgałem instynktownie.

- Skąd pochodzą twoi dziadkowie?

- Z Moskwy.

- Wszyscy czworo?

- Tak. - Kłamałem teraz automatycznie, wyrzucając z siebie słowa bez żadnego uprzedniego namysłu. - Tam też poznali się rodzice.

- Nie wyglądasz mi na Rosjanina. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że jesteś Żydem.

- Tak go właśnie nazywamy - wtrącił uśmiechnięty od ucha do ucha Kola, mierzwiąc mi włosy. - Żydziak! Wścieka się jak cholera. Ale niech pan tylko popatrzy na ten nochal! Gdybym nie znał jego rodziny, dałbym sobie rękę uciąć, że to jewrej.

- Są Żydzi z małymi nosami - stwierdził Niemiec - i Aryjczycy z dużymi. Nie powinno się wyciągać pochopnych wniosków. Kilka miesięcy temu spotkałem w Warszawie Żydówkę, która miała jaśniejsze włosy niż ty.

Pokazał palcem czuprynę Koli, uśmiechnął się i przymrużył oko.

- I z pewnością nie były farbowane. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak jest - odparł Kola, odwzajemniając uśmiech.

- Nie przejmuj się - powiedział do mnie einsatz. - Wciąż jesteś młody.

Wszyscy w jakimś momencie przechodzimy przez trudny wiek. A teraz przekonajmy się, czy jesteś lepszy niż twój kolega.

Opuściłem wzrok na gazetę.

- Wiem, że tu pisze Stalin - pokazałem palcem słowo - a tu... towarzysz?

- Cóż, to już jakiś początek.

Obdarzył mnie dobrodusznym uśmiechem, poklepał w policzek i odebrał gazetę. Może, pomyślałem, jest mu trochę głupio, że wspominał o moim żydowskim wyglądzie.

- Dobrze. Dotrzymasz koledze towarzystwa w Estonii. Kilka miesięcy ciężkiej pracy nigdy nikomu nie zaszkodziło. Wojna wkrótce się skończy. No i jeszcze ty... - przesunął się do Wiki, ostatniej w szeregu. - Kolejny dzieciak. Co mi pokażesz?

Wika wzruszyła ramionami i nie unosząc głowy, oddała gazetę Niemcowi.

- No, tak. Następny sukces bolszewickiego systemu edukacji. Wszyscy trzej na lewo.

Dołączyliśmy do rozbawionych analfabetów. Jeden z nich pracował kiedyś w hucie i teraz prawił pozostałym o panującym tam straszliwym upale i niebezpieczeństwach związanych ze spustem surówki. Donosiciel, ignorowany przez wszystkich, stał na uboczu i zacierając dłonie, usiłował je ogrzać.

- Czy to był Abendroth? - zapytałem Wikę szeptem. Przecząco pokręciła głową.

- Abendroth ma stopień Sturmbannfuhrera. Cztery srebrne gwiazdki na kołnierzyku. Ten miał tylko trzy.

Kompanijny tłumacz liczył grupy, mierząc palcem w kolejne głowy i bezgłośnie wymawiając słowa, a kiedy skończył, zameldował einsatzowi:

- Pięćdziesięciu siedmiu piśmiennych. Trzydziestu ośmiu analfabetów.

- Doskonale.

Słońce prawie już zaszło, powietrze ochładzało się z sekundy na sekundę. Einsatz podszedł do składanego krzeselka po swój płaszcz, a strzelcy uformowali piśmiennych w szereg dwójkowy i polecieli im ruszyć. Piśmienni, beztrąsco machając na pożegnanie swoim dotychczasowym a gorzej wykształconym kompanom, maszerowali teraz znacznie zwawiej niż w ciągu wcześniejszej wędrówki, i niemal miarowo: lewa, prawa, lewa, prawa. Chcieli zapewne jeszcze bardziej zaimponować swym niemieckim panom, dowieść, że zasługują na to, by miesiące niewoli spędzić w ciepłym domu na przekładaniu papierków.

Einsatz stracił dla nich wszelkie zainteresowanie. Zapiął płaszcz, wciągnął skórzane rękawiczki i skierował się w stronę zaparkowanych kiibli. Piśmienni zostali zaprowadzeni przed boczną, ślepią ścianę budynku, i ustawieni tyłem do niej. I jeszcze wtedy nie zdawali sobie sprawy, co ich spotyka. Bo niby skąd mogli wiedzieć? Okazali się dobrymi uczniami, zdali egzamin i zostali nagrodzeni.

Zerknąłem na Wikę, która jednak, nie chcąc patrzeć na to wszystko, uciekła spojrzeniem w dal.

Niemieccy żołnierze opuścili do bioder pistolety automatyczne i otworzyli ogień do stojących pod ścianą Rosjan. Nie zdejmowali palców ze spustów, dopóki choć jedna kula pozostała w magazynku i dopóki ostatni jeniec nie osunął się na ziemię. Rosjanie leżeli pokotem, z ich postrzępionych osmalonych okryć unosiły się smużki dymu. Żołnierze zmienili magazynki, podeszli do muru i przystąpili do systematycznego dobijania jeńców pojedynczymi strzałami.

Widziałem, jak przed frontonem szkoły einsatz pozdrawia gołogłowego żołnierza, który przedtem tankował samochody. Oficer rzucił zapewne jakąś żartobliwą uwagę, żołnierz bowiem roześmiał się i żywo przytaknął. Einsatz wsiadł do jednego z kubelwagenów i odjechał, a żołnierz pozbierał puste kanistry i zaczął je taszczyć w stronę szkoły. Po kilku krokach przystanął

i podniósł głowę. Ja też usłyszałem pomruk silników samolotowych. Srebrne junkersy leciały trójkami na zachód, na pierwsze tego wieczoru bombardowania. Trójka za trójką, trójka za trójką, aż zapełniły niebo niczym wielki klucz migrujących ptaków. My wszyscy, ocalali jeńcy i strzelcy górscy, w milczeniu odprowadzaliśmy je wzrokiem.

XXI

Spaliśmy w szopie narzędziowej na tyłach szkoły, trzydzieści pięć osób stłoczonych w pomieszczeniu, gdzie względnie wygodnie mogłoby leżeć osiem. Położyć się zatem nie mógł nikt. Zgięty w syczoryk wcisnąłem się w kąt, mając po jednej stronie Wikę, a po drugiej - Kolę. Była to kiepska pozycja z punktu widzenia moich pleców, ale dobra dla płuc, ponieważ jedyne świeże powietrze wsączało się do wnętrza przez szpary pomiędzy deskami, a ja, odwróciwszy głowę, mogłem go zaczerpnąć, kiedy ogarniało mnie uczucie klaustrofobii.

Byliśmy pozbawieni światła i możliwości wyjścia na świat, ponieważ niemieccy żołnierze na głucho przybili drzwi gwoździami; słyszeliśmy przez cieniutkie ściany, jak strażnicy rozmawiają ze sobą i zapalają papierosy. A mimo to więźniowie bez przerwy gadali o ucieczce. Nie widziałem ich twarzy i miałem wrażenie, że do mych uszu dochodzą dialogi jednego z lubianych kiedyś przez matkę słuchowisk radiowych.

- Mówię ci, rozwalimy toto jak skorupę orzecha. Jedno solidne pchnięcie barkiem i jesteśmy na zewnątrz.

- Tak myślisz? Jesteś cieślą? Bo ja tak. Kiedy nas tu wpychali, przyjrzałem się ścianom. To brzoza kaukaska, mocna jak sto diabłów.

- No i co z tym, co rozwali ścianę? Na dworze stoją strażnicy z giwerami.

- Ilu? Dwóch, trzech? Skoczymy na nich kupą i choć pewnie kilku dostanie, to ich załatwimy.

- Widzi który, ilu ich tam jest? Wykręciłem głowę i wyjrzałem przez szparę.

- Widzę tylko dwóch. Ale po drugiej stronie może ich być więcej.

- Bylebym nie wychodził pierwszy.

- Wyjdziemy wszyscy razem.

- Zawsze musi być ten pierwszy i ten ostatni.

- Po mojemu lepiej ich słuchać. Wojna nie potrwa wiecznie.

- To ty, Edik? Żebyś tak spłonął w ogniu piekielnym, stary skurwysynie. Ślepy jesteś, nie widziałeś, co się dzisiaj stało? Nadal ufasz tym świniobjebom?

- Jakby nas zamierzali rozstrzelać, toby już rozstrzelali. Chcieli tylko załatwić tych przemądrzałych nygusów, no i partyjniaków.

- Ech... żałosny z ciebie stary piździel, wiesz? Mam nadzieję, że dzieciaki srają ci do zupy.

Kola przechylił się ponad moim skurczonym ciałem, żeby szeptem, nie słyszany przez swarzących się kołchoźników, porozmawiać z Wiką.

- Ten einsatz... był tuż przed nami. Powiedziałaś Markowowi, że nie będziemy strzelać do piechocińców, bo zależy nam na einsatzach. No i co?

Wika nie odpowiadała przez dłuższą chwilę i pomyślałem zrazu, że wkurzyło ją zaczepne pytanie Koli. Kiedy wreszcie otworzyła usta, w jej głosie brzmiała zaduma.

- Może się bałam. Ty nie? Kola westchnął.

- Chyba to nie był najodpowiedniejszy moment. Zastrzelić jednego faceta i dać się rozwalić w drobny mak?

- Zgoda. Może jednak czekaliśmy za długo i to była nasza ostatnia szansa.

Znałem Wikę zaledwie jeden dzień, ale zdążyłem poznać na tyle, że jej słowa mnie zaskoczyły. Nie sprawiała wrażenia osoby skłonnej przyznawać się do wątpliwości, a przecież dwa razy pod rząd powiedziała „może”.

- Niemal to zrobiłem - stwierdził Kola, trącając mnie barkiem w ramię. - Kiedy pytał o twoich dziadków. Pomyślałem, że może ci kazać spuścić portki, żeby zerknąć na twego wacka. Trzymałem już dłoń na kolbie. Aleśmy mu to wyperswadowali, co? Podobają ci się moja zagrywka?

- Byłeś świetny - odparłem. - I z reflekssem.

- Szczerze mówiąc, myślę, że chciał mnie przelecieć. Miał to wypisane na twarzy.

- Jeśli chodzi o to, co mówiłam na temat Żydów... - wyszeptała Wika, dotykając w ciemności mojego kolana - ...tak dla twojej wiadomości... wszyscy, których nienawidzą faszyci, są moimi przyjaciółmi.

- Jest tylko w połowie Żydem - wtrącił Kola w charakterze komplementu.

- W lepszej połowie - dodałem.

Wika roześmiała się. Aż do tej chwili nie sądziłem, że potrafi się śmiać, więc jej śmiech dziwnie zabrzmiał w mych uszach. Wcale nie dlatego, że był dziwny. Śmiała się jak normalna dziewczyna.

- Co robiłaś przed wojną? - zapytałem.

- Studiowałam.

- Hm - powiedział Kola. Miałem nadzieję, że zaśnie, ale z jego głosu przebijała rzeźkość człowieka gotowego na długą rozmowę. - Ja też. A co? Rolnictwo?

- Dlaczego sądzisz, że rolnictwo?

- Nie jesteś z kolchozu?

- A wyglądam na kogoś z jebanego kolchozu? Pochodzę z Archangielska.

- Ach, dziewczyna z północy. To wszystko wyjaśnia. - Szturchnął mnie łokciem w żebra. - Prawdziwy pomiot wi-

kingów. I tam właśnie studiowałaś? Co? Pozyskiwanie soku z brzozy i tłuszczu z bobrów?

- Astronomię.

- Ja literaturę. Na leningradzkim uniwerku.

Przez kilka minut perorował o Turgieniewie i Sałtykowie-Szczedrinie ze szczególnym uwzględnieniem słabości ich prozy, a potem nagle zasnął z wyciągniętymi przed siebie nogami, co zmusiło mnie do jeszcze mocniejszego podciągnięcia swoich. Wieśniacy też zaczęli odpływać, choć nadal tu i ówdzie rozlegały się jeszcze prowadzone szeptem dyskusje.

Ciepło bijące ze stłoczonych ciał sprawiało, że w szopie panowała znośna temperatura. Zanim zamknięto nas w środku, chwyciłem garść śniegu, żeby choć trochę zaspokoić pragnienie. Odkąd opuściliśmy chatkę myśliwską, w której zjedliśmy do spółki z Kolą garść orzechów zabranych z dworu, nic nie miałem w ustach, ale całodzienny post nie był dla mnie nowością. Podczas blokady opanowaliśmy w Pitrze najrozmaitsze techniki neutralizowania wszelkich życiowych potrzeb. Ja osobiście niejedną głodną noc przesiedziałem w Kiro wie nad *Trzy stoma partiami szachowymi* Tarrascha, który nauczał: „Zawsze ustawiaj wieże za pionem”, dodając wszelako: „wyjąwszy sytuację, gdy takie postępowanie jest niewłaściwe”.

Nie mając podręcznika szachowego, który mógłbym postudiować, ani też radia, którego mógłbym posłuchać, musiałem znaleźć inne zajęcie dla umysłu podczas długiego oczekiwania na sen. W miarę jak zapadała coraz głębsza cisza, coraz mocniej i mocniej uzmysławiałem sobie bliskość przyciśniętego do mnie ciała Wiki. Kiedy kręciła głową, by zaczerpnąć powietrza napływającego przez szczeliny, jej włosy muskały mój nos. Pachniała jak zmoczony pies. Wychowano mnie na pedanta i czyściocha - matka nie tolerowała brudnych naczyń w zlewie, niezłożone-go ręcznika w łazience, nieposłanego łóżka. Gdyśmy z siostrą byli mali, tak gorliwie szorowała nas w wannie, że długo potem miałem zaczerwienioną skórę. Kiedy czasami - zwłaszcza w chwilach gdy matka była zajęta pichceniem dla gości - kąpał mnie ojciec, miałem uczucie, że zamiast zwykłych batów

spotykają mnie łagodne pieszczoty. Bo ojciec w roztargnieniu ochlapał mnie tylko ciepłą wodą, skupiony bez reszty na snutej przez siebie opowieści. Najbardziej lubiłem tę o zezowatym mańkucie z Tuły i stalowej pchle. Na mój użytek powtarzał ją z pamięci dziesiątki razy.

Zostałem więc wychowany na czyściocha i w towarzystwie brudasów czułem się nieswojo: bywało tak, kiedy widziałem żałobę za paznokciami bliźniaków Antokolskich albo plamę po zupie na kołnierzu nauczyciela. Psi zapach Wiki jednak mi nie przeszkadzał. Na tym etapie, rzecz jasna, wszyscy byliśmy wy-świnieni jak nieboskie stworzenia - sam cuchnąłem zapewne jak gnijąca od tygodnia ryba - ale moje odczucia nie miały nic wspólnego ze zubożeniem na smród. Zapach Wiki sprawiał, że miałem ochotę wylizać jej ciało do czysta, od stóp do głów.

- Sądysz, że naprawdę wyekspedują nas do Estonii? - zapytałem. Rozmyślania o Wice były dla mnie ucieczką przed głodem; teraz musiałem uciec przed ucieczką. Pozycja, w jakiej siedziałem, nie sprzyjała prześladowającym mnie myślom.

- Nie wiem.

- Nigdy nie byłem w Archangielsku. Pewnie bardzo tam zimno.

W ciszy, dowodnie świadczącej o braku odpowiedzi, ważyłem w duchu ewentualność, czy przypadkowo nie jestem nudziarzem. Bo któż oprócz nudziarza z krwi i kości zdobyłby się na tak bezsensowne banały? Gdyby jakaś błyskotliwa świnia, cudowne dziecko całego chlewu, poświęciła życie nauce rosyjskiego, a pierwsze słowa, jakie usłyszałyby, uzyskawszy w tym języku biegłość, zostałyby wypowiedziane przeze mnie, zadałaby sobie zapewne pytanie, po kiego grzyba zmarnowała najlepsze lata, skoro mogła przez ten czas tarzać się w gnoju i wspólnie z resztą durnej trzody żreć pomyje z koryta.

- Studiowałaś astronomię? -Tak.

- To dobrze, bo mam pytanie. We wszechświecie są miliardy gwiazd, prawda? Otaczają nas ze wszystkich stron. Wszystkie emitują światło, które podróżuje wiecznie. Dlaczego więc...

- Dlaczego w nocy niebo nie jest jasne?
- Tak! Też się nad tym zastanawiałaś?
- Ludzie zastanawiali się nad tym od bardzo, bardzo dawna.
- Ach, a ja sądziłem, że jestem pierwszy.
- Nie - odparła w taki sposób, że miałem pewność, iż odpowiedzi towarzyszy uśmiech.

- No więc dlaczego w nocy jest ciemno?
- Wszechświat się rozszerza.
- Serio?
- Mhm.
- To znaczy, wiem, że wszechświat się rozszerza - skłamałem. Jakim cudem wszechświat mógł się rozszerzać? Przecież wszechświat to wszystko, co istnieje. Czy „wszystko” da się rozciągnąć jeszcze bardziej? A skoro tak, to do jakich rozmiarów? - Tylko nie rozumiem, jaki ma to związek z blaskiem gwiazd.

- Rzecz jest skomplikowana - powiedziała Wika. - Otwórz usta.
-Co?
- Psst. Otwórz usta.

Posłuchałem, a ona wcisnęła mi między wargi kawałek skórki razowca. Smakował, w przeciwieństwie do kartkowych łamizębów fasowanych w Pitrze, jak najprawdziwszy chleb, smakował kminkiem, drożdżami i pasteryzowanym mlekiem.

- Dobry? -Tak.
Kawałek po kawałku, nakarmiła mnie całą kromką. Kiedy przestała, oblizałem usta i czekałem na jeszcze, choć wiedziałem, że się nie doczekam.

- Więcej nie będzie. Muszę resztę zostawić na jutro. Twój przyjaciel też jest głodny.

- Dziękuję.
Mruknęła tylko i zaczęła się wiercić, szukając wygodniejszej pozycji.
- Ma na imię Kola. Tak dla twojej wiadomości. A ja Lew. Odnosiłem wrażenie, że reaguje tylko na połowę wypowiedzianych przeze mnie uwag czy formułowanych pytań. Ta najwy-

rażniej mieściła się w kategorii tych kwitowanych milczeniem. Liczyłem, że powie: „Jestem Wika”, a ja mógłbym zareplikować błyskotliwie: „Tak, wiem. To zdrobnienie od Wiktorii, prawda?”. Nie mam pojęcia, dlaczego taką wersję odpowiedzi oceniałem jako błyskotliwą, skoro każda Wika to Wiktorina.

Wśluchiwałem się w jej oddech, próbując ustalić, czy zasnęła już czy nie, a wreszcie dokonałem rozpoznania walką, zadając ostatnie pytanie.

- Jeśli więc byłaś studentką astronomii, to nie rozumiem, dlaczego... Jak zostałam snajperką?

- Zaczęłam strzelać do ludzi.

To był już naprawdę koniec rozmowy, dlatego ostatecznie się przymknąłem i pozwoliłem Wice spać.

Późną nocą obudziłem się, gdy jednym ze starych wieśniaków śpiących po drugiej stronie szopy zaczął wstrząsać paroksyzm kaszlu. Słuchając, jak dziadyga usiłuje odkaszlnąć flegmę zalegającą w jego płucach zapewne od czasów Aleksandra III, uświadomiłem sobie nagle, że we śnie Wika przysunęła się do mnie i oparła głowę na moim ramieniu. Czułem, jak unosi się i opada jej pierś, słyszałem tiki wdechów i taki wydechów. Przez resztę nocy czyniłem wszystko, by się nie poruszyć, by nie zakłócić jej snu, by mieć ją blisko siebie.

XXII

Zostaliśmy przebudzeni przez Niemców, gdy przystąpili do wyrywania gwoździ wbitych zeszłego wieczora. Przez szpary w deskach wdarło się słońce, małe świetliste punkciki rozbłysły na czyimś brudnym czole, skórzanym bucie z odwiniętą podeszwą, rogowym guziku palta jakiegoś starca.

Wika siedziała obok mnie i obgryzała paznokcie. Nie wyglądała przy tym jak neurotyczka, lecz raczej jak rzeźnik ostrzący swoje noże. W którymś momencie musiała się ode mnie odsunąć, ale zupełnie tego nie poczułem. Kiedy zorientowała się, że na nią patrzę, podniosła głowę, w jej spojrzeniu jednak nie dostrzegłem ani śladu ciepła. Jeśli nawet, jak mi się zdawało, w ciemnościach troszeczkę zbliżyliśmy się do siebie, to owa intymność szczyła w blasku dnia.

Otworzyły się drzwi, Niemcy, wrzeszcząc jeden przez drugiego, nakazali nam wychodzić, wieśniacy wywikływali się z płataniny ciał. Stary Edik przyłożył do nozdrza artretyczny paluch i chybiając o włos twarzy leżącego jeszcze kompana, wydmuchnął na podłogę zgęstek smarków.

- Ach - mruknął pod moim adresem Kola zajęty zawijaniem szalika na szyi - czy nie żałujesz, że nie chowałeś się w kołchozie z towarzyszami rolnikami?

Jeńcy zaczęli już sznureczkiem wysypywać się na dwór, gdy z głębi szopy ktoś krzyknął. Ludzie stojący w pobliżu odwrócili głowy, żeby zobaczyć, co go strwożyło, a niebawem wyraźnie zaniepokojeni pograżyli się w ożywionej, choć prowadzonej szeptem rozmowie. Ze swojego kąta widzieliśmy tylko ich plecy. Ja i Kola znieruchomieliśmy z ciekawości poruszeniem, a Wika, zupełnie nim niezainteresowana, skierowała się do drzwi.

Przeszliśmy na drugą stronę szopy, wcisnęliśmy się pomiędzy wieśniaków i spojrzeliśmy na mężczyznę wciąż leżącego na podłodze. Był to denuncjator: biały jak kreda, wykrwawiony, z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. Zapewne zginął we śnie, w przeciwnym bowiem razie wydałby z siebie jakiś okrzyk, ale musiał otworzyć oczy, kiedy nóż zaczął rozcinać skórę, i teraz wciąż je wytrzeszczał ze zgrozą na nasze pochylone twarze.

Ktoś szybko ściągnął mu buty, ktoś inny zabrał barankowe rękawice, ktoś jeszcze inny wyszarpnął ze szlufek wytłaczany pas. Kola przyklęknął i nie dając się nikomu ubiec, pochwycił pikowaną uszankę. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że w tym samym momencie Wika nakłada swoją czapę z króliczego futra i mocno naciągają na czoło. Na króciutki moment odwzajemniła moje spojrzenie, a potem wyszła z szopy. Niemal natychmiast na jej miejscu pojawił się niemiecki żołnierz; był wściekły z powodu opieszałości jeńców i gotów użyć broni. Zobaczył trupa, ogromną ranę na szyi i plamę krwi, która miała swój początek pod karkiem zamordowanego, by później szeroko rozlać się na posadzce niczym dwa przerażające czarne skrzydła. Zabójstwo poirytowało żołnierza, bo oznaczało dlań konieczność tłumaczenia się przed przełożonym. Zadał jakieś pytanie po niemiecku, ale bardziej samemu sobie niż któremukolwiek z nas, bo nie sądzę, by oczekiwał odpowiedzi. Wtedy Kola odchrząknął i odpowiedział. Nie potrafiłem ocenić, jak dobrze mówił po nie-

miecku, żołnierz jednak sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego. Pokiwał głową, rzucił krótkie zdanie i gestem kciuka polecił nam wyjść z szopy. Gdyśmy znaleźli się na dworze, zapytałem Kole, co mu powiedział.

- Ano powiedziałem, że ruscy chłopci nienawidzą Żydów jeszcze bardziej niż jego rodacy.

- A co on na to?

- „To najwłaściwszy sposób załatwiania podobnych spraw”. Bardzo w niemieckim stylu.

Kola przymierzał swoją nową czapkę; nie była dostatecznie dużego rozmiaru, ale zdołał naciągnąć klapy dość nisko, by zawiązać pod brodą troki.

- Myślisz, że postąpiłeś rozsądnie, zdradzając się ze znajomością niemieckiego? I to po tym, co zrobili wczoraj?

- Jasne, że to było niebezpieczne. Ale przynajmniej nie będą już zadawać żadnych głupich pytań.

Ustawiono nas w rząd; mrużąc oczy w jaskrawym słońcu poranka, przesuwaliśmy się stopa za stopą w stronę nie do końca przebudzonego skacowanego żołnierza ogromnej postury, który każdemu z nas dawał po jednym okrągłym sucharze, twardym i wyschniętym jak bryłka węgla.

- Dobry znak - wymamrotał Kola, postukując paznokciem w swój suchar.

Zaraz potem z pochylonymi głowami, bo wiał nam w oczy mocny wiatr, ruszyliśmy na południe pod eskortą kompanii strzelców górskich. Tym razem maszerowaliśmy szosą, choć jej nawierzchnię pokrywała gruba warstwa ubitego kołami śniegu. Kilka kilometrów od szkoły minęliśmy tablicę pokazującą drogę do Mgi; zwróciłem na nią uwagę Koli.

- Mhm. Jaki dzisiaj dzień?

Musiałem się zastanowić, odliczając dni wstecz aż do soboty.

- Środa. Jutro powinniśmy stawić się z jajkami.

- Środa... Nie srałem od trzynastu dni. Trzydzieści dni... Co się z tym wszystkim dzieje? Przecież nie jest tak, że nic nie jadłem. Rosół z Luboczki, trochę kiełbasy, tego pieczonego kar-

tofla z masłem u dziewczyn, kartkowy chleb... Co się z tym stało?
Siedzi mi w kichach jak pierdzielony glut?

- Chcesz się odesrać? - zapytał brodaty stary Edik, który odwrócił głowę, słysząc narzekania Koli. - Zagotuj trochę kory z szakłaka i wypij napar. Zawsze działa.

- Cudownie. Widzisz tu gdzieś jakieś szakłaki?

Edik powiódł spojrzeniem po przydrożnych sosnach i pokręcił głową.

- Zagwiżdżę, jak będziemy jakiegoś mijać.

- Stokrotne dzięki. Może jeszcze zauważysz gdzieś wrzątek.

Ale Edik, pochwyciwszy karcące spojrzenie wartownika, z powrotem odwrócił już głowę i zajął miejsce w kolumnie.

- Stalin wybiera się z gospodarską wizytą do jednego z podmoskiewskich kolchozów - zaczął Kola swoim kawałoopowia-dawczym głosem. - Chce sprawdzić, jak tam idzie realizacja planu pięcioletniego. „Powiedzcie, towarzyszu”, zagaja do jednego z kolchoźników, „udały się latoś kartoszki?”. „Ho, ho, i to jeszcze jak, towarzyszu Stalin. Jakbyśmy wszystkie zwałili na kupę, to stos sięgnąłby samego Pana Boga”. „Ależ, towarzyszu kolchoźniku”, zaoponował Stalin, „Bóg nie istnieje”. „Kartoszki też nie, towarzyszu Stalin”.

- Z brodą.

- Tylko dobrym kawałom wyrastają brody. Bo w innym razie komu by się chciało je opowiadać?

- Takim samym ludziom jak ty, tylko pozbawionym poczucia humoru?

- Czy to moja wina, że nie potrafisz zdobyć się na śmiech? Ja rozśmieszam dziewczyny i tylko to się liczy.

- Myślisz, że ona to zrobiła? - zapytałem. Poparzył na mnie zbity z tropu i dopiero po chwili zorientował się, że spoglądam na Wikę, która dziś maszerowała sporo przed nami, w szpicie konwoju.

- Oczywiście, że to zrobiła.

- Ja tylko... Przez całą noc była do mnie przyciśnięta. Kiedy zasypiałem, trzymała mi głowę na ramieniu...

- Nigdy nie byłeś bliżej prawdziwego seksu. Czy to pojmujesz? Słuchałeś mnie, wyciągnąłeś wnioski.

- ...a jednak oddaliła się ode mnie jakimś cudem, choć śpię jak zając pod miedzą, przepęzła w kompletnych ciemnościach pomiędzy trzydziestoma chłopami, poderżnęła facetowi gardło i wróciła na miejsce? Nikogo przy tym nie budząc?

Kola skinął głową; teraz on również przypatrywał się Wice, która szła samotnie, lustrując pobocza i pozycje strażników.

- Utalentowana z niej zabójczyni.

- Szczególnie jak na astronomkę.

- Ha, nie bierz wszystkiego, co słyszysz, za dobrą monetę.

- Myślisz, że kłamię?

- Jestem pewien, że otarła się o uniwersytet. Tam właśnie rekrutują najchętniej. Ale daj spokój, lwiątko, myślisz, że nauczyła się tak strzelać na wykładach z astronomii? Jest z NKWD. Mają swoich ludzi w każdym oddziale partyzanckim.

- Skąd możesz wiedzieć?

Przystanął na chwilę, uchwycił mnie za ramię dla równowagi i postukując butem o but, usiłował usunąć śnieg przyklejony do podeszwy.

- Nic nie wiem na pewno. Może wcale nie masz na imię Lew. Może jesteś największym donżuanem w historii Rosji. Ale ważę fakty i wyciągam uprawnione wnioski. Partyzantka to z reguły ruch lokalny. Dlatego jest tak efektywna - ci ludzie znają swój teren nieporównanie lepiej niż Niemcy, mają na nim przyjaciół i krewnych, którzy zaopatrzą ich w żywność i przenocują. Teraz powiedz z laski swojej, jak daleko jesteśmy od Archangielska?

- Nie wiem.

- Ja też nie wiem. Siedemset, osiemset kilometrów? Zapewne bliżej stąd do niemieckiej granicy. Myślisz, że miejscowi partyzanci po prostu postanowili ot, tak, zaufać dziewczynie znikąd? Nie, ona została do nich wysłana.

Wika kroczyła miarowo w przodzie, z dłońmi wsuniętymi w kieszenie kombinezonu. Z tyłu wyglądała jak dwunastolatek, który podgrandził mechanikowi drelichy.

- Zastanawiam się, czy w ogóle ma cycki - oświadczył Kola.

Jego chamstwo irytowało mnie, choć myślałem dokładnie nad tym samym. Nie sposób było wyrokować o budowie ciała Wiki, skrytego pod zbyt dużym ubraniem, w moim przekonaniu jednak było pozbawione jakichkolwiek krągłości i smukłe jak źdźbło trawy.

Kola zauważył wyraz mej twarzy i lekko się uśmiechnął.

- Uraziłem cię? Wybacz. Naprawdę przypadła ci do gustu, co?

- Nie wiem.

- Już nie będę mówić o niej w taki sposób. Wybaczysz mi?

- Możesz o niej mówić, jak sobie tylko chcesz.

- Nie, nie. Teraz wszystko rozumiem. Ale posłuchaj, to nie jest łatwa ryba do zacięcia.

- Zamierzasz sprzedać mi kolejne rady ze swojej wymyślonej książki?

- Tylko posłuchaj. Możesz sobie kpić, nie ma sprawy, ale wiem o tych rzeczach znacznie więcej niż ty. Przypuszczam, że podkochiwała się kapkę w tym Korsakowie. To był twardy facet, pod tym względem nie dorastasz mu do pięt, więc nie zaimponujesz jej swoją twardością.

- Wcale się w nim nie kochała.

- Podkochiwała. Troszeczkę.

- Nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby imponować jej swoją twardością. Masz mnie aż za takiego idiotę?

- Pytanie zatem brzmi: czym jej zaimponujesz?

Tu Kola zamilkł na długą chwilę; zacisnął powieki, zmarszczył czoło, z troską i niepewnością analizując moje przymioty. Zanim jakiegokolwiek przyszły mu do głowy, usłyszeliśmy z tyłu okrzyki. Odwróciliśmy się z Kola jak na komendę i zobaczyliśmy, że strażnicy gestami spędzają cały konwój na pobocze drogi. Z głuchym pomrukiem przewalala się obok nas kawalkada półgąsienicowych mercedesów wiozących pod swymi brezentowymi plandekami zaopatrzenie i amunicję na linię frontu. Po-

trzebowała pełnych pięciu minut, by nas niespiesznie minąć. Niemcom wisało imponowanie swoim jeńcom, ale ja byłem pod wrażeniem. Racjonowanie paliwa sprawiało, że w Pitrze nieczęsto widziałem w ciągu dnia więcej niż kilka jadących samochodów, a tu naliczyłem czterdzieści wozów o hybrydowej trakcji - zwykłe koła z oponami były z przodu, a gaśienice z tyłu

- trójramiennych gwiazdach na osłonach chłodnic i wymalowanych na drzwiach czarnych krzyżach w białej obwódce.

W następnej kolejności nadciągnęły ośmiokołowe samochody pancerne w liczbie ośmiu, działa samobieżne na gaśienicach, a wreszcie lekkie ciężarówki, wiozące na równoległych ławkach niemieckie pododdziały; nieogoleni zmęczeni żołnierze z bronią na ramieniu siedzieli nieruchomo na ławkach, wtuleni w swe białe skafandry.

Teraz z kolei usłyszeliśmy wrzaski i przekleństwa dobiegające gdzieś z przodu i zobaczyliśmy, że kierowcy wychylają się przez okna szoferek, żeby ustalić przyczynę zamieszania. Ze stalowych kółek samobieżnej haubicy zsunęła się zębata gaśienica i choć obsługa bezzwłocznie przystąpiła do naprawy, działko zablokowało całą drogę. Piechocińcy wykorzystali okazję, by zeskoczywszy z pak ciężarówek, odlać się na poboczu. Po chwili kilkuset ludzi, pokrzykujących do kompanów i przytupujących nogami, stało w długim szeregu i odchylając się do tyłu, usiłowało sikać dalej niż inni. Z żółknącego w oczach śniegu biły kłęby pary.

- Patrzcie, jak obszczywają naszą ojczyznę - mruknął Kola.

- Ale nie będzie im do śmiechu, kiedy przykucnę i postawię klocka w samym środku Berlina. - Ta myśl wyraźnie podniosła go na duchu. - Może dlatego teraz nie mogę się wysrać. Moje kichy czekają na dzień zwycięstwa.

- Patriotyczne kichy.

- Wszystko we mnie jest patriotyczne. Mój kutas gwizdże radziecki hymn, kiedy się zlewam.

- Ilekroć słyszę waszą rozmowę, gadacie o kutasach i dupach - stwierdziła Wika, która podkrađła się do nas w swój zwykły bezszelestny sposób. Aż się wzdrygnąłem. - Może by-

ście zrzucili ciuchy, przelecieli jeden drugiego i mieli to wreszcie z głowy?

- To nie mnie miałby ochotę przelecieć - odparł Kola z obleśnym uśmiechem.

Poczułem nagły przyływ złości i zakłopotanie. Ale Wika kompletnie zignorowała uwagę Koli; wcisnęła nam w dłonie po kromce swego wyśmienitego chleba, nie spuszczając przy tym oka ze strażników i pozostałych jeńców.

- Widzicie oficerskie samochody na końcu konwoju? - zapytała. Patrzyła w tamtą stronę, ale nie pokazywała niczego ręką.

- Najlepszy chlebuś, jaki jadłem od ostatniego lata - oświadczył Kola, który zdążył już pochłonąć *swoją* porcję.

- Widzicie ten Kommandeurwagen, co na zderzaku ma proporczyki ze swastykami? To wóz Abendrotha.

- Skąd wiesz? - zapytałem.

- Bośmy go tropili od trzech miesięcy. Pod Budogoszczą prawie miałam go na muszce. To jego wóz.

- Jaki mamy plan? - zapytał Kola, wydłubując spomiędzy zębów ziarno kminku.

- Kiedy konwój ruszy, poczekam, aż Abendroth znajdzie się blisko i wtedy strzelę. W tym hałasie nic nie będzie słycać.

Popatrzyłem do przodu i do tyłu. Tkwiliśmy w środku co najmniej batalionu wojska, otoczeni przez setki uzbrojonych Niemców po części stojących na drodze, po części siedzących w rozmaitych pojazdach. Przyjęcie planu oznaczało, że Wika zginie za kilka minut bez względu na to, czy trafi czy nie.

- Ja strzelę - oznajmił Kola - a ty i Lew wmieszajcie się pomiędzy tych dupków z kołchozu. Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy podpisywali na siebie wyrok.

Wika skrzywiła usta w swym półuśmiechu i pokręciła głową.

- Jestem lepszym strzelcem.

- A widziałaś, jak strzelam?

- Nie. I jestem lepszym strzelcem.

- To bez znaczenia - wtrąciłem. - Strzelajcie sobie nawet we dwójkę, ale co to zmieni? Myślicie, że po takim numerze zostawią przy życiu którekolwiek z nas?

- Chłopak trafił w sedno - stwierdził Kola. Powiódł wzrokiem po stojących wokół jeńcach, którzy przytupywali i zabijali ręce.

Wśród chłopów - poszedłbym o zakład, że nie ruszali się dotąd dalej niż na kilka kilometrów od swoich kołchozów - zostało się kilku czerwonoarmistów: przynajmniej dwóch, w moim przekonaniu, czytało równie dobrze jak ja.

- Ilu, mówili, jest jeńców? Trzydziestu ośmiu?

- W tej chwili trzydziestu siedmiu - uściśliła Wika. Pochwyciła mój wzrok i odpowiedziała mi bezzwłocznie spojrzeniem swych bezlitosnych niebieskich oczu. - Sądysz, że jak długo zdołasz pociągnąć, zanim któryś z tych ówkoków zauważy, że brak ci tu... - pokazała moje krocze - ...tego i owego? I zanim przehandluje cię za dodatkową miskę zupy.

- Trzydziestu siedmiu... chyba trochę za wysoka cena za życie jednego szkopa - wyraził wątpliwość Kola.

- Trzydziestu siedmiu jeńców w drodze do huty żelaza? Przestali się zaliczać do rosyjskich aktywów - odparła cicho i beznamyślnie - są teraz niemiecką siłą roboczą. A Abendroth wart jest każdej ceny.

Kola skinął głową, spoglądając na stojący w oddali wóz dowodzenia.

- Jesteśmy pionkami, a on wieżę, to właśnie chcesz powiedzieć.

- Mniej niż pionkami. Pionki mają wartość.

- Jeśli zdołamy zbić wieżę, też będziemy mieli wartość. W tym momencie Kola zamrugał oczami i przeniósł wzrok

na mnie, jego kozackie oblicze rozpromienił nagły i zdecydowany uśmiech zwiastujący narodziny kolejnego genialnego pomysłu.

- Może jest inny sposób. Zaczekajcie tu minutkę.

- Co robisz? - zapytała Wika, ale było za późno: Kola przepychał się już w stronę najbliższego skupiska żołnierzy. Na jego widok Niemcy zmrużyli oczy i przybliżyli palce do spustów, Kola jednak wysoko uniosł ręce i z beztroską swobodą człowieka, który dołącza do grona kumpli, by wspólnie z nimi pooglą-

dać paradę wojskową, zaszwargotał do nich w ich rodzimym języku. Po trzydziestu sekundach wszyscy rechotali z jego, jak przypuszczam, kawału, a jeden z żołnierzy pozwolił nawet Koli sztachnąć się swoim papierosem,

- Ma swój urok - zauważyła Wika tonem entomologa, który omawia chitynowy pancerzyk żuka.

- Przypuszczalnie wzięli go za utraconego aryjskiego brata.

- Dziwna z was para.

- Nie jesteśmy żadną parą.

- Nie to miałam na myśli. Nie przejmuj się, Lowa, wiem, że wolisz dziewczęta.

Użyła zdrobniałej formy mojego imienia w sposób tak nieoczekiwany i naturalny, że omal się nie rozplakałem, bo zabrzmiało w jej ustach zupełnie tak samo jak wtedy, gdy wypowiadał je ojciec.

- Rozzłościłeś się przedtem na niego, prawda? Kiedy powiedział, że miałbyś ochotę mnie przelecieć?

- Mówi mnóstwo głupich rzeczy.

- Więc nie miałbyś ochoty mnie przelecieć?

Wika, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, z dłońmi w kieszeniach kombinezonu, przyoblekła twarz w swój kpiący uśmiezek.

- Nie wiem. - Była to odpowiedź niemądra i tchórzliwa, ale miałem już dość wzlotów i upadków dzisiejszego przedpołudnia. W jednej chwili myślę, że zostało mi zaledwie kilka minut życia, w następnej - flirtuje ze mną ta snajperka z Archangielska. Ale czy naprawdę flirtowała? Ostatnie dni przemieniły się w wir katastrof; rzeczy pozornie najzupełniej niemożliwe popołudniu, stawały się wieczorem brutalnymi faktami. Niemieckie trupy spadały z nieba; na bazarze kanibale sprzedawali pęta kielbas z ludzkiego mięsa; bloki mieszkalne obracały się w ruinę; psy pełniły rolę bomb, a zamarznięci żołnierze - znaków drogowych; partyzant z połową twarzy chwiejnie stał na śniegu, śląc swoim zabójcom spojrzenie smutnych oczu. Nie miałem ani żarcia w brzuchu, ani ciała na kościach, ani energii, by poddać

tę paradę okropności refleksyjnemu oglądowi. Po prostu brnąłem naprzód, mając nadzieję, że znajdę kolejny kęs chleba dla siebie i tuzin jajek dla córki pułkownika.

- Wspominał, że twój ojciec był sławnym poetą.

- Nie takim znowu sławnym.

- Chciałbyś pójść w jego ślady? Zostać poetą?

- Gdzie tam. Nie mam odrobiny talentu.

- A do czego masz talent?

- Nie wiem. Nie wszyscy są utalentowani.

- Fakt. Bez względu na to, co nam bez przerwy wmawiają. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że Kola palnął

żołnierzom zebranych przed nim półokręgiem solidny wykład, któremu towarzyszyła, podkreślając puenty, wystudiowana gestykulacja rąk. W pewnej chwili pokazał mnie palcem, a ja poczułem skurcz w gardle, gdy zaciekawieni i rozbawieni Niemcy jak jeden mąż popatrzyli w moją stronę.

- O czym on do cholery gada? Wika wzruszyła ramionami.

- Jeśli nie będzie uważał, może łatwo zarobić kulkę. Zachowanie żołnierzy wyrażało powątpiewanie, Kola

przekonywał ich jednak tak konsekwentnie, że w końcu jeden z nich - potrząsając głową, jakby sam nie wierzył, że daje posłuch temu zwariowanemu Ruskowi - poprawił na ramieniu pas swojego automatu i ruszył w stronę ariergardy konwoju. Kola rzucił pozostałym jeszcze jeden dowcip, najwyraźniej zabawny, bo znów wyszczerzyli zęby, i niespiesznym krokiem wrócił do nas.

- Faszyści spijali miód z twoich ust - powiedziała Wika. - Cytowałeś im *Mein Kampf*?

- Próbowałem to kiedyś przeczytać. Nudy na pudy.

- Co im powiedziałaś?

- Że proponuję mały zakład Herr Abendrothowi. Że mój tu obecny koleś, piętnastolatek z leningradzkich slumsów, grając bez królowej, potrafi dołożyć Sturbannfuhrerowi w szachy.

- Mam siedemnaście lat.

- Piętnaście będzie mu trudniej przełknąć.

- To jakiś żart? - zapytała Wika. Przekrzywiła głowę, najwyraźniej oczekując, że Kola parsknie śmiechem i przyzna, że tylko nas dla jaj podpuszczał.

- Żaden tam żart.

- A nie pomyślałeś, że zada sobie pytanie, skąd wiesz o jego obecności, stopniu wojskowym i zamiłowaniu do szachów?

- Jestem pewien, że zada sobie te wszystkie pytania. I zechce poznać odpowiedzi, a wtedy zwróci się do nas.

- O co ma być zakład? - zapytałem.

- Jeśli wygra, może nas rozwalić na miejscu.

- Może nas rozwalić, kiedy tylko zechce, głupi baranie.

- Tak właśnie powiedzieli żołnierze. A ja na to, że pan Sturmbannführer jest człowiekiem honoru, człowiekiem z zasadami. Oświadczyłem, że ufam jego słowu i duchowi sportowej rywalizacji. Te pierdoły o czci i honorze mocno im przypadły do gustu.

- Co dostaniemy, jeśli ja wygram?

- Po pierwsze, puszcza całą naszą trójkę wolno. - Widząc nasze miny, nie pozwolił nam dojść do słowa. - Tak, tak, uważacie mnie za idiotę, ale tylko dlatego, że jesteście ociężały umysłowo. Teraz, kiedy konwój się przemieszcza, gra jest oczywiście niemożliwa. Przy odrobinie szczęścia dojdzie do niej dziś wieczorem, pod dachem, z dala od tego wszystkiego. - Kola obszernym gestem pokazał rozgadanych i palących papierosy żołnierzy niemieckich, działa samobieżne i samochody półgąsienicowe brzemienne zaopatrzeniem.

- Nigdy nas nie wypuści.

- Oczywiście, że nigdy nas nie wypuści. Ale nam będzie łatwiej się do niego dostać. I jeśli bogowie okażą się łaskawi, może dostaniemy szansę, by uciec.

- Jeśli bogowie okażą się łaskawi - prychnęła Wika, wykpi-wając pompatyczny styl Koli. - Czy ty w ogóle zwracasz uwagę, jak toczy się ta wojna?

Mechanicy uporali się z gąsienicą samobieżnego działa, kierowca i ludzie z obsługi wskoczyli do wjazdu, silnik przebudził się do życia i bestia o wysokiej wieżyczce jęklonie ruszyła

z miejsca, czemu towarzyszył trzask lodu, który podczas postoju oblepił stalowe ogniwa. Piechocińcom niespieszno było wracać na ciężarówkę, kiedy jednak konwój niczym monstrualny wąż zaczął pełznąć przed siebie, po raz ostatni zaciągnęli się papierosami, pstryknięciem posłali niedopałki w śnieg i zajęli miejsca pod brezentowymi plandekami.

Wrócił też szeregowiec, który zaniósł wiadomość Abendrothowi. Widząc, że spoglądamy na niego wyczekująco, uśmiechnął się i skinął głową. Miał różową twarz bez zarostu i pucołowate policzki: nietrudno go było sobie wyobrazić jako łysego, zanoszącego się płaczem niemowlaka. Zanim dopędził swój toczący się już samochód i z pomocą kompanów wskoczył na pakę, wykrzyknął jedno niemieckie słowo.

- Wieczorem - przetłumaczył je Kola.

Poganiani poszczekiwaniami strażników, ponownie zaczęliśmy formować się w kolumnę, a Wika wróciła na swoje miejsce w przodzie. Długi konwój mijał nas powoli; gdy na naszej wysokości pojawił się Kommandeurwagen, usiłowałem wypatrzeć Abendrotha, ale szyby wozu były zbyt oszronione.

Wtedy przypomniałem sobie coś, co nie dawało mi spokoju.

- O co jeszcze poprosiłeś? - zapytałem Kolę.

- He?

- Powiedziałeś, że jeśli wygram, po pierwsze puści nas wolno. Więc jaka jest ta druga rzecz, o którą poprosiłeś?

- Czy to nie oczywiste? Tuzin jajek.

XXIII

Tego wieczora wylądowaliśmy wraz z pozostałymi w owczarni opodal Krasnogwardiejska. W powietrzu unosił się zapach mokrego runa i odór gnoju. Niemcy dali nam trochę chrustu na opał i większość jeńców skupiła się wokół nędznego ogniska rozpalonego pośrodku pomieszczenia. Zmęczenie odebrało im chęć do dyskusji o ucieczce. Bez wielkiego wzburzenia uskarżali się, że poza porannymi sucharami Niemcy nie wydali nam w ciągu dnia żadnej strawy, mrukliwie prognozowali pogodę na jutro, a po niedługim czasie, ściśnięci dla ciepła jak śledzie, pozasypiali na wyziębionej ziemi. Wika, Kola i ja, oparci plecami o spękane deski ściany, dygocąc z zimna, rozważaliśmy, czy dojdzie do rozgrywki.

- Jeśli po nas przyśle - powiedziała Wika - i jeśli zaprowadzą nas do niego, to jak amen w pacierzu zostaniemy zrewidowani.

- Przecież już wcześniej zrewidowali jeńców - zaproponował Kola. - Strzeli im, uważasz, do łbów, żeśmy znaleźli spluwy w baranich gównie?

- Abendroth wie, że stanowi cel. Jest bardzo ostrożny. Znajdą naszą broń.

Kola odpowiedział żalobnym pierdnięciem, niskim i poważnym jak pojedyncza nuta wydobyta z basowego rogu. Wika na kilka sekund zamknęła oczy i zaczęła oddychać przez usta. W blasku płomieni badawczo przypatrywałem się jej płowym rzęsom.

- Tak czy siak - powiedziała wreszcie - znajdą.

- To co mamy zrobić, udusić faceta gołymi rękoma?

Sięgnęła pod kombinezon, z pochwy przy pasku wyjęła swoją finkę i zaczęła wygrzebywać nią dołek w zamrożonej ziemi. Kiedy był dostatecznie głęboki, położyła w nim swój pistolet i wyciągnęła rękę do Koli.

- Swój wolę zatrzymać - odrzekł.

Nie opuszczała ręki i po chwili Kola skapitulował. Kiedy obydwie pistolety zostały przysypane ziemią, Wika rozpięła guziki kombinezonu i klamrę pasa. Kola szturchnął mnie z lekka. Drelichy zsunęły się z ramion Wiki; nosiła pod nimi grubą flanelową koszulę i dwie pary długich kalesonów, ale na króciutki moment dostrzegłem obojczyk sterczący pod skórą pokrytą plamkami brudu. Nigdy dotąd nie poddawałem refleksji obojczyków innych ludzi; obojczyk Wiki przypominał skrzydła szybującej mewy. Wika wyszarpnęła swój brezentowy pas, podciągnęła do piersi flanelową koszulę i dwa podkoszulki, przytrzymała je opuszczoną brodą, a następnie zapięła pas na gołym ciele, tak że pochwa noża spoczywała na mostku; kiedy opuściła podkoszulki i koszulę, a w końcu zapięła kombinezon, nie sposób było dostrzec wybrzuszenia.

Ujęła moją dłoń i położyła ją sobie na piersi.

- Czujesz coś?

Pokręciłem głową, a Kola parsknął śmiechem.

- Niewłaściwe pytanie.

Wika uśmiechnęła się do mnie. Moja dłoń wciąż spoczywała na jej wyfutrowanym torsie. Bałem się ją ruszyć i bałem pozostawić na miejscu.

- Nie słuchaj go, Lowa. Matka wydała go na świat przez dupę.

- Chcecie pobyć sam na sam? Nie ma sprawy, mogę przytulić się do starego Edika. Sprawia wrażenie bardzo samotnego.

- A co z moim nożem? - zapytałem.
- Zapomniałam o twoim nożu.
- Daj go mnie - zaproponował Kola. - Wiem, jak się nim posługiwać.
- Nie - sprzeciwiła się Wika. - Ciebie zwiskają najstaranniej, bo jesteś żołnierzem. - Pochyliła się, a ja cofnąłem dłoń przekonany, że straciłem jakąś okazję, choć nie miałem pojęcia, na czym polegała i do czego mogłaby doprowadzić. Wika odpięła pochwę z nożem znad mojej kostki i chwilę potrzymała w dłoni, oceniając jej kształt i wagę. Na koniec głęboko wsunęła ją do mojego buta, pod skarpetę. Nic nie było widać. Z wyrazem zadowolenia na twarzy poklepała cholewkę. - Dasz radę normalnie chodzić?

Wstałem i zrobiłem kilka kroków. Czuję wprawdzie, jak czubek pochwy wbija się w mą stopę, ale broń, przytrzymywana przez but i skarpetę, tkwiła pewnie na miejscu.

- Patrzcie państwo, patrzcie państwo - powiedział Kola. - Bezszelestny zabójca.

Ponownie usiadłem obok Wiki. Dotknęła miękkiego punktu poniżej ucha, a potem przeciągnęła palcem po gardle, by zatrzymać się wreszcie pod drugim uchem.

- Jeżeli podejrzniesz tak - powiedziała - żaden konował nie zaszyje dziury.

Wyżsi oficerowie Einsatzgruppe A zajęli siedzibę krasnogwardyjskiego komitetu partii, tkwiące na poczerniałej skorupie komisariatu milicji niechlujne mrowisko pełne małych pomieszczeń biurowych o podłogach pokrytych spękany linoleum. Gmach cuchnął dymem i oparami oleju napędowego, ale Niemcy włączyli elektryczność i napalili w piecach centralnego ogrzewania; na piętrze panowało przyjemne ciepło, choć tu i ówdzie widać było na ścianach rozchłapane kleksy zakrzepłej krwi. Kilka godzin po tym, jak ukryliśmy pistolety, dwóch żołnierzy z batalionu strzelców górskich odstawiło nas do sali posiedzeń, gdzie przed upadkiem miasta członkowie plenum omawiali rozkazy przychodzące do nich z góry, a także te, które sami wysyłali na dół. Z czteroskrzydłowych okien rozciągał

się widok na nieoświetloną teraz główną ulicę Krasnogwardiej-ska. Niemców najwyraźniej nie deprymowały surowe spojrzenia Lenina i Żdanowa, spoglądających z przyganą z wciąż wiszących na ścianach portretów, nie pofatygowali się bowiem, by je uszkodzić, zerwać lub odwrócić.

Abendroth siedział w głębi sali przy długim stole, pociągając bezbarwny napitek z kryształowej rżniętej szklanicy. Skinął głową, gdyśmy weszli do środka, ale poza tym nie wykonał żadnego ruchu. Jego szara czapka z daszkiem - miała czarny otok i srebrną trupią główkę pod germańskim orłem - leżała na stole, pomiędzy nią a pozbawioną etykiety, prawie pustą butelką, stała przygotowana już do gry podróżna szachownica.

Spodziewałem się widoku szczupłego estety w typie akademickim, tymczasem Abendroth okazał się potężnym mężczyzną o posturze młociarza: kołnierz jego kurtki mundurowej wbijał się głęboko w pełną pozawężlanych żył grubą szyję, a szklanka sprawiała w ogromnym łapsku wrażenie filizanki dla lalek. Nie dałbym mu więcej niż trzydzieści lat, ale jego ostrzyżone przy skórze włosy były na skroniach siwe, tak samo zresztą jak krótka szczecina zarostu. Na prawej naszywce jego kołnierza połyskiwały esesmańskie błyskawice, cztery srebrne gwiazdki - na lewej, pomiędzy nimi pysznił się czarno-srebrny Krzyż Rycerski.

Był co najmniej lekko podpity, choć jego ruchy charakteryzowała doskonała koordynacja. Już we wczesnym dzieciństwie nauczyłem się rozpoznawać alkoholików, nawet jeśli mieli wyjątkowo mocne głowy. Mój ojciec nie był pijakiem, w przeciwieństwie do wszystkich swoich przyjaciół, poetów i dramaturgów, którym w dorosłym życiu nie zdarzało się zasypiać na trzeźwo. Niektórzy popadali w pijacką wylewność, obcałowywali moje policzki i mamrotali jakim to jestem niezwykłym małym farciarzem, że mam takiego ojca. Inni byli oziębli i nieprzystępni jak księżycy na odległych orbitach; ci czekali, aż wyjdę z jadalni do pokoiku, który zajmowałem wspólnie z siostrą, a oni spokojnie będą mogli wznowić dyskusję o poczynaniach litbiura czy najnowszej prowokacji Mandelsztama. Jednym zaczynał plą-

tać się język po pierwszym kieliszku, inni uzyskiwali zdolność spójnego mówienia dopiero po pierwszej butelce.

Oczy Abendrotha błyszcząły odrobinę za mocno. Uśmiechał się od czasu do czasu bez widocznego powodu, jakby rozbawiony kawałem, który opowiedział sobie w myślach. Spoglądał na nas badawczo, ale nie odezwał się ani słowem, dopóki nie opróżnił szklanki, nie zatarł rąk i wzruszył ramionami.

- Śliwowica - wyjaśnił. - Jeden z moich znajomych, starszy już człowiek, wytwarzają na małą skalę. Najlepszy sznaps na świecie, zawsze mam skrzyneczkę w podręcznym bagażu. - Jego rosyjski był precyzyjny i bezbłędny. Abendroth jednak, tak samo jak wcześniej przez nas poznany oficer Einsatzgruppe, nie czynił żadnych prób, by ukryć obcy akcent. - Jeden z was mówi po niemiecku?

- Ja mówię - zgłosił się Kola.

- Gdzieś się nauczył?

- Moja babka pochodziła z Wiednia.

Nie miałem pojęcia, czy mówi prawdę czy zmyśla, w jego głosie jednak brzmiała taka pewność, że Abendroth przyjął informację bez komentarza.

- *Waren Sie schon einmal in Wien?*

- *Nein.*

- Żałuj, piękne miasto. I nikt go jeszcze nie zbombardował, choć taki stan rzeczy nie potrwa długo. Przewiduję, że Anglicy zabiorą się za nie jeszcze przed końcem roku. Ktoś wam powiedział, że grywam w szachy?

- Jeden z pańskich kolegów, wczoraj w szkole. Obersturmführer, jak sądzę? Mówi po rosyjsku niemal równie płynnie jak pan.

- Kuefer? Taki z wąsikami?

- Ten sam. Był bardzo... - Kola zawahał się, jakby poszukując określenia, które nie zostałyby uznane za obraźliwe -... przyjacielski.

Abendroth przez kilka chwil świdrował Kolę wzrokiem, a wreszcie prychnął z rozbawieniem i niesmakiem. Zakrył usta grzbietem dłoni, beknął i napełnił szklankę wódką.

- Nie wątpię. Tak, bardzo bywa przyjacielski ten Kuefer. W jaki sposób rozmowa zesłała na mnie?

- Napomknąłem, że mój tu obecny kolega jest jednym z najlepszych leningradzkich szachistów, a on na to, że...

- Twój tu obecny żydowski kolega?

- Ha, Herr Keufer też pozwolił sobie zażartować w ten sposób, ale nie, Lew nie jest Żydem. Dotknęło go przekleństwo wielkiego nosa, ale ominęło błogosławieństwo dużych pieniędzy.

- Jestem zaskoczony, że Kuefer nie przyjrzał się fiutowi chłopaka, żeby zweryfikować jego rasę.

Wciąż nie spuszczać mnie z oka, Abendroth powiedział coś do żołnierzy, a wtedy oni również spojrzeli z ciekawością w moim kierunku.

- Przetłumacz swoim przyjaciołom.

- Moja robota polega na tym, żeby rozpoznawać Żydów na pierwszy rzut oka.

- Świetnie. I w przeciwieństwie do naszego druha Kuefe-ra, potrafię również rozpoznać dziewczynę. Zdejmij czapkę, moja droga.

Przez bardzo długą chwilę Wika nie czyniła żadnego ruchu. Nie ośmieliłem się na nią zerkać, widziałem jednak, że waży w myślach, czy sięgnąć już po swój nóż czy jeszcze nie. Byłby to zresztą daremny gest, żołnierze skosiliby ją salwą, zanim zdołałaby postąpić jeden krok przed siebie, wyglądało jednak na to, że nie zostało nam nic prócz pustych gestów. Czułem, że Kola tężeje obok mnie - jeśli Wika wyciągnie nóż, Kola rzuci się na bliższego ze strzelców i wszystko skończy się w okamgnieniu.

Nieuchronność śmierci nie przeraziła mnie aż tak, jak powinna była przerazić; byłem zbyt wyczerpany i zbyt głodny, aby cokolwiek odczuwać z należytą intensywnością. Ale to, że osłabł we mnie lęk, wcale nie oznaczało, iż jednocześnie wzrosła odwaga. Miałem ciało tak słabe, tak wyprane z energii, że nogi mi drżały z samego wysiłku, jakiego wymagało utrzymywanie go w pozycji pionowej. Nie umiałem wykrzesać z siebie większej obawy o cokolwiek, w tym również los Lwa Beniowa.

Wika zdjęła w końcu swą króliczą czapę i trzymała ją na wysokości podołka w obu dłoniach. Abendroth opróżnił szklankę jednym haustem, wydał wargi i skinął głową.

- Będiesz ładna, kiedy odrosną ci włosy. No i wreszcie wszystko stało się jasne, czyż nie tak? Powiedz mi coś - zwrócił się do Koli. - Mówisz zupełnie poprawnie po niemiecku, ale nie umiesz czytać po rosyjsku?

- Ilekroć próbowałem, dostawałem bólu głowy.

- Oczywiście. A ty - przeniósł wzrok na mnie - jesteś jednym z najlepszych leningradzkich szachistów, tyle że niepiśmiennym. Osobliwa kombinacja, zgodzisz się ze mną? Większość szachistów, jakich znam, to raczej erudyci.

Otworzyłem usta, mając nadzieję, że kłamstwa popłyną z nich równie gładko jak z ust Koli, Abendroth jednak uniósł dłoń i pokręcił głową.

- Nie trudź się, zdałeś egzamin Kuefera i respektuję to. Jesteście niezatapialni, ale nie bierzcie mnie za durnia. Mamy w waszym gronie Żyda, który udaje goja, i dziewczynę, która udaje chłopaka; poza tym wszyscy, jak wnioskuję, jesteście piśmienni, a udajecie analfabetów. I mimo całej uwagi, jaką poświęcili wam nasi czujni strzelcy górscy tudzież zacny Obersturmführer Kuefer, wasze zagrywki okazały się skuteczne. Zamiast jednak radować się anonimowością, wprosiście się na partię szachów. Zrobiliście wszystko, bym zwrócił na was uwagę. To bardzo osobliwe. Nie jesteście głupi, bez dwóch zdań, w innym razie bowiem już byście nie żyli. W gruncie rzeczy nie oczekujecie, że puszczę was wolno, jeśli wygracie, prawda? I jeszcze ten tuzin jajek... tuzin jajek to najdziwniejszy element całej układanki.

- Zdaję sobie sprawę, że nie jest pan władny nas uwolnić - rzekł Kola - ale pomyślałem sobie, że gdyby mój kolega wygrał, może mógłby pan wstawić się za nami u swoich przełożonych i...

- Oczywiście, że jestem władny was uwolnić. To nie jest kwestia... ach - Abendroth wymierzył palec w Kola i niemal się uśmiechnął. - Znakomicie. Spryciarz z ciebie. Próbowałeś grać na niemieckiej próżności. Tak, tak, nic dziwnego, że wy-

warłeś na Kueferze tak pozytywne wrażenie. Teraz wyjaśnij mi sprawę jajek.

- Nie jadłem jajek od sierpnia. Bez przerwy gadamy teraz o jedzeniu, które nam się marzy, a mnie prześladują akurat jajka. Przez cały wczorajszy dzień, gdyśmy brnęli w śniegu, ani na chwilę nie dały mi spokoju.

Abendroth zabębnił palcami o blat stołu.

- Zanalizujmy więc sytuację. Wszyscy troje, co zostało udowodnione, jesteście zawołanymi kłamcami. Wydumaliście problematyczną historyjkę, która załatwiła wam prywatne spotkanie... - zerknął na żołnierzy i wzruszył ramionami - ...pół-prywatne spotkanie z wyższym oficerem znienawidzonej Einsatzgruppe A, nie ulega zatem wątpliwości, że dysponujecie informacjami, które pragnęlibyście przehandlować.

Dopiero po dłuższej chwili milczenia Kola powiedział:

- Nie rozumiem.

- Ależ rozumiesz, rozumiesz. Wiecie, być może, którzy z jeńców są bolszewikami, bądź też poznaliście gdzieś plany przemieszczeń sowieckich jednostek. Nie mogąc przekazać tych informacji w obecności innych Rosjan, doprowadziliście do tego spotkania. Takie rzeczy, trzeba wam wiedzieć, zdarzają się nader często. Wasi rodacy z wielką, jak się zdaje, ochotą zdradzają towarzysza Stalina.

- Nie jesteśmy zdrajcami - obruszył się Kola. - Przypadkiem chłopak jest wyśmienitym szachistą. Usłyszałem, że pan również grywa. Zwęszyłem okazję.

- Na taką właśnie odpowiedź liczyłem - powiedział Abendroth z uśmiechem. Dopił sznapsa, po raz ostatni napełnił szklanekę i spojrzał na nią pod światło.

- Dobry Boże, to jest właśnie to. Siedem lat sezonowania w dębowej beczulce...

Pociągnął mały tym razem łyk, zapewne zamierzając delektować się dłużej ostatnią kolejką. Po chwili, jaką poświęcił smakowaniu śliwowicy, powiedział po niemiecku kilka słów. Jeden z żołnierzy wycelował do nas ze swojego MP-40, drugi przystąpił do rewizji, rozpoczynając ode mnie.

W owczarni miałem pewność, że nóż ukryty jest dobrze, teraz, obmacywany przez żołnierza, myślałem tylko o tym, z jaką mocą wbija mi się w stopę koniuszek pochwy. Niemiec sprawdził kieszenie mojej bekieszy po ojcu, poklepał mnie po nogach i pod pachami, wsunął dłoń pod pasek. Kiedy wciskał palce w buty, wrócił do mnie strach, ba, poraziła zgroza, będąca okrutną kpina z mego wcześniejszego odrętwienia. Usiłowałem normalnie oddychać, zachować spokojny wyraz twarzy. Żołnierz przesunął dłońmi po mych goleniach, nic nie znalazł i podszedł do Koli.

Zastanawiałem się, o ile chybił, ile milimetrów dzieliło czubki jego palców od pochwy z nożem. Był zaledwie chłopcem, starszym ode mnie o rok czy dwa, miał twarz obsypaną małymi brązowymi pieprzykami. Koledzy z klasy na pewno naśmiewali się z tych pieprzyków, a on sam ponuro i ze wstydem gapił się na nie w lustrze wiele razy, rozważając, czy nie dałoby się ich zgolić brzytwą ojca. Gdyby zeszłej nocy pospał o kwadrans dłużej, gdyby zjadł na obiad łyżkę zupy więcej, może miałby dość energii, by właściwie wykonać zadanie, i w rezultacie znalazłby nóż. Ale jej nie miał i jego nonszalancja zmieniła wszystko - dla nas obu.

Kiedy skończył rewidować Kolę, przesunął się do Wiki. Jego kolega rzucił chyba jakiś żarcik, bo skwitował chichotem własne słowa. Może namawiał chłopaka, żeby poklepał Wikę po pupie albo uszczypnął ją w pierś, zimne jednak, świdrujące spojrzenie Wiki do tego stopnia zdeprymowało nieszczęsnego żołnierzyka, że rewidował ją jeszcze pobieżniej niż mnie i Kolę. Uświadomiłem sobie, że musi być prawiczkiem, którego bliskość kobiecego ciała wytrąca z równowagi równie mocno jak mnie.

Na koniec poklepał jej nogi od góry do dołu, wyprostował się, skinął do Abendrotha i odstąpił od naszej trójki. Sturmbannführer z lekkim uśmiechem błakającym się na ustach obserwował chłopca przez chwilę.

- Sądzę, że się ciebie boi - powiedział do Wiki. Kiedy po kilku sekundach milczenia nie doczekał się jej odpowiedzi, ponownie zwrócił uwagę na Kolę. - Jesteś żołnierzem i nie mogę

cię wypuścić, bo z pewnością wróciłbyś do Armii Czerwonej. Gdybyś po swoim powrocie zabił jakiegoś Niemca, jego rodzice byliby w prawie mnie winić za jego śmierć. - Przeniósł wzrok na mnie. - A ty jesteś Żydem, puszczając cię, postąpiłbym wbrew własnym zasadom. Ale jeśli wygrasz, daruję wolność dziewczynie. To najlepsza propozycja, jaką mogę wam złożyć.

- Czy mam pańskie słowo, że ją pan wypuści? - zapytałem.

Abendroth potarł kłykciami srebrną szczytynę na swej brodzie, przy czym złota ślubna obrączka na jego palcu serdecznym odbiła światło wiszącej pod sufitem żarówki.

- Lubisz tę dziewczynę. To interesujące. Czy ty, mały rudzielcze, też lubisz Żyda? Obojętne zresztą, obojętne, nie bądźmy wulgarni. Cóż... nie jesteś w położeniu, które uprawnia cię do stawiania jakichkolwiek żądań, ale tak, masz moje słowo. Nie mogłem się doczekać dobrej partii, odkąd wyjechałem z Lipska. Ten kraj ma najlepszych szachistów na świecie, a ja nie spotkałem choćby przeciętnego.

- Może rozstrzelał ich pan, zanim mieli okazję zademonstrować swe umiejętności - zasugerował Kola, a ja wstrzymałem oddech pewny, że posunął się za daleko. Abendroth jednak tylko skinął głową.

- Całkiem możliwe. Najpierw obowiązek, potem przyjemność. Podejź - zwrócił się do mnie - i usiądź. Może, jeśli okażesz się tak dobry, jak twierdzi twój kolega, zatrzymam cię przy sobie jako partnera do gry.

- Proszę zaczekać - powiedział Kola. - Jeśli wygra, puści pan dziewczynę, a nam da jajka.

Cierpliwość Abendrotha zaczęła się wyczerpywać; lekko wydał nozdrza i przechylił się przez stół, choć nie podniósł głosu.

- Moja oferta jest bardziej niż wielkoduszna. Zamierzasz brnąć dalej w te głupoty?

- Wierzę w swojego przyjaciela. Jeśli przegra, da nam pan po kulce w łeb. Ale jeśli wygra, chętnie zjedlibyśmy jajka na kolację.

Abendroth znów powiedział coś po niemiecku i starszy z żołnierzy wcisnął w kark Koli lufę swego automatu.

- Lubisz negocjować? - zapytał Abendroth. - Doskonale, negocjujemy. Sądziś, że dysponujesz atutami? Otóż nie dysponujesz. Dwa moje słowa i jesteś trupem. Zgoda? Dwa słowa. Czy rozumiesz, jak błyskawicznie to nastąpi? Zostajesz zabity, wywlekają stąd trupa, a ja przystępuję do partii szachów z twoim przyjacielem. Później może zabiorę rudowłosą do swojego pokoju i wykapię ją, żeby się przekonać, jak wygląda pod całym tym brudem. A może nie, może obejdzie się bez kąpieli, może dziś w nocy będę miał nastrój przyrznać zwierzaka. W Rzymie czyń... i tak dalej, prawda? Teraz zastanów się, chłopcze, dobrze zastanów, zanim ponownie otworzysz usta. Dla swojego własnego dobra, dla dobra swej matki, jeśli stara zdzira jeszcze żyje, dobrze się zastanów.

Ktoś inny dałby sobie w tym momencie siana i zamknął jadaczkę na dobre, Kola jednak wahał się najwyżej sekundę.

- Oczywiście, może mnie pan zabić, kiedy tylko pan zechce. To niepodważalne. Ale czy sądzi pan, że mój najserdeczniejszy przyjaciel będzie miał głowę do przyzwoitej gry, kiedy zobaczy na stole mój mózg? Czy chce pan mieć za przeciwnika najlepszego z leningradzkich szachistów, czy też przerażonego chłopaka, któremu siki spływają po nodze? Jeśli nie może wygrać dla nas wolności - trudno, zrozumieć, jest w końcu wojna. Ale niech mu pan przynajmniej da szansę wygrać wymarzoną kolację.

Abendroth uporczywie wpatrywał się w Kolę, powoli wystukując rytm czubkiem palca; był to jedyny dźwięk w całej sali. Na koniec zwrócił się do obsypanego pieprzykami żołnierza i ostrym głosem wydał mu krótki rozkaz; kiedy młody żołnierz zasalutował i wyszedł, Sturmbannführer polecił mi gestem usiąść obok siebie, przy rogu stołu. Potem skinął na Wikę i Kolę, pokazując im krzesła w jego przeciwległym końcu.

- Siadajcie - rozkazał. - Szliście cały dzień, tak? Siadajcie, siadajcie. Rzucimy monetą? - zwrócił się do mnie i nie czekając na odpowiedź, wyjął z kieszeni i pokazał mi pięćdziesięciofenigówkę, na której orzeł ścisnął w szponach swastykę. Pstryknię-

ciem posłał pieniądze w powietrze, chwycił w dłoń, z plaśnięciem położył na grzbiecie drugiej. - Orzeł czy reszka?

- Reszka.

- Nie podoba ci się nasz ptaszek? - zapytał z lekkim uśmiechem. Cofnął dłoń i odsłonił przede mną faszystowskiego orła. - Gram białymi. Ale nie przejmuj się... możesz zachować królową.

Przesunął pionka królowej o dwa pola do przodu i skinął głową, kiedy powtórzyłem jego ruch.

- Pewnego dnia zdecyduję się na inne otwarcie. - Przesunął swojego pionka c, wystawiając go na odstrzał. Gambit królowej. Przynajmniej połowa partii rozegranych przeze mnie w życiu zaczynała się od tych ruchów, wybierali tę kombinację zarówno gracze niedzielni, jak i arcymistrzowie. Na tym etapie trudno było określić, czy Niemiec wie, co robi. Nie podjąłem gambitu i przesunąłem królewskiego piona o jedno pole.

Rozegrałem przez lata tysiące partii z setkami przeciwników. Grywałem na kocu rozłożonym w Ogrodzie Letnim, na turniejach w Pałacu Pionierów, na kirowskim podwórku. Kiedy reprezentowałem Spartaka, prowadziłem pełną dokumentację wszystkich swoich partii, wyrzuciłem je jednak do kosza, kiedy skończyłem z grą turniejową. Nie miałem zamiaru niczego analizować - przynajmniej odkąd uświadomiłem sobie, że jestem ledwie przeciętnym graczem. Gdybym wszakże miał w tej chwili arkusz papieru i pióro, potrafiłbym sporządzić algebraiczny zapis całej swojej partii z Abendrothem.

W szóstym posunięciu ruszyłem z miejsca królową, co jak się zdaje, zaskoczyło Abendrotha. Zmarszczył czoło, jął paznokciem kciuka skrobać szczeciniastą górną wargę. Zdecydowałem się na ten ruch, bo był dobry, ale zarazem mógł sprawiać wrażenie kiepskiego - nie mieliśmy jeszcze wycucia siły przeciwnika, gdyby zatem Abendroth uznał, że nie jestem asem, mógłbym sprowokować go do popełnienia krytycznego błędu.

Wymruczał coś po niemiecku i wykonał ruch królewskim skoczkiem, co było reakcją sensowną, lecz nie taką, jakiej się obawiałem. Gdyby zbił mojego piona, utrzymałby inicjatywę,

zmuszając mnie do odpowiedzi na swój atak. Zamiast tego zdecydował się na grę defensywną, co wykorzystałem, wkraczając laufrem na jego terytorium.

Abendroth rozparł się na krześle, analizując szachownicę. Po minucie rozważań uśmiechnął się i podniósł na mnie wzrok.

- Wiele czasu minęło, odkąd przytrafiła mi się dobra partia.

Nic nie odrzekłem, bo wpatrzony w szachownicę wizualizowałem w wyobraźni potencjalne sekwencje ruchów.

- Nic się nie przejmuj - ciągnął Abendroth. - Jesteś bezpieczny, czy wygrasz czy przegrasz. Dobra partia każdego wieczoru pozwoli mi zachować zdrowe zmysły.

Ponownie pochylił się nad szachownicą i wykonał ruch królową. Gdy rozmyślałem nad odpowiedzią, wrócił młody żołnierz, przynosząc wyłożoną słomą drewnianą skrzynkę. Abendroth zadał mu jakieś pytanie, a żołnierz skinął głową i postawił skrzynkę na stole.

- Narobiłeś mi apetytu - powiedział Abendroth do Koli. - Jeśli wygram, może wrąbię na kolację omlet z dwunastu jaj.

Na widok jajek Kola uśmiechnął się od ucha do ucha. Obaj żołnierze, nie wypuszczając z garści swoich automatów, stali teraz za nim i za Wiką. Kola usiłował z daleka śledzić przebieg rozgrywki, ale Wika tylko gapiła się w stół. Jej twarz nigdy nie wyrażała zbyt wiele, czułem jednak, że jest poirytowana i wreszcie - zbyt późno - pojąłem, iż przegapiłem okazję. Kiedy żołnierz poszedł po jajka, na krótko zyskaliśmy nad Niemcami przewagę liczebną; oni wprawdzie mieli broń palną, podczas gdy my tylko noże, ale przecież lepsza okazja mogła się już nie przytrafić.

Po ośmiu ruchach rozpoczęliśmy ze Sturmbannfuhrerem wymianę ciosów. Ja wziąłem pionka, on - skoczka, ja wziąłem laufra, on - pionka. Pod koniec tej bijatyki nasze siły wciąż pozostawały wyrównane, lecz sytuacja na szachownicy stała się wyrazistsza, a ja oceniałem swoją pozycję jako silniejszą.

- Skrzypkowie i szachiści, co?

Wcześniej bałem się na niego patrzeć, teraz jednak zerknąłem, gdy analizował układ na szachownicy. Będąc tak blisko niego, dojrzałem ciemne wory pod jego piwnymi oczami. Miał mocno zarysowaną kanciastą szczękę, która z profilu wyglądała jak wielka litera L. Poczuję na sobie mój wzrok i uniósł wielką głowę. Natychmiast opuściłem oczy.

- Mówię o twojej rasie - wyjaśnił. - Cokolwiek o niej sądzimy, wydaje cudownych skrzypków i szachistów.

Wycofałem swoją królową i przez dwanaście kolejnych ruchów koncentrowaliśmy siły, unikając bezpośredniej konfrontacji. Oszańcowani, chroniąc swych królów, szykowaliśmy się do następnej bitwy i dokonywaliśmy przegrupowań w stronę środka pola, by zająć jak najlepsze pozycje wyjściowe.

W dwudziestym pierwszym ruchu omal nie wpadłem w zastawioną przez Abendrotha elegancką pułapkę. Już byłem gotów zbić odsłoniętego piona, gdy uświadomiłem sobie, co zaplanował Niemiec, cofnąłem zatem laufra, a zamiast tego zrobiłem ruch królową, by zapewnić jej lepszy kąt natarcia.

- Szkoda - stwierdził Abendroth. - Byłby to śliczny mały manewr.

Rozejrzałem się dokoła i dostrzegłem, że Kola i Wika wpatrują się we mnie uporczywie. Plan nigdy nie został ujęty w słowa, teraz jednak wydawał się oczywisty. Poruszyłem stopą w bucie i poczułem na kostce ucisk pochwy z nożem. Jak szybko mógłbym go dobyć? Z pewnością nie dość szybko, by poderżnąć Abendrothowi gardło, zanim skosi mnie salwa oddana przez żołnierzy. Zresztą nawet bez obstawy Abendroth wydawał się zbyt potężny, abym zdołał go zabić. Kiedyś, jako dziecko, widziałem w cyrku siłacza, który miał takie same dłonie jak Sturmbannführer - zapętlili nimi masywny stalowy łom i ponieważ akurat wypadały moje urodziny, dał mi go w prezencie. Miałem ten skręcony kawał żelaza przez wiele lat, pokazywałem go kolegom z Kirowa, opowiadałem z dumą, jak siłacz zmierzwił mi włosy i puścił oko do matki. Pewnego dnia zniknął; podejrzewałem o kradzież Olega Antokolskiego, ale nie miałem żadnych dowodów.

Myśl o dobytciu noża na mężczyznę takiej postury budziła we mnie panikę, odepchnąłem ją zatem na kilka minut i skoncentrowałem się na grze. Kilka ruchów później dostrzegłem szansę na wymianę skoczków, do czego zdołałem doprowadzić, aby rozwinąć nieco swoje zbyt zwarte szyki. Abendroth z westchnieniem wziął moją figurę.

- Nie powinienem był do tego dopuścić.

- Świetne posunięcie - wykrzyknął Kola z przeciwległego końca stołu. Na moment spojrzałem w tamtą stronę - wciąż wpatrywali się we mnie z Wiką - i niezwłocznie znów skupiłem uwagę na szachownicy. Jakim cudem zostałem wytypowany na zamachowca? Czy Kola nie zdążył mnie już poznać? Abendroth powinien umrzeć, bez dwóch zdań, chciałem, by zginął, odkąd wysłuchałem historii Zoi. Bez wątplenia wędrując po Europie krok w krok za Wehrmachtem, stał się sprawcą rzezi tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, za mordowanie Żydów, komunistów i partyzantów Berlin nagroził go lśniącymi medalami. Był moim wrogiem. Ale gdy tak patrzyłem nań ponad szachownicą, obserwowałem, jak planując kolejny ruch, obraca na palcu obrączkę ślubną, nie wierzyłem, że zdołam go zamordować.

Pochwa wrzynała się w mą kostkę. Kołnierz munduru Sturmbannführera wrzynał się w niebieskawą napeczniałą żyłę z boku grubej szyi. Kola i Wika w drugim końcu stołu czekali, aż przystąpię do działania. Biorąc pod uwagę kaliber tych wszystkich spraw, które mnie rozpraszały, grałem całkiem poprawnie. Bo o ile finał całej historii mógł być zupełnie bezsensowny, gra miała dla mnie znaczenie.

Siedziałem z łokciem na stole i palcami przy skroni, tak że dłoń zasłaniała mi Wikę i Kolę. W dwudziestym ósmym ruchu przesunąłem swój pion c do piątego rzędu, co było agresywnym posunięciem, Abendroth mógł go zbić albo swoim pionem b albo d. Istnieje stara zasada, że gracze powinni „zbijać w stronę środka”. Abendroth postąpił w myśl tej klasycznej strategii, użył bowiem piona b i tym sposobem zapewnił sobie dominację w centrum szachownicy. Zgodnie jednak z maksymą Tarrascha: „Zawsze ustawiaj wieżę za pionem, wyjąwszy sytuację, gdy ta-

kie postępowanie jest niewłaściwe", zbijanie w stronę środka jest prawidłową taktyką, wyjąwszy sytuację, kiedy nią nie jest. Gdy sekwencja dobiegła końca, wymieniliśmy po parze pionków, zachowaliśmy równowagę sił, ale Abendroth, jak człowiek, który połknął już truciznę, lecz nieświadom nieuchronnej śmierci, pochłania kolejne kęsy posiłku, nie miał pojęcia, że popełnił fatalny błąd.

Niemcowi nawet nie powstała w głowie myśl o kapitulacji, ba, był przekonany, że jest w lepszym położeniu niż ja. Gdyśmy zbliżali się do końcówki, jego pion a, samotny na skraju szachownicy, gnał ku ósmemu rzędowni, gdzie mógł się przemienić w królową i roznieść moje linie obronne. Abendroth był tak skoncentrowany na pozyskiwaniu drugiej królowej, że ochoczo akceptował rozmaite proponowane przeze mnie wymiany. Jak mógłby przegrać, przypuszczając atak dwiema królowymi? Skupiony bez reszty na swym pionie a, o wiele za późno zorientował się, że ja też mam swojego kandydata do promocji w centrum szachownicy i koniec końców to mój pion d dotarł do celu swej wędrówki o jeden ruch wcześniej niż pion a Abendrotha. Dwie królowe trudno pobić, a gdy dwie stają przeciwko dwóm, większe szanse ma ten z rywali, który dodatkową uzyskał pierwszy.

Abendroth jeszcze nie pojmował, że rozgrywka dobiegła końca, ale w rzeczywistości było już po wszystkim. Zerknąłem na Wikę, kretyńsko dumny z pewnego zwycięstwa, i dostrzegłem, że jej dłoń wślizguje się pod kombinezon. Nie miała zamiaru czekać na moje działanie ani chwili dłużej, sięgała po swój nóż; Kola też, oparty oburącz o krawędź stołu, był gotów zerwać się na nogi i ruszyć do ataku w tej samej chwili co Wika. Spotkałem się z Wiką spojrzeniem i pojąłem w przyływie jasności umysłu, że jeśli będę nadal siedzieć jak kołek, z jej porwanego kulami ciała już za chwilę wyciekną na linoleum podłogi ostatnie drobiny życia.

Kiedy Abendroth analizował sytuację na szachownicy, nagle zatłoczonej przez królowe, udając, że drapię się w łydkę, powoli wsunąłem palce pod cholewkę buta. Nie doświadczyłem

nagłego przyływu odwagi, to po prostu moje przerażenie, że Wika umrze, okazało się silniejsze od wszystkich innych lęków. Abendroth spojrzał spode łba na swojego króla i dostrzegłem, jak zmienia się wyraz jego twarzy, gdy zaczyna docierać doń prawda o własnej sytuacji. Oczekiwałem, że porażka obudzi w nim gniew, zamiast tego jednak rozpromienił się w uśmiechu i przez chwilę mogłem sobie wyobrazić, jak wyglądał we wczesnej młodości.

- To było piękne - powiedział, podnosząc na mnie wzrok.

- Następnym razem nie będę tyle pił.

Zaniepokoił go coś, co dostrzegł w mych oczach. Przechylił głowę, zajrzał pod stół i zobaczył moją dłoń grzebiącą w bucie.

Zdołałem jakoś uchwycić rękojeść i w końcu wyszarpnąć nóż z pochwy, ale zanim się nim zamachnąłem, Abendroth rzucił się jak tygrys, zwałił mnie z krzesła na podłogę, lewą ręką przygwoździł moją dłoń, a prawą sięgnął do kabury po pistolet.

Gdybym zdołał dobyć noża szybciej, gdybym szczęśliwym zrządzeniem losu chlasnął żyłą szyjną Niemca, gdyby więc zdarzył się taki cud, Wika, Kola i ja zginęlibyśmy na miejscu, wyekspediowani w niebyt kulami żołnierzy. Czujność Abendrotha - czy też moje niezgrabiaszostwo, jeśli przyjąć inną optykę

- ocalała nam życie. Ruszając na odsiecz Sturmbannfuhrero-wi, który nie potrzebował żadnej pomocy, żołnierze zaniedbali pilnowania dwojga z naszej trójki. Tylko na moment, ale to wystarczyło.

Abendroth wyjął pistolet. Słyszając zgiełk w przeciwnym końcu sali, spojrzał w tamtą stronę. Cokolwiek zobaczył, zaniepokoił go bardziej niż wijący się pod ciężarem jego cielska anemiczny, zagłodzony Żydziak. Wymierzył do Wiki lub Koli, tego nie widziałem. Z krzykiem wyrzuciłem do góry lewe ramię i uderzyłem lufę dłonią akurat w chwili, gdy Abendroth nacisnął spust. Pistolet kopnął, a huk wystrzału prawie mnie ogłuszył. Abendroth warknął i próbował wyrwać broń z mych zaciskających się na lufie palców. Walka z Abendrothem miała tyle sensu, ile zapasy z niedźwiedziem, ale ścisnąłem lufę ze

wszystkich sił, jakie mi jeszcze pozostały. Trwało to może kilka sekund, sekund pełnych zgiełku, przemocy, wrzasków po niemiecku i tupotu stóp po podłodze.

Wkurzony moim uporem Abendroth mocno trzepnął mnie w skroń lewą ręką. Jako dzieciak dorastający w Kirowie uczestniczyłem w kilku bójkach czy przewracankach, były to jednak niewydarzone bezkrwawe potyczki, jakich można się spodziewać po chłopakach należących do klubu szachowego. Nikt nigdy nie przywalił mi w twarz. Kontury sali rozmyły się, przed moimi oczyma przepłynęły ogniki, a Abendroth uwolnił pistolet i wymierzył lufę gdzieś w nasadę mojego nosa.

A ja wtedy usiadłem i po sam srebrny jelec wbiłem swój nóż w kieszeń kurtki mundurowej Sturmbannfuhrera, tuż poniżej kiści odznaczeń.

Abendroth zadrżał i mrugając oczyma, popatrzył na koniec sterczącej z mej zaciśniętej dłoni rękojeści sztyletu. Wciąż mógł mi władować kulę w mózg, ale wywieranie zemsty za własną śmierć nie wydawało mu się sprawą wielkiej wagi. Najpierw wyglądał na rozczarowanego, bo kąciki ust nieco mu opadły, a potem, o czym świadczyły wciąż mrugające powieki, zbitego z pantaląku.

Jego oddech stał się urywany i chrapliwy. Próbował wstać, ale zawiodły go nogi i jak kłoda runął na bok, zsuwając się przy tym z klingi noża, który wciąż trzymałem kurczowo w garści. Pistolet wypadł z jego bezwładnych palców. Jak ktoś, kto mimo przemożnej senności usiłuje nie zasnąć, szeroko otworzył oczy, położył obie dłonie na linoleum i obojętny na zamieszanie wokół siebie, podjął próbę odpełznięcia jak najdalej od miejsca swego upadku. Daleko jednak nie dotarł.

Odwróciłem głowę i ujrzałem, że Kola mocuje się na podłodze z jednym z żołnierzy, usiłując odebrać mu automat. Aż do tej chwili uważałem Kolę za niepokonanego zapaśnika, najwyraźniej jednak nikt nie poinformował o tym Niemca i to on zyskiwał przewagę. Nie pamiętam, bym zrywał się na nogi i spieszył w sukurs, zanim jednak żołnierz zdążył wymierzyć swój MP-40 i władować w Kolę cały magazynek, siedziałem mu na grzbiecie i raz za razem pogrążałem w jego ciele swój nóż.

Z trupa ściągnęła mnie w końcu Wika. Miała kompletnie zakrwawiony kombinezon i zanim wróciła mi zdolność logicznego rozumowania, wnioskowałem, że została postrzelona w brzuch. Nie sądzę, bym zdobył się na jakąś spójną uwagę, ale pokręciła głową, uciszyła mnie i powiedziała:

- Nie jestem ranna. Teraz pokaż mi dłonie.

Nie zrozumiałem tej prośby. Podniosłem prawą dłoń z wciąż zacisniętym w niej nożem, ale pchnęła ją delikatnie w dół i ujęła w ręce lewą. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że brak w niej połowy palca wskazującego. Wika uklękła przy jednym z martwych żołnierzy - ślepo zagapionym w sufit młodziaku z pieprzykami i poderżniętym gardłem - wycięła z jego spodni długi pasek tkaniny, którym, wróciwszy do mnie, ciasno owinęła kikut, aby zatamować krwawienie.

Kola chwycił oba automaty, jeden rzucił Wice, drugi zostawił sobie, i porwał ze stołu skrzyneczkę z jajkami. Z głębi budynku dobiegały nas okrzyki Niemców, zapewne oficerowie zastanawiali się, czy usłyszeli strzał we śnie czy na jawie. Kola otworzył czteroskrzydłowe okno i wdrapał się na parapet.

- Szybko - powiedział, zachęcając nas, byśmy poszli za jego przykładem. Skoczył w dół, a ja zaraz po nim. Z pierwszego piętra do ziemi nie było dramatycznie daleko, poza tym upadek amortyzowała metrowa warstwa śniegu. Przy lądowaniu straciłem równowagę i runąłem na twarz w biały puch. Kola postawił mnie na nogi i otarł mą twarz ze śniegu. W sali konferencyjnej rozległa się salwa wystrzałów, a kiedy chwilę później przez okno wyskoczyła Wika, z lufy jej automatu unosił się dym.

Spod komisariatu ruszyliśmy biegiem. Ciemne latarnie uliczne wyginały się nad naszymi głowami w znaki zapytania. Wrzaski w dawnej siedzibie komitetu partii nabierały mocy, w każdej chwili spodziewałem się świstu kul, ale nocnego powietrza nie przecięła ani jedna. Wartownicy sprzed drzwi wejściowych na odgłos strzałów wbiegli zapewne do budynku, zanim jednak pojęli swój błąd, my roztopiliśmy się w mroku.

Niebawem dotarliśmy do granic miasteczka. Zbiegliśmy z drogi i na przełaj puściliśmy się przez zmrożone pola, mijając

ciemne sylwety porzuconych traktorów. Z Krasnogwardiejska dobiegały nas odgłosy zapuszczanych silników i skrzypiących na śniegu kół z łańcuchami. Z przodu, w atramentowych ciemnościach, dostrzegliśmy jeszcze czarniejszą krechę lasu gotowego przygarnąć nas i ukryć przed wzrokiem prześladowców.

Nigdy nie byłem wielkim patriotą. Jeszcze za życia nie pozwalał mi na to ojciec, jego śmierć ostatecznie zagwarantowała, że wyrażanej przezeń w tej kwestii woli już zawsze będę czynił zadość. W nieporównanie większym stopniu niż cały kraj obiektem mej lojalności i oddania był Piter. Tej nocy jednak, gdyśmy z faszystowskimi najeźdźcami za sobą i ciemnym rosyjskim lasem przed sobą pędzili po okrytych kołdrą śniegu polach oziminy, poczułem przyływ najczystszej miłości do swojej ojczyzny.

Łamiąc stopami źdźbła pszenicy, biegliśmy do lasu: pod wschodzącym księżycem, pod rozbiegającymi się coraz dalej i dalej gwiazdami, samiuteńcy pod niebem, w którym nie mieszkał żaden Bóg.

XXIV

Godzinę później wciąż oglądaliśmy się za siebie, nasłuchując, czy nie podążają naszym śladem pojazdy gaśnicowe, im głębiej jednak pogrążaliśmy się w las, tym prawdopodobniej przedstawiało się powodzenie naszej ucieczki. Ssaliśmy sople odłamane z sosnowych gałęzi, ale panował taki mróz, że trudno było dłużej utrzymać je w ustach. Kikut mojego palca zaczął pulsować w rytm uderzeń serca.

Kola rozpiął szynel i aby uchronić jajka przed zamarznięciem, wepchnął skrzyneczkę pod sweter. Przez kilka ostatnich kilometrów poklepywał mnie co jakiś czas po ramieniu, uśmiechając się szeroko spod zgrandzonej truposzowi puchowej czapy, zawiązanej pod brodą na idiotyczne troczki.

- Naprawdę im pokazałeś - powtórzył przy czterech odrębnych okazjach.

Byłem teraz prawdziwym mężobójcą, a niemiecki nóż wepchnięty do buta z chłopięcej pamiątki przemienił się w prawdziwy oręż. Może postawiłbym się w lepszym świetle, wyznając, że odczuwałem rodzaj smutku, solidarności z zabitymi, choć wysłanie ich na tamten świat było bezwzględnie konieczne.

Obsypana pieprzykami twarz młodego chłopaka prześladowała mnie przez tak długi czas, że w pewnym momencie nie mogłem już sobie przypomnieć jej rysów i pamiętałem tylko wspomnienie. Wciąż jednak żyje w mej pamięci obraz Sturmbannführern pełzającego donikąd. Mógłbym wyrzucić z siebie cały potok wzniosłych i wysoce moralnych deklaracji, aby dowieść, że jestem wrażliwym człowiekiem, którym - w swoim przekonaniu - naprawdę jestem, ale tej nocy odczuwałem w związku ze swoimi uczynkami jedynie radość. Podjąłem działanie wbrew wszelkim oczekiwaniom, kwestionując długą historię swego tchórzostwa. Koniec końców zabicie Abendrotha nie miało nic wspólnego z pomszczeniem Zoi bądź wyeliminowaniem znaczącego oficera Einsatzgruppen. Utrzymałem przy życiu Kola i Wikę. Zachowałem przy życiu siebie. Nasze ciepłe oddechy zmieniające się nad głowami w obłoczki pary, nasze postępowania towarzyszące marszowi przez śnieg, w którym głęboko tonęły buty, wszelkie wrażenia, których doświadczyliśmy podczas długiej wędrówki - a nawet sama wędrówka - to wszystko zatem stało się możliwe tylko dlatego, że przyparty do muru, zdołałem wykrzesać z siebie szczyptę odwagi. Największej dumy w życiu doznałem wtedy, gdyśmy przystanęli, żeby złapać oddech, a Wika, sprawdzając, czy ustało krwawienie z mego obciętego palca, wyszeptała mi do ucha: - Dziękuję.

W pewnym momencie Wika i Kola wdali się w spór, jaki kierunek powinniśmy obrać. Wika szybko zakończyła dyskusję w ten prosty sposób, że ze zniecierpliwieniem pokręciła głową i ruszyła przed siebie, nie zadając sobie trudu, by sprawdzić, czy podążamy za nią. Ja podążałem, bo po katastrofie, w jaką przemieniła się wyprawa do Mgi, straciłem wiarę w nawigacyjne umiejętności Koli. Kola wyrażał milczący protest przez jakieś osiem sekund, a potem pospieszył za nami.

Gdzieś po drodze opowiedziałem Wice prawdziwą historię, dlaczego wykradliśmy się z Pitra, przekroczyli linię frontu, by w końcu trafić do dworu pod modrzewiami. Mówiłem ściszym głosem, żeby Kola nie mógł mnie słyszeć, choć w gruncie rze-

czy nie miałem bladego pojęcia, czyje tajemnice tak naprawdę zdradzam. Opowiedziałem o córce pułkownika ślizgającej się po Newie, o kanibalach i ich zawieszonym na łańcuchach przerażającym towarze, o umierającym chłopcu o imieniu Wadim i jego kogucie o imieniu Luboczka, o wykrwawiającym się na śnieg przeciwczołgowym psie, o zakorzenionym martwym rosyjskim żołnierzu. Kiedy skończyłem opowiadać, Wika pokręciła głową, a ja pomyślałem z niepokojem, że powiedziałem za dużo.

Kiedy tak patrzyłem, jak bezgłośnie i niestrudzenie maszeruje przez las z automatem na ramieniu, przypomniałem sobie, co ubiegłego poranka powiedział na jej temat Kola. Wojna zmieniła wszystko, trudno było jednak uwierzyć, że zaledwie siedem miesięcy temu studiowała astronomię.

- Mogę cię o coś zapytać?

Szła dalej, nie zniżając się do odpowiedzi. Odnoszenie się do kwestii tak idiotycznych, jak „czy mogę zadać pytanie?” było według niej czystą stratą czasu.

- Kola twierdzi, że jesteś z NKWD.

- Pytasz?

- Chyba tak.

- A jak sądzisz?

- Nie wiem - odparłem i w tym samym momencie uświadomiłem sobie, że jednak wiem. - Uważam, że ma rację.

- To by ci przeszkadzało? -Tak.

- Dlaczego?

- Z powodu mojego ojca. - Wtedy uświadomiłem sobie, że Wika nie zna losów mojego ojca, dodałem więc cicho: - To oni go zabrali.

Przez niemal minutę szliśmy w milczeniu, pokonując łagodnie zbocza wzgórza. Zacząłem posapywać, bo w miarę oddalania się od miejsca naszej wiktoria w Krasnogwardiejsku do mych nóg wracała dawna słabość.

- Twój ojciec był pisarzem, prawda? Istnieje zatem duże prawdopodobieństwo, że zadenuncjowali go inni pisarze, a enkawudziści po prostu wykonali swoją robotę.

- Jasne, tak samo jak einsatze. Jedni i drudzy wybrali zawód.

- Jeśli to cokolwiek zmienia, wzięli również mojego ojca.

- Naprawdę? Był pisarzem?

- Nie. Enkawudzistą.

Wspinaczka na grzbiet wzgórza zajęła nam godzinę i odebrała mym nogom resztkę sprężystości. Gdyśmy dotarli wreszcie na bezdrzewny szczyt wzniesienia, zrozumiałem, dlaczego Wika wybrała tę marszrutę: pod jasnym sierpem księżyca rozciągały się przed nami całe wiorsty pól i lasów pokrytych roziskrzonym całunem śniegu i szronu.

- Patrz - powiedziała Wika, pokazując na północ. - Widzisz?

Za doliną bezpośrednio pod nami i pasem wzgórz flankujących ją z przeciwległej strony, strzelała w niebo smukła świetlista kolumna, dość jasna, by wyłowić z ciemności obłok na niebie. Potężny snop światła, niczym miecz płatający mroki, ruszył z miejsca i uświadomiłem sobie, że widzę szperacz.

- Tam jest Piter - oznajmiła Wika. - Jeśli zgubicie drogę, macie swoją Gwiazdę Północną.

Obróciłem ku niej głowę.

- Nie idziesz z nami?

- W okolicach Chudowa kręci się oddział partyzancki. Znam dowódcę, spróbuję do nich dołączyć.

- Jestem pewien, że gdybyś z nami poszła, pułkownik dałby ci dodatkową kartkę na jedzenie. Powiem mu, że nam pomogłaś, i wtedy

...

Uśmiechnęła się i splunęła na ziemię.

- Pieprzyć kartkę. Piter to nie mój świat. Jestem potrzebna tutaj.

- Tylko nie daj się zabić - powiedział Kola. - Chłopak chyba się w tobie zakochał.

- W drodze powrotnej trzymajcie się z dala od szos. I uważajcie, wchodząc do miasta. Wszystko jest zaminowane.

Kola wyciągnął rękę, Wika uścisnęła ją, choć rozbawiona formalizmem mojego kompana, uniosła oczy ku niebu.

- Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy - powiedział Kola. - Na przykład w Berlinie.

Z uśmiechem odwróciła się w moją stronę. Wiedziałem, że już nigdy jej nie zobaczę. Na widok mojej miny w wilczych niebieskich oczach Wiki pojawiło się coś ludzkiego. Dotknęła dłonią w rękawicy mojego policzka.

- Nie frasuj się. Ocaliłeś mi dzisiaj życie. Wzruszyłem tylko ramionami. Przejmowała mnie obawa,

że jeśli tylko otworzę usta, palnę jakąś łzawą głupotę, albo co gorsza, wybuchnę płaczem. Pięć lat minęło, odkąd płakałem ostatni raz, ale też nie przydarzyła mi się od owego czasu taka noc i nie spotkałem dotąd dziewczyny, co do której miałem całkowitą pewność, że właśnie ją, jak tę snajperkę z Archangielska, obdarzyłem pierwszą i ostatnią miłością.

Nie odejmując dłoni od mego policzka, zapytała:

- Podaj mi swoje nazwisko.

- Beniow. Lew Abramowicz Beniow.

- Odnajdę cię. Lwie Abramowiczu Beniow. Twoje nazwisko mi do tego wystarczy.

Wyciągnęła głowę i pocałowała mnie w usta. Miała zimne wargi, spierzchnięte od wiatru... jeśli mistycy mają słuszość i jesteśmy skazani na powtarzanie w nieskończoność naszych nędznych żywotów, przynajmniej zyskałem coś, na co warto czekać - ten pocałunek.

Chwilę później odeszła: z opuszczoną głową, naciągniętą na oczy króliczą czapą, podbródkiem wciśniętym w zwoje szalika. Jej drobne ciało w zbyt dużym kombinezonie wydawało się w otoczeniu prastarych jodeł wręcz mikroskopijne. Wiedziałem, że nie odwróci głowy, by spojrzeć na mnie przez ramię, a przecież odprowadzałem ją wzrokiem, póki nie zniknęła.

- Chodź - powiedział Kola, otaczając ramieniem moje barki. - Musimy zdążyć na wesele.

Śnieg, który nadtopił się w ciągu dnia, ponownie zamarł wieczorem, wskutek czego utworzyła się zdradziecka, trzaskająca pod stopami i utrudniająca marsz skorupa. Palec bolał mnie w tej chwili tak okropnie, że potrafiłem myśleć tylko o tym bólu. Szliśmy dalej, ponieważ musieliśmy iść i ponieważ zaszliśmy zbyt daleko, żeby się zatrzymać, ale nie mam pojęcia, skąd czerpałem energię niezbędną do stawiania kolejnych kroków. Jest takie miejsce gdzieś poza głodem i zmęczeniem, gdzie pozornie przestaje płynąć czas, a cierpienia ciała zdają się udziałem kogoś zupełnie innego.

Te problemy nie dotyczyły jednak Koli. Zjadł równie mało jak ja, choć z pewnością zeszłej nocy spędzonej w szopie narzędziowej wśród analfabetów wyspał się znacznie lepiej, ba, sprawiał wrażenie człowieka delektującego się wypoczynkiem w puchowej pościeli hotelu Europa. Kiedy ja brnąłem przed siebie z nisko opuszczoną głową, Kola rozglądał się po skąpanym w blasku księżyca zaśnieżonym pejzażu ukontentowanym wzrokiem malarza na nocnej przechadzce. Wydawało się, że całą Rosję mamy tylko dla siebie. Przez wiele godzin jedynym

śladem ludzkiej aktywności, jaki widzieliśmy wokół siebie, były puste pola.

Co kilka minut Kola sięgał pod płaszcz, żeby sprawdzić, czy sweter nie wysunął się spod paska spodni i czy jajka są bezpieczne.

- Opowiadałem ci już historię psa podwórkowego?

- Znaczą twoją powieść?

- Wątek, od którego wziął się tytuł.

- Pewnie tak.

- Nie, chyba jednak nie. Bohater, Radczenko, mieszka w starej kamienicy na Wyspie Wasiliewskiej. Właściwie rezydencji wzniesionej dla jednego z generałów cara Aleksandra, ale obecnie niszczonej i zamieszkaniej przez osiem rodzin, które za sobą nie przepadają. Pewnej nocy, w samym środku zimy, na dziedziniec włązi stary pies, kładzie się przy bramie i to właśnie miejsce czyni swym domem. Wielkie stare bydło o posiwiałym pysku i bez jednego ucha utraconego w jakiejś walce wiele lat temu. Radczenko budzi się nazajutrz późnym przedpołudniem, wygląda przez okno i widzi psa leżącego z pyskiem pomiędzy łapami. Lituje się nad biednym sukinsynem, bo panuje mróz i pies pewnie jest głodny. Znajduje kawałek suchej kiełbasy i otwiera okno akurat w chwili, gdy dzwony oznajmiają południe.

- Który to rok?

- Co? Nie wiem, tysiąc osiemset osiemdziesiąty trzeci. Radczenko gwiżdże i pies podnosi łeb. Radczenko rzuca kiełbasę, pies ją pożera, Radczenko uśmiecha się, zamyka okno i wraca do łóżka. Zwracam ci uwagę, że w tym punkcie nie wychodził z mieszkania od pięciu lat. Następnego dnia Radczenko śpi, kiedy odzywają się dzwony. Gdy cichną, słyszy szczeknięcie na dworze. Potem następne. Zwleka się z wyrka, otwiera okno, spogląda na dziedziniec - a tam pies z wywieszonym ozorem czeka na posiłek. Radczenko znów wynajduje coś w spizarce i ciska staruszkowi; od tej chwili gdy tylko w południe odzywają się dzwony, psisko czeka pod oknem na swój obiad.

- Jak pies Pawłowa.

- Tak - zgodził się lekko poirytowany Kola - jak pies Pawłowa, tyle że w upoetycznionej wersji. Mijają dwa lata. Pies z podwórka zna i bez problemu przepuszcza wszystkich stałych mieszkańców, ale kiedy tylko pod bramą pojawia się ktoś obcy, wściekle warczy i obnaża kły. Lokatorzy za nim przepadają, jest ich obrońcą, przestali nawet zamykać drzwi na klucz. Czasem Radczenko trwoni beczynn timer całe popołudnie i z krzesła przy oknie patrzy, jak stary pies obserwuje przechodniów mijających bramę. Nie zapomina o południowym rytuale, pilnuje, żeby zawsze mieć dość smakowitego mięsiwa do rzucenia. Pewnego ranka Radczenko śni w swym łóżku cudowny sen o kobiecie, którą podziwiał jako mały chłopiec, bliskiej przyjaciółce swej matki. Dzwonią dzwony, Radczenko budzi się z uśmiechem, przeciąga, podchodzi do okna, otwiera je i spoziera na dziedziniec. Pies na boku leży przy bramie, zupełnie nieruchomy, i Radczenko natychmiast pojmuje, że zdechł. Pamiętaj, Radczenko nigdy go nie dotknął, nie podrapał za uchem, nie po-masował po brzuchu, nic z tych rzeczy, a jednak pokochał stare psisko, widział w nim wiernego przyjaciela. Przez niemal godzinę wpatruje się w martwego zwierzaka, by dojść wreszcie do wniosku, że nikt go nie pochowa. Pies jest bezpański, któż więc miałby to zrobić? Radczenko nie wychodził z mieszkania od siedmiu lat, sama myśl o wyjściu na świat przyprawia go o mdłości, ale jeszcze gorsza jest świadomość, że pies zgnije na słońcu. Rozumiesz, jak dramatyczna to sytuacja? Radczenko więc z ociąganiem wychodzi, staje w słońcu - po raz pierwszy od siedmiu lat!

- bierze na ręce wielkiego psa i wynosi go z dziedzińca.

- Gdzie go zakopuje?

- Nie wiem. Może w uniwersyteckim parku.

- Na to by mu nie pozwolili.

- Nie dopracowałem jeszcze tej partii. Ale nie chwytasz sedna sprawy...

- Poza tym potrzebuje szpadla.

- Tak, potrzebuje szpadla. Tyle masz w sobie romantyzmu co dworcowa kurwa, wiesz? Może w ogóle nie opiszę sce-

ny pochówku i co na to powiesz? Pozostawię ją wyobraźni czytelnika.

- Zapewne niezły pomysł. Bo mogłaby wypaść trochę ckliwie. Martwe psy... no, nie wiem.

- Ale ci się podoba?

- Chyba tak.

- Chyba tak? To piękna historia.

- Niezła, może być.

- A tytuł? *Pies podwórkowy*? Rozumiesz teraz, dlaczego to taki genialny tytuł? Te wszystkie kobiety przychodzące do Radczenki nieustannie próbują go skłonić, żeby z nimi wyszedł, a on nigdy nie ulega. Jest to dla nich niemal rodzaj gry: każda chce być tą pierwszą, która wywabi go na świat i każda ponosi klęskę. Zwycięża pies, stary, głupi bezpański pies.

- Podwórkowy.

- Właśnie.

W tym momencie Kola, któremu nagle zaokrągliły się oczy, złapał mnie za ramię i zatrzymał. W pierwszej chwili pomyślałem, że coś usłyszał, pomruk czołgu albo dobiegające z dali okrzyki żołnierzy, rychło jednak uznałem, że to co zwróciło na siebie jego uwagę, było innej, zapewne wewnętrznej natury: ścisnął me ramię z wielką mocą, miał lekko rozchylone usta i taki wyraz skupienia na twarzy, jakby za wszelką cenę usiłował sobie przypomnieć imię dziewczyny, a potrafił przywołać z pamięci tylko jego pierwszą literę.

- No co? - zapytałem. Uniósł dłoń i czekał. Choćby dziesięcio-sekundowy postój sprawiał, że ogarniała mnie przemożna chęć, by położyć się na śniegu na kilka minut, ot, krótką chwilę, która zdejmie brzemień z mych stóp i pozwoli rozruszać odrętwiałe palce.

- Wyłazi - powiedział. - Czuję to.

- Co wyłazi?

- Moja kupa! Och, dawaj, stara dziwko, dawaj! Spiesznie zniknął za drzewem, a ja czekałem na niego,

chwiejąc się na wietrze. Miałem ochotę usiąść, ale jakiś irytujący głos w głębi mej czaszki przestrzegał, że siadanie jest niebezpieczne, że jeśli teraz usiądę, nie podniosę się już nigdy.

Kiedy Kola wrócił, spałem na stojąco, a przed oczyma duszy przepływała mi niespójna sekwencja sennych wizji. Kola przywołał mnie do przytomności szarpnięciem za ramię i obdarował swym kozackim uśmiechem od ucha do ucha.

- Przyjacielu, nie jestem już ateistą. Choć, chcę ci to pokazać.

- Żartujesz? Niczego nie chcę oglądać.

- Musisz spojrzeć. Jest rekordowe.

Ciągnął mnie za ramię, ale zaparłem się ze wszystkich sił.

- Nie, nie, ruszajmy już, nie mamy czasu.

- Boisz się widoku mojego rekordowego gówna?

- Jeśli nie dotrzemy do pułkownika o świcie...

- To coś naprawdę niezwykłego! Coś, o czym będziesz opowiadał swoim dzieciom.

Kola ciągnął z taką siłą, że zaczął przełamywać mój upór, gdy nagle jego dłoń w rękawicy ześlizgnęła się z mego rękawa, a on sam padł jak długi na oblodzony śnieg. W pierwszej chwili parsknął śmiechem, który jednak zamarł mu na ustach, gdy przypomniał sobie o jajkach.

- Kurwa - powiedział, podnosząc na mnie wzrok. Pierwszy raz podczas naszej wędrówki dostrzegłem w jego oczach coś na kształt prawdziwego strachu.

- Tylko nie mów, że je potłukłeś. Tylko mi tego nie mów.

- Ja je potłukłem? Dlaczego zawsze wina spada na mnie? Czemu po prostu nie podszedłeś, żeby zerknąć na kupę?

- Nie chciałem patrzeć na twoją kupę! - wrzasnąłem niepomny na ewentualność, że oprócz nas w lesie są nieprzyjaciele. - Powiedz mi, że się nie potłukły!

Siedząc na ziemi, rozpiął szynel, wyjął skrzynkę i powiódł dłonią pod deseczkach, żeby sprawdzić, czy nie popękały. Potem głęboko nabrał powietrza w płuca, zdjął prawą rękawiczkę i ostrożnie zapuścił palce w słomianą wyściółkę.

- No i co?

- Wszystko w porządku.

Kiedy skrzynka ponownie spoczęła w ciepłe pod swetrem Koli, wznowiliśmy marsz na północ. Kola nie wspomniał już ani

razu o swoim historycznym gównie, wyczuwałem w nim jednak irytację, że nie poszedłem go obejrzeć, aby w przyszłości dać świadectwo niezwykłego dokonania. Przyjaciele, którzy kiedyś wysłuchają relacji, będą musieli dać mu wiarę na słowo.

Co minutę podnosiłem wzrok na wędrujący po niebie potężny szperacz. Czasem przez kilometr czy dwa traciliśmy go z oczu, gdy zasłaniały widok wzgórze albo drzewa, zawsze jednak pojawiał się ponownie. W miarę zbliżania się do Pitra dostrzegaliśmy kolejne, ten jednak był najsilniejszy, tak w istocie mocarny, że gdy w swej nieustannej wędrówce natrafiał na księżyc, miałem wrażenie, iż oświetla jego dalekie zimne kratery.

- Założę się, że pułkownik będzie zaskoczony naszym widokiem - stwierdził Kola. - Na pewno uznał, żeśmy zginęli. Tak uraduje się z jajak, że go poproszę, by zaprosił nas na wesele. Bo niby czemu nie? Staniemy się ulubieńcami jego żony. I może zatańczę z panną młodą, pokażę jej kilka nowych kroków, dam do zrozumienia, że nie mam nic przeciwko zamężnym niewiastom.

- A ja nie wiem nawet, gdzie położę się dzisiaj spać.

- Pójdziemy do Soni. Nie musisz zawracać sobie głowy. Bez wątpienia pułkownik da nam w nagrodę coś do żarcia, podzielimy się tym z Sonią, rozniecimy mały ogieniek. No a jutro będę musiał odszukać swój batalion. Ha, chłopaki nie będą posiadać się ze zdziwienia, kiedy przed nimi stanę.

- Przecież zupełnie mnie nie zna, nie mogę u niej zamieszkać.

- Oczywiście, że możesz. Jesteśmy teraz przyjaciółmi, Lew, czyż nie tak? Sonia jest moją przyjaciółką, ty jesteś moim przyjacielem; nic się nie przejmuj, ma mnóstwo miejsca. Chociaż teraz, kiedy poznałeś Wikę, mieszkanie u innej dziewczyny wcale nie musi być dla ciebie ekscytujące, co?

- Wika przejmuję mnie lękiem.

- Mnie też. Ale dosyć ci przypasowała, przyznaj. Uśmiechnąłem się na myśl o oczach Wiki, jej wydatnej dolnej wardze, precyzyjnej linii obojczyka.

- Pewnie uważa, że jestem dla niej za młody.

- Może. Ale ocaliłeś jej życie. Ta kula zmierzała wprost w jej głowę.
- Twoje też ocaliłem.
- Nie, miałem szkopa pod kontrolą.
- Nie miałeś, to on trzymał broń...
- Dzień, w którym jakiś bawarski ćwok pokona mnie w walce wręcz...

Spór ciągnął się w nieskończoność, zahaczając o sprawy tak różne, jak moje rzekome błędy podczas partii z Abendrothem, lista gości na weselu pułkownikówny czy los dziewczyn poznanych przez nas we dworze. Rozmowa nie pozwalała mi zasnąć, pozwalała natomiast nie myśleć o zdrętwiałych stopach i nogach, sztywnych niczym szczudła. Niebo jaśniało, niepostrzeżenie przechodząc przez gamę najrozmaitszych szarości, a my natrafiliśmy na utwardzoną drogę, gdzie wyjeżdżony śnieg czynił marsz znacznie łatwiejszym. Zanim weszło słońce, dostrzeżliśmy zewnętrzny pierścień leningradzkich umocnień - ciemne bruzdy okopów, betonowe smocze kły, zagajniki powbijanych w ziemię zardzewiałych szyn kolejowych, całe kilometry zasieków.

- Jedno ci powiem - oświadczył Kola. - Muszę dostać kawałek tego pierdzielonego tortu. Należy mi się po wszystkim, przez cośmy przeszli.

Chwilę później powiedział:

- Co oni robią?

A jeszcze chwilę później usłyszałem strzał. Kola szarpnięciem za bekieszę powalił mnie na ziemię. Nad naszymi głowami gwizdały kule.

- Strzelają do nas - powiedział Kola, udzielając odpowiedzi na swoje własne pytanie. - Hej, hej, jesteśmy Rosjanami, nie strzelać! - Kolejne pociski zaświstały w powietrzu. - Jesteśmy Rosjanami, niech was szlag, czyście ogłuchli? Mam dokumenty od pułkownika Greczki! Od pułkownika Greczki! Słyszycie!

Karabiny zamilkły, ale wciąż leżeliśmy plackiem, osłaniając głowy rękoma. Spoza umocnień dobiegał nas głos oficera

pokrzykującego coś do swoich ludzi. Kola uniósł nieco głowę i popatrzył w stronę okopów odległych o kilkaset metrów na północ.

- Nigdy nie słyszeli o strzałach ostrzegawczych?

- Może to były strzały ostrzegawcze.

- Nie, celowali w nasze głowy, ale kiepsko strzelają, ot i wszystko. Banda zmobilizowanych roboli, pójdę o zakład. Pewnie dostali broń tydzień temu. - Złożył dłonie w trąbkę i ryknął: - Hej, słyszycie? Nie lepiej to zachować kule dla szkopów?

- Wychodźcie powoli z rękami w górze - odwrzasnął głos z okopów.

- Nie zastrzelicie nas, jeśli wstaniemy?

- Nie, jeśli się nam spodobacie.

- Spodobałbym się twojej matce - mruknął Kola. - Goto-wyś, lwiątko?

Gdy wstaliśmy, Kola wykrzywił twarz, potknął się i omal nie upadł. Przytrzymałem go za rękaw. Kola zmarszczył czoło, otrzepał szynel ze śniegu i dopiero wtedy odwrócił głowę, żeby sprawdzić, co się stało. Obaj dostrzegliśmy w grubej tkaninie płaszcza otwór wlotowy po kuli na wysokości biodra.

- Rzućcie broń! - krzyknął oficer z odległych okopów. Kola posłusznie odrzucił na bok swój MP-40.

- Jestem ranny! - odwrzasnął. Rozpiął szynel i uważnie obejrzał dziurę w siedzeniu swoich spodni. - Dasz wiarę? Te piździelce postrzeliły mnie w dupę.

- Idźcie w naszą stronę z rękami w górze!

- Przestrzeliłeś mi zadek, pierdolony kretynie! Nie mogę nigdzie iść.

Otoczyłem ramieniem barki Koli, pomagając mu utrzymać się pionowo; w prawej nodze nie miał żadnego oparcia.

- Powinieneś usiąść - powiedziałem.

- Nie mogę. Jak mam siadać z kulą w dupie? Nie do wiary!

- A klęknąć? Chyba nie powinieneś stać.

- Wiesz, jak mnie weźmie na jęzory cały batalion? Postrzelony w dupę przez jebanych amatorów prosto po komisji poborowej!

Pomogłem mu osunąć się na ziemię. Skrzywił się, gdy prawe kolano dotknęło śniegu, urażając całą obolałą nogę. Żołnierze w okopach odbyli zapewne pospieszną naradę, bo po chwili rozległ się głos kogoś starszego i zapewne wyższego stopniem:

- Nie ruszajcie się z miejsca! Idziemy do was! Kola jęknął.

- Nie ruszajcie się z miejsca, powiada. Tak, teraz pewnie usłucham, skoro mam w dupsku jedną z waszych pieprzonych kul.

- Może przeszła na wylot. Jest chyba lepiej, kiedy przechodzi na wylot, prawda?

- Chcesz ściągnąć mi portki i sprawdzić? - zapytał, uśmiechając się do mnie mimo bólu.

- Powiniennem coś zrobić? Co?

- Uciskać, tak mówią. Nie fatyguj się, jak to zrobię. - Rozwiązał troki puchowej czapki, zdjął ją i przycisnął do miejsca, gdzie weszła kula. Głęboko wciągnął powietrze w płuca, zamknął oczy. Kiedy ponownie je otworzył, coś sobie przypomniał: wsunął pod sweter wolną rękę i wyjął skrzyńeczkę z jajkami.

- Schowaj pod kapotę - polecił. - Nie możemy pozwolić, żeby zamarzły. I staraj się ich nie upuścić, z łaski swojej.

Kilka minut później zobaczyliśmy, że w naszą stronę zmierza gazik - w opancerzonej wersji, na zimowych oponach o grubym bieżniku i z zamontowanym z tyłu cekaemem. Kiedy samochód hamował tuż obok nas, tulejowaty wylot lufy mierzył wprost w nasze głowy.

Z auta wyskoczyli porucznik z sierżantem; idąc w naszą stronę, trzymali dłonie na kolbach wciąż tkwiących w kaburach pistoletów. Sierżant zatrzymał się na moment przy leżącym w śniegu MP-40, obejrzał broń, a potem przeniósł wzrok na Kołę.

- Nasi snajperzy dostrzegli niemiecki automat. Postąpili właściwie.

- Snajperzy, tak ich nazywacie? Są szkoleni, żeby trafiać w dupę?

- Skąd masz niemiecką broń?

- Krwawi, potrzebuje pomocy - wtrąciłem. - Czy tych pytań nie można zostawić na później?

Porucznik popatrzył na mnie. Jego płaska znudzona twarz nie wyrażała żadnych emocji, no, może poza lekką wrogością. Był ogolony na łyso i nie nosił czapki, jakby zupełnie mu nie przeszkadzały ostre porywy mroźnego wiatru.

- Cywil? I próbujesz mi rozkazywać? Mogę rozwalić cię na miejscu za pogwałcenie godziny milicyjnej i przekroczenie bez przepustki granic miasta.

- Błagam, towarzyszu oficerze. Jeśli zostanie tu trochę dłużej, wykrwawi się na śmierć.

Kola grzebnął w kieszeni, wyjął pismo od pułkownika i podał je oficerowi. Porucznik zaczął czytać; początkowo czynił to nonszalancko, zeszywniał jednak, kiedy ujrzał pod spodem podpis pułkownika.

- Powinniście coś powiedzieć - wymamrotał. Machnięciem ręki wezwał na pomoc kierowcę i cekaemistę.

- Powinniście... wyrzaskiwałem nazwisko pułkownika, kiedyście do nas strzelali.

- Moi ludzie postąpili właściwie. Zbliżaliście się z nieprzyjacielskim żelastwem, nie zostaliśmy zawczasu uprzedzeni...

- Kola - powiedziałem, kładąc mu dłoń na ramieniu. Już otwierał usta, aby werbalnie pociąć porucznika na dzwonka, lecz tym razem, pewnie po raz pierwszy w życiu, zrozumiał, że lepiej zamknąć gębę. Uśmiechnął się, lekko unosząc oczy ku niebu, ale nie przegapił zatroskanego wyrazu mej twarzy. Podążył za moim spojrzeniem ku miejscu, gdzie z przemięklej od krwi nogawki skapywały na śnieg czerwone krople. Zakrwawiony śnieg wyglądał jak wiśniowe lody, które na letnich jarmarkach kupował mi ojciec.

- Bez obaw - powiedział Kola na widok krwi. - Niewiele tego, bez obaw.

Kierowca chwycił go pod pachy, cekaemista pod kolana i we dwóch zataszczyli Kolę do pomrukującego na wolnych obrotach gazika. Wcisnąłem się w wąską przestrzeń pomiędzy miejscem kierowcy a tylnym siedzeniem, gdzie na brzuchu, przykrytego

dla ciepła szynalem, położono Kole. Gdyśmy jechali w stronę okopów, Kola mocno zaciskał powieki, ilekroć wóz podskakiwał na jakimś wyboju. Teraz to ja przyciskałem do rany zakrwawioną czapkę, starając się robić to z taką siłą, żeby hamować krwawienie, a jednocześnie nie przysparzać bólu. Kola uśmiechnął się z rozmarzeniem.

- Wolałbym, żeby to Wika trzymała mi rękę na zadku.

- Bardzo boli?

- Postrzelili cię kiedyś w dupę? -Nie.

- No cóż, odpowiedź brzmi: „tak”. Cholernie. Rad tylko jestem, że nie trafili mnie z drugiej strony. Mam prośbę, obywatelu poruczniku - powiedział Kola, podnosząc głos. - Czy nie zechcielibyście podziękować swoim snajperom, że nie odstrzelili mi jajek?

Porucznik, siedzący obok kierowcy, nie odpowiedział i tylko patrzył przed siebie; na jego wygolonym czerepie roilo się od niewielkich białawych blizn.

- Kobiety Leningradu są im również wdzięczne.

- Wieziemy was do szpitala w Zakładach - powiedział porucznik. - Mają tam najlepszych lekarzy.

- Doskonale, bez wątpienia NKWD nagrodzi was medalem. I kiedy już zostawicie mnie w szpitalu, podrzucicie z łaski swojej mego małego towarzysza na Wyspę Kamienną. Ma dla pułkownika ważną przesyłkę.

Porucznik posepnie milczał; burzył się, słysząc rozkazy wydawane przez szeregowca, ale wolał nie robić sobie potężnych wrogów. Zatrzymaliśmy się przy barykadzie obłożonej workami z piaskiem i straciliśmy niemal dwie minuty, kiedy żołnierze opuszczali drewnianą platformę, aby umożliwić nam pokonanie okopów. Kierowca poganiał ich warknięciami, a mimo to, znużeni i nonszalancy, ruszali się jak muchy w smole, dyskutując, w jakiej pozycji ułożyć kładkę. W końcu przedostaliśmy się na drugą stronę. Kierowca wcisnął gaz do dechy i przemknęliśmy obok gniazd cekaemów, również spowitych festonami worków.

- Jak daleko do szpitala? - zapytałem kierowcę.
 - Dziesięć minut. Osiem, jeśli dopisze nam szczęście.
 - Postaraj się, żeby dopisało - powiedział Kola. Miał teraz mocno zaciśnięte powieki i przyklejoną do siedzenia twarz, a jasne włosy spadały mu na czoło. Bardzo pobladł w ciągu ostatniej minuty i wstrząsały nim dreszcze. Położyłem mu dłoń na karku i przekonałem się, że ma chłodną skórę.
 - Nie przejmuj się - powiedział. - Widziałem chłopaków krwawiących mocniej, a po tygodniu pozszywani jak ta lala wracali do jednostki.
 - Nie przejmuję się.
 - W ludzkim ciele jest mnóstwo krwi. Ile? Pięć litrów?
 - Nie wiem.
 - Wygląda to groźnie, ale pójdę o zakład, że nie straciłem więcej niż litr. Góra.
 - Może powinieneś przestać gadać?
 - A to niby dlaczego? Co jest złego w rozmowie? Posłuchaj, idź na wesele. Zatańcz z córką pułkownika, a potem odwiedź mnie w szpitalu i powiedz, jak było. Ze szczegółami. Co miała na sobie, jak pachniała, te wszystkie rzeczy. Biłem do niej konia przez pięć dni pod rząd, wiedziałeś o tym? No, raz do Wiki. Wybacz. Ale po tym jak w owczarni przypinała nóż pod cycuszkami... sam zresztą widziałeś. Chyba nie możesz mieć mi za złe.
 - Kiedy znalazłeś na to czas?
 - Podczas dzisiejszego kurewsko długiego marszu. W wojsku człowiek uczy się takich rzeczy. Ręka do kieszeni i po ptakach.
 - Trzepałeś do Wiki kapucyna, kiedyśmy zasuwali przez całą noc?
 - Miałem zamiar ci o tym nie mówić. Lunatykowałeś przez połowę drogi, nudziłem się jak mops, musiałem coś robić. A teraz jesteś zły. Nie bądź na mnie zły.
 - Oczywiście, że nie jestem.
- Kierowca przyhamował tak ostro, że Kola spadłby z siedzenia, gdybym go nie przytrzymał. Uniosłem głowę i spojrzałem przez przednią szybę. Dotarliśmy na skraj rozległych, wielkich jak niejedno miasto Zakładów Kirowskich, gdzie dniem i nocą

trudziły się dziesiątki tysięcy ludzi. Bomby Luftwaffe i pociski artyleryjskie zrównały z ziemią sporo ceglanych budynków warsztatowych, powybijane okna były zasłonięte plandekami, lód wypełniał niezliczone kratery na placach i drogach wewnętrznych, ale nawet teraz, gdy ewakuowano znaczną część załogi, gdy zginęły tysiące robotników, a kolejne tysiące czekały na śmierć w okopach, nawet teraz z kominków walił dym, tłumy kobiet popychały między warsztatami wózki z węglem, a powietrze wypełniał jazgot tokarni, frezarek i pras hydraulicznych nadających stali ostateczny kształt.

Z montażowni rozmiaru hangaru lotniczego blokując drogę, wytaczało się ospale osiem niepomalowanych jeszcze nowiutkich czołgów T-34.

- Czemu stanęliśmy? - zapytał Kola, a mnie ogarnął lęk, bo jego głos był znacznie słabszy niż zaledwie minutę temu.

- Przejeżdżają przed nami czołgi.

- T-34? - Tak.

- Dobre maszyny.

W końcu czołgi przejechały i wystrzeliliśmy przed siebie. Kierowca miał ciężkie kopyto i pewną dłoń, a poza tym najwyraźniej znał Zakłady jak własne podwórko - przemykał alejkami na tyłach turbinowni, gruntowymi drózkami pomiędzy krytymi ocynkiem szopami dla robotników, wyposażonymi w małe kanciaste piecyki - a mimo to potrzebował sporo czasu, żeby przebić się na przeciwległy skraj rozległego miasta-fabryki.

- To tam - powiedział wreszcie porucznik, pokazując ceglany magazyn przekształcony obecnie w szpital. Odwrócił się i popatrzył na Kolę. Nie zdołał dostrzec jego twarzy, z pytaniem w oczach spojrział więc na mnie. Wzruszyłem ramionami, mówiąc w ten sposób: „Nie wiem”.

- Piekło i szatani - wrzasnął kierowca, skręcając gwałtownie i znów wciskając hamulec do deski. Po torach przecinających całe Zakłady mały parowozik ciągnął wagony wyładowane złomem.

- Lew? -Tak?

- Daleko jeszcze?

- Bardzo blisko.

Usta Koli posiniały, jego oddech stał się przyspieszony i płytki.

- Jest jakaś woda? - wyszeptał.

- Macie wodę? - zapytałem łamiącym się głosem wystraszonego dziecka.

Cekaemista podał mi manierkę. Odkręciłem ją, przesunąłem głowę Koli bardziej na bok i spróbowałem wlać mu do ust kilka kropel, ale tylko zachlapałem siedzenie. Dopiero gdy Kola zdołał trochę dźwignąć głowę, nieco wody znalazło drogę do gardła, Kola jednak zakrztusił się i wszystko wypluł. Usiłowałem napoić go ponownie, ale odmówił, lekko kręcąc głową, oddałem więc manierkę właścicielowi.

Uświadomiłem sobie, że Kola marznie; zdjąłem czapkę i wsunąłem mu ją na głowę. Było mi wstyd, że pomyślałem o tym dopiero teraz. Dygotał, ale jego blada twarz pokryta szkarłatnymi plamami rozmiaru pięciokopiejekówką była mokra od potu.

W przerwach pomiędzy przejeżdżającymi lorami widziałem drzwi szpitala, odległe najwyżej o sto metrów. Kierowca siedział pochylony, ze zniecierpliwieniem kiwając głową. Porucznik z rosnącym niepokojem co rusz oglądał się na Kole.

- Lew? Podoba ci się tytuł?

- Jaki tytuł?

- *Pies podwórkowy*.

- Dobry, naprawdę dobry.

- Powieść mogłaby się nazywać po prostu *Radzenko*.

- *Pies podwórkowy* brzmi lepiej.

- Też tak myślę.

Otworzył oczy, te bladoniebieskie kozackie oczy, i uśmiechnął się do mnie. Obaj wiedzieliśmy, że umrze. Kiedy dygotał pod swym szynelem, jego zęby były olśniewająco białe w sinych ustach. Zawsze wierzyłem, że ten uśmiech był przeznaczonym

dla mnie darem. Kola nie miał w sobie wiary w bogów czy zaświaty; nie sądził, że udaje się do jakiegoś lepszego miejsca czy choćby gdziekolwiek. Nie czekały, by go poprowadzić, żadne anioły. Uśmiechnął się, ponieważ wiedział, jak bardzo przeraża mnie śmierć. O tym właśnie jestem przekonany. Znał moje przerażenie i chciał mi ulżyć.

- Dasz wiarę? Zabity przez swoich strzałem w dupę.

Chciałem coś powiedzieć, zająć jego uwagę jakimś durnym żarcikiem. Powinienem był coś powiedzieć i żałuję, że nie powiedziałem, choć nawet w tej chwili nie przychodzą mi do głowy właściwe słowa. Bo gdybym powiedział, że go kocham, zmrużyłby pewnie oko i odrzekł: „Nic dziwnego, że trzymasz mi rękę na zadku”.

Nawet Kola nie zdołał długo utrzymać uśmiechu. Zamknął oczy. Kiedy odezwał się ponownie, jego wyschnięte wargi z trudem odrywały się jedna od drugiej.

- Nie tak to sobie wyobrażałem - powiedział.

XXVI

Oficerowie w mundurach i cywile o surowych twarzach, potracając się, wchodzili i wychodzili przez osłonięte białym portykiem drzwi frontowe dworzyszczka na Wyspie Kamiennej. Za starym domem, zamarznięta i oproszona śniegiem, wiała się Newa niczym pełznący przez zrujnowane miasto wielki biały wąż.

Łysy porucznik podprowadził mnie pod jedno z umiejscowionych od frontu gniazd cekaemów, gdzie za worami z piaskiem grupka żołnierzy popijała słabą herbatę z cynowych kubków. Dowodzący nimi sierżant przeczytał list pułkownika, podniósł na mnie wzrok i zapytał:

- Masz coś dla niego?

Skinąłem głową, a on gestem polecił mi iść za sobą. Łysy porucznik wykręcił się na pięcie i odmaszerował, nie oglądając się za siebie; chciał mieć już z głowy ten niefortunny poranek.

Znaleźliśmy Greczkę na dole, w piwnicy na wino. Wszystkie przechowywane tu niegdyś szlachetne trunki zostały dawno wypite, ale zachowały się jeszcze terakotowe regały. Pułkownik stał wśród nich w towarzystwie niższego stopniem oficera, który odfajkowywał na liście kolejne pozycje: młodzi żołnierze

z łopatomy otwierali drewniane skrzynie, wyciągali spomiędzy postrzępionych gazet słoje, puszki i wołokowe woreczki, informując na bieżąco o ich zawartości.

- Dwa kilo szynki wędzonej.
- Pięćset gramów czarnego kawioru.
- Kilo wołowiny w galarecie.
- Czosnek i cebula... waga nie podana.
- Kilo cukru.
- Kilo solonych śledzi.
- Ozór gotowany... waga niepodana.

Przez minutę przyglądałem się jak rośnie góra prowiantu na legendarną biesiadę. Marchew, kartofle, kurczęta luzowane, słoje śmietany, pszenna mąka, miód, dżem truskawkowy, sok wiśniowy, marynowane borowiki, osetki masła w nawoskowanym papierze, nawet dwustugramowa tabliczka szwajcarskiej czekolady.

Eskortujący mnie sierżant szepnął słówko oficerowi, który stał obok Greczki, usłyszał je wszakże sam pułkownik i odwrócił się w moją stronę. Ściągnął brwi, nie kojarząc mnie w pierwszym momencie, a potem przywołał na twarz swój zdumiewający piękny uśmiech.

- Ach - powiedział. - Szabrownik! Gdzie twój kolega dezenter?

Nie wiem, czym na pytanie zareagowała moja twarz, pułkownik jednak dostrzegł to i zrozumiał.

- Szkoda - stwierdził. - Podobał mi się ten chłopak.

Długą chwilę czekał, aż coś zrobię, a ja nie potrafiłem sobie przypomnieć, po co mnie tu przyniosło. Kiedy wróciła pamięć, rozpiąłem szubę, wyjąłem spod swetra skrzynkę i podałem pułkownikowi.

- Tuzin jajek - powiedziałem.

- Cudownie, cudownie. - Nie okazując skrzynce żadnego zainteresowania, przekazał ją podwładnemu i machnął ręką ku górze delikatesów, która wyrosła na kamiennej posadzce. - Ostatniej nocy podrzucili to i owo drogą powietrzną. W ostatniej chwili. Wiesz, ile niegdyś wyrządzonych przysług musiałem roztrwonić na to wesele?

Podwładny Greczki oddał skrzynkę jednemu z szeregowych i dokonał odnośnego wpisu na swojej liście.

- Następny tuzin jajek - mruknął przy tym. Odprowadzałem wzrokiem żołnierza, który zabrał skrzynkę.

- Macie już jajka? Oficer zerknął na listę.

- W sumie cztery tuziny.

- Im więcej, tym lepiej - stwierdził pułkownik. - Teraz starczy nawet na pieróg z rybą. Dobra, daj chłopakowi kartkę pierwszej kategorii. Eh, daj mu dwie, może wziąć za tego drugiego.

Podwładny uniósł brwi, najwyraźniej oszołomiony taką hojnością.

Wyjął z kieszeni poduszkę i pieczętkę, ze skórzanego portfela - kartki, następnie podpisał i podstemplował obie, a wreszcie podał mnie.

- Będiesz popularnym chłopakiem - powiedział.

Wpatrywałem się w kartki dające mi prawo do racji oficerskich. Rozejrzałem się po piwnicy. Kola znalazły preferencje winiarskie Dołgorukich, nie omieszkałyby wspomnieć, że do jesiotra serwuje się białe, do sarniny zaś - czerwone. A gdyby nie znał, zmyśliłby coś na poczekaniu. Patrzyłem, jak żołnierze wchodzą po schodach, niosąc worki z ryżem i długie sznury tłustych kiełbas.

Kiedy odwróciłem się do pułkownika, natychmiast spojrzał mi w oczy.

- Chciałbyś mi coś jeszcze powiedzieć? Nie mów tego. - Uśmiechnął się i uszczypnął mnie w policzek z czymś na kształt szczerej sympatii. - I to, przyjacielu, jest tajemnicą długiego życia.

XXVII

Wieczorem dwudziestego siódmego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego przeszło trzysta dział przez godzinę wystrzeliwało w niebo białe, niebieskie i czerwone rakiety, których oślepiające migotliwe ogony rozświetliły cały Leningrad, malując w rosyjskie barwy narodowe kopuły św. Izaaka i dwa tysiące okien Pałacu Zimowego. Oblężenie było skończone.

W kilkunastoosobowej kompanii staliśmy na dachu domu, w którym mieszkała Sonia, i lichym ukraińskim winem wznosiliśmy toasty na cześć Goworowa i Mierieckowa, generałów, którzy przerwali blokadę. W tym momencie już od roku służyłem w wojsku. Przełożeni, słusznie uznając, że nie mam postury frontowca, skierowali mnie do „Czerwonej Gwiazdy”, armijnej gazety codziennej; w tym pierwszym roku byłem pomagierem grupy doświadczonych dziennikarzy, którzy podróżując po całym froncie, gromadzili w odwiedzanych jednostkach żołnierskie anegdoty i opowieści. Miałem karabin, ale nigdy go nie użyłem. Brak połowy palca przeszkadzał mi tylko w pisaniu na maszynie. W końcu zostałem awansowany i zacząłem wysyłać

do centrali własne doniesienia, które przez jakiegoś kompletnie mi nieznanego redaktora były przerabiane na jędrną, patriotyczną prozę. Jej lektura przyprawiłaby mojego ojca o niestrawność.

W noc końca blokady, na dachu, gdyśmy wypili za dużo wina i nawrzeszczeli się tak, że rozbolały nas gardła, pocałowałem Sonię w usta. Był to pocałunek bardziej przyjacielski niż erotyczny. Gdy z uśmiechami zakłopotania odstąpiliśmy od siebie, oboje - czego jestem pewien - pomyśleliśmy o Koli. Zapewne byłby ukontentowany, widząc, że całuję ładną dziewczynę, co więcej: udzieliliby mi garści nieocenionych porad natury technicznej... ale pomyśleliśmy o nim i już nigdy nie pocałowaliśmy się w taki sposób.

Kilka dni po moim powrocie do Pitra z jajkami dla pułkownika dowiedziałem się, że Kirów runął dopiero kilka godzin po bombardowaniu, wskutek czego ocalała większość mieszkańców, w tym Wiera Osipowa i bliźniacy Antokolscy. W którymś momencie napatoczyliśmy się na siebie, ale ta zima zmieniła nas wszystkich i nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Miałem nadzieję, że ucieczka Wiery po tym, jak ją uratowałem, obudzi w niej choćby lekkie wyrzuty sumienia, ale nie poruszyła tematu, więc i ja nie wróciłem do sprawy. Dostała miejsce w zdziesiątkowanej orkiestrze leningradzkich filharmoników i utrzymała je przez trzydzieści następnych lat. Bliźniacy, walcząc dzielnie w ósmej gwardyjskiej pod generałem Czujkowem, przeszli szlak bojowy do samego Berlina. Jest takie słynne zdjęcie, na którym jeden z nich składa swój podpis na ścianie Reichstagu, ale nie mam pojęcia, czy to Oleg czy Grisza. Jestem chyba tym ze swojej dawnej brygady strażackiej, który może się poszczycić najskromniejszymi osiągnięciami.

Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego z dwoma innymi młodymi dziennikarzami zajmowałem spore lokum w pobliżu Dworca Moskiewskiego. Uciekinierzy, wśród nich moja matka i siostra, wrócili już do Pitra, ale miasto nie było tak ludne jak przed wojną. Utrzymywano, że woda z Newy ma trupi smak. Dzieciaki, wymachując torbami, znów biegły do szkół, pootwie-

rały się knajpy przy Newskim Prospekcie, choć mało kto miał pieniądze, żeby w nich biesiadować. W święta państwowe przechadzaliśmy się po naszej promenadzie, podziwiając przez nowo wstawione szyby marcepanowe przysmaki, zegarki na rękę i skórzane rękawiczki. Ci z nas, którzy pozostawali w mieście podczas blokady, odruchowo trzymali się chodnika po południowej stronie ulicy, chociaż żaden pocisk nie spadł od niemal dwóch lat.

Pewnego chłodnego sierpniowego wieczora, gdy północny wiatr przynosił znaną Finlandii zapach sosnowych igieł, siedziałem samotnie w kuchni, czytając Jacka Londona. Moi współ-lokatorzy poszli do puszkiniowskiego na premierę; też miałem zaproszenie, ale żaden współczesny radziecki dramaturg nie cieszył się nawet częstką tej miłości, jaką darzyłem Londona. Kiedy skończyłem opowiadanie, postanowiłem przeczytać je ponownie, tym razem usiłując rozgryźć, jak zostało skrojone i zszyte. *Buck nie czytał gazet, bo w przeciwnym razie byłby wiedział, że szykują się kłopoty...*

Nie podniosłem głowy znaną książki na pierwsze pukanie do drzwi. Małolat mieszkający kilka numerów dalej w ramach niemal codziennej rozrywki ganiał po korytarzu, łomocąc we wszystkie drzwi. Każdy ze znajomych wszedłby bez ceregieli, zamek zresztą był wyłamany, poza tym nie miewaliśmy wielu gości. Trzecie pukanie sprawiło, że czar Londona prysł. Poirytowany odłożyłem książkę na kuchenny stół i poszedłem do drzwi, żeby obsobaczyć chłopaka.

Na korytarzu, z walizką u stóp i tekturowym pudełeczkiem w rękach, stała młoda kobieta. Nosila żółtą bawełnianą sukienkę w białe kwiaty. We wgłębieniu jej obojczyka połyskiwała zawieszona na łańcuszku srebrna ważka, a na opalone ramiona kaskadą spływały gęste rude włosy. Powie pewnie teraz, że nie wybrała tej sukienki czy naszyjnika z największą uwagą, że nie umyła włosów, wyszorowała twarzy i nie musnęła warg czerwoną szminką. Nie wierzcie w to. Nikt nie wygląda fantastycznie przez zwykły przypadek.

Uśmiechnęła się w ten swój drażniący sposób, który układał wargi raczej w grymas niż prawdziwy uśmiech, i badawczo wbi-

la we mnie spojrzenie błękitnych oczu, żeby upewnić się, czyją poznaję. Gdybym był lepszy w te klocki, mógłbym udać, że nie, mógłbym zapytać: „Dobry wieczór, czy szuka pani kogoś?”.

- Nie jesteś tak chudy jak kiedyś - powiedziała. - Ale wciąż zbyt chudy.

- A ty masz włosy - zareplikowałem i natychmiast ugryzłem się w język. Śniłem o niej przez trzy i pół roku - dosłownie, bo przemaszerowała w swym zbyt dużym kombinezonie przez większość snów, jakie zapamiętałem - a teraz, kiedy się w końcu zjawiała, potrafiłem tylko palnąć: „A ty masz włosy”.

- Przyniosłam ci prezent - powiedziała. - Popatrz, czego to ludzie nie wymyślą.

Otworzyła pudełko. W wytłoczonych z masy papierowej schludnych wgłębieniach tkwiło dwanaście jajek - jajek białych i brązowych... było nawet jedno kropkowane jak dłoń starego człowieka. Zamknęła wieczko i znów je otworzyła, zachwycona prostotą i funkcjonalnością patentu.

- O ileż to wygodniejsze niż pakowanie w słomę - dodała.

- Moglibyśmy usmażyć omlet - zasugerowałem.

- Moglibyśmy? - Uśmiechnęła się, podała mi pudełko, wzięła walizkę i czekając, aż szerzej otworzę drzwi, oświadczyła: - Musisz na mój temat wiedzieć jedno, Lova. Ja nie gotuję.

Podziękowania

Arcydzieło Harrisona Salisburyego *The 900 Days* pozostaje najlepszą anglojęzyczną książką o blokadzie Leningradu. Była moją nieodstępną towarzyszką podczas pracy nad *Miastem złodziei* i polecam ją każdemu, kto chciałby pogłębić swą wiedzę na temat Pitra i jego mieszkańców w czasach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Jestem równie zobowiązany dziwacznie genialnemu dziełu Curzia Malapartego *Kaputt*, które proponuje całkowicie odmienną perspektywę oglądu tej wojny. Zawarte tam opisy niemieckich taktyk antypartyzanckich oraz wiele innych rzeczy okazały się rzeczą fundamentalnie ważną dla powstania niniejszej opowieści. Pragnąłbym obu tym nieżyjącym już dżentelmenom podziękować za ich książki. Jeśli udało mi się nie pogubić w szczegółach, im właśnie przypada znaczna część zasługi.